

MEG CABOT

POSZŁA NA CAŁOŚĆ

1

ŚLUB - NIESPODZIANKA ROKU Namiętny romans gwiazd *Hindenburga* wzbudza liczne kontrowersje: aktorzy Bruno di Blase i Greta Woolston pobierają się w samym środku medialnej burzy...

Uczucie tych dwojga rozkwitło na planie *Hindenburga*, zeszłorocznego filmowego megahitu, który pobił wszystkie dotychczasowe rekordy kasowe i zgarnął siedem Oscarów, także w kategorii dla najlepszego filmu. Romans ten zdaniem wielu nie miał prawa przetrwać próby czasu, a jednak... Dwoje najpopularniejszych aktorów Hollywood sprawiło swoim fanom nie lada niespodziankę, obracając ekranowy związek w rzeczywistość...

- Ej!

Posterunkowy Nick Calabrese nie odrywał oczu od pierwszej strony nowojorskiego „Post”. „Post”, człowieku. Ta cholerna awantura trafiła do „Post”. Gorzej nawet, na czołówkę „Post”.

- Ej, mógłbyś mi tu łaskawie trochę pomóc?

Nick zerknął na inne gazety rozłożone na ladzie stoiska. W „Daily News” też się to ukazało. I w „Newsday”. Nawet w „USA Today”. Nie trafiło chyba tylko na okładkę „New York Timesa”, ale Nick był pewien, że znalazło się gdzieś w środku. Pewnie w części miejskiej.

Jezu!

- Ej, Calabrese! - warknął posterunkowy Gerard West, znany jako G. Właśnie usiłował założyć kajdanki miejscowemu ćpunowi. Ćpun okazał się niezbyt chętny do współpracy. - Będiesz tak sterczał i czytał komiksy czy raczysz mi pomóc z tym tutaj?

Nick wziął „Post” i podszedł do swojego partnera, pokazując palcem zdjęcie atrakcyjnej pary na pierwszej stronie i ustawiając gazetę pod takim kątem, żeby zatrzymany też mógł zobaczyć.

- Spójrzcie tylko - powiedział. - Widzicie tego typka? Tego w smokingu? To chłopak mojej siostry. A raczej były chłopak.

Ćpun przyjrzał się fotografii i zanim się połapał, G wykorzystał jego chwilową nieuwagę i zatrzasnął mu wreszcie kajdanki na nadgarstkach.

- A odwał się! - stęknął.

- Nie - odparł Nick. - Serio.

Nawet G, który nadal trzymał ćpuna za ramiona, popatrzył sceptycznie.

- Tak... A moja siostra chodzi z Denzelem Washingtonem. Daj spokój, Nick. Chcę iść na zapiekankę z ziemniaków z cebulą do Ds. Wiesz, że po dziesiątej trzydzieści już ich nie

dają.

- No mówię panu - upierał się Nick, podtykając pismo właścicielowi stoiska z prasą który z zainteresowaniem obserwował całą scenę. - To chłopak mojej siostry. Mieszkali ze sobą aż tu jakieś kilka miesięcy temu szczer jeden wyprowadził się, a teraz wziął i ożenił się z inną. Da pan wiarę?

- Nie, panie władzo, raczej nie - odparł właściciel stoiska z tak silnym akcentem mieszkańca Bangladeszu, że jego angielszczyzna była prawie niezrozumiała.

- Widzi pan, ona napisała ten scenariusz. Moja siostra, znaczy. To ona zrobiła z nich gwiazdy.

- A pan mnie robi w bambuko - stwierdził grzecznie gazeciarz.

- Ależ skąd - oburzył się Nick. - Przysięgam. Lou napisała tego, no, jak to się tam nazywa... samograja. Dla Barry'ego.

- Kto to jest Barry, panie władzo? - zaciekawiał się właściciel stoiska z gazetami.

- Ten koleś. - Nick pokazał palcem zdjęcie. - Bruno di Blase. To nie jest jego prawdziwe nazwisko. To jest, rozumie pan, taki pseudonim artystyczny. Naprawdę nazywa się Barry. Barry Kimmel. Dorastał w naszej okolicy, na Long Island. Kiedyś zmuszałem go, żeby jadł robaki. - Zauważył potępiające spojrzenie swojego partnera i dodał, wzruszając ramionami: - No cóż, tak bywa. Byliśmy jeszcze mali. G, wciąż przytrzymując ćpuna, mruknął:

- A fakt. Barry. Zapomniałem. Lou chyba mocno przeżyła to rozstanie. Jeśli nie przestaniesz się wrywać, to przysięgam na Boga...

Ćpun jednak nie potrafił ukryć zainteresowania.

- Hej, powaga? - spytał Nicka. - Twoja siostra naprawdę pieprzyła się z tym gościem z *Hindenburga*?

- Uważaj, facet - warknął Nick. - Moja siostra się z nikim nie pieprzy, jasne?

- No tak - powiedział G. - Już nie. To znaczy, nie teraz, skoro ten gość ożenił się z...

- A ty też licz się ze słowami. - Nick rzucił swojemu partnerowi gniewne spojrzenie ponad czubkiem głowy niziutkiego ćpuna. Jednocześnie pogrzebał w kieszeni i wyciągnął kilka monet, które usiłował wręczyć właścicielowi stoiska z prasą w zamian za „Post” trzymany pod drugim ramieniem.

- O nie, panie władzo - zaprotestował właściciel stoiska. - Na koszt firmy. Za to, że panowie zapewniają praworządnym obywatelom spokój na tych ulicach.

Zadowolony Nick z powrotem wsunął drobne do kieszeni.

- Dzięki.

- I proszę przekazać siostrze, że naprawdę podobał mi się ten jej film, *Hindenburg!* - zawołał gazeciarz. - I mojej żonie też. Prawdziwie poruszający obraz triumfu ludzkiego ducha.

- Nie omieszkałam - powiedział Nick, kiedy ruszyli w stronę wozu patrolowego. - Jezu, wciąż w to nie wierzę! Barry ją rzucił i się ożenił! Biedna mała.

ZAŚLUBINY W GWIAZDORSKIEJ OBSADZIE To wielkie wydarzenie miało miejsce w nowo otwartej Sali Hindenburga - pełnej rekwizytów z głośnego filmu pod tym tytułem - w Kasynie Trumpa w Las Vegas. Para gwiazd *Hindenburga*, Bruno di Blase i Greta Woolston, związała się węzłem małżeńskim zaledwie kilka dni po zerwaniu panny Woolston z jej długoletnim partnerem, znakomitym aktorem, Jackiem Townsendem.

Townsend, niezapomniany doktor Paul Rourke w popularnym serialu telewizyjnym *Izba przyjęć*, ulubieniec miłośników kina akcji, dzięki roli zbuntowanego policjanta Pete'a Logana w *Gliniarzu zabójcy*, nie przyjął wiadomości o małżeństwie swojej byłej narzeczonej ze spokojem.

- Dobry Boże! - Eleonora Townsend spojrzała na gazetę schludnie ułożoną na srebrnej tacy. - Richards, co to ma znaczyć?

Kamerdyner odchrząknął.

- Pozwoliłem sobie nabyć dziś rano „Post”, proszę pani, kiedy wyprowadzałem Alessandra na spacer. Jest tu na pierwszej stronie artykuł, który chyba powinien panią zainteresować.

Eleonora rzuciła swojemu kamerdynerowi spojrzenie równie czule jak karcące, sięgnęła po gazetę ponad maleńkim yorkshire terrierem rozpartym na jej kolanach i, założywszy okulary, przyjrzała się czołówce.

- Ach, tak - westchnęła, przeglądając artykuł umieszczony tuż pod dużą kolorową fotografią. - Rozumiem. Co za ambaras. „Jak podają nasze źródła w hotelu Cztery Pory Roku w Anchorage, gdzie zatrzymał się Townsend na czas zdjęć do *Gliniarza zabójcy 4*, wkrótce po ujawnieniu w wieczornych wiadomościach informacji o ślubie z apartamentu gwiazdora dobiegły odgłosy tłuczonego szkła - odczytała. - Interweniowała ochrona hotelowa. Zniszczeniu uległy oszklone balkonowe drzwi, ściany pokoju hotelowego nosiły wyraźne ślady ciosów, prawdopodobnie zadanych pięścią. Dwuosobowa kozetka dla zakochanych niemal doszczętnie spłonęła”. O Matko Boska!

- Nie ma żadnej wzmianki - zauważył Richards — o ewentualnym aresztowaniu panicza Jacka.

- Nie... - Eleonora jeszcze raz przebiegła wzrokiem artykuł. - Nie, chyba nie. Dziury w ścianach po ciosach pięścią, też coś?! I podpalenie dwuosobowej kozetki? Dziecinada! Jack nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Poza tym, nie wierzę, żeby się w ogóle zanadto

przejmował tą całą Woolston. Ona jest tak strasznie... pospolita. Chociaż niełatwo to stwierdzić, kiedy mają brytyjski akcent.

- Być może rzecz nie w tym, że ona wyszła za mąż zaraz po ich zerwaniu, ale raczej w tym, za kogo wyszła - podsunął Richards, sięgnął po srebrny dzbanek z kawą i ponownie napełnił filiżankę z chińskiej porcelany, stojącą przed Eleonorą.

- Tak - przyznała Eleonora, zmrużonymi oczami wpatrując się w zdjęcie. - Rozumiem. Bruno di Blase. Grał główną rolę w tym głośnym filmie, nieprawdaż? Tym o... Przypomnij mi, jak się to nazywa.... A, już wiem. O sterowcu.

- Istotnie, proszę pani - potwierdził Richards. - *Hindenburg*. Poruszający obraz triumfu ludzkiego ducha, jak mi mówiono.

Eleonora uniosła jedną, starannie wyregulowaną brew.

- O mój Boże! Di Blase. Czy on czasem nie pochodzi z tych di Blase z Toskanii? Pamiętasz, taka urocza rodzina, poznałam ich we Florencji zeszłej wiosny.

- Wydaje mi się, proszę pani - odparł Richards, znów odchrząknąwszy - że di Blase to pseudonim artystyczny.

Eleonora odłożyła gazetę i lekko zadrżała.

- Och, Richards! - zawołała. - To straszne! Żeby jakaś kobieta rzuciła Jacka dla mężczyzny, który używa pseudonimu artystycznego...

- Podejrzewam, że nazwisko panny Woolston również zostało... no cóż, w pewnym sensie nieco podrasowane.

Eleonora zdjęła z nosa okulary i spojrzała na kamerdynera z niedowierzaniem.

- Nie! Ale może masz rację... Pewnie było okropne. Doris Mudge albo Vivian Sloth, albo coś podobnego.

- Allegra Mooch - wycedził Richards. Eleonora otrząsnęła się z niesmakiem.

- Przestań. Tylko nie Allegra. Nie przed śniadaniem.

- Proszę o wybaczenie. Spróbujemy skontaktować się z paniczem Jackiem i przekonać, czy nie możemy służyć mu pomocą?

Eleonora zerknęła na elegancki złoty zegarek.

- Nie, to się mija z celem. I tak prawie nigdy nie można go złapać, a już na pewno nie na planie zdjęciowym. Zresztą po czymś takim za żadne skarby nie zbliży się do telefonu. Och, Richards - westchnęła. - Wygląda na to, że minie jeszcze sporo czasu, zanim doczekam się wnuków.

WZGARDZONE SŁAWY

Chociaż sam Jack Townsend jeszcze nie skomentował publicznie informacji o nagłym ślubie

swojej byłej narzeczonej Greta Woolston z Brunem di Blase, jej partnerem z filmu *Hindenburg*, wydaje się, że małżeństwo to stanowi takie samo zaskoczenie dla rodzin i przyjaciół zainteresowanych, jak i dla ich fanów. Nadal oczekujemy również oficjalnego komentarza zdobywczyni Oscara za scenariusz do *Hindenburga*, Lou Calabrese, ód wielu lat przyjaciółki pana młodego...

- Oczekujemy, bo nic nie wiemy, cholera - warknęła Beverly Tennant i ze złością cisnęła gazetą gdzieś w kierunku swojego biurowego pozłacanego kosza na śmieci. - Chloe! - ryknęła. - Chloe!

Młoda osóbką o znękaney minie wpadła do gabinetu jak bomba. Widać było, że dopiero przyszła, bo wciąż miała na głowie nauszniki, płaszcz zapięty, a w dłoniach dwa jednorazowe kubki z kawą.

- Och - powiedziała Beverly, zauważając kawę. - To dla mnie? Chloe pokiwała głową, usiłując złapać oddech.

- Wi... Widziałam... nagłówki - wykrztusiła. - Po drodze... Pomyślałam sobie, że ci się przyda... Podwójna. Wzięłam z pianką. Odtłuszczone mleko.

- Życie mi ratujesz. - Beverly postukała w blat biurka starannie wymanikiurowanym paznokciem. - Postaw tutaj. I nie łącz mnie z nikim. Spróbuję ją namierzyć.

- Och! - Chloe szybko postawiła kubki. - Możesz pozdrowić Lou ode mnie? I powtórzyć, że mi strasznie przykro? Powiedz, że jeśli to dla niej jakaś pociecha, żadna z nas —to znaczy tu, w agencji - nie uważa, że Bruno di Blase jest taki seksowny, jak wszyscy twierdzą. To znaczy... My go nie reprezentujemy, prawda?

Beverly, z palcem zawieszonym nad klawiszem szybkiego wybierania numeru, rzuciła asystentce miazdzące spojrzenie.

- Istotnie, nie - odparła. - Ale przekażę twoją wiadomość. Jestem pewna, że ją niezmiernie pocieszy.

Chloe, lekko zmieszana, wyszła z gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi.

Beverly, która już zdążyła zsunąć buty od Manolo Blahnika, rozparła się w fotelu i położyła nogi na biurku, zdjęła pokrywkę z cappuccino i połączyła się z numerem swojej klientki w Los Angeles.

- No, odbierz - mruknęła przy pierwszym sygnale. - Odbierz, odbierz, odbierz...

Włączyła się automatyczna sekretarka Lou.

- Cześć. Nie ma nas w tej chwili w domu, ale jeśli zostawisz wiadomość po sygnale, na pewno postaramy się jak najszybciej oddzwonić...

Beverly skrzywiła się, słysząc to „my”. Ale kiedy zagruchała do słuchawki, w jej głosie brzmiało wyłącznie współczucie.

- Lou, słonko, Bev z tej strony. Jeśli tam jesteś, odbierz proszę. Ja wiem, że u ciebie jest teraz... - spojrzała na inkrustowany diamentowym pyłem zegarek i szybko sobie policzyła - .. jakaś szósta rano, Boże, jak ty to znosisz? Ale posłuchaj, kochanie, mówię ci, to najlepsza rzecz, jaka ci się mogła zdarzyć. Wierz mi, sama przez to przeszłam, wiem, co mówię. Ten facet to szumowina z dna stawu. Gorzej niż szumowina. To szumowina, która wyrosła na... szumowinie.

Zadowolona z celnego określenia, Beverly ciągnęła:

- A ona to już w ogóle! Brytyjska biała hołota. Jedno warte drugiego. A w ogóle, gdzie jesteś? Tylko mi nie mów, że wzorem całego Zachodniego Wybrzeża zaczęłaś uprawiać jogging czy jogę, czy jakieś inne beznadziejne głupoty...

Beverly zdjęła nogi z biurka i usiadła prosto w obrotowym fotelu, jakby tknięta odkrywczą myślą.

- No tak, racja. Przecież miałaś dzisiaj lecieć na plan, wybić Timowi Lordowi z głowy wysadzenie w powietrze tej góry i uspokoić tych wszystkich działaczy na rzecz ochrony środowiska. Boże, ale ze mnie kretynka. Ja tu siedzę i gładzę do maszyny, a ty wyjechałaś... Na pustkowia Alaski, cholera jasna. Tak mi przykro. Alaska, ze wszystkich miejsc na ziemi... Zimno mi się robi na samą myśl...

Beverly wzięła się w garść.

- Nie, zaczekaj, to dobrze! Dobrze, że jesteś na Alasce, Lou. Alaska oderwie cię od myśli o... No cóż, fakt, nie bardzo wierzę, że cię oderwie, skoro jest tam też Jack Townsend, prawda? Wiem, co o nim sądzisz. Chryste. No cóż, słonko, tak czy inaczej, oddzwon do mnie. I jak tylko wrócisz, idziemy na lunch.

Beverly odłożyła słuchawkę. Spojrzała ponuro w kubek swojego cappuccino.

- Mój Boże - powiedziała w przestrzeń. - Biedna LOU. Założę się, że w tej chwili żałuje, że w ogóle napisała ten kawałek.

2

- Mój Boże! - Lou Calabrese położyła głowę na lepkim blacie stolika w poczekalni lotniska. - Po co ja w ogóle napisałam ten kawałek?

Vicky Lord, siedząca po drugiej stronie stołu, przyjrzała się przyjaciółce z wyrazem troski na starannie umalowanej twarzy.

- Lou, kotku. Maczasz włosy w keczupie.

- No i co z tego? - Keczup nie keczup, blat stolika przyjemnie chłodził czoło. - Chciałam mu podarować coś, co mu da swobodę. Czemu po prostu nie kupiłam mu porsche?

- Kotku, podnieś głowę. Nie wiesz, co ludzie mogli robić na tym stoliku.

- Jasne, że prędzej czy później odjechałby w siną dal - ciągnęła Lou z rozpaczą, nie ruszając głowy z miejsca. - Ale przynajmniej nie każdy człowiek na zachodniej półkuli by o tym wiedział. Nie trąbili by o tym w CNN.

- Posłuchaj mnie, Lou. - Otworzyła torebkę Prady, którą ostrożnie trzymała na kolanach, chcąc ją uchronić przed kontaktem z resztkami rozmaitych artykułów spożywczych. - Nie każdy człowiek na zachodniej półkuli wie o Barrym i Grecie. Jestem pewna, że są jacyś pustelnicy w Montanie - no wiesz, jak ten wariat Unabomber - którzy nic o tym nie słyszeli.

- Chryste - jęknęła Lou. - Czemu nie napisałam zwyczajnej romantycznej komedii? Na planie romantycznej komedii nie mogliby się zejść. To by było za bardzo, rozumiesz... Przewidywalne. Ci od *public relations* by im nie pozwolili.

- Lou, kotku, posłuchaj - powtórzyła Vicky, przekopując się przez zawartość torby. - Nie możesz całej winy zwałać na *Hindenburga*. Ty i Barry mieliście pewne problemy na długo przed *Hindenburgiem*, o ile pamiętam.

Lou, wciąż trzymając głowę na stoliku, zamrugała powiekami i spojrzała na przyjaciółkę. Poranne słońce wpadało ukośnie przez okna lotniskowej poczekalni. Jasny promień obejmował Vicky, która wyglądała jak anioł w tej różanej poświacie.

No, ale z drugiej strony, Vicky Lord zawsze wyglądała jak anioł. I nie chodziło tylko o nieskazitelną cerę. O nie. Vicky promieniała, i to od środka. Dla Lou, spędzającej o wiele za dużo czasu przed ekranem komputera, tego rodzaju blask był zupełnie nieosiągalny, od środka czy od zewnątrz.

- No pewnie - zgodziła się Lou. - Oczywiście, że miewaliśmy problemy. Byliśmy ze sobą... ile? Dziesięć lat? Dziesięć lat, a facet nadal nie chciał się poważnie zaangażować. Istotnie, przyznaję, to jest pewien problem.

Lou nie bardzo wiedziała, czemu chce się tłumaczyć tej anielskiej istocie siedzącej naprzeciwko. Czy Vicky mogłaby to w ogóle pojąć? Vicky - modelka, aktorka i obecna hollywoodzka dziewczyna na topie - która zawsze dostawała to, na co miała ochotę.

No cóż, niezupełnie. Było coś, czego Vicky pragnęła i nie dostała - facet, za którym szalała, a który rzucił ją, gdy tylko wspomniała o zaangażowaniu. Fakt, od tamtej pory minęło parę lat i teraz Vicky była szczęśliwą mężatką - żoną człowieka, który uwielbiał ją tak bezgranicznie, że ich małżeństwo z zasady podawano jako przykład najbardziej udanego związku w Hollywood. A jednak - mimo wszystko - może będzie umiała zrozumieć, co czuje Lou.

- Barry mi wmawiał, że nie może się bardziej zaangażować w nasz związek, bo nie chce, żebym miała na karku bezrobotnego aktora - dodała Lou. - No więc napisałam ten scenariusz, żeby miał wreszcie jakieś zajęcie.

Vicky wyłowiła z torebki to, czego szukała - puderniczkę od Diora. Otworzyła ją, żeby przyjrzeć się swoim wargom, niedawno powiększonym zastrzykami z kolagenu.

- Kotku... - westchnęła, studiując własne odbicie. - Nie napisałaś scenariusza, który dał mu jakieś zajęcie. Napisałaś coś, co w pięć minut z nieudacznika zrobiło Pana Osiem Cyfr na Czeku. A jak on ci się odwdzięcza? - Vicky podniosła oczy znad lusterka i całą siłę lazurowego spojrzenia skierowała na przyjaciółkę. - Żeniąc się z tą zimną suką zrobioną na blond. Ja tylko nie mogę zrozumieć, czemu jesteś tak strasznie zaskoczona.

Przecież wyprowadził się już jakiś czas temu, prawda? Ile to minęło?

- Kilka miesięcy. - Głos LOLI był pełen smutku. - Ale nic nie wspominał, że się w kimś zakochał. Powiedział tylko, że mimo wszystko nie może się wiązać na stałe.

- Tymczasem w gruncie rzeczy - to przecież jasne - miał na myśli, że nie może się związać z tobą. Kotku, ja to znam. Jack wyciął mi ten sam numer, pamiętasz? Tylko że on jeszcze sobie chyba nie znalazł tej jedynej. Może dlatego, że jego zdaniem taka kobieta nie istnieje. - Vicky potrząsnęła głową, przy czym na moment złapała w lusterku puderniczki odbicie barowego kontuaru. - Czy do ciebie dotarło, że oni tu nie podają kawy espresso? Ja wszystko rozumiem, Anchorage to nie Los Angeles, ale jesteśmy chyba jeszcze w Ameryce, prawda?

- Boże! - zawołała Lou. Podniosła głowę znad stolika, ale czoło ukryła w dłoniach. - Kiedy pomyślę, ile dla niego zrobiłam! Mówię ci, napisanie tego durnego scenariusza to mój największy życiowy błąd!

Wyraźnie zadowolona ze swojej konturówki do ust, Vicky zamknęła puderniczkę i wsunęła ją z powrotem do torby.

- Twoim największym życiowym błędem był związek z Barrym - powiedziała. - A napisanie *Hindenburga* to genialne posunięcie. Na miłość boską, Lou, przecież to już klasyka amerykańskiego kina.

- Klasyczna kupa łajna - powiedziała gorzko Lou.

- Brakowało mu głębi - przyznała Vicky, wzruszając ramionami. - Nie da się ukryć. Ale sceny akcji robiły wrażenie. A te sceny miłosne między Barrym i Gretą... - Nie umknęło uwagi Lou, że Vicky z wysiłkiem otrząsnęła się z rozmarzenia, w które zaczynała popadać. Przyjaciółka przygryzła dolną wargę - rujnując przy okazji linię konturówki - i dodała: - O Boże, kotku, przepraszam.

- Nie trzeba. - Lou skuliła się na plastikowym krześle. - Nic się nie stało. Poradzę sobie. W sumie to wszystko nie jest dla mnie taką totalną niespodzianką. Miałam pewne podejrzenia. W przeciwieństwie do niektórych.

Vicky uniosła brew.

- Mówisz o Jacku? - spytała. - On wiedział. Lou roześmiała się gorzko.

- Daj spokój, Vicky. Nic nie wiedział. Nie miał pojęcia.

- O Grecie i Barrym? - Vicky potrząsnęła głową tak mocno, że zburzyła śliczną krótką fryzurkę. - Mówię ci, wiedział. Nie jest wcale taki głupi, Lou.

- Rzucił cię, nie? - spytała ostro Lou. - Jeżeli to nie jest objaw kardynalnej głupoty, to ja już nie wiem, co jest głupie.

- Kochana jesteś! - Vicky posłała jej jeszcze jeden anielski uśmiech ze swojego bogatego repertuaru. - Ale, kotku, przysięgam ci, on nie zdemolował tego pokoju hotelowego przez Gretę. To znaczy, żeby Jack tak się zdenerwował, musiałby, no wiesz, przejmować się nią.

- A to jest biologicznie niemożliwe dla kogoś zupełnie pozbawionego serca - mruknęła Lou.

Zresztą sama Vicky, jedna z wielu gwiazdeczek, które Jack porzucił na swojej drodze, powinna dobrze o tym wiedzieć. Jedyne człowiek w Hollywood, który miał na koncie więcej romansów niż Jack Townsend, to Tim Lord, reżyser i *Hindenburga*, i najnowszej części *Gliniarza zabójcy*...

Jack przynajmniej wyświadczał swoim podrywkom tę uprzejmość, że ich nie poślubiał, a potem nie ciągał całymi tygodniami po sądach, co Timowi Lordowi przytrafiało się notorycznie. Vicky była jego trzecią żoną. Facet miał nefartowną skłonność - nie tak znów rzadką w Hollywood - do zawierania małżeństw z odtwórczyniami głównych ról swoich filmów, a chociaż rólka Vicky w *Hindenburgu* - grała tam żonę kapitana sterowca -

była niewielka, i tak udało jej się skraść serca zarówno publiczności, jak i reżysera.

Nie można powiedzieć, żeby Vicky wpadła z deszczu pod rynnę, zamieniając Jacka na Tima. Kochała swojego męża, a Tim był nią ewidentnie zauroczony, tymczasem Jack...

No cóż. Dzień, w którym się okaże, że Jacka Townsenda choć trochę obchodzi ktoś, kto się nie nazywa Jack Townsend, będzie dniem, w którym Lou pojawi się przy basenie hotelu Beverly Hills ubrana wyłącznie w stringi.

- Och, czekaj - powiedziała Vicky i rozjaśniła się. - Idzie tu do nas facet, który wygląda, jakby się nigdy nie mył. Może nam powie, skąd to opóźnienie.

Niedomyty dżentelmen, krzepki typek w wełnianej czapce, okazał się członkiem załogi. Więcej nawet, okazał się głównym pilotem.

- Czekamy już tylko na pana Townsenda - poinformował, nawet dość grzecznie. - A potem ruszamy w drogę.

Lou była pewna, że się przesłyszała.

- Jack Townsend? - powtórzyła, szeroko otwierając oczy. - Powiedział pan, że czekamy na Jacka Townsenda?

Pilotowi niełatwo było oderwać oczy od promiennej Vicky, ale jakoś mu się w końcu udało.

- Zgadza się, proszę pani - powiedział do Lou, a potem niechętnie - bo jak wszystkich mężczyzn ciągnęło go do eterycznej Vicky Lord - poczłapał w swoją stronę.

- O mój Boże - westchnęła Lou, ściskając krawędź stołu pobielającymi palcami. Spojrzała na Vicky, ale ta zajęła się wyjmowaniem z torby komórki. Lou z wahaniem zapytała: - Czy ty... Słyszałaś, co on przed chwilą powiedział, Vicky?

- Co powiedział? - Vicky zrobiła zdegustowaną minę. - A widziałaś, co on miał na sobie? Widziałaś kiedyś więcej szkockiej kraty na jednej ludzkiej istocie? To znaczy na kimś, kto nie statystował w *Braveheart*.

Lou zamrugła powiekami, patrząc na przyjaciółkę. Ogarnęło ją bezgranicznie zdumienie: Vicky właśnie usłyszała, że człowiek, który złamał jej serce, zaraz się tu zjawi, a tymczasem interesowały ją tylko odzieżowe nawyki miejscowej ludności.

Ale Vicky taka już była. Między innymi dlatego Lou przyjaźniła się z nią od tak dawna... Vicky czasami bywała strasznie płytka, to prawda, i zupełnie nie potrafiła minąć żadnego sklepu z obuwem dobrych marek, nie wstępując do środka po zakupy. Taką samą słabość odczuwała jednak do tych, którym nie poszczęściło się w życiu, i nie potrafiła przejść obok bezdomnego, nie wciskając mu w rękę studolarowych banknotów.

- Jack leci z nami, Vicky - wyjaśniła Lou, niepewna, czy do przyjaciółki dotarła

powaga sytuacji. - Jack Townsend.

- No tak, jasne - odparła Vicky nieuważnie. - W sumie czemu nie miałby zepsuć mi tego dnia do końca? Pewnie nie zdążył na wcześniejszy samolot przez tę awanturę w hotelu. Dlaczego ten telefon nie działa? Co się dzieje w tej dziurze zabitej dechami? Najpierw nie ma espresso, a teraz jeszcze i to.

- Vicky! - syknęła Lou. Nie mogła mówić normalnie, bo miała wrażenie, że coś ją bardzo mocno schwyciło za gardło. Coś... albo ktoś. Wróciła w myślach do *Człowieka widmo* z Kevinem Baconem w roli głównej, wczoraj w hotelu obejrzała kawałek. Naukowiec staje się niewidzialny i zaczyna terroryzować swoich kolegów...

Vicky, trzymając komórkę przy uchu, poskarżyła się:

- W ogóle nie rozumiem, co się tutaj wyprawia. Dlaczego nie mogę złapać zasięgu? Gdzie my jesteśmy, do cholery, na Syberii?

- Vicky... - Głos Lou znów zabrzmiał pewnie, przepełniony zdumieniem i podziwem. - Jakim cudem zachowujesz taki spokój? Facet złamał ci serce, a ty masz teraz zamiar wsiąść z nim do samolotu, jakby... jakby nic między wami nie zaszło. Tymczasem ja mam ochotę zabić go za to, co ci zrobił. W czym tkwi twój sekret? Naprawdę, nie posiadam się z ciekawości.

Vicky niecierpliwym gestem zatrasnęła telefon i wrzuciła go z powrotem do torby.

- To się nazywa gra aktorska - odparła. - Przysięgam, powinnam dostać Nagrodę Akademii za najlepszą rolę kobiecą w filmie „Narzeczone Jacka Townsenda”. - Zerknęła na swój mały złoty zegareczek i skrzywiła się. Oczywiście, rysy jej twarzy, nawet wykrzywione, nadal zachowały nieskazitelne piękno. - Jeśli mam się umówić na drenaż limfatyczny, muszę zadzwonić natychmiast. - Wstała. - Idę poszukać automatu.

- Vicky... - Na szczęście Lou nic nie zjadła na śniadanie. W przeciwnym razie na pewno by je teraz zwróciła. - Zaczyna mi się naprawdę robić niedobrze.

- Och, nie wygłupiaj się - powiedziała Vicky. - Idź, znajdź ustronne miejsce dla dziewczynek i wymyj sobie to świństwo z włosów. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz, użerając się z Timem w kwestiach ochrony środowiska, to keczup we włosach.

Okręciła się na cieniutkich wysokich obcasach i odmaszerowała. Lou siedziała blada, bez tchu, mocno trzymając się dłońmi blatu stołu.

- No dobra - powiedziała do siebie. Na szczęście, z wyjątkiem kobiety za barem, była jedyną osobą w tej małej, zapuszczonej poczekalni prywatnej linii lotniczej, i nie musiała się obawiać, że ktoś ją podsłucha. - Wytrzymam. Wsiądę do samolotu z Jackiem Townsendem. Vicky może, to i ja mogę, nie ma sprawy. Po prostu nie będę się do niego odzywać. To

wszystko. Jego była uciekła z moim eks, ale to jeszcze nie powód, żebym miała z nim rozmawiać. Zresztą nigdy z nim nie rozmawiam, jeśli mogę tego uniknąć.

Podbudowana tym postanowieniem Lou wstała, zarzuciła na ramię jedną torbę, potem drugą, znacznie cięższą, z laptopem, i ruszyła do drzwi z napisem „Dla pań”. Łazienka wbrew jej obawom okazała się całkiem znośna. Lustro nad urny walką było jasno oświetlone - właściwie trochę nawet za jasno. Aż zbyt wyraźnie widziała ciemne cienie pod oczami.

Mokre papierowe ręczniki raz dwa usunęły plamy keczupu z kasztanowych włosów. Fioletowe cienie wokół powiek okazały się trudniejszym wyzwaniem. Lou wyłowiła z torby tubkę korektora. Jakimś cudem korektor spełnił swoje zadanie. Szkoda, pomyślała, że nie ma takiego korektora, którym można by potraktować własne życie. Zawód miłosny? Kłopot} z samooceną? Odrobina tego cudownego środka i voila! Zniknęły! Jakby ich nigdy nie było.

Korektor na uczuciowe blizny. Lou uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Dobre określenie. Może wykorzysta je w powieści.

Potem uśmiech zbladł. Szminka. Bezwzględnie potrzebna jest szminka.

Znalazła jakąś na dnie torby i pomalowała usta. Zdecydowanie lepiej. Zaczynała wyglądać prawie jak człowiek. Gdyby teraz natknęła się na Barry'ego, raczej by się nie zorientował, że zrobił z niej emocjonalnego wraka. No cóż, nieźle się napracowała na domowej bieżni, zdecydowana wypocić sobie Barry'ego z organizmu, i w efekcie poprawiła napięcie mięśni. A kilogramy zrzucone, kiedy Barry się wyprowadził - bezpośredni rezultat diety złożonej wyłącznie z orzeszków ziemnych w karmelu, jedynej rzeczy, którą Lou mogła utrzymać w żołądku podczas tego marnego okresu swojego życia, zrobiły z niej istotę niemal tak eteryczną jak trzecia pani Lord.

Prawie. Ale niezupełnie. Bo w jej brązowych oczach, niegdyś ufnych jak oczy złotego retrievera (w każdym razie tak uważali jej bracia), pojawił się wyraz pewnej czujności, który ostrzegał, że ich właścicielka stoi twardo na ziemi i nie buja w obłokach.

Teraz to spojrzenie raczej już nie przywodziło na myśl złotego retrievera. Chyba że takiego, który połknął sporą porcję płynu do chłodnic i cudem przeżył.

Barry, pomyślała, a nieufne brązowe oczy, które miała przed sobą w lustrze, zwęziły się. To wszystko przez ciebie, Barry.

Niestety, prawda wyglądała inaczej. Lou doskonale wiedziała, że jeśli już musi kogoś obwiniać za całą sytuację, to tylko siebie samą. W ogóle nie powinna była zakochiwać się w Barrym Kimmelu.

Po pierwsze, oczywiście, Barry był aktorem. A przecież lata spędzone w Los Angeles nauczyły ją, żeby nigdy nie ufać aktorowi. Nigdy mu nie ufać i nigdy, za żadne skarby, w

żadnym się nie zakochiwać.

Ale skąd miała wiedzieć takie rzeczy dawno temu, w szkole średniej na Long Island? Chociaż dorastali po sąsiedzku, Barry nigdy nie raczył zwrócić uwagi na mało efektowną Lou Calabrese. Dopiero w maturalnej klasie, kiedy wreszcie udało jej się pozbyć szczenięcego sadelka i przezwiska Marchewka (bo ufarbowała włosy na czarno), Barry Kimmel ni stąd, ni zowąd zaprosił ją na randkę. Barry Kimmel, najseksowniejszy chłopak w Klubie Dramatycznym Liceum Bay Haven Central.

Seksowny, o tak. I przez jakiś czas - przez długi czas — to wystarczało. Ale przy całym swoim zauroczeniu Lou dość szybko zaczęła czuć się w tym związku niezręcznie. Barry był cudowny. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

Ale co z poczuciem humoru? Czy Barry miał chociaż cień śladu poczucia humoru? Nie, absolutnie nie. Bywał częstym gościem w ich domu, ale nigdy nie śmiał się z ich żartów. Cóż, trzeba przyznać, że Calabrese mieli skłonność do niewybrednych dowcipów. Trzeba też przyznać, że wygłupy czterech braci Lou zwykle były wymierzone w Barry'ego, więc może trudno się dziwić, że niespecjalnie go bawiły. Ale żeby się od razu tak krzywić?

A jaki humorzasty! Jeżeli wydawało mu się, że ktoś nie poświęca mu należytej uwagi, lubił się obrażać. Na długo.

No cóż, pomijając wszystko inne, Barry był artystą. Nikt, a już zwłaszcza Lou - tak przynajmniej twierdził Barry - nie umie pojąć twórczych cierpień, jakich doświadcza aktor przy każdej nowej roli, usiłując dotrzeć do rdzenia swojej postaci, znaleźć idealną intonację dla każdej linijki tekstu. Jak Lou, zwykła scenarzystka, w ogóle śmie porównywać te dwie formy twórczej ekspresji - pisanie scenariuszy i aktorstwo - tego Barry za żadne skarby nie mógł zrozumieć. Pisanie, jak każdy wie, to zwykle rzemiosło. Aktorstwo jednakże jest sztuką.

Najsmutniejsze ze wszystkiego było to, że - prawdę mówiąc - przez długi czas Lou się z nim zgadzała.

Ale dobry Boże, jaki on był przystojny! Uosobienie marzeń każdej nastolatki o idealnym chłopaku. Barry był dla Lou jej własnym Navarre (Rutger Hauer w *Pani Jastrzęb*), jej Lloydem Dobblerem (John Cusack w *Powiedz coś*) jej Sokolim Okiem (Daniel Day Lewis w *Ostatnim Mohikaninie*).

Był dla niej wszystkim.

I pragnął jej, pulchnawej Marchewki Calabrese, dziewczyny, którą zawsze bardziej obchodziły filmy i książki niż nakazy mody czy zasady nakładania makijażu. Barry Kimmel pragnął Lou, a nie Candy Sparks, gwiazdy zespołu cheerleaderek, obsadzanej w głównej roli w każdym musicalu wystawianym przez szkolny teatr, ani Amber Castiglione, miss klas

maturalnych i posiadaczki profesjonalnie wykonanego portfolio ze zdjęciami portretowymi. To, że Lou udało się złapać Barry'ego Kimmela, było niesłychanym triumfem. Nie tylko jej własnym. Można by powiedzieć, triumfem wszystkich tłustawych, inteligentnych dziewczyn tego świata.

Do niedawna. Teraz, dziesięć lat później, wyglądało na to, że Candy i Amber jednak zwyciężyły. Bo czy nie kimś takim właśnie była Greta Woolston? Brytyjską wersją Candy, europejskim wydaniem Amber? Barry, uziemiony przez Lou przez te dziesięć lat, nagle zdał sobie sprawę, że tak nie musi dłużej być. Mógł mieć wszystkie Candy tego świata...

.. a obecnie dysponował własnymi pieniędzmi i mógł śmiało finansować swoje zachcianki. A dzięki komu? Dzięki komu zarobił tyle pieniędzy? Dzięki komu mógł teraz lekką ręką wystawiać czeki na sumy dość wysokie, by zainteresować kobiety pokroju Candy... i Greta Woolston. No właśnie, dzięki Lou. Boże, jaka była głupia!

- Stałaś się taka cyniczna - powiedział Barry, kiedy się wyprowadzał. - Do wszystkiego podchodzisz na zimno.

Uwaga ta, zdaniem Lou, najprawdopodobniej wzięła się stąd, że zamiast rzucić mu się w rozpacz do kolan i błagać, żeby nie odchodził, uprzejmie przytrzymała mu drzwi, kiedy siłował się z pudłem kompaktów.

- Mam wrażenie, że dziewczyna, z którą przeniosłem się do Kalifornii, pełna wszystkich tych marzeń i nadziei - powiedział - zniknęła.

- Bo dorosła, Barry - odparła Lou. — Dzięki tobie. Wspominając ból, który poczuła, kiedy dotarł do niej sens jego słów, Lou z trudem, oderwała wzrok od swojego odbicia w lustrze. Czy miał rację? Czy dlatego właśnie Barry zakochał się w Grecie? Dlatego że Greta sprawiała wrażenie słabej istoty, kompletnie niezdolnej o siebie zadbać? Dlatego że jej bezradność wyzwalała w mężczyznach opiekuńcze odruchy, a Lou nigdy takich odruchów nie wzbudzała?

- Przestań - szepnęła do siebie. - Po prostu przestań. Weź się w garść. Już nie jesteś żadną Marchewką. Już nie. Nazywasz się Lou Calabrese. - Wyprostowała ramiona i spojrzała w te swoje podejrzliwe, znużone oczy. - Jesteś nagrodzoną Oscarem scenarzystką niedługo jako pisarka też zdobędziesz jakąś nagrodę...

O ile kiedykolwiek uda jej się skończyć tę pierwszą powieść, której pierwszy rozdział zaczęła dopiero kilka wieczorów temu. Kobieta zdradzona przez swojego ukochanego dochodzi wreszcie do ładu ze swoim życiem, dzięki miłości porządnego faceta... Zupełnie fikcyjna historia. Tym bardziej że, wyjąwszy jej ojca i braci, porządnym facetów na tym świecie nie ma.

- Kiedy Greta Woolston nie będzie już mogła dostać żadnej roli, bo implanty jej zwisną do kolan - powiedziała Lou do swojego odbicia - ty nadal będziesz pisać. Twoja największa zaleta nie jest zrobiona z silikonu. A na razie zapamiętaj sobie jedno: żadnych więcej aktorów. I głowa do góry.

Mała mówka nie poskutkowała. Lou popatrzyła na swój uśmiech przylepiony do świeżo uszminekowanych ust, a potem dała sobie spokój. Uśmiechać się jeszcze nie może. Ale płakać też nie jest w stanie. Może faktycznie zrobiła się zbyt cyniczna.

Taa, a Jack Townsend nie miał zamiaru złamać serca jej przyjaciółce. Akurat!

Zdegustowana odwróciła się na pięcie, szarpnięciem otworzyła drzwi do poczekalni...

.. i wpadła prosto na Jacka Townsenda, który stał przy barze, absurdalnie zrelaksowany. I bardzo przystojny - w dżinsach i brązowej skórzanej kurtce.

- O, tu jest. - Vicky, po powrocie z budki telefonicznej, miała nieco zafrasowaną minę. U Vicky, oczywiście, nawet zafrasowana mina wyglądała uroczo. - Popatrz, co nam się tu znalazło, Lou. No, ale widzę, że sama już zauważyłaś.

Jack Townsend zerknął znad kubka z kawą, którą ledwie udało mu się uchronić przed rozlaniem, kiedy Lou niespodziewanie wypadła z łazienki.

I w tej samej minucie, w której napotkała spojrzenie jego chłodnych błękitnych oczu, Lou poczuła, że oblewa się głębokim, palącym rumieńcem w odcieniu umbry. Już dawno przestała farbować włosy, bo odkąd pojechała na uniwersytet, i tak wszyscy zapomnieli o przezwisku Marchewka. Ale nadal zdarzały się chwile, kiedy wolałaby mieć inny kolor włosów, wszystko jedno jaki, byle nie rudy. To była jedna z tych chwil. Bo Lou rumieniła się często i łatwo... Tak łatwo, że czasem na samą myśl o rumieńcu natychmiast zaczynała się czerwienić. Próbowwała wykrztusić „przepraszam”, ale słowa zamarły jej na ustach. Nagle opuściła ją zdolność do sformułowania jakiegokolwiek, najprostszego zdania. Lou Calabrese płonęła.

Ale na widok Jacka Townsenda - pocieszała się Lou - zarumieniłaby się każda kobieta nie tylko Marchewka, której były chłopak uciekł z jego byłą dziewczyną. To dlatego, że stanowił, lapidarnie rzecz ujmując, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i sto kilo twardych mięśni, a wszystko w niezwykle pociągającym, długonogim opakowaniu. Facet miał gęste ciemne włosy, miejscami przetykane siwizną, i nos bynajmniej nie klasyczny w kształcie, co zawdzięczał, jak mówiono, jakiejś bójce w czasach szkolnych - a poza tym pochodził z Townsendów z Manhattanu, właścicieli Townsend Securities. Jednak w przeciwieństwie do Barry'ego, Jack nie był wcale ucieleśnieniem marzeń dorastających pańienek. Barry - czyli Bruno di Blase - był po prostu ładnym chłopcem, żeby powiedzieć całą prawdę. Jacka

Townsenda nigdy, ale to przenigdy nie dałoby się nawet w przybliżeniu określić słowem ładny... A co dopiero „chłopiec”.

Ale był przystojny. Więcej niż przystojny. Z tym przeszywającym spojrzeniem błękitnych oczu i szczęką nieodmiennie pokrytą niebieskawym cieniem zarostu, Jack Townsend był obiektem namiętnych westchnień kobiet z całego świata. Co jeszcze bardziej zaskakujące, chyba nie zdawał sobie z tego sprawy - nie dla Jacka Townsenda garnitury od Armaniego i skórzane spodnie, które zwykle nosił Barry, albo hollywoodzkie przyjęcia i kluby, w których Barry przesiadywał z nadzieją (choć temu zaprzeczał), że paparazzi zrobią mu jakieś zdjęcie. Jack Townsend, kiedy nie pracował, zaszywał się na swoim trzydziestohektarowym ranczu w Salinas, prawie nigdy nie pokazując się publicznie, chyba że promował jakiś swój nowy film... Zdaniem Lou, właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, przyczyniło się do rozpadu jego związku z wiecznie głodną uwagi mediów Gretą Woolston.

Ale Greta powinna była wiedzieć, że Jack Townsend nie jest człowiekiem, który ochoczo dostosuje się do zwyczajów hollywoodzkiego światka. Przecież Jack Townsend, Lou nie miała wątpliwości, sama będąc świadkiem paru takich sytuacji, nigdy nie zgadzał się na żadnych dublerów ani kaskaderów, nawet w najbardziej niebezpiecznych ujęciach. A makijaż? Nie na twarzy Jacka Townsenda. Nikt nie miał prawa dotknąć tej głowy, nawet styliści od fryzur... Co wyjaśniało szpakowate skronie.

A te ciemne cienie pod oczami? Tim Lord będzie musiał zapłacić majątek za usunięcie ich po skończeniu zdjęć, metodycznie, klatka po klatce, bo Jack prędzej najadłby się tłuczonego szkła, niż pozwolił sobie nałożyć korektor.

Tak, o Jacku Townsencie wiele dałoby się powiedzieć: że jest koszmarnym snem charakteryzatorki, przepustką reżysera do kasowego sukcesu i wymarzoną randką każdej chyba kobiety w Ameryce.

Jednym jednak Jack Townsend nie był, mimo swojego niewiarygodnie przystojnego wyglądu i nonszalanckiego wdzięku - nie należał do ulubieńców Lou.

I widać było niezbitcie z wyrazu jego twarzy, że z całego serca odwzajemnia to uczucie intensywnej niechęci. Spojrzał na nią - wydawało się przy tym, że te jego niesamowicie niebieskie oczy patrzą przez nią na wskroś - a potem odwrócił wzrok i mruknął, tym sardonicznym tonem, którym niemal zawsze się odzywał: - Och. To ty.

Czy to możliwe, zastanawiała się Lou, żeby dzień, który wcale nie zaczął się dobrze, mógł się jeszcze bardziej zepsuć?

Lou. Akurat na Lou musiał trafić, prawda? No, co zrobić. Po wszystkim, co się działo do tej pory, powinien być się tego spodziewać. Po wczorajszej wieczornej demolce w hotelu - którą zawdzięczał Melanie Dupre - i dzisiejszej ucieczce przed reporterami stłoczonymi w holu, żeby już nie wspominać o pikiecie aktywistów ruchu na rzecz ochrony środowiska, rozwścieczonych decyzją rządu stanowego, który zezwolił Timowi Lordowi na wysadzenie w powietrze fragmentu góry McKinley - życie Jacka Townsenda stało się jednym wielkim koszmarem.

Nie, koszmar to niewłaściwe słowo. To nie był koszmar. Koszmary przerażają. A to było po prostu...

Żalosne.

Naprawdę. Co gorsza, sam się wpakował w tę historię. Teraz zaczną się pytania, spekulacje, podejrzenia, chichoty, i tak bez końca.

A on nie mógł zrzucić winy na Melanie. Nie potrafił powiedzieć:

- Uznałem, że mam aktorek powyżej uszu, więc powiedziałem Melanie, że to koniec, a ona zdemolowała mi pokój.

Nie, to nie byłoby godne dżentelmena.

A chociaż Jack miał wrażenie, że niewiele nauczył się od swojego chłodnego i nieco autorytatywnego ojca, jedną rzecz przejął od Gilberta Townsenda bez zastrzeżeń: nigdy nie całował po to, żeby o tym potem publicznie opowiadać. Oczywiście, także i tym razem zachowa się jak dżentelmen i poniesie wszelkie konsekwencje. Co oznaczało między innymi, że już nigdy nie wynajmie pokoju hotelowego, nie wysłuchując przy tym uwag na temat dwuosobowych kozetek dla zakochanych.

A teraz jeszcze to. Lou Calabrese. Rewelacja. Akurat ten dzień musiała sobie wybrać na wycieczkę na plan.

Nie można powiedzieć, żeby Jacka unieszczęśliwiła obecność ładnej kobiety. Ale jeśli tą kobietą okazywała się Lou Calabrese, miewał zastrzeżenia.

Bo Lou Calabrese, mówiąc bez ogródek, była osobą okropnie upierdliwą.

Wszyscy pisarze są nieznośni, wiedział o tym aż za dobrze. A scenarzyści byli najgorsi. Kapryśni, zaabsorbowani sobą, pełni złudzeń co do własnego znaczenia i wyolbrzymionego poczucia własnej wartości.

A już Lou Calabrese była najgorsza z nich wszystkich. Zmień jedno słówko w jej ukochanym dialogu i - Jack świetnie o tym wiedział - uwagi pod adresem aktora nie będą

miały końca. Czemu Tim Lord zgodził się znów z nią pracować, Jack nie miał pojęcia.

No, ale z drugiej strony, Tim Lord mógł nie zdawać sobie sprawy, do jakiego stopnia upierdliwa bywa Lou Calabrese. Greta i Bruno pewnie nie próbowali zmieniać dialogów podczas kręcenia *Hindenburga*, żadne z nich nie odznaczało się szczególną bystrością.

Oczywiście, dialogi Lou w znakomitej większości były trafione. Hej, w końcu zdobyła Oscara, nie? Niemniej, tak czy inaczej... „Jest fajnie, póki ktoś nie oberwie”. Jej się wydawało, że kto to kupi? Arnold miał swoje „Hasta la vista, baby”. Eastwood - „Make my day”. Willis miał „Yippee - ki - yay”, słowo obraźliwe pomijając.

A Jack Townsend miał się zadowolić marnym „Jest fajnie, póki ktoś nie oberwie”?

- Och! - Vicky przeniosła wzrok z Lou na Jacka i z powrotem. - No tak. Wy się już znacie przecież. Z pierwszego *Gliniarza zabójcy*. Boże! To było ile, jakieś pięć lat temu?

- Sześć - poprawiła Lou.

Jack musiałby być głuchy, żeby umknął mu zjadliwy ton jej głosu. Ach, więc uczucie jest wzajemne, tak? Jakby to nie było oczywiste, sądząc z upokorzeń, którym został poddany jako detektyw Pete Logan w *Gliniarzu zabójcy 2 i 3*.

Dobra, nie ma sprawy. Ona też nie należała do osób, które najbardziej sobie ukochał na tym świecie.

- Sześć lat. W głowie mi się nie mieści, że to już tyle czasu...

Głos Vicky zamarł. Chyba dotarło do niej, że lepiej zrobi, jeśli się zamknie. Pamiętał, że to właśnie była zaleta Vicky: nie należała do idiotek. Trochę odjechana, fakt, z tym swoim tai chi, drenażem limfatycznym i przyprowadzaniem do domu każdego zabłąkanego zwierzęcia, które zastąpiło jej drogę, i tak dalej, ale bywała dość bystra, kiedy zachodziła taka potrzeba. Pomijając tę całą... jak to się nazywało? Ach, tak. Poza kwestią intymności w związku. Cokolwiek to miało oznaczać.

Teraz Vicky popatrzyła na zegarek.

- Ups, wybaczcie, muszę wracać.

Oczy Lou rozszerzyły się - te już i tak nienormalnie wielkie oczy. Wyglądała, jakby spała tyle samo, co i on. Doprawdy, po co scenarzystce takie oczy? - pomyślał Jack mimo woli. To oczy odtwórczyni głównych ról... A już przynajmniej oczy pierwszej naiwnej. Marnowały się u kobiety, która przynajmniej osiem godzin dziennie spędza przed monitorem komputera.

Podobnie jak to ciało, pomyślał znów mimo woli. Jeśli Lou wydawało się, że zdoła ukryć te krągłości pod obszernym swetrem w warkocze i brązowymi wełnianymi spodniami, to się grubo myliła. Nawet nieco mniej wyrobione oko niż jego własne zdołałoby zauważyć

wąską talię, ładny biust i szczupłe nogi. Poza tym była wysoka, miała przynajmniej metr siedemdziesiąt, i to nie licząc pięciocentymetrowych obcasów kozaków. Lou Calabrese miała niekończące się nogi, które każdy mężczyzna chętnie zobaczyłby owinięte wokół swoich bioder w zimową noc...

Ale skąd mu do głowy przychodzi takie rzeczy?

Może biorą się z tego samego źródła co myśl, że włosy Lou Calabrese, ta długa do ramion burza loków w kolorze rdzy, aż się proszą żeby zanurzyć palce w ich gęste sploty. Miał też wrażenie, że są całkowicie naturalne. Na tle tych wszystkich gładkich farbowanych blond fryzurek, Lou wyglądała beznadziejnie staroświecko...

I najwyraźniej albo nie zdawała sobie z tego sprawy, albo o to nie dbała. Brunatna kurtka, którą narzuciła na gruby sweter, wygodna i praktyczna, przemawiała na korzyść tej drugiej teorii. Jack stwierdził, że może być coś przyjemnie niebanalnego w towarzystwie kobiety, która nie jest niewolnicą mody, zwłaszcza jeśli i tak wygląda dobrze, niezależnie od tego, co ma na sobie.

No ale mimo wszystko... Lou Calabrese? Już żałował następnego faceta, na którym wypróbuje te swoje rozsądnie krótkie pazurki. Podobna uroda w połączeniu z mózgiem zdolnym do wymyślenia milionów tortur, którym regularnie poddawała swojego bezbronного bohatera, detektywa Logana? Śmiercionośna kombinacja.

Popatrzcie tylko, jak świetnie jej wychodzi ten stary numer z kobietą bezradnością. Proszę, proszę: te wrażliwe, malinowe wargi rozchylone z rozpaczą, te brązowe oczy szeroko otwarte i zamglone, i to dziecięce zdumienie w głosie:

- Vicky, jak to, musisz wracać?

Wyglądała na szczerze zmartwioną. Gdyby Jack już dawno temu nie uznał, że Lou Calabrese pozbawiona jest ludzkich uczuć, może by nawet wykrzesał z siebie odrobinę męskiej opiekuńczości.

Sądził jednak, że jego ofertę pomocy przyjąłaby z równym entuzjazmem co atak roju pszczoł. Popatrzcie tylko, z jakim wdziękiem podeszła do kwestii: „Potrzebna mi większa spluwa”. A czy ten tekst nie sprawdził się dokładnie tak, jak Jack przewidywał?

- Vicky, nie możesz sobie pójść - mówiła teraz Lou. - Myślałam, że polecisz z nami na plan.

- Chciałam, kotku - powiedziała Vicky. Vicky, jak pamiętał Jack, zawsze szafowała zdrobnieniami. Nikt inny, był tego pewien, nie ośmieliłby się zwrócić w ten sposób do Lou Calabrese. Może i wyglądała milutko, ale kotkiem nie była na pewno. - Ale kiedy przed chwilą sprawdzałam wiadomości, była tam jedna od Tima, z planu. Coś niedobrego dzieje się

z Eliaszem. Chyba lekka gorączka. Dzwonili do niego do Myry z hotelu. No więc teraz muszę iść i wypełniać swoje obowiązki macochy. Ale obiecuję, dojadę do was dziś po południu. To znaczy, jeśli ten dzieciak nie ma jakiejś gangreny.

Te informacje wyraźnie przygnębiły Lou. Chwyciła Vicky za ramię.

- Vicky... - Jack usłyszał warknięcie Lou. Nie, no naprawdę. Warknęła jak tygrysyca. W bardzo podobny sposób warknęła na niego tego dnia, kiedy zastąpił tekst „Fajnie jest, póki ktoś nie oberwie” swoim „Potrzebna mi większa spluwa”. Tyle że tym razem nie klęła. - Przysięgam na Boga, jeśli zostawisz mnie samą z tym...

Jack chętnie by sobie posłuchał tej interesującej wymiany zdań, ale nagle odezwał się piskliwy głos:

- To przecież Jack Townsend!

Jack zamrugał powiekami. Zza baru przyglądała mu się całkiem przystojna kobieta w średnim wieku, ta sama, która przed chwilą wręczyła mu kubek kawy.

- Tak. - Nie miał szans się wymigać. - To ja.

- O mój Boże! - zawołała kobieta, wytrzeszczając oczy. - O mój Boże! W pierwszej chwili nie byłam pewna, ale kiedy usłyszałam ten głos, wiedziałam, że to pan!

Jack, chociaż zmęczony, nie mógł powstrzymać nieznacznego uśmiechu. Wielbiciele byli niemal równie nieznośni co scenarzyści. Ale bez nich, tak samo jak bez scenarzystów, nie osiągnąłby sukcesu.

Chociaż dzisiaj akurat naprawdę nie było mu czego zazdrościć.

- Tak - powtórzył. - To ja.

Na twarz kobiety wypłynął rozanielony uśmiech.

- Mam na imię Marie - zagruchała. - Panie Townsend, nawet nie umiem panu powiedzieć, jaka to radość. Wie pan, słyszałam, że pan tu coś kręci na Alasce, ale nigdy nie przypuszczałam, że sama pana zobaczę na własne oczy. Wie pan, że jest pan moim ulubionym aktorem wszech czasów? Wszech czasów! *Izba przyjęć* to mój ulubiony serial... No cóż, był ulubiony, dopóki pan nie odszedł. Potem totalnie zszedł na psy, niech sobie mówią, co chcą. A *Gliniarz zabójca* to mój ulubiony film.

Krótką przerwą w tym natchnionym słowotoku pozwoliła Jackowi wtrącić:

- Dziękuję pani bardzo, Marie. Ja...

Ale nie udało mu się dokończyć, bo kiedy tylko zaczął miąć w dłoni jednorazowy kubek po kawie, Marie wrzasnęła:

- Nie!

A gdy Jack spojrzał na nią zaskoczony, dodała, rumieniąc się nieśmiało:

- Miałam zamiar go zatrzymać. No, wie pan, kubek, z którego napił się mojej kawy Jack Townsend.

Jack popatrzył na pognieciony styropian. Właśnie tego nienawidził najbardziej - nie długich godzin pracy, nie całych miesięcy spędzanych z dala od domu, nie niekończących się zmian w scenariuszu, które musiał zapamiętywać w ostatniej chwili, nie natręctwa prasy. Ludzi - wielbicieli - zachowujących na pamiątkę jego używane szklanki, serwetki, a przy jednej pamiętnej okazji nawet zasmarkana chusteczkę. Nie było na tym świecie nikogo - ani jednej osoby - której zużytą chusteczkę Jack chciałby zatrzymać sobie na pamiątkę i w żaden sposób nie potrafił zrozumieć takiej potrzeby u innych... Zwłaszcza kiedy w grę wchodziła jego zużyta chusteczka.

- To ja może coś dla pani podpiszę? - zaproponował sprytnie, wrzucając kubek do kosza na śmieci. - To chyba lepsze niż kubek po kawie.

- Och! - Marie podała mu przez kontuar długopis i bloczek papieru. - Jeśli można prosić. Podpisze pan: dla Marie?

- Jasne!

- A może pan napisać... to? - Marie uśmiechnęła się do niego nieśmiało a szeroko. - No, wie pan. Słynny tekst Logana.

Jack, świadom, że Lou obserwuje całą scenę, nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Musiała się nieźle wściekać.

- Nie ma sprawy - mruknął i nad swoim podpisem nabazgrał: *Potrzebna mi większa splota*. - Proszę bardzo. - Oddał kelnerce bloczek i pióro. - Miłego dnia.

Marie promieniała. A potem, zauważył i skrzywił się z niesmakiem, wyłowiła z kosza kubek po kawie i pieczołowicie odstawiła na bok.

Nie pierwszy raz tego dnia, a nawet w tej jednej godzinie zadał sobie pytanie, dlaczego nie został prawnikiem, tak jak chciał ojciec.

Ale Marie jeszcze nie skończyła.

- Zaraz... - Przeniosła spojrzenie na Vicky. - A pani... Pani grała rolę żony kapitana! W *Hindenburgu*!

Uśmiech rozjaśnił twarz Vicky niczym jutrzienka.

- Owszem - przyznała. - Grałam.

- Zechce pani to dla mnie podpisać? - poprosiła Marie, podsuwając jej serwetkę i długopis.

- Naturalnie - powiedziała Vicky z uśmiechem i podeszła, sięgając po długopis. Jack wiedział, że opatrzy swój podpis uśmiechniętą buźką i serduszkami. Chciałby choć raz

spotkać w Hollywood kobietę, która do swojego autografu nie dodaje odruchowo uśmiechniętej buźki i serduszka. Greta czasem nawet rysowała przy swoim nazwisku gwiazdkę, i to na długo przedtem, zanim została gwiazdą.

Marie spoglądała teraz z nadzieją na Lou.

- A pani? - spytała. - Pani też jest sławna?

Jack, czekając na długą litanię tytułów, już się szykował do tłumionego ziewania. Jeszcze nie spotkał pisarza, który oparłby się takiej pokusie, a lista sukcesów Lou była naprawdę imponująca. - „Variety” bez końca rozpisywało się na ten temat. Prawa do pierwszego scenariusza, *Gliniarza zabójcy*, udało jej się sprzedać już w wieku dwudziestu dwóch lat.

Ale przerwał w połowie pierwsze ziewnięcie, kiedy ku jego zdziwieniu Lou tylko wzruszyła ramionami i powiedziała, z uśmiechem równie suchym, jak uśmiech Vicky był anielski:

- Niestety. Ja tylko piszę scenariusze.

Tylko piszę scenariusze? Tylko piszę scenariusze? To zupełnie tak, jakby powiedzieć... że Tim Lord to tylko reżyser. Tylko piszę scenariusze? Już od dłuższego czasu Jack nie słyszał równie skromnego wyznania. Uważnie przyjrzał się Lou. Co się tutaj dzieje?

- Och - westchnęła Marie, nie kryjąc rozczarowania. Ale zaraz się rozchmurzyła. - A może i tak mi się pani podpisze? - spytała, odbierając długopis Vicky. - Bo, kotku, nigdy nic nie wiadomo. A nuż któregoś dnia pani też będzie sławna jak tych dwoje.

A wtedy Lou zrobiła coś nieoczekiwanego. Uśmiechnęła się.

A kiedy Lou Calabrese uśmiechnęła się, Jack z zaskoczeniem zobaczył, jak jej zaledwie ładna twarz staje się po prostu piękna, czego nigdy wcześniej nie miał okazji zauważyć, bo Lou zawsze nosiła na twarzy wyraz głębokiego niezadowolenia. Przynajmniej zawsze wtedy, kiedy obserwowała go na planie. A teraz cudownie szczery uśmiech rozświetlił ciepłe brązowe oczy - coś niezwykłego, bo w ich kręgu towarzyskim widywało się na ogół sztuczne zęby wyszczerzone w sztucznym uśmiechu.

- Dzięki - powiedziała do Marie głosem, którego Jack również nigdy wcześniej u niej nie słyszał. Nabazgrała swoje nazwisko na podsuniętej serwetce. Żadnej uśmiechniętej buźki, zauważył Jack. Żadnego serduszka. I absolutnie żadnej gwiazdki.

- Bardzo proszę - powiedziała.

Właśnie wtedy zbliżył się do nich postawny mężczyzna w kraciastej koszuli. Miał dziwnie nerwową minę.

- Pan Townsend? - zapytał.

Vicky wtrąciła się znów, zanim Jack zdążył wymówić jedno słowo:

- Tak, to pan Townsend. Ale nastąpiła pewna zmiana planów. Ja muszę wracać do hotelu.

Kraciasta Koszula pokiwał głową.

- Jak sobie pani życzy. - A do Jacka powiedział: - Mam na imię Sam. Sam Kowalski. Dziś ja pana wiozę na plan. No i możemy lecieć, kiedy tylko będzie pan gotowy.

- Jesteśmy gotowi - powiedziała szybko Lou. Jackowi przyszło do głowy, że i ona chciałaby wydostać się z Anchorage jak najprędzej. Albo chodzi o to, że chciała spędzić w jego towarzystwie jak najmniej czasu.

Pilot zrobił zaskoczoną minę.

- Uh - zająknął się. - Znaczy, pani też leci, panienko?

- Oczywiście, że też lecę - potwierdziła Lou. Głos miała nadal zachrypnięty, jakby przed chwilą się obudziła. Łóżkowy głos, tak się o tym mówiło. W przeciwieństwie do łóżkowej fryzury, taki głos to zaleta. To znaczy, u aktorki. Jednak u scenarzystki - zwłaszcza w połączeniu z oczami, których spojrzenie też dało się określić wyłącznie jako łóżkowe - tylko człowieka rozpraszał.

- Uhm... - Pilot był wyraźnie skołowany. - Eee, jest pani pewna? Myślałem, że ma pani lecieć razem z panią Lord?

Lou pokręciła głową ze zdziwieniem.

- Nie. Nie, lecę do Myry, zgodnie z planem. Pilot spojrział w swój notatnik.

- Eee... Ja tu mam napisane: jeden pasażer.

- No cóż, to ma pan źle zapisane. Powinno być: troje. A teraz zostało dwoje.

- Hm. Okej. Chyba tak. - Pilot sięgnął pod wełnianą czapkę i podrapał się po głowie.

Według Jacka nie był to budzący zaufanie objaw. - Skoro pani tak twierdzi.

Ponad ich głowami odezwał się lotniskowy radiowzeź. Prezenter lokalnej stacji poinformował ich, że nadchodzi śnieżycy, a potem zapowiedział, że dla uczczenia ślubu gwiazd *Hindenburga*, Greta Woolston i Bruna di Blase, puści nagrodzoną Oscarem piosenkę z tego filmu. Sekundę potem zaczęły ich radośnie bombardować pierwsze takty: *Moja miłość dla ciebie dziś wieczór już płonie*.

Pięknie. Pięknie jak cholera.

Jack nie był jedyną osobą, która nie poczuła się uszczęśliwiona. Lou wydała stłumiony okrzyk i nie spojrzawszy nawet na Vicky ani na Jacka, rzuciła się śladem gburowatego pilota przez terminal. Rude loki podskakiwały w biegu.

Oscar, nie Oscar, *Moja miłość dla ciebie dziś wieczór już płonie* bez cienia

wątpliwości stanowiła jedną z najgłupszych piosenek, jakie Jack kiedykolwiek słyszał w swoim życiu. A przy tym cholernie łatwo wpadała w ucho.

I teraz będzie mu brzęczała w głowie przez cały dzień. Lou zapewne też.

Czy mogło być jeszcze gorzej?

Najwyraźniej tak.

Bo kiedy Vicky wspięła się na palce, żeby go na pożegnanie pocałować w policzek - kobiety takie jak Vicky wszystkich całują na pożegnanie, pocałowałyby też na pożegnanie Lou, tylko że ta uciekła, nie dając jej szansy - zdał sobie sprawę, że jego dzień może się jeszcze okazać znacznie bardziej nieudany. Bo Vicky powiedziała, szeptem tak teatralnym, że musiano ją słyszeć w całym terminalu:

— Gdybyś tylko mnie nie rzucił, nic z tego wszystkiego by nie zaszło.

No cóż, a czego się spodziewał? Vicky nie jest osobą, która umie trzymać język za zębami. Kiedy Vicky miała coś do powiedzenia, to na Boga, mówiła to od razu.

Problemy z intymnością. Właśnie o to go oskarżała. Miał problemy z intymnością w związku, tak twierdziła. To dlatego nie odwzajemniał jej uczuć. Powiedziała kiedyś, że on za bardzo stara się chronić to swoje cholerne serce, żeby kiedykolwiek pozwolić sobie na otwarcie się na innego człowieka i narazić na zranienie.

Taa. To o to szło. Tylko dlatego, że nie oddawał swojego serca z każdym udzielonym autografem, tak jak Vicky...

Mimo wszystko, gadatliwość stanowiła jedną z cech Vicky, które najbardziej chwyciły go za serce, i niemal sprawiła, że cała reszta - przelotny flirt z kabałą, z dietą makrobiotyczną, z zabłąkaną lamą - stawały się tego warte.

Prawie. Ale jednak niezupełnie; Bo on, faktycznie, bronił dostępu do swojego serca.

Wyszedł na płytę lotniska, na przenikliwy ziąb, i poczuł, że zaczynają nim szarpać lodowate, mroźne porywy wiatru. Owijając się ciasniej skórzaną kurtką, ruszył do samolotu czekającego na pasie... A potem stanął jak wryty. Bo nie stał tam, wbrew oczekiwaniom, ośmiomiejscowy turbośmigłowiec, który woził na plan reżysera i co ważniejszych członków ekipy filmowej. (Mniej ważnych upchnięto w tym, co w Myrze uchodziło za bazę hotelową.) Nie, to był helikopter.

I to wcale nie z tych największych.

Lou już siedziała na tylnym siedzeniu, ze słuchawkami na uszach i wyrazem twarzy, który sugerował, że jej entuzjazm wobec podróży tym środkiem lokomocji dorównywał jego entuzjazmowi. A może tylko fakt, że miała podróżować w jego towarzystwie sprawiał, że robiła te obrażone miny.

- Gdzie podziała się cessna? - spytał pilota. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć zimowy wiatr i huk śmigła powoli obracającego się nad ich głowami.

- Hm, cessna caravan jest zajęta, proszę pana - zawołał pilot. - Tylko to mamy.

Jack skrzywił się. Nie bał się latania, ale zdecydowanie wołał podróżować samolotami, w których jest więcej miejsca niż dla czterech osób.

- Nie macie niczego większego? - spytał.

- Eee... - zająknął się pilot, patrząc na Jacka dziwnie niespokojnym wzrokiem. - Ten R - 44 to nówka. Pan Lord używał go do zdjęć z powietrza. Jest całkowicie bezpieczny. Naprawdę, panie Townsend.

Lou spojrzała na niego gniewnie z tylnego siedzenia i rzuciła tym swoim schrypniętym tonem:

- Lecimy, chłopaki, czy nie? Ja tu zamierzam.

Jack zacisnął zęby. O co chodzi tej kobiecie? W porządku, mogła się wściec za numer z kwestią „Potrzebna mi większa spluwa”. Ale do wszystkich diabłów! To było całe wieki temu! Fakt, mówi się, że rude mają wybuchowy temperament, ale to już zaczynało zakrawać na śmieszność. Ile czasu ta dziewczyna potrafi żywić urazę?

A potem, nieco za późno, przypomniał sobie, że przecież Lou jest przyjaciółką Vicky. Czyżby urozmaiciły sobie drogę z hotelu na lotnisko, rozkładając na czynniki pierwsze swoich byłych? Bez wątpienia. No, po prostu świetnie. Teraz będzie musiał nie tylko ugłaskać wzburzone piórka urażonej artystki, ale również uporać się z furią lojalnej przyjaciółki kobiety, którą rzekomo skrzywdził.

A przecież mogłoby się wydawać, że po zajściach ostatniej nocy on i Lou znaleźli się po tej samej stronie barykady. Powinna mu trochę odpuścić. A jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to w całej tej historii i tak ona sama zawiniła najbardziej. Zaczyna się od tego, że gdyby nie napisała głupawej historyjki o sterowcu, Greta i ten idiota di Blase nigdy by się nie spotkali.

Poza tym w żaden sposób nie można było porównywać ich sytuacji. Absolutnie nie. Wczoraj wieczorem to on dostał za swoje, usiłując wybić Melanie Dupre z głowy zemstę na Bogu ducha winnym tapczaniku. Czy dwuosobowej kozetce dla zakochanych, jak uparcie nazywała ten mebel prasa, z niezbyt dla siebie charakterystycznym przebłyskiem ironii.

Taa, jasne. Lou straciła chłopaka. Ale to nie w jej apartamencie hotelowym na wprost szalona aktorka paliła meble, prawda?

- Dobra - powiedział Jack, nie bez wysiłku tłumiąc obawy związane z osobą pilota - jąkały, a przede wszystkim, z pozbawioną humoru współtowarzyszką podróży. - Lećmy.

Udał, że nie dosłyszał wymruczanego przez Lou:

- Alleluja!

Jedna przewaga R - 44 nad turbośmigłowcem, jak wkrótce przekonał się Jack, polegała na tym, że nie można w nim prowadzić uprzejmej rozmowy ze współpasażerami. Po pierwsze, Lou usiadła osobno, na tylnym siedzeniu, Sam uparł się, że potrzebuje Jacka „na przedzie”, żeby „się dociążyło”. Poza tym, huk łopat wirnika zagłuszał wszystko, chyba że mówiło się przez mikrofon przymocowany do słuchawek, które musieli założyć. Jack, i tak potwornie zmęczony, z ulgą stwierdził, że nikt nie spodziewa się po nim prowadzenia lekkiej konwersacji. Przyglądał się malejącym przedmieściom Anchorage, a potem rozległym płachtom bieli, gdzieś tam oznaczonym kępami sosen.

Alaska. Rozbawiło go, kiedy po raz pierwszy przeczytał scenariusz i przekonał się, że akcja rozgrywa się w miasteczku górniczym u stóp góry McKinley. Pete Logan, jak na prostego funkcjonariusza nowojorskiej policji kryminalnej, prowadził życie nietypowo podróżnicze. W ciągu ostatnich trzech filmów spędził już trochę czasu w Tybecie, Uzbekistanie, Boliwii i Belize. A teraz jeszcze Alaska.

Co ciekawe, Pete'a regularnie wysyłano w najniebezpieczniejsze miejsca na ziemi, a to dlatego, że autorka scenariusza chciała jak najbardziej uprzykrzyć życie odtwórcy głównej roli. Nigdy nie dał tego po sobie poznać, ale bawiły go egzotyczne podróże i wcale mu nie przeszkadzały pustynne upały ani arktyczny mróz.

Jednak fakt, że w tych wszystkich niezwykłych miejscach detektyw Logan zostawał pod koniec filmu bez spodni, bywał trochę bolesny. A już szczególnie niemiło wspominał tę scenę z Nepalu, kiedy rozebrany do rosołu i związany jak prosię pozwalał się tłuc bambusowymi pałkami.

Jackowi nie bardzo się to podobało - ale publiczność była zachwycona. Cała Ameryka tłumnie waliła na *Gliniarza zabójcę 2* i w krótkim czasie film zarobił ponad trzysta milionów.

Na szczęście, jedyna scena w ostatnim *Gliniarzu zabójcy*, która wymagała od Jacka niekompletnego stroju, rozgrywała się w wannie z gorącą wodą. Lou musiała być trochę nie w formie, kiedy to pisała. Najwyraźniej tym razem jego jedyną pokutę miało stanowić miesięczne wygnanie w czterdziestym dziewiątym stanie Ameryki.

Trudno to uznać za karę. Alaska była piękna... Przynajmniej tak mu się zdawało. Na razie trochę ciężko było wyrobić sobie jakąś opinię, bo całe zwiedzanie ograniczyło się do hotelu Cztery Pory Roku w Anchorage i małej górniczej osady jakieś dwieście mil na północ od Myry. Między tymi dwoma punktami, jak zauważył, leżały wyłącznie lasy. Lasy i góry pokryte niekończącymi się połaciami śniegu. Trudno uwierzyć, pomyślał, że to już wszystko,

co wielki stan Alaska ma do zaoferowania.

A jednak, jeśli musiał dokądkolwiek jechać, kiedy już rozeszły się plotki o ślubie Greta, to lepsza Alaska niż Los Angeles. Z dała od czytelników „Access Hollywood” i „Entertainment Tonight” Jack czuł się... No cóż, prawie jak w domu. A kiedy skończą się zdjęcia, weźmie sobie parę tygodni wolnego i powędkuje pod lodem. Jeden z facetów z ekipy zaproponował, że udostępni mu domek myśliwski...

- Panie Townsend...

Dopiero natarczywy głos pilota w słuchawkach wyrwał Jacka z drzemki. No cóż, nie dziwnego, że zasnął - nie spał do czwartej rano, a wydarzenia poprzedniej nocy - atak szału Melanie, a potem kolejne wizyty w jego apartamencie ochrony hotelowej, jednostki straży pożarnej i na koniec policji - były dość wyczerpujące. Naprawdę powinien się wreszcie przestać wdawać w romanse z aktorkami. Matka miała rację - dla nich każdy drobiazg zamieniał się w wielki spektakl. Miał już powyżej uszu tych aktorskich hysterii.

A z drugiej strony, czy spotkał kiedyś atrakcyjną kobietę, która nie byłaby aktorką? Wbrew własnej woli powędkował spojrzeniem w stronę rudowłosej dziewczyny na tylnym siedzeniu. Nie była aktorką, prawda? A przecież niekwestionowana pierwsza liga...

Dopiero kiedy Jack spojrział na twarz Lou, zobaczył, że nie jest znudzona, co byłoby zupełnie zrozumiałe, bo lot raczej nie obfitował w atrakcje. I nie miała mdłości, co też byłoby zrozumiałe, zważywszy mało komfortowe warunki i umiarkowane poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał helikopter.

Nie. Na twarzy Lou malowało się bezgraniczne przerażenie. I tym razem nie dlatego, że on coś nie tak zrobił czy powiedział, jak się to zdarzało co i rusz od chwili, kiedy się poznali - czyli od sześciu lat. Nie, tym razem chodziło o coś innego. Idąc za jej spojrzeniem, zobaczył rewolwer wycelowany prosto w swoją głowę.

- Panie Townsend - powtórzył pilot. - Chyba przydałaby się panu większa splota. Jakakolwiek splota.

Tim Lord wpatrywał się w zamknięte drzwi przyczepy kempingowej. Na taśmie przyklepionej do nich napisano: „Rebecca”, ale nie ulegało wątpliwości, że w środku jest Melanie Dupre, grająca dziewczynę Pete'a Logana. Zza drzwi dobiegały charakterystyczne odgłosy tłuczonego szkła i przeciągłe, niemal zwierzęce wrzaski.

- Zachowuje się tak od samego rana - poinformowała go ponuro osobista asystentka Melanie Dupre, której imienia Tim jakoś nigdy nie mógł zapamiętać.

Kolejny rumor zabrzmiał tak, jakby przewróciła się wieża pełna kompaktów. Tim skrzywił się lekko, zastanawiając się, czy polisa ubezpieczeniowa wytwórni pokryje straty, czy może wreszcie dadzą pannie Dupre nauczkę i potrąca koszty napraw z jej gaży.

- To przez ten numer z ucieczką i ślubem? - zapytał asystentkę. - No wiesz, Greta i Bruno?

- Nie sądzę - odparła dziewczyna. Jak większość osobistych asystentek była jakąś daleką krewną aktorki, nawet trochę podobną. Niestety, jej ładne skądinąd rysy szpecił uporczywy trądzik. Czemu Melanie nie skieruje kuzynki do swojego dermatologa? Przecież miała jednego z najlepszych w Los Angeles. Tim to wiedział, bo kontrakt Melanie przewidywał, że studio zapłaci za jej zabiegi złuszczenia naskórka przeprowadzone podczas kręcenia zdjęć.

- Wydaje mi się - asystentka ściszyła głos, jakby sprawczyni tego całego zamieszania mogła cokolwiek usłyszeć - że pan Townsend, no, wie pan... chyba z nią zerwał wczoraj wieczorem.

Tim pokiwał głową. Oczywiście. Można się było domyślać. Aktorom często się zdarzało mylić scenariusze z prawdziwym życiem i prawie nigdy nie kończyło się to dobrze. Związek rozlatywał się jeszcze w trakcie zdjęć i sytuacja na planie robiła się... No cóż, niezręczna. Tim miał już sporo doświadczenia w podobnych sprawach, powinien był to przewidzieć.

Najwyraźniej nie dało się tego samego powiedzieć o Jacku Townsencie i Melanie Dupre.

Dlaczego on? Naprawdę... Dlaczego teraz? Czemu u licha Greta Woolston i Bruno di Blase ze wszystkich wieczorów wybrali właśnie wczorajszy? Bo z pewnością to ten nieszczęsny ślub wytrącił Jacka z równowagi i skłonił do przeorganizowania priorytetów.

I dlaczego jemu, Timowi, ze wszystkich możliwych filmów zachciało się zrobić właśnie ten? Dlaczego nie zdecydował się na miłą małą przygodę z kinem niezależnym?

Jackowi Townsendowi przecież nieźle się udało, prawda?

- Mel? - Tim ostro zapukał w drzwi przyczepy. - Mel, to ja, Tim. Tim Lord. Mogę wejść?

Zanim raczyła odpowiedzieć, nadbiegł Paul Thompkins, jeden z asystentów reżysera. Spod bejsbolowej czapeczki z napisem *Gliniarz zabójca 2* wystawały mu żywo czerwone z zimna uszy. W tej chwili w okolicy panowało całkiem łagodne minus siedem. W ciągu najbliższej godziny temperatura miała spaść jeszcze o pięć stopni.

Ale to jeszcze nic. Wczoraj było minus dwadzieścia. Jeden z kamerzystów omal nie stracił palca wskutek odmrożeń.

Dlaczego Lou wybrała na miejsce akcji tę arktyczną scenerię? Czemu nie Hawaje? Groźnych przestępców można spotkać w każdym klimacie, prawda? Tym razem Lou trochę przesadziła z tą swoją nienawiścią do Jacka Townsenda i upodobaniem do uprzykrzania mu życia. Mimo wszystko „Potrzebna mi większa spluwa” to lepszy tekst niż „Fajnie jest, póki ktoś nie oberwie”. Wystarczyło zapytać publiczność po pokazach próbnych.

- Tim... - Paul pochylił się ku niemu. Tim Lord miał zaledwie metr sześćdziesiąt pięć, i to w kowbojskich butach na pięciocentymetrowym obcasie. Fakt ten bolał go o wiele dotkliwiej niż opinia pewnego krytyka filmowego z „New York Timesa”, że *Hindenburg* jest „zatwardzającym i masturbacyjnym gniotem wyprodukowanym przez reżysera, który mierzy zdecydowanie za wysoko jak na swoje mikre możliwości”.

- Właśnie dostałem wiadomość z Anchorage - szepnął Paul. - Helikopter z Jackiem jest już w drodze.

- Świetnie - powiedział Tim. - Świetnie. - Wziął głęboki oddech, wyprostował się na całą swoją nieznaczną wysokość i mocniej zastukał do drzwi. - Melanie? Kochanie, tu Tim. Posłuchaj, wpuść mnie do środka, dobrze? Musimy porozmawiać.

- Poza tym - ciągnął Paul tak cicho, żeby asystentka Melanie nie słyszała - mówią, że zbliża się do nas kolejny zimny front. Ten może być ostry. Spadnie jeszcze dwadzieścia centymetrów śniegu.

- Super - mruknął Tim, czując, że traci otuchę, ale nie dając tego po sobie poznać. Ani ani. W końcu zachowywanie spokoju, choćby pozornego, i panowanie nad sytuacją należą do obowiązków reżysera.

Zawołał do zamkniętych drzwi:

- Mel, kotku, Jack tu będzie lada chwila. Trzeba zacząć zdjęcia. Pamiętaj, scena w kopalni. Zbliża się śnieżycy i...

Drzwi przyczepy otworzyły się gwałtownie na całą szerokość. Melanie, w kostiumie, ale

z paskudnie rozmazanym makijażem, spiorunowała Tima wzrokiem. Nawet ona, chociaż drobnej budowy, patrzyła z góry na Tima Lorda, zdobywcę Oscara.

- Czy ty masz pojęcie - powiedziała ostro, głosem zachrypniętym od łez - co ten dupek powiedział do mnie wczoraj wieczorem? Masz pojęcie?!

Tim poczuł, że traci ostatnie resztki otuchy. Ostatnie resztki resztek. Dwa dni. Jeszcze dwa dni i miałby cały potrzebny materiał. Mógłby wracać do Los Angeles i zacząć montaż.

Niepotrzebne mu do szczęścia romansowe zawirowania między odtwórcami głównych ról. Jakby nie dość było podłej pogody, protestów rozwścieczonych obrońców zwierząt i całej reszty kłopotów.

Z przykrością uświadomił sobie, że nikt nie nazwał *Hamleta* w reżyserii Jacka Townsenda zatwardzającym i masturbacyjnym gniotem. Wprawdzie nie przyniósł ani ułamka zysków *Hindenburga*, ale recenzje miał entuzjastyczne - nawet w „New York Timesie”.

W tej chwili Tim nie potrafił sobie wyobrazić, że *Gliniarz zabójca 4* dostanie jakiegokolwiek entuzjastyczne recenzje.

- Posłuchaj Mel. - Tim zdobył się na łagodny, kojący ton. - Znasz Jacka. Robi się nerwowo przed każdym ważnym ujęciem...

- To nie ma nic wspólnego z filmem! - wrzeszczała Melanie. Na szczęście, przez ten cały leżący wkoło śnieg, głos nie niósł się zbyt daleko. Ekipa siedząca u wylotu opuszczonej kopalni raczej nic nie usłyszy. Dzięki Bogu.

- Właśnie to jest z wami nie w porządku, ludzie! - krzyczała Melanie. - Wam się wydaje, że wszystko się kręci wokół tego głupiego filmu! To nie ma nic wspólnego z *Gliniarzem zabójcą*, Tim! Chodzi oto, że Jack Townsend jest egoistycznym, manipulującym skur...

Gdzieś od strony wylotu kopalni rozległa się syrena alarmowa. Ekipa od efektów specjalnych założyła detonatory i szykowała się do próbnej eksplozji.

- ... a ja nie pozwolę się dłużej wykorzystywać! - Melanie zdołała przekrzyczeć syrenę. - I koniec, Tim. Nie będę z nim pracować. Ani sekundy dłużej. Zrozumiałeś?

Rozległ się odległy grzmot wybuchu. Teraz ekipa założy materiały wybuchowe do właściwej eksplozji. Za króciutką chwilę będą gotowi i zaczną czekać na aktorów.

- Mel, rozumiem, że przechodzisz właśnie trudne chwile. Wszyscy jesteśmy zestresowani. Przecież wiesz, zawsze tak bywa podczas ostatnich dni zdjęciowych. Ale ja cię proszę, zrozum, Jack jest w tej chwili w jeszcze trudniejszym położeniu niż my wszyscy. Widzisz, Greta...

Od razu zrozumiał, że nie powinien był wspominać nazwiska mademoiselle Woolston.

Dwa lata temu rola Mimi, głównej bohaterki *Hindenburga*, była najbardziej upragnioną rolą w Hollywood i Melanie - oprócz trzech tuzinów innych gwiazdeczek, nie wspominając już kilku gwiazd rocka i jednej prezenterki telewizyjnego show - była srodze rozczarowana, kiedy dostała się nie jej, a Grecie.

- O Boże! - krzyknęła Melanie, wykrzywając twarz. - Jak mogłeś, Tim? Jak mogłeś?

Drzwi przyczepy znów się zatrzasnęły. Tim, asystentka i Paul wymienili spojrzenia.

- Może... - odezwała się po chwili asystentka - ...może powinnam zadzwonić do jej terapeuty?

- Może powinnaś była to zrobić pół godziny temu - powiedział Tim cierpko.

Kiedy dziewczyna wycofała się z zawstydzoną miną, asystent reżysera odchrząknął. Tim spojrzał na niego zbolałym wzrokiem.

- Co jest?

- Hm... - Asystent reżysera poprawił słuchawkę umieszczoną przy mocno zaczerwienionym uchu. - Właśnie dostałem potwierdzenie, że Lou leci razem z nim. To znaczy z Townsendem.

Tim spojrzał na niego przerażony.

- Co... Co ty powiedziałeś?

- Że... yyy... - Paul zająknął się nerwowo. - Polecieli tym samym helikopterem. Lou. I Jack. Razem na małej, zamkniętej przestrzeni.

Tim złapał się rękoma za głowę.

- Mój Boże - westchnął Paul. - Przecież on się pozabijają.

Vicky Lord zatrzasnęła drzwi apartamentu hotelowego i oparła się o nie ciężko. A przynajmniej tak ciężko, jak tylko mogła, przy swojej pilnie strzeżonej wadze pięćdziesięciu kilogramów i piętnastu procentach tkanki tłuszczowej.

- Mój Boże! —westchnęła.

Lupe zaskoczona podniosła wzrok znad kolorowego czasopisma, które przerzucała, oglądając jednocześnie *The View*.

- Ci reporterzy są niezmordowani - mówiła Vicky. - Wierzyć mi się nie chce, że przebrnęłam przez hol w jednym kawałku. „Pani Lord! Pani Lord! Jakiś komentarz na temat ślubu di Blase i Woolston? Jak czuje się Jack Townsend dziś rano? Czy rozważa samobójstwo?” I jeszcze ci zajadli ekolodzy! Można by pomyśleć, że Tim chce wysadzić w powietrze kocią farmę, a nie stary, nikomu niepotrzebny szyb kopalni. - Zerknąwszy na butelkę whisky stojącą na hotelowym barku, Vicky podeszła i nalała sobie szklaneczkę. - Jeden szybki - powiedziała do Lupe, która schowała magazyn i wyłączyła telewizor. -

Potrzebuję go po tym wszystkim.

Lupe, swoim zwyczajem, nie odezwała się, ale wstała i podniosła futro, które Vicky upuściła na podłogę. Wykonane tak, że przypominało sztuczne norki, naprawdę zrobione było z prawdziwych szynszyli, ale oszukałoby nawet najbardziej aktywne obrończynie praw zwierząt uzbrojone w farbę.

- Dlaczego wróciła pani tak wcześniej, pani Lord? - spytała Lupe, ostrożnie wieszając futro w szafie. - Przez tę śnieżycę? Podawali w wiadomościach.

- Śnieżycą? - Czując, jak whisky rozchodzi się przyjemnym ciepłem po jej żołądku, prawie pustym, nie licząc omletu z białek jaj i gorącej wody z cytryną, które stanowiły jej śniadanie, Vicky podeszła do ogromnej przeszklonej ściany i spojrzała na grubą warstwę chmur. - Mój Boże. No, to dopiero będzie burza. Czy to nie cudownie? Teraz utknę tu na cały dzień z małym lordem Fauntleroyem i nawet nie uda mi się wyrwać na zakupy - westchnęła. - Jakby w ogóle coś można było kupić w tej dziurze.

Odwróciła się od okna i dodała:

- Dobra, powiedz od razu. Rzygał? Bo wiesz, co mi się robi, jak słyszę o wymiotach.

Lupe patrzyła z nieukrywaniem zdumieniem. Niewiele mogła zrozumieć z tego, co działo się w domu Lordów, ale nowa pani Lord była jak do tej pory największym zaskoczeniem. Chociaż trzeba przyznać, że jej poprzedniczka była o wiele gorsza. Bo kiedy stało się jasne, że niedługo zostanie zastąpiona nowym, młodszym modelem, zaczęła wykazywać niezdrowe zainteresowanie kulturystyką i bronią palną. Lupe nie czuła się wtedy najbezpieczniej.

- Nie wiem, o co chodzi, pani Lord... Kto miał rzygać? Vicky skrzywiła się zniecierpliwiona.

- Eliasz - odparła. - Dostałam wiadomość, że jest chory. Lupe pokręciła głową.

- Eliasz nie jest chory. Siedzi na basenie z resztą dzieci i nianią. Kiedy ostatnio sprawdzałam, bawili się w *Szczęki*.

Vicky opadła na kanapę w miejscu przed chwilą zwolnionym przez Lupe, podniosła ten sam magazyn i zaczęła go przeglądać.

- Nie przejmuj się, Lupe. - powiedziała. - Nie musisz się martwić o moje uczucia. Wszystko w porządku. Od samego początku wiedziałam, w co się ładuję, zostając ich macochą. Bardzo z nim źle? Chyba nie zaraża?

- Pani Lord... - Lupe bezradnie rozłożyła ręce. - Ja nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Eliasz jest zdrowy. Jest na dole, pływa w krytym basenie. Za godzinę mam zamówić lunch. Nic więcej nie wiem. Widziałam go przed chwilą, nic mu nie dolegało. - Dzieciak czuł

się aż za dobrze. Rzucił w nią okrętem z klocków lego. Ale Lupe była na tyle mądra, żeby się nie skarżyć. W końcu Vicky, jako macocha, niewiele mogła poradzić na zachowanie dzieci.

Vicky podniosła oczy znad pisma - najnowszego „Vogue” - i powiedziała:

- Czekaj, chwilę. Jeśli ten dzieciak jest zdrowy, to czemu Tim dostał wiadomość, że zachorował?

- Nie mam pojęcia, pani Lord. Ja nie dzwoniłam do pana Lorda. Eliasz czuje się świetnie.

Vicky przyjrzała się pokojówce.

- Więc mówisz, że niepotrzebnie odwołano mnie z lotniska i kazano wracać do hotelu?

- Musiała zajść jakaś pomyłka. - Lupe wzruszyła ramionami. - Może w hotelu coś pokręcili? Ale w sumie to nawet lepiej. Nie chciałaby pani chyba siedzieć na planie przy tej pogodzie. - Skinęła głową w stronę okna, za którym właśnie zaczynał padać śnieg. - Mogłaby pani utknąć na tej górze na całą noc.

Vicky, idąc za wzrokiem Lupe, aż sapnęła.

- Masz rację, paskudnie to wygląda. Wolę już siedzieć tutaj. - A potem, z uroczymi ściągniętymi brwiami, dodała: - Biedni Jack i Lou, lecą w taką zawieruchę. Mam nadzieję, że nic im się nie stanie.

Frank Calabrese spojrzał na listę najważniejszych telefonów, którą trzymał zawsze koło aparatu w kuchni. W ciągu czterdziestu lat służby Frank nauczył się paru rzeczy. Na przykład, nigdy nie nosić białych podkoszulków; jasny materiał wyglądający z rozchyłonego kołnierza munduru tworzył idealny cel dla bandytów.

Co prawda, nigdy w trakcie swojej służby nie został postrzelony. Ale ostrożność nie zawadzi. Poza tym czarne podkoszulki miały tę dodatkową zaletę, że nie było na nich widać śladów po kanapkach z klopsikami mięsnymi, które lubił jadać na lunch.

Ale jeszcze ważniejsze niż lata służby w nowojorskiej policji było czterdzieści lat, które Frank poświęcił wychowywaniu piątki dzieci. Niestety, przez ostatnie dziesięć lat, to znaczy odkąd jego żona Helen zmarła na raka piersi, musiał radzić sobie z rodzicielskimi obowiązkami sam, i radził sobie całkiem nieźle.

A chociaż cała piątka była już w zasadzie dorosła i niekoniecznie potrzebowała stałego nadzoru, nauczył się jednego - że praktycznie jest trzymać numery telefonów wszystkich dzieci w jednym miejscu, blisko aparatu - obok innych ważnych numerów, na przykład, pizzy na telefon czy bezpłatnej infolinii, przez którą zamawiał bilety na mecze drużyny Yankees.

Teraz wpatrywał się w listę, mrużąc krótkowzroczne oczy; uparcie odmawiał noszenia

okularów. Wkładał je tylko do czytania kryminałów, które pochłaniał w dużych ilościach, odkąd przeszedł na emeryturę. Wreszcie znalazł numer i wystukał.

Oczywiście, nie odebrała. Jak zwykle. Po co w ogóle ma komórkę, skoro i tak nigdy nie odbiera? Odezwała się poczta głosowa. Nie był pewien, czy powinien się nagrać. Gdyby żyła Helen! Ona by wiedziała, czy to wypada nagrywać się na sekretarkę, żeby pocieszyć własną córkę porzuconą przez faceta.

Wypada, nie wypada, po głębszym zastanowieniu Frank uznał, że nie obchodzi go, czy popełni nietakt, więc powiedział:

- Lou. Tu tatuś. Słuchaj, widziałem to. W gazetach. O Barrym.

Co jeszcze dodać? „Nigdy go nie lubiłem”? Nie. Próbował tego z Nickiem, kiedy on i Angie się rozstali i na czym się skończyło? Zaraz znów się zeszli, a Nick, ten idiota, powtórzył wszystko Angie i odtąd Frankowi obrywały się od sympatii najmłodszego syna wyłącznie nienawistne spojrzenia. Na szczęście, rozstali się znowu po paru miesiącach, ale do dziś pamiętał, jak mu było głupio.

Zatem nie mógł powiedzieć prawdy: że nigdy nie lubił Barry'ego Kimmela, od pierwszego dnia, kiedy Lou przyprowadziła go do domu. Nie cierpiał palanta od chwili, kiedy stanął na progu ich domu w białych spodniach i różowej - różowej! - koszuli z żabotem i gadał do Helen tym swoim głosem podrabianego Kennedy'ego. Frank nabrał wtedy ochoty, żeby zmasać mu z gęby zarozumiały uśmiezek.

Ale tego wszystkiego nie mógł powiedzieć, zdecydował się więc na nieco stonowaną wersję.

- Co ja mam ci doradzić, mała? Ten facet nie zasługuje na taką dziewczynę jak ty, to jasne. No bo facet, który wołał ożenić się z jakąś dmuchaną lalą, zamiast z moją małą dziewczynką... Posłuchaj, nic się nie martw. Wiesz, co powiedziałyby twoja matka? Że w tej rzece jest wiele ryb i... że twój statek któregoś dnia jeszcze przyplynie i... hm... On i tak nigdy do ciebie nie pasował.

Jakoś nie brzmiało to dokładnie tak jak trzeba. Ale przecież Helen powiedziała mniej więcej coś takiego, kiedy Adam rozstał się ze swoją pierwszą ważną dziewczyną, więc Frank brnął dalej.

- Taa - ciągnął. - No właśnie. Cóż, mam nadzieję, że dobrze sobie radzisz. Jeśli masz ochotę przyjechać do domu, twój pokój cały czas na ciebie czeka. No i wszyscy chłopcy się ucieszą, jak cię wreszcie zobaczą. I nie musisz się tutaj martwić o rozgłos. Wiesz, nie damy ci zapomnieć o własnych korzeniach. Oscar, nie Oscar... hej, a skoro mowa o Oscarach, wiesz, co powinnaś zrobić z tą swoją statuetką, prawda? To znaczy, Barry'emu? No cóż, może nie

powinieniem tego mówić, ale...

Przerwał i otarł dłonią twarz. Helen, pomyślał sobie, zawsze wiedziała, co powiedzieć Lou. Z chłopakami szło mu łatwiej. Można im było powiedzieć wszystko - nawet Adamowi, najwrażliwszemu z nich - a oni sobie z tym radzili. Jednak Lou zawsze była inna. „Moja genialna córka”, mawiała o niej Helen i wcale się nie myliła. Lou nigdy nie była taka jak chłopcy, i to bynajmniej nie dlatego, że jest dziewczyną. Ona po prostu... No cóż, za dokładnie wszystko analizowała. Korzystna cecha u pisarza, pomyślał, chociaż u policjanta niekoniecznie. Policjanci, którzy skrupulatnie rozkładają wszystko na czynniki pierwsze, zamiast kierować się instynktem, na ogół kończą martwi.

Na szczęście, Lou zawsze miała też całkiem niezły instynkt. No cóż, może nie wtedy, kiedy chodziło o facetów.

- A więc, kotku... - powiedział Frank do telefonu. - Zadzwoń do mnie. Martwimy się o ciebie. Chcemy mieć pewność, że... No wiesz, że wszystko u ciebie w porządku. Tylko nie zapisz się pochopnie do którejś z tych dziwacznych sekt, dobra? Dobra. No to oddzwoń.

Odłożył słuchawkę. Przesadził? Zerknął na pierwszą stronę gazety ze zdjęciem Barry'ego i tej całej Woolston, Tulili się do siebie i śmiali nad ślubnym tortem w kształcie sterowca. Niezła fanaberia, powiedziałby Adam.

Nie, pomyślał Frank. Wcale nie przesadził. O ile znał Lou, zaszyła się teraz gdzieś w górach, na odludziu, żeby dochodzić do siebie i lizać rany.

Miał tylko nadzieję, że wzięła ze sobą komórkę. W przeciwieństwie do chłopców, Lou nie była wcale taka odporna na sytuacje kryzysowe.

Lou nie wierzyła własnym oczom. To nie mogło dzieć się naprawdę. Jakby nie dość było okropnych przeżyć ostatniej doby, teraz jeszcze tkwiła uwięziona w helikopterze, dwieście metrów nad ziemią, z Jackiem Townsendem i szalonym pilotem.

Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Po prostu nie ma.

No cóż, widocznie sobie na to zasłużyła. Studio wcale nie rwałoby się do podpisania kontraktu na następny scenariusz *Gliniarza zabójcy*, gdyby nie oszałamiający sukces *Hindenburga*. A mogła przecież napisać miłą małą komediijkę romantyczną zamiast tego przekłętego triumfu ludzkiego ducha, miałyby o wiele łatwiejsze życie.

- Hej - odezwał się Jack, kiedy te jego oczy w odcieniu elektryzującego błękitu wreszcie zarejestrowały, że trzydziestka ósemka celuje mu w twarz. - Zaraz. Poczekaj chwilę.

- Naprawdę mi przykro, panie Townsend - po wtórzył jeszcze raz pilot Sam, a jego niski głos zabrzmiał w słuchawkach Lou szczerą skruchą. - Ale muszę wykonać zlecenie.

- Chyba sobie żartujesz... - W głosie Jacka, trzeba mu to oddać, nie było paniki. Zupełnie jakby wcale się nie przestraszył. Pamiętał nawet, żeby mówić do mikrofonu przy słuchawkach. - Daj spokój. Zastrzelisz mnie? W czasie lotu?

Sam ze smutkiem pokiwał głową.

- I wypchnę pana - powiedział. - Teraz sam pan rozumie, że nie mogliśmy lecieć cessań.

- Ale... dlaczego?

Lou nie wiedziała, czy Jack gra na zwłokę, czy rzeczywiście chce wiedzieć. Cokolwiek nim kierowało, w jego głosie nie było zwykłego sarkazmu, tylko najzwyklejsze zdziwienie.

Sam wzruszył szerokimi ramionami.

- Już panu mówiłem - powiedział. - Dostałem zlecenie. Jeśli go nie wypełnię, nie zapłacą mi. A ja naprawdę potrzebuję kasy, panie Townsend. Mam trochę długów. A teraz, jeśli mógłby pan po prostu...

Lou z mocno bijącym sercem i kompletną suchością w ustach, zdołała jednak rozpiąć pas bezpieczeństwa i pochylić się naprzód. Przypomniała sobie wszystkie te historie o pacyfikowaniu uzbrojonych szaleńców, które tata opowiadał przy obiedzie, i odezwała się głosem - miała nadzieję - spokojnym i pewnym:

- Sam, to śmieszne. Nie możesz zastrzelić Jacka Townsenda. Co powiedzą wszyscy, kiedy pojawimy się na planie bez niego?

Sam zerknął na nią przepaszająco.

- Nie lecimy na plan, proszę pani. Widzi pani, mam się pozbyć pana Townsenda, a potem lecieć do... tego nie musicie wiedzieć. Ale tam będzie czekała na mnie wypłata. A potem odchodzę na emeryturę, rozumie pani?

Lou przełknęła ślinę. Zdawało jej się, że w ustach ma pełno piasku. *Powrót mumii*, 2001. W tamtym filmie latało mnóstwo piasku.

- A co ze mną? - wykrztusiła.

Chociaż następne słowa nie stanowiły niespodzianki, i tak zrobiło jej się zimno, jeszcze bardziej niż do tej pory.

- Pani nie miała z nami lecieć. Nie potrzebujemy żadnych świadków.

Nie. Oczywiście, że nie. To dlatego Vicky odwołano w ostatniej chwili, prawda? Ale najwyraźniej zapomnieli o Lou - kimkolwiek byli ci, którzy zlecili zabójstwo Jacka Townsenda.

No cóż, trudno się dziwić. Była w końcu tylko scenarzystką, a wiadomo, jak łatwo zastąpić scenarzystę. W Ameryce nie ma bodaj jednego ekspedienta w Starbucks, który nie ukrywałby w szufladzie przynajmniej jednego scenariusza filmowego.

- Posłuchaj... - zaczął Jack, a Lou rozpoznała ten przyjazny, rozsądny ton, którego używał, kiedy jako detektyw Pete Logan negocjował uwolnienie zakładników. - Hm... Sam, tak? Posłuchaj, Sam. Jestem pewien, że osoba, która postanowiła skorzystać z twoich usług, oferuje ci sporą sumę za moją śmierć. Ale ja jestem całkiem zamożnym facetem. Co byś powiedział na to, że ja podwoję ci wypłatę, a ty darujesz mi życie?

Lou omal nie zerwała się z miejsca. To był tekst wyjęty żywcem z *Gliniarza zabójcy 2*, scenariusza przez nią samą napisanego. A Jack miał dość przytomności umysłu, żeby go sobie przypomnieć i odpowiednio zastosować w sytuacji zagrożenia. Jej nigdy się to nie udawało... To znaczy, wykorzystać doświadczeń swoich fikcyjnych charakterów w realnym życiu. Z doświadczeń postaci opisywanych przez innych potrafiła korzystać bez problemu, ale nie z wytworów własnej wyobraźni.

Pilot potrząsnął głową tak energicznie, że zafalował mu podwójny podbródek.

- Musi mnie pan uważać za kompletnego durnia - powiedział bez śladu pretensji. W głosie miał... no cóż, smutek. - Wiem, że potem pan mnie po prostu wyda - ciągnął. - To się może skończyć tylko w jeden sposób. I myślę, że pan wie, w jaki.

Lou siedziała bez ruchu, sparaliżowana strachem, i patrzyła jak zahipnotyzowana. Pilot nonszalancko celował z rewolweru prosto w serce Jacka Townsenda. Nagle coś innego przyciągnęło jej wzrok. Jack. On też się wpatrywał... Ale nie w swojego przyszłego zabójcę...

Nie, Jack gapił się na nią.

I po raz pierwszy w ciągu sześcioletniej znajomości Lou poczuła, że Jack naprawdę ją dostrzega tym swoim przenikliwym wzrokiem... Że widzi w niej coś więcej niż tylko zwariowaną scenarzystkę, która nie pozwala mu zmieniać kwestii... że naprawdę ją widzi i w pewien sposób, którego nie umiała określić, przynaglają...

No tak, żeby coś zrobiła. Tylko co? Co ona może zrobić? Założyć facetowi nelsona? O, jasne, to by na pewno podziałało.

- O Boże! - zawołał nagle Jack i ku jej przerażeniu położył głowę na oparciu fotela. - O Boże, to po prostu niemożliwe!

Lou, zaskoczona, przez jakąś sekundę czy dwie zastanawiała się, co on właściwie wyprawia. Jack był upierdliwy, co do tego nie miała wątpliwości, ale tchórzem nie był na pewno. Wykonał nawet ten numer, który wymyśliła do *Gliniarza zabójcy 2*, ten z węgorzami i mieszarką do cementu...

A potem nagle zrozumiała. Pojęła, co robi Jack. Akt drugi, scena piąta *Gliniarza zabójcy 3*. Czy to możliwe, że Sam nigdy nie widział tego filmu? Jeśli tak, to był chyba jedynym facetem w swojej grupie demograficznej - pomiędzy czterdziestym piątym i sześćdziesiątym rokiem życia, mieszkaniem północno - zachodniej części Stanów Zjednoczonych - który go nie obejrzał.

Ale Sam najwyraźniej nie znał tego filmu, bo zaskoczony wyjąkał:

- Zaraz, panie Townsend. Niech pan się uspokoi...

- Na miłość boską, człowieku! - zawołał Jack i wyciągniętą ręką chwycił pilota za ramię. - Nie rób tego. Nie marnuj sobie życia! Odtąd będziesz żył jako zbrodniarz, napiętnowany, ścigany... Zawsze już będziesz uciekał.

- Hej, zaczekaj chwilę - wyjąkał Sam. - Weź sobie na wstrzymanie...

Lou tymczasem rzuciła się na podłogę, tak jak się rzucał nierozgarnięty partner Pete'a Logana, Dan Gardner, ilekroć Logan zaczynał swoje teatralne sztuczki. Lou nie miała pojęcia, czego właściwie szuka na podłodze helikoptera, wiedziała tylko, że jeśli ma coś znaleźć - coś, czego da się użyć jako prowizorycznej broni - znajdzie to pod siedzeniami. Choćby dlatego, że w ciasnym R - 44 nie było innego miejsca do przechowywania różnych rzeczy.

Pod swoim fotelem zauważyła skrzynkę z napisem „Zestaw awaryjny”. No cóż, sytuacja bez wątpienia była awaryjna. Kuląc się i ciągnąc skrzynkę, modliła się, żeby Jack zajął czymś tego człowieka, kiedy ona będzie przeszukiwać zawartość.

- Co to za życie? - pytał retorycznie Jack. - Ciągłe oglądanie się za siebie i strach, że dosięgnie cię wreszcie karząca ręka sprawiedliwości...

- W Meksyku mnie nie dosięgnie - odparł Sam. - I na pewno nie będę oglądać się za siebie, kiedy już się znajdę na jednej z tych białych plaż...

- Zastanów się jeszcze, Sam - radził Jack. - Domyślasz się chyba, że dojdzie do ekstradycji, kiedy cię znajdą? Jestem aktorem światowej sławy. I cały świat będzie oplakiwał moją śmierć i wołał o pomstę.

Słyszając to, Lou aż przewróciła oczami.

- Ale oni mnie nie złapią - powiedział Sam ostro. - Bo już będę w Meksyku.

Zerwawszy wreszcie wieko skrzynki, Lou cicho zmówiła dziękczynną modlitwę. Znalazła dokładnie to, czego szukała. Po ostrożnym załadowaniu i odblokowaniu - broń była zadziwiająco ciężka - wymierzyła ją w tył głowy Sama i krzyknęła:

- Nie ruszaj się, bydlaku! - Zupełnie jak Rebecca w *Gliniarzu zabójcy 3*.

Jednak Sam nie tylko nie zastygł w bezruchu, ale spokojnie ciągnął dalej:

- Słuchaj, zrozum, nie czuję dumy z tego, co robię, ale człowiek musi jakoś żyć... - Dopiero po chwili Lou pojęła swój błąd.

- Sam... - powiedziała, tym razem do mikrofonu, i przyłożyła lufę raketnicy do jego skroni - Oddaj rewolwer. Natychmiast.

Jack, zauważyła, spojrział na nią krótko i poszarzał na twarzy. No cóż, a czego się spodziewał? Nie miała zbyt dużego wyboru. Albo raketnica, albo nic, dzięki wielkie.

- C - co? - Sam zrobił zdziwioną minę. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do tego, żeby ktoś celował mu w skroń z raketnicy. - Co pani robi?

- Jeśli nie oddasz broni, wsadzę ci raketę w sam środek mózgu — poinformowała go Lou głosem chyba odpowiednio stanowczym - zupełnie jak Brudny Harry w *Strażniku prawa*.

Sam odwrócił się i spojrział na nią z miną pełną oburzenia.

- Nie zastrzeli mnie pani - powiedział, jakby stwierdzał oczywisty fakt.

- Owszem, zastrzelę - zapewniła go Lou. - Zastrzelę bez wahania. Zobaczysz, że zastrzelę.

O, do diabła, zaklęła w duchu i skrzywiła się. Trzy razy. Kiedy ktoś coś powtarza trzy razy z rzędu, to na pewno kłamie, tak zawsze mawiał jej tata. Ale może Sam, który wyraźnie działał po przeciwnej stronie prawa niż Frank Calabrese, nigdy o tym nie słyszał...

A może i słyszał. Nadal się w nią wpatrywał. Jego oczy, nie mogła tego nie zauważyć, były niebieskie jak oczy Jacka Townsenda. Ale oczy Sama miały inny odcień błękitu - bledszy, podrzędny błękit, pozbawiony tej ciemnej obwódki wokół tęczówki, obwódki, która sprawiła, że ponury doktor Rourke z *Izby przyjęć* stał się ulubieńcem milionów.

- Nie zastrzelisz mnie - powtórzył Sam cierpliwie, jakby mówił do dziecka. - Nikogo

nie zastrzelisz. Nie jesteś taka.

Lou zamrugała oczami. Miał rację, oczywiście. Nie zastrzeli go... Ani nikogo innego, na dobrą sprawę. Jej ojciec przez czterdzieści lat był nowojorskim policjantem, a nigdy do nikogo nie strzelił. Wszyscy jej czterej bracia pracowali w różnych agencjach zajmujących się egzekwowaniem prawa, a żaden z nich nigdy do nikogo nie strzelił. Och, nie raz sięgali po broń, ale żaden z nich nigdy nie musiał pociągnąć za cyngiel...

Poza Nickiem. Musiał raz strzelić do rottweilerki, która nie chciała dopuścić lekarzy pogotowia do swojej rannej pani. Ale Nick użył wtedy gumowej kuli, a rottweilerka prędko wróciła do zdrowia, choć ewidentnie nie cieszyła się z wizyt, które Nick składał jej w klinice dla zwierząt.

Lou nie opuściła broni, ale odrobinę rozluźniła chwyt.

- No dobra - powiedziała głosem, który nawet w jej własnych uszach brzmiał teraz bardziej jak głos Sally Field niż jak głos Eastwooda, niestety. - No dobra, może ci nie strzełę w łeb, ale na pewno zdołam strzelić ci w nogę, a to będzie bolało... Sam pokręcił głową.

- Kochana, strzel do mnie, a ta maszyna runie w dół, rozumiesz? Jak kamień.

O Boże, o tym nie pomyślała! Mimo woli jeszcze bardziej rozluźniła chwyt.

- Nie wydaje mi się - powiedział Jack swoim niskim, spokojnym głosem. Lou nie była jedyną osobą, która spojrzała na niego zaskoczona. Sam też szeroko otworzył usta. Oboje na chwilę zapomnieli, że jest w kabinie jeszcze ktoś trzeci, tak zaabsorbowała ich ta wymiana zdań.

- Widzicie, ja już pilotowałem kiedyś R - 44 - ciągnął Jack tonem uprzejmej rozmowy.

- Naprawdę? - zdziwiła się Lou.

- Jasne. - Jack wzruszył ramionami. - W *Czasie szpiega* Bergera. Może pamiętasz? Sześćdziesiąt pięć milionów zysków w kraju w ciągu pierwszego tygodnia od premiery.

Lou omal nie upuściła raketnicy. Po pierwsze, Jeffrey Berger—który wykazał się nieprawdopodobną bezczelnością i odrzucił *Hindenburga*, kiedy agent Lou wysłał mu wstępną wersję scenariusza - nigdy nie pozwalał aktorom, żeby wykonywali sceny kaskaderskie, a już na pewno nie takie jak pilotowanie ciężkiej maszyny typu R - 44, a po drugie, *Czas szpiega* nigdy nawet nie zbliżył się do tego pułapu zysków, a co dopiero w pierwszym tygodniu wyświetlania.

Ale spojrzenie Jacka przypomniało jej, że trzeba się skoncentrować na bieżącym problemie, więc energicznie przycisnęła lufę raketnicy do skroni pilota.

- Okej - powiedziała. - Widzisz? Poradzimy sobie bez ciebie śpiewająco. Rzuć broń.

Sam, który najwyraźniej nie miał pojęcia ani o konserwatywnych metodach

reżyserskich Jeffreya Bergera, ani o żałośnie niskich dochodach *Czasu szpiega*, westchnął i, ku zdumieniu Lou, oddał trzydziestkę ósemkę Jackowi.

Najwyraźniej pamiętając o wszystkim, czego się nauczył na planie *Gliniarza zabójcy*, Jack ujął rewolwer obiema dłońmi, trzymając palce wskazujące tak, żeby nie nacisnąć spustu przypadkiem, zanim to nie będzie konieczne.

- Dobra - powiedział spokojnie, ale jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy bajerował pilota. Teraz brzmiał złowieszczo spokojnie. Śmiertelnie spokojnie. Brzmiał tak spokojnie, że Lou zrobiło się zimno.

Ale może było jej zimno tylko dlatego, że wciąż lecieli przez arktyczną okolicę ze sporą prędkością i kilkoma sztukami odbezpieczonej broni na pokładzie.

- A teraz - wycedził Jack - zawróć tego ptaszka.

Lou cieszyła się, że nie musi patrzeć w lufę magnum. Ani w błękitne oczy Jacka, które stały się tak lodowate jak pokład helikoptera. Jeżeli on kiedykolwiek spojrzal tak na Gretę, to Lou rozumiała, że kobieta mogła zwać do Barry'ego, którego najgroźniejsze nawet spojrzenie nie zdołałoby przestraszyć przedszkolaka.

Sam najwyraźniej podzielał jej opinię, bo jęknął cicho:

- O mój Boże! Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem?

- Nie martw się o to - odparł Jack. - Pilotuj helikopter.

- Oni mnie zabiją - jęczał Sam coraz wyższym głosem. - Jeśli się pokażę w Myrze, oni mnie zabiją, nie rozumiesz?

- Pilotuj helikopter i milcz - powtórzył Jack.

A wtedy Lou przez szeroką szybę helikoptera dostrzegła coś, co wyrwało jej z gardła głośny okrzyk. Niestety, w szoku zapomniała o mikrofonie, więc nikt jej nie usłyszał.

- Ty tylko pilotuj helikopter - mówił Jack uspokajającym tonem. - Ładnie i równiutko. Ja się już za tobą wstawię...

- Gęsi! - wrzasnęła Lou, tym razem prosto w mikrofon. Ale było już za późno. Lecieli tak nisko, pewnie z powodu załamania nerwowego pilota, że znaleźli się w samym środku stada gęsi.

Jeden z ptaków rozbił się o okno, nastąpiła istna eksplozja krwi i piór, a siła uderzenia wystarczyła, żeby Lou poleciała naprzód, na oparcie fotela pilota. Walnęła głową o metalową krawędź, zobaczyła wszystkie gwiazdy i wypuściła z rąk raketnicę.

A ta upadła z brzękiem na pokład i natychmiast wypaliła, dzięki czemu Lou zobaczyła drugi, kompletnie nowy zestaw gwiazd.

W powodzi iskier i dymu zdążyła tylko pomyśleć: klucz. Nie stado. Wpadli w klucz

gęsi. Klucz gęsi, a stado... mew!

- Uwaga! - Usłyszała krzyk Jacka. Nie musiał mówić do mikrofonu. Wrzasnął tak głośno, że usłyszała jego głos poprzez ciężkie umf - umf - umf łopat wirnika nad ich głowami i syk rakiety, która odbijała się od ściany do ściany, aż wylądowała z okropnym wybuchem płomieni wprost na desce rozdzielczej.

- O Jezu! - Sam wrzasnął i wyciągnął ręce, zasłaniając twarz przed kaskadą iskier. - O Jezu!

Stado mew. Lou, którą z powrotem rzuciło na tylne siedzenie, miała czas pomyśleć tylko tyle. Barry zawsze uwielbiał ten zespół, miał wszystkie ich kompakty, całe pudło. To samo, które trzymał w rękach tego dnia, kiedy ją oskarżył, że zrobiła się strasznie cyniczna. Kompakty *Stada mew*. I muzyka na fletnię Pana. Barry zawsze miał bzika na punkcie fletni Pana.

Przed nią wyrosła twarz Jacka Townsenda, otoczona dymem i płomieniami.

- Zapnij pas! - wrzasnął.

Lou zrobiła, co kazał, ale nie mogła się powstrzymać przed myślą, że doprawdy Jack Townsend jest okropnym zarozumialcem. Co on sobie niby wyobraża? Że jest gwiazdą filmową, czy co?

Ta myśl rozbawiła ją ogromnie. A przynajmniej bawiła ją, dopóki przez dym, który coraz szczelniej zappełniał kabinę, nie dostrzegła, że coś się do nich bardzo prędko zbliża. Strach ścisnął ją za gardło.

Bo tym czymś była ziemia.

6

A wtedy otoczyły ją mewy. Białe mewy, których puszyste piórka otuliły ją ze wszystkich stron, niczym anielskie skrzydła. „

Tylko że to nie były anielskie skrzydła. Bo anioły to podobno łagodne, niebiańskie istoty.

A tymczasem te anioły na niej siedziały. Dusiły ją. Sprawiały jej ból. Parzyły.

Lou otworzyła oczy.

Leżała na śniegu. Parzył ją śnieg, a nie ptasie pióra... Właściwie nie tyle ją parzył, co niespecjalnie wygodnie się na nim leżało. Głowa ją bolała. Bardzo bolała. Takiego bólu nie zaznała nawet po tej nocy, kiedy Barry zabrał wszystkie swoje kompakty i odszedł, a ona, nie mając wielkiego doświadczenia w nadużywaniu alkoholu, opróżniła całą butelkę irish cream, zagryzając likier fistaszkami w karmelu, które sprzedał jej dzieciak z sąsiedztwa, prowadzący zbiórkę pieniędzy na szkolną orkiestrę.

Mrużąc oczy przed boleśnie ostrym blaskiem śniegu i niezmierzonej połaci białego alaskaskiego nieba, uniosła się na łokciach...

I natychmiast tego pożałowała. Nie ze względu na ból, który przeszył jej czaszkę - chociaż był rozdzierający - ale dlatego, że kilkanaście metrów dalej, z nosem głęboko wbitym w śnieg i przekrzywionym śmigłem, leżał dymiący wrak helikoptera.

Sapnęła i zaczęła z trudem wstawać na nogi. Później nigdy nie była pewna, co właściwie chciała wtedy zrobić. Tę odrobinę wiedzy na temat udzielania pierwszej pomocy, którą dysponowała, zaczerpnęła z *Izby przyjęć*. Nigdy nawet nie należała do skautów, co dopiero mówić o kursach ratownictwa. Niemniej jedna! widziała, jak doktor Paul Rourke wykonywał sztuczne oddychanie dziesiątkom nieprzytomnych ofiar wypadków - najbardziej zapadł jej w pamięć pierwszy odcinek piątej serii, ten z dachowaniem autobusu pełnego uczniów szkoły średniej - i była przekonana, że potrafi to zrobić równie dobrze, jeśli nie lepiej.

Powstrzymała jednak pierwszy odruch niesienia pomocy towarzyszom niedoli nie tylko ze względu na nagły silniejszy ból w czaszce oraz fakt, że od raptownego ruchu zrobiło jej się ciemno przed oczami. Nie, miała z tym coś wspólnego ręka, która żelaznym uściskiem chwyciła ją niespodziewanie za nadgarstek.

Odrywając oczy od pogiętego wraku helikoptera, Lou napotkała wzrok właściciela ręki. Błękitne, zimne jak lód, nieustępliwe spojrzenie Jacka Townsenda. Oczy, dla których reżyserzy w całym Hollywood gotowi byli wyłożyć piętnaście milionów dolarów od filmu.

A więc jednak nie leżał wśród całego tego dymiącego, zgruchotanego żelastwa. Zdaje się, że nie będzie musiała wyciągać go nieprzytomnego z wraku. W gruncie rzeczy zaczynała jej powoli świtać, że miała tu miejsce odwrotna sytuacja - że to on chyba uratował ją.

Musiała przyznać przed sobą, że trochę się tym w głębi ducha zmartwiła. Czy naprawdę będzie teraz musiała zawdzięczać życie człowiekowi, który nie tylko okrutnie porzucił jedną z jej najbliższych przyjaciółek, ale na dodatek z durnej odzywki: „Potrzebna mi większa spluwa” zrobił kultowe hasło, powtarzane w każdym domu?

- A ty dokąd się wybierasz? - spytał Jack.

Jego głos - ten głęboki, spokojny głos, niemal zawsze zabarwiony sarkazmem, który również należał do pakietu cech wartych piętnaście milionów dolarów od filmu - wydał się Lou dziwnie przytłumiony. Wtedy zauważyła, że pada śnieg. Niezbyt gęsty, padał jednak bez przerwy. Płatki osiadały na włosach Jacka Townsenda, już i tak przyprószonych bielą ku rozpaczy fryzjerów całego Los Angeles. Lou zauważyła, że kiedy pada śnieg, wszystkie dźwięki są przytłumione. Nawet głosy zawodowych aktorów po studiach w Szkole Teatralnej Yale.

Lou niepewnym gestem wskazała dymiące resztki helikoptera.

- Czy on... Czy on...?

- Jeszcze nie. Jest tam. - Jack wskazał ręką kłęb kraciastej flaneli leżący o kilka metrów od nich, pod wysoką, przysypaną śniegiem sosną. - Żyje. Niestety. - I dopiero wtedy puścił jej nadgarstek.

Lou osunęła się ciężko z powrotem na śnieg. Ups. Chyba nie powinna była wstawać tak szybko. Upadła jak pozbawiony sznurków Pinokio, zanim jeszcze stał się prawdziwym chłopcem. I prawdopodobnie, pomyślała sobie, z równym wdziękiem.

Jack spojrzał na nią z góry.

- Hej - powiedział głosem, w którym zwykłą ironię zastąpiło coś, czego skołowana Lou omal nie wzięła za troskę. - Dobrze się czujesz?

- Och - westchnęła Lou, ocierając łzy, które nagle, zupełnie niespodziewanie, zakręciły jej się w oczach. - Jasne. Jasne. Nic mi nie jest.

Nie była pewna, co ją deprimowało bardziej - fakt, że utknęła na pustkowiu z Jackiem Townsendem, czy to, że się przy nim rozplakała.

- Czuję się rewelacyjnie. Przywykłam, że mierzą we mnie z rewolweru najemni mordercy, a helikoptery rozbijają się wśród drzew, w środku zamrożonej tundry. To dla mnie normalka.

- To nie tundra - poinformował ją, odzyskując swój zwykły ironiczny ton. - Jesteśmy

w górach. Tundra jest płaska.

- Nieważne - powiedziała Lou. W głowie jej się nie mieściło, że to wszystko dzieje się naprawdę. Po prostu nie mogła uwierzyć. - Tylko że... - Spojrzała na nieprzytomnego Sama. - Jest ciężko ranny?

Jack wzruszył ramionami.

- Uderzył się w głowę, nic więcej nie widzę. Guza ma trochę mniejszego niż twój, ale i tak imponującego.

Lou obronnym gestem obmacała sobie czoło. No tak. Znalazła. Guz rozmiarów jajka, tuż poniżej linii włosów. Och, jak uroczo. Ale oczywiście nic a nic jej nie obchodziło, czy będzie się dobrze prezentować w oczach Jacka Townsenda.

- I to wszystko? - zapytała, badając palcami zarys guza, ale patrząc w stronę pilota. - Nie masz zamiaru... Sama nie wiem. Ocucić go?

- Hej! - Jack, szeroko rozłożył ręce. Zauważyła, że włożył skórzane rękawiczki. - Nie jestem prawdziwym lekarzem. Tylko grałem lekarza w telewizji.

- Wiesz, o co mi chodzi. Czy nie powinniśmy... Jakoś mu pomóc?

- A czemu? - spytał Jack. Głos wart piętnaście milionów dolarów nagle stwardniał. - Miał zamiar nas zabić, pamiętasz?

- Najwyraźniej nie jest ci wszystko jedno - odparła dość szorstko - inaczej nie odciągnąłbyś go w bezpieczne miejsce, prawda?

- Cóż... - powiedział Jack, znów wzruszając ramionami, tyle że tym razem nieco niepewnie. - No, nie mogłem go tak spokojnie zostawić na śmierć. Facet ma przecież dzieci.

- Dzieci? - Lou przyswajała z coraz większym trudem. Czy to możliwe, że siedzi na śniegu i prowadzi tę rozmowę z Jackiem Townsendem? Czy naprawdę przeżyli katastrofę helikoptera na pustkowiu Alaski? A może to *Bizarro World*, rzeczywistość równoległa, jak w *Supermanie*? Tak, to chyba na pewno *Bizarro World*. - Jakie dzieci? Skąd wiesz, że ma dzieci?

Och tak, *Bizarro World* bez wątplenia. W świecie rzeczywistym Jack Townsend nie siedziałby obok niej na śniegu, nie wyciągałby, jak teraz, taniego czarnego skózanego portfela z kieszeni swojej kurtki i nie otwierałby go. Z portfela wysunęło się kilka szkolnych fotografii w plastikowej ramce.

- Ma czwórkę - poinformował ją. - Wiem, byłem tak samo zaskoczony jak ty. Nie wydawał mi się szczególnie ojcowski.

Wszystkim dzieciom, zauważyła Lou, przydałaby się intensywna opieka ortodontyczna. Nic dziwnego, że facet potrzebował pieniędzy...

Potem oderwała wzrok od portfela i spojrzała Oskarżycielsko w twarz Jacka Townsenda.

- Przeszukałeś kieszenie nieprzytomnego człowieka? - zapytała.

Jack po raz trzeci wzruszył ramionami i zaczął chować fotografie z powrotem do portfela.

- Przeszukałem - powiedział. - Ktoś mu zapłacił za zabicie mnie. Myślałem, że znajdę tam jakąś wskazówkę, kto to był.

Lou niepewnie przeniosła spojrzenie na portfel i z powrotem. Wreszcie, kiedy nie dodał nic więcej, spytała:

- I znalazłeś?

- Nie. - Jack wsunął portfel do swojej kieszeni. Lou przez chwilę obserwowała jego profil.

- Nie wiedziałeś, że ma dzieci - powiedziała sucho - dopóki go nie wyciągnąłeś z wraku.

- No cóż, chyba masz rację - przyznał Jack z widoczną niechęcią.

Zadziwiająco. Facet jednak miał serce. Jeśli uda jej się przeżyć tę całą awanturę, będzie musiała przeprosić Vicky za to, że miała w tej sprawie wątpliwości.

Jeśli wyjdzie z tego cało. Lou stopniowo uświadomiła sobie grozę sytuacji i zaczęła wątpić, czy przetrwają najbliższe popołudnie. Gdziekolwiek spojrzała, widziała tylko dym, śnieg, drzewa i wznoszące się wysoko zbocza góry, na której się rozbili.

Mój Boże, pomyślała. To zupełnie jak w *Tylko ja przetrwałam*, tym filmie z 1978 roku, o kobiecie, która ocalała z katastrofy samolotu... chyba gdzieś w Sierra Madre. Musiała zejść z gór i całymi dniami błądziła, szukając budki telefonicznej, żeby zadzwonić do swoich bliskich i dać im znać, że nic jej nie jest... Lou, tknięta nagłą myślą, sięgnęła do kieszeni kurtki i wyciągnęła komórkę.

- Daruj sobie. - Dobiegł ją złośliwy głos Jacka. - Już próbowałem. W okolicy nie ma żadnych przekaźników.

Lou potrząsnęła głową, patrząc gniewnie na mały wyświetlacz.

- Siedemdziesiąt dolców miesięcznie płacę za ten kawałek badziewia - powiedziała. - Siedemdziesiąt dolców. I czy śmieć raczy przynajmniej działać? Guzik. Jedziesz przez jakiś kanion... Zero sygnału. Rozbijasz się na Alasce. Nic. Nawet nie mogę odsłuchać wiadomości - dodała po kilkakrotnym naciśnięciu klawisza poczty głosowej.

- O co się założysz, że jest tam wiadomość od kogoś, kto w ostatniej chwili chciał cię przekonać, żebyś jednak nie leciała dziś do Myry?

Spojrzała na niego. Śnieg zaczynał gęstnieć, przyprószając łagodnie jego szerokie ramiona okryte skórzaną kurtką. Zastanowiła się, czy mu nie zimno. Ona marzła, a miała na sobie ocieplaną puchem narciarską kurtkę. On miał tylko podniszczoną brązową skórzaną kurtkę. Z tego co widziała, bez podpinki.

No tak, a po co miał brać ciepłą kurtkę? Zwykle tylko przechodził z samolotu do limuzyny, a z limuzyny do ogrzewanej przyczepy na planie. To ona musiała godzinami sterczeć na zimnie, odmrażać sobie palce i mozolnie przekonywać Tima Lorda, żeby zrezygnował z wywoływania prawdziwej katastrofy ekologicznej.

A potem do niej dotarło.

- Chcesz powiedzieć, tak jak Vicky z Eliaszem, który podobno zachorował? — powiedziała.

- Dokładnie. - Przyjrzał jej się uważnie, z wyrazem lekkiego rozbawienia.

- Więc gdybym tylko sprawdziła wiadomości, zanim wsiadłam do tego głupiego helikoptera...

- Siedziałabyś teraz bezpiecznie w Anchorage - dokończył. Lou spojrzała na dymiący helikopter, na ranę, jaką wyrył w ziemi. Popatrzyła na Sama rozciągniętego na śniegu. Pilot miał nieco głupią minę. Sapał przez otwarte usta, wcale nie cicho. Nie tyle chrapał, ile raczej oddychał z trudem, ale przynajmniej oddychał. Potem spojrzała znów na Jacka, który w swojej skórzanej kurtce i dżinsach sprawiał wrażenie zupełnie opanowanego i pewnego siebie. On nie wyglądał, jakby tylek przymarzał mu do śniegu. On nie wyglądał, jakby pękała mu głowa. On nie wyglądał, jakby przerażała go myśl o utknięciu w bezkresie Alaski bez sprawnego telefonu komórkowego czy choćby skrawka suchego miejsca, na którym można by usiąść. Gdyby tylko odsłuchiwała wiadomości, w tej chwili siedziałaby sobie w hotelu razem z Vicky, czytała magazyny, zamawiała do pokoju hamburgery i lody z polewą czekoladową i oglądała coś na Lifetime. Może nawet oglądałaby sobie *Tylko ja przetrwałam*.

- Do diabła! - wybuchła. Oczy ją zapiekły - może z zimna, ale bardziej prawdopodobne, że ze względu na tę dotkliwą niesprawiedliwość losu.

- Oczywiście... - powiedział Jack bez śladu swojego zwykłego suchego, ironicznego tonu - gdybyś to zrobiła, ja bym już nie żył.

Zamrugła powiekami.

- Co takiego?

- Byłbym trupem - powtórzył Jack z taką prostotą, jakby mówił swojej osobistej asystentce, co chce zamówić na lunch. - Uratowałeś mi życie.

Lou tak się zdziwiła, że zrobiła pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy. To znaczy

— zaprzeczyła.

- Nieprawda.

- Przykro mi, że to ja musiałem ci to powiedzieć - stwierdził Jack. - Ale owszem, uratowałam.

Zmrużyła oczy, wpatrując się w niego. Żartował, czy mówił serio? Był to, oczywiście, stały problem z Jackiem Townsendem. No cóż, jeden z wielu. Poczucie humoru miał tak cierpkie, że wielu ludzi nie umiało określić, kiedy żartuje.

Więc mówił poważnie? Naprawdę uważał, że ona uratowała mu życie? Uratowała mu życie?! Nie. Nie, raczej nie. Raczej uratowała własne. Na pewno. Właśnie to zrobiła. Bo dlaczego miałyby się wysilać i ratować życie takiemu jak on egoiście niezdolnemu do przywiązania się i w ogóle do żadnych głębszych uczuć!

- A przy okazji, skąd u licha wzięłaś ten pomysł?

- Jaki pomysł? - spytała.

- Ten numer z raketnicą - wyjaśnił Jack cierpliwie, jakby mówił do niedorozwiniętej.

- Och. Raketnica. Oczywiście.

- *Skazani na szkołę* - wyjaśniła. Spojrzał na nią, zdziwiony.

- Słucham?

- *Skazani na szkołę* - powtórzyła wyraźniej. - John Hughes, 1985. Bohater grany przez Antoniego Michaela Halla zostaje zawieszony w prawach ucznia za przyniesienie raketnicy do szkoły. Miał zamiar się nią zabić, ale przypadkowo wybuchła w jego szafce. Pamiętasz? - Przyglądała się jego twarzy, szukając śladów zrozumienia. - Reżyser ten sam co w *Szesnaście świeczek*.

- Przykro mi - powiedział tak grzecznie, jakby dziękował za dokładkę na przyjęciu. - Właściwie nie oglądam zbyt wielu filmów.

Na moment Lou zapomniała, że jest niedoszłą ofiarą morderstwa i katastrofy helikoptera i zagapiła się na niego z szeroko otwartą buzią.

- Jesteś aktorem! - zawołała. - I ty mi wmawiasz, że nie oglądasz filmów?

- Choroba zawodowa - odparł Jack, wzruszając ramionami. - Magia Hollywood przestaje działać, kiedy już znasz to wszystko od kuchni.

Lou pokręciła głową. Och tak, zdecydowanie znajdowali się w tej chwili w *Bizarro World*. Bez cienia wątpliwości.

- Ale *Skazani na szkołę*... - wyjąkała. - Nie no, daj spokój. Ten film to amerykański klasyk. Zdefiniował całe pokolenie.

No to co on robił w niedzielne popołudnia, jeśli nie wylegiwał się przed telewizorem,

oglądając filmy, jak Lou?

- A może rozpalimy ognisko? - wyrwał się Jack, jakby szukał innego tematu rozmowy.

Spojrzała na niego z otwartymi ustami:

- Ognisko?

Może on też oberwał po głowie, tak samo jak ona i Sam, i teraz bredził od rzeczy. Jeszcze trochę i zacznie mieć halucynacje. Dziewczyna w *Tylko ja przetrwałam* majaczyła z głodu i pragnienia, ale zwiadywały jej się głównie parkingi pełne przyczep samochodowych i od czasu do czasu Wielki Duch amerykańskich Indian. Film byłby o niebo lepszy, gdyby jej omamy miały za przedmiot coś zabawnego albo chociaż zmysłowego, na przykład... No cóż, na przykład Jacka Townsenda bez ubrania. Lou miała szczerą nadzieję, że jeśli nadejdzie najgorsze i ona sama zacznie mieć halucynacje, będzie to coś właśnie w tym stylu... Oczywiście pod warunkiem, że Jack nigdy się o tym nie dowie.

- A to? Co to niby jest, twoim zdaniem? — Lou wskazała na płonący stos metalu kilkanaście metrów od nich. - Martwisz się, że nas nie zauważą, kiedy już zaczną szukać? Townsend, możesz być pewien, nie będą mieli najmniejszego problemu.

- Właściwie pomyślałem sobie, że przy ognisku moglibyśmy oboje usiąść dla... jakby ci to... Ciepła. Trzęsiesz się, wiesz o tym?

Oczywiście, że się trzęsła. Dygotała. Ale miała nadzieję, że on tego nie zauważy. Już i tak źle się stało, że widział ją kiedy była nieprzytomna. Nie miała ochoty okazywać przy Jacku Townsendzie najmniejszej słabości.

Nie, więc z tym ogniskiem jednak nie bredził. Westchnęła ciężko. Cóż, nie można oczekiwać zbyt wiele. Na przykład, że Jack Townsend dozna urazu czaszki i nie zapamięta nic z tego wypadku, a zwłaszcza tej sceny, w której wyciągał jej nieprzytomne ciało z płonącego helikoptera.

Bo teraz, oczywiście, była mu coś winna. I jak ma żywić zdrową i niezachwianą nienawiść do Jacka - a przecież musi ją żywić przez lojalność wobec Vicky - skoro coś mu zawdzięcza?

Z drugiej strony, gdyby naprawdę uwierzyła, że ona też uratowała mu życie, może nadal mogłaby go konsekwentnie nienawidzić...

Tak się złożyło, że właśnie kiedy to pomyślała, Jack, który już zbierał gałęzie na ognisko, pochylił się i podniósł ciężki konar. A kiedy się schylił, skórzana kurtka podjechała mu w górę na siedzeniu i Lou została wynagrodzona widokiem odzianego w dżins słynnego tyłka Jacka Townsenda. Kobiety w całej Ameryce chętnie buliły po dziesięć dolarów od

seansu, żeby zobaczyć ten tyłek na dużym ekranie.

A ona utknęła tu, na Alasce, mając go wyłącznie dla siebie.

Nie żeby miała na to ochotę. Wykluczone. Na pewno nie zamierzała popełnić znów tego błędu. Już nigdy nie wpakuje się w związek z aktorem. I co z tego, że ten akurat egzemplarz zdawał się troszczyć o jej wygodę, uratował jej życie i och, tak, wyglądał w dzinsach lepiej niż wszyscy mężczyźni, jakich Lou kiedykolwiek spotkała, razem wzięci. „Potrzebna mi większa spluwa”. Oto wystarczający powód, żeby odmówić mu rozrywki. Nie wspominając już o jej mocno poturbowanym sercu.

Poza tym, czy nie wykazał się fatalnym gustem, porzucając jej najbliższą przyjaciółkę i na odmianę wiążąc się z Gretą Woolston?

Jack wrócił z naręczem drewna. Jeśli zauważył, że jej policzki oblały się purpurą, to nic na ten temat nie wspomniał. Może pomyślał, że to od wiatru, a nie dlatego, że zaledwie parę sekund przedtem śliniła się na widok jego zadniej anatomii.

- Prawie wszystko mokre - powiedział.

Rumieniąc się tak mocno, że prawie już nie zauważała zimna, Lou spytała:

- Mokre? Co mokre?

- Drewno. - Przyjrzał jej się uważnie. - Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Absolutnie - odparła szybko. - Bo co?

- Bo wyglądasz... - przez chwilę szukał właściwego słowa - dziwnie.

Dziwnie. Super. Może dlatego, że ma twarz czerwoną jak truskawka? Taa, bardzo śmieszne.

A potem, dzięki Bogu, odwrócił wzrok.

- Wolałbym nie podchodzić za blisko - powiedział, patrząc na płonący wrak. - Kto wie, czy to w końcu nie wybuchnie. Masz zapalki?

Zrobiła wyniosłą minę, mając nadzieję, że dzięki temu on się nie domyśli, że podziwiała przed chwilą jego tyłek.

- Nie, nie mam zapalek - odparła z godnością. - Mieszkam w Los Angeles, gdzie palenie jest sprzeczne z prawem. Dlaczego miałabym mieć zapalki?

- Myślałem, że wszyscy scenarzyści palą.

- A ja myślałam, że palą wszyscy aktorzy - odgryzła się. Zamilkli. Lou słyszała jedynie cichy syk - to śnieg padał na płonący helikopter. Nawet jednego ptasiego głosu. I jak na razie żadnych samolotów ratowniczych czy helikopterów zwiadowczych. Nic nie powiedziała, bo nie chciała straszyć swojego towarzysza niedoli, ale nagle zauważyła, że śnieg zaczyna padać coraz gęściej. I jakoś tak... szybciej.

- Założę się, że nasz przyjaciel Sam pali. - Jack poderwał się na nogi. - Pójdę sprawdzić.

Tym razem to ona go zatrzymała, chwytając za połą kurtki.

- Daj spokój - powiedziała. - Zostaw faceta.

- Lou, jemu nie będzie przeszkadzało, że mu przeszukam kieszenie. Jest nieprzytomny.

- Ale to nie w porządku - sprzeciwiła się Lou. - To takie... wredne.

Nie umiała wyjaśnić dlaczego, ale robiło jej się dziwnie nieprzyjemnie na samą myśl, że Jack miałby dotknąć Sama. Postanowiła zmienić temat, żeby odwrócić jego uwagę. W przypadku Barry'ego taka taktyka zazwyczaj skutkowałą.

- Słuchaj, czy tam na lotnisku nie ma jakiejś kontrolki, która zaczyna świecić za każdym razem, kiedy jakiś samolot spada? Ktoś chyba wie, że my tu jesteśmy, prawda? Ktoś przyjdzie nam na ratunek lada moment. Lada moment. A nawet jeśli tu nie ma czarnej skrzynki czy czegoś takiego, to przecież zauważą w Myrze, że się nie pokazaliśmy na planie, prawda? Tim na pewno już gada z kimś z górskiego pogotowia ratowniczego czy czegoś takiego.

- Jasne - powiedział Jack. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy faktycznie przytaknął, żeby się nie martwiła? - Na pewno dzwoni.

- Właśnie - powiedziała z udawaną beztroską. - Przylecą tu lada moment. Więc usiądź sobie.

Jack delikatnie rozwarł palce, którymi trzymała go za kurtkę.

- Usiądę - powiedział. - Ale najpierw zdobędę jakieś zapalki, a potem rozpalę ognisko. Będzie nam ciepłej.

Zdziwiona, że nie udało jej się sprawić, żeby zapomniał o szukaniu zapalek w kieszeniach Sama, zawołała:

- Ale...

- Posłuchaj, przecież ja nie proponuję, żebyśmy go zjedli - powiedział Jack, a potem dodał ponuro: - Na razie. Mówię tylko, że nie mam zamiaru zamarznąć na śmierć, jeśli da się tego jakoś uniknąć. To się nazywa szkoła przetrwania, kotku. I lepiej się do tego dostosuj.

Popatrzyła za nim zmrużonymi oczami, kiedy szedł wśród wirującego śniegu. To się nazywa szkoła przetrwania, kotku. Lepiej się do tego dostosuj.

Nawet niezły tekst. Całkiem niezły. Trzeba to Jackowi oddać - jak na aktora, miał świetne wyczucie językowe. Może mogłaby kiedyś tę kwestię wykorzystać. Nie w tym filmie. Na to już za późno. Ale może w powieści. Tak, w powieści, tej, która na zawsze uwolni ją od

biznesu filmowego i kto wie, może pozwoli się urządzać na jakiejś przyjemnej farmie gdzieś daleko, bardzo daleko od autostrady Santa Monica...

Nagle zerwała się na równe nogi, a zaraz potem lekko zatoczyła.

- Mój laptop! - zawołała. - O Boże! Gdzie jest mój laptop?!

Jack przerwał na chwilę metodyczne przeszukiwanie kieszeni pilota.

- Nie martw się - powiedział, najwyraźniej zaskoczony jej nagłym wybuchem paniki. No cóż, czemu nie miałby być zaskoczony? Uważał ją przecież za wariatkę. Zresztą skąd miałby wiedzieć, że to takie ważne. - Leży tam.

Rzeczywiście jej laptop, w torbie, leżał ze dwa metry od niej. Wyszedł bez szwanku, tyle że zaczął go powoli przysypywać śnieg.

Rzuciła się na niego i przycisnęła czule do piersi. Serce zaczęło jej bić spokojniej, zawroty głowy ustały.

Wiedziała, że trochę się ośmiesza. W końcu to tylko komputer. Ale w nim był ten rozdział. Pierwsza rzecz, którą zdołała napisać, odkąd ten podły pies Barry odszedł, zabierając ze sobą jak jej się z początku zdawało, nie tylko jej serce, ale i twórcze zdolności.

Ale nie. Nie, wszystkiego jej nie zabrał. Ten rozdział był najlepszym dowodem. Boże, pomyślała, i Jack Townsend go ocalił. Ocalił jej pierwszy rozdział i ją samą również.

Obejrzała się na niego. Jak się wydawało, poszukiwanie zapalek szło marnie. Minę miał rozszłoszczoną i nieco zde gustowaną, kiedy przeszukiwał kolejne kieszenie Sama.

Dobry Boże. Powaga sytuacji wreszcie zaczęła do niej docierać. To nie był żaden *Bizarro World*. To był prawdziwy świat.

A ona w nim tkwiła, uwięziona na polanie w środku gęstego sosnowego lasu, na pochyłym stoku góry. Na Alasce. W samym środku pustkowia. Obok dymiącego stosu złomu, który kiedyś był helikopterem.

I padał śnieg. I było zimno. I głowa ją bolała.

A tam, wyżej, stał Jack Townsend, ostatni mężczyzna na świecie - może z wyjątkiem Barry'ego Kimmela - z którym chciałyby się zgubić na pustkowiu Alaski. Czy gdziekolwiek indziej, mówiąc szczerze. Ale cóż, komuś widocznie bardzo zależało, żeby on zginął. I tego kogoś w ogóle nie obchodziło, że zginą jeszcze jacyś inni ludzie, a konkretnie Lou Calabrese.

Świetnie. Po prostu świetnie. Tylko co ona złego zrobiła, żeby sobie na to zasłużyć? No, co?

- Nic mnie nie obchodzą te twoje śmieszne problemy, Marvin - warknęła do telefonu Beverly. - Słyszysz? Powtórzę jeszcze raz, w razie gdybyś do tej pory nie zrozumiał. Nic mnie to nie obchodzi.

Drzwi biura Beverly Tennant, do których już od paru chwil ktoś nieśmiało pukał, uchyliły się ostrożnie na parę centymetrów, i do środka zajrzała Chloe, blada i z bardzo niewyraźną miną.

- Nie, Marvin - mówiła Beverly, ręką dając znak Chloe, żeby wreszcie weszła. - Nie. W ilu językach mam ci to jeszcze powiedzieć? *Niet. Nein.* Wykluczone.

Chloe zatrzymała się przed biurkiem szefowej i zaczęła nerwowo wyłamywać sobie palce u rąk. Beverly podniosła starannie wymanikiurowany palec wskazujący, pokazując dziewczynie, że ma czekać.

- Powiedziałam fiołkoworóżowy i miałam na myśli fiołkoworóżowy, Marvin - stwierdziła Beverly. - Nie chodziło mi o fiolet ani o lawendę, ani o żaden cholerny cynober. Chcę fiołkoworóżowych. Skoro nie możesz mi znaleźć fiołkoworóżowych, Marvin, nasza współpraca dobiegła końca.

Zakrywając dłonią mikrofon słuchawki, Beverly wyjaśniła asystentce:

- Marvin, mój budowlaniec. Chyba cierpi na uwięź płatów mózgowych. Nie wiem, jakim cudem jeszcze mówi, formułuje zdania i w ogóle zachowuje pozory. Bo najwyraźniej funkcjonuje wyłącznie pod wpływem sygnałów z rdzenia kręgowego.

- Panno Tennant... - wykrztusiła Chloe. Wyglądała tak, jakby zaraz miała zwrócić lunch, czyli kurczaka kung pao na wynos, jak przypadkowo wiedziała Beverly. - Przed chwilą dzwonił Tim Lord. Usiłowałam przerwać pani i połączyć z nim, ale...

- Wiem, słonko - westchnęła Beverly. - Przepraszam, ale strasznie trudno dorwać przez telefon tego łobuza. Ty masz pojęcie, jaki kit on mi tu wciska? Zamówiłam do łazienki na dole fiołkoworóżowe kafelki, a co on mi dostarczył? On... - Przerwała i zdejmując dłoń ze słuchawki, warknęła do niej: - Och, jasne. Niech ci się dalej tak zdaje. Dobra, zobaczymy, co na to mój adwokat. Aha, nie zrobię?! No to poczekaj i sam się przekonaj, baranie...

- ... Lou Calabrese - wykrzyknęła Chloe.

Beverly spojrzała na swoją asystentkę, unosząc jedną starannie wyregulowaną brew.

- Co mówisz, słonko? Nie, to nie do ciebie, Marvin. Myślisz, że nazwę cię słonkiem, oszuście? Żądam zwrotu pieniędzy. Jeśli nie mogę dostać moich fiołkoworóżowych kafelków, to chcę z powrotem moje pieniądze...

- Helikopter rozbił się - powiedziała Chloe bezkrwistymi wargami. - Helikopter, którym leciała Lou i... Jack Townsend... rozbił się.

Beverly zamarła ze słuchawką przylepioną do ucha. Z drugiej strony dobiegał głos Marvina, który kajał się za brak odpowiednich kafelków.

- Mówią, że to wypadek — dodała Chloe. Oczywiście miała pełne łez. - Rozbili się w Parku Narodowym McKinley. Ale nie wiedzą, czy ktoś przeżył katastrofę, bo mają tam śnieżycę i nawet nie mogą wysłać samolotu, żeby poszukać... żeby poszukać... wraku - ostatnie słowo wymówiła zbolalym szeptem.

Beverly wypuściła z ręki słuchawkę.

- O mój Boże - westchnęła. - O dobry Boże.

Ze słuchawki wciąż dobiegał głos Marvina, który plótł coś o tym, że ładunek włoskich fiołkoworóżowych kafelków został zatrzymany na cle. Żadna z nich nie ruszyła się, żeby przerwać połączenie.

- Prędejsz, Richards - ponaglała Eleonora Townsend.

- Jadę tak szybko, jak prawo zezwala, proszę pani. A ściślej nie tyle prawo, ile korek - odparł kamerdyner, który chwilowo zastępował stałego szofera pani Townsend. Szofer miał akurat wolny dzień.

- Co tam prawo! Pojedź tym, no, jak to się nazywa?

- Pasem dla pojazdów uprzywilejowanych, proszę pani?

- Tak, tym pasem.

- Wolałbym nie, proszę pani - zaproponował Richards. - Nie zdoła pani pomóc paniczowi Jackowi zza kratki. Albo, uchowaj Boże, ze szpitalnego łóżka.

- Ja nie mogę się spóźnić na ten samolot, Richards - powiedziała stanowczo Eleonora.

- To dzisiaj ostatni bezpośredni lot do Anchorage.

- Nie spóźnimy się, proszę pani - odparł Richards, posuwając się o kilka centymetrów i doganiając zderzak samochodu stojącego przed nimi. - Zapewniam panią będziemy tam na czas, a nawet wcześniej.

- Oczywiście, że tak. Pod warunkiem że pojedziesz tym, no, jak to się nazywa...

- Pasem dla pojazdów uprzywilejowanych. Może gdyby udało nam się połączyć z panem Lordem, miałyby już dla nas jakieś dobre wiadomości?

- Sprytna sztuczka, Richards. - Eleonora poprawiła kołnierz futra z lisów. - Ale nie mam już nic więcej do powiedzenia panu Lordowi. Następnym razem będę z nim dyskutować wyłącznie przez prawników. Wyobraź sobie tylko, wysłać mojego syna jakimś śmigłowcem przy tak niepewnej pogodzie! Ale filmowy światek nieprędko zapomni o tym skandalu, już ja

o to zadbam.

- Jestem pewien, że paniczowi Jackowi nic się nie stało - przekonywał kamerdyner, kiedy Bentley posunął się o kolejne kilkanaście centymetrów. - Wie pani przecież, że to całkiem zaradny młody człowiek.

- Powinien był słuchać ojca - mruknęła Eleonora. - Gdyby tylko został prawnikiem, jak chciał Gilbert, zamiast ze wszystkich możliwych zawodów wybrać akurat aktorstwo...

- Panicz Jack całkiem nieźle daje sobie radę - stwierdził kamerdyner. - I bardzo mi się podobał jego ostatni film. Ta niezależna produkcja na podstawie sztuki Szekspira.

- *Hamlet*. Faktycznie był znakomity - przyznała Eleonora. - Ale doprawdy, Richards, kocham mojego syna. Kocham go. Niemniej, skoro już musiał zostać aktorem, czemu filmowym? Czego brak scenie teatralnej, wytłumacz mi? Moim zdaniem, aktorstwo teatralne to o wiele szlachetniejsze zajęcie. I w teatrze nigdy nie wymaga się od aktorów, żeby latali helikopterami.

- I na ogół - dodał Richards - nie oczekuje się, żeby rozbierali się choć w połowie tak często, jak panicz Jack w swoich co bardziej kasowych filmach.

- Tak - zgodziła się Eleonora. - I obawiam się, że wśród moich przyjaciół nie ma ani jednej osoby, która nie widziałaby mojego syna, jakim go pan Bóg stworzył. Trochę mnie to żenuje, Richards.

- Może kiedy zobaczy się pani z paniczem Jackiem, będzie pani mogła powiedzieć mu parę słów na ten temat - pocieszył ją Richards.

- Oczywiście - ciągnęła Eleonora. - Przecież to niemożliwe, żeby musiał rozbierać się w każdym filmie. Na pewno istnieją scenariusze, które nie wymagają nagości, nie sądzisz? W *Hamlecie* się nie rozbierał.

- Owszem - przytaknął Richards. - Ale ten film zarobił w kraju zaledwie jakieś dziewięć milionów brutto, zechce pani pamiętać.

Eleonora westchnęła i wyjrzała przez okno. Niewiele zobaczyła, bo nowojorski deszcz spływał po szybie gęstą zasłoną.

- Sama nie wiem. To chyba dobrze, że jest taki popularny. Wiesz, że kiedy ojciec odmówił mu pomocy, Jack uciekł do Kalifornii z dwudziestoma dolarami w kieszeni? Trzeba przyznać, sam zapracował na sukces. Ale przecież pieniądze to nie wszystko, prawda? Nie da się wycenić godności. A Gilbert solidnie zabezpieczył go na przyszłość. Nie sądzę, żeby prowadzenie tego rancza kosztowało więcej niż jakieś sto tysięcy dolarów rocznie. - Głos Eleonory załamał się niebezpiecznie. - Och, Richards. Gdyby coś miało mu się stać, co my pocniemy z tymi wszystkimi końmi?

- Proszę pani, ćśśś... - Richards wyjął chusteczkę higieniczną z pudełka leżącego na pustym siedzeniu pasażera i podał ją siedzącej z tyłu Eleonorze. - Głowa do góry, pani Townsend. Jestem pewien, że paniczowi Jackowi nic się nie stało. Nic a nic.

Dokładnie wtedy gdzieś za nimi zawyła syrena policyjnego radiowozu. Eleonora wyrzuciła zza chusteczki.

- Och, Richards! Może przed nami był jakiś wypadek i stąd ten fatalny korek!

- Niewątpliwie, proszę pani. Mam szczerą nadzieję, że nikt poważnie nie ucierpiał.

Ale kiedy mijał ich policyjny radiowóz, Richards nagle, z głośnym piskiem opon, skierował bentleya na pas zastrzeżony dla pojazdów uprzywilejowanych i ruszył jego śladem.

Eleonora, dość brutalnie ciśnięta o kremową skórę siedzenia, mocno przytrzymała Alessandra.

- Richards! - zawołała. - Co ty wyprawiasz?

- Wiozę panią na lotnisko - odparł spokojnie kamerdyner. - Żeby zdążyła pani na swój lot.

- Jezu, nie możesz szybciej? - zrzędził Adam.

- Już jadę sto czterdzieści - bronił się Nick. - Czego jeszcze chcesz? To zwykły cholerny Chevrolet.

- Hej... - odezwał się Luke z tylnego siedzenia. - Mamy chyba kogoś na ogonie. To jakiś bentley.

- Gdzie? - Nick obejrzał się za siebie.

- Na miłość boską! - Frank Calabrese trzepnął najmłodszego syna w potylicę. - Patrz na drogę!

- Właśnie - dodał Dean, wciśnięty między ojca i Luke'a. - Nas też chcesz zabić?

Zapadło milczenie, tylko syrena wyla nieustająco.

- Ale się wyrwałeś, Dean - warknął Adam z przedniego siedzenia.

- Wiesz, co miałem na myśli - odparł Dean.

- Co za takt...

- Słuchajcie no... Nie o to mi chodziło i wy to świetnie wiecie. Ja wcale nie mówię, że ona nie żyje. Mówię tylko, że...

- Twoja siostra żyje - uciął Frank Calabrese. - Nick, przysięgam na Boga, albo dociśniesz pedał gazu, albo...

- Jezu, tato... - przerwał Adam. - Coś ty ostatnio oglądał? *Mistrz kierownicy ucieka?*

- Mógłbyś przestać robić z siebie pedała? - wściekał się Luke.

- Mógłbyś przestać robić z siebie hetero? - chciał wiedzieć Adam.

- Moglibyście wszyscy łaskawie zamknąć się i dać mi prowadzić? - spytał Nick przez zaciśnięte zęby, ściskając kierownicę wozu patrolowego, który zabrał z Manhattanu bez wyraźnej zgody zwierzchnika.

Wszyscy usiłowali wypełnić jego prośbę. Udawało im się przez całe sześćdziesiąt sekund.

- Ten Bentley wciąż jedzie za nami - nie wytrzymał Luke. - Siedzi ci na zderzaku, braciszku.

- I co ja mam twoim zdaniem zrobić? - rzucił ostro Nick. - Kazać mu zjechać na pobocze i wypisać mandat?

Adam spojrział na zegarek.

- Jeszcze mamy czas. To znaczy, o ile tata nie ma nic przeciwko...

- Chłopaki, ja tu łamię z dziewięćset przepisów naraz. Odpuście trochę, dobra?

- Dobrze jedziesz - powiedział Frank. - Naprawdę świetnie. A wy, chłopcy, dajcie bratu spokój. Czepiacie się, bo on jeden spośród was nosi jeszcze mundur.

- Zaraz - zaprotestował Nick. - Ja lubię ten zawód.

- Ja też lubiłem - odparł Dean. - Tylko życie lubię jakby trochę bardziej.

Adam skrzywił się złośliwie.

- A detektywi od narkotyków mają większe szanse przeżycia, co?

—' Większe niż ludzie z wydziału zabójstw - odciął się Dean.

- Mnie po prostu nigdy nie było do twarzy w niebieskim - stwierdził Luke.

Nick, spoglądając w lusterko wsteczne, dostrzegł wyraz twarzy ojca i powiedział:

- Tato... Nie przejmuj się. Oni się wygłupiają.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - odparł Frank Calabrese.

- Spokojnie, tato - radził Adam. - Wszyscy wiemy, że Lou nic się nie stało.

- Taa - dodał Dean. - Myślisz, że mogłaby ją zabić katastrofa lotnicza? Nie Lou.

- Za często oglądała *Godzinę zero* - zgodził się Luke. - Chryste, przecież ona tyle razy to widziała, że sama mogłaby pilotować tego ptaszka.

- To był helikopter - powiedział Frank drewnianym głosem. - Nie samolot. Mówili o helikopterze.

Bracia wymienili spojrzenia.

- No cóż - odezwał się Dean. - Helikopter to praktycznie to samo. Założę się, że też by go umiała pilotować. Bo to nawet łatwiej.

- Posłuchaj, tato - powiedział Luke. - Nic jej nie jest, dobra? Lou to twardy dzieciak, o wiele za twardy, żeby jakiś durny wypadek śmigłowca mógł ją zabić. Pamiętasz, jak dostała

w głowę piłką do softballa?

- Taa - powiedział Adam. - I tak obiegra bazy. Co do jednej.

- Mimo że była już wtedy na zapolu - dodał Dean.

- Trzeba by czegoś znacznie poważniejszego niż jeden chrzaniiony helikopter - Nick skreślił w stronę lotniska, wciąż na sygnale - żeby zabić Lou Calabrese.

- Ufam Bogu - mruknął Frank - że się nie mylisz. Bo prawdę mówiąc, chyba bym nie zniósł, gdyby miała zostawić mnie samego z waszą zgrają.

Drzwi do apartamentu hotelowego Lordów otworzyły się i Tim Lord, zmęczony i przemarznięty do szpiku kości, wszedł do środka.

- O, cześć kochanie - powiedziała Vicky Lord ze swojego miejsca na kanapie, z której nie podniosła się przez cały dzień. Nie cierpiała śniegu. - Wcześniej wróciłeś. Jak minął dzień?

Tim przyjrzał się żonie z niedowierzaniem. Nie ruszył się nawet, żeby zdjąć kurtkę i czapkę. Patrzył na nią, rozpartą na białej kanapie w różanej poświacie lampy stojącej w rogu. Na podłodze piętrzył się stos magazynów, a na stoliku do kawy stała zastawa po popołudniowej herbacie. Vicky słuchała swojej ulubionej płyty z szumem oceanu. Krzyk mew tworzył dziwny kontrast z widokiem zza okien, gdzie rozpętała się prawdziwa burza śnieżna.

- Nie wiesz? - spytał bezbarwnym tonem.

- O czym? - Vicky przewróciła stronę. „Vogue” skończyła już całe godziny temu, a teraz zajęła się „Teen Beat”, porzuconym przez najstarszą pasierbicę. - O burzy? Boże, ile się nasłuchałam. Oni tu o niczym innym nie mówią. Musiałam wyłączyć telewizor. Chociaż trudno to nazwać poświęceniem. Powinieneś zobaczyć, co zrobili z fryzurą Todda w *General Hospital*.

Tim zrobił chwiejnie parę kroków i usiadł w najbliższym fotelu.

- Gdzie dzieci?

- Och, Lupe zabrała je do tej wypożyczalni wideo po drugiej stronie ulicy. Wiesz, że Eliaszowi nic nie jest? Co to za historia z tą chorobą? Jest zdrow jak ryba, nawet udało mu się ugryźć Anastazję prosto w...

- Jack Townsend nie żyje - powiedział Tim.

- .. rękę. Musiałam ich rozstawić w przeciwległych kątach pokoju, bo nie chcieli się uspokoić... - Nagle przerwała i zamrugała powiekami, perfekcyjnie obwiedzionymi kredką. - Co... Coś ty powiedział?

- Śmigłowiec runął - dodał Tim. Z tępych wyrazem twarzy ściągnął z głowy wełnianą czapkę. - Gdzieś w McKinley. Nie można... Ze względu na śnieżycę nie można wysłać

samolotów ratowniczych. Jeśli udało mu się przeżyć katastrofę, to znaczy, Jackowi... Nie spodziewają się, żeby zdołał przetrwać noc. Temperatura ma podobno spaść do...

Vicky zerwała się z kanapy i stanęła na bosaka, w samych rajstopach, wyciągając dłonie przed siebie, jakby chciała się od czegoś odgradzić. Twarz jej pobieliała i przybrała odcień obicia kanapy.

- Nie - powiedziała, cofając się o krok. - Nie.

Tim zmęczonym ruchem zaczął zdejmować rękawiczki.

- Vick... - powiedział. - Przez całe popołudnie usiłowałem się do ciebie dodzwonić. Musiałaś wyłączyć telefon, jak zwykle. Vick, oni zginęli. Jack i Lou Calabrese też, to pewne.

Vicky wciąż się cofała, aż oparła się o stół na dwanaście osób - był tu niezbędny, przy takiej liczbie dzieci i personelu, który się nimi zajmował.

- To nieprawda - powiedziała Vicky. - Jack, Lou... Przecież ja ich widziałam. Na lotnisku. Zaledwie parę godzin temu. I nic im nie było. To znaczy, żarli się - wiesz, jak oni się nawzajem nie cierpią - ale nic im nie było.

Tim ściągnął kurtkę.

- No cóż - powiedział - Teraz już ich nie ma. Zostało trochę whisky, Vick? Bo naprawdę przydałaby mi się szklaneczka.

- Jack Townsend... - Vicky stała przy stoliku, obejmując się rękoma. Drżała. Nawet ze swojego fotela widział, jak dygocze. - Jack Townsend nie zginął.

Tim wstałby i wziąłby ją w ramiona, gdyby nie był taki zmęczony. Ale tylko zapadł się głębiej w fotel i powiedział:

- Niestety, Vick. On nie żyje.

Vicky patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem obróciła się na pięcie i pobiegła do sypialni. Zatrasnęła drzwi. Minutę potem Tim usłyszał szum wody lejącej się w łazience. Wiedział, że Vicky chce zagłuszyć szloch.

- Cholera - powiedział, jak w transie wpatrując się w płatki śniegu. — Ciężka cholera.

No cóż, pomyślał Jack, przynajmniej mi nie płacze. Już za to jedno wdzięczny był losowi.

Wiedział, że na jej miejscu każda przeciętna kobieta tak by się zachowywała. Płakałaby. Kurczowo Ignęłaby do niego. Generalnie robiłaby masę niepotrzebnego zamieszania.

A ona nic. Zauważył, że bynajmniej nie stawała na głowie, żeby mu podziękować za wyciągnięcie jej z tej płonącej masy żelastwa. Ale przynajmniej nie płakała. Po prostu siedziała sobie, a te wielkie brązowe oczy były zupełnie nieprzeniknione.

Pomijając niechęć, rzecz jasna. Tę odczytywał w nich bez trudu.

Uznał, że trochę nieładnie okazywać niechęć komuś, kto cię wyciąga z płonącego śmigłowca i nie zapomina przy tym uratować twojego laptopa. Ale ona go nie znosiła i nie ma zmiłuj.

Chyba trudno jej się dziwić. Najpierw afera z tekstem: „Potrzebna mi większa spluwa”. Jako scenarzystka, miała prawo poczuć się urażona. Potem ten numer z Vicky. Nawet samemu sobie nigdy nie potrafił sensownie wyjaśnić, o co poszło, a co dopiero komuś obcemu. A teraz ta historia, za którą najwyraźniej znów on był odpowiedzialny. W końcu Sama wynajęto, żeby zabił jego, nie ją.

No właśnie, ale dlaczego? Kto u diabła tak gorąco życzył mu śmierci, że jeszcze gotów był zapłacić? O ile pamiętał, nikogo ostatnio nie obraził. Nie narozrabiał po pijanemu. A już z całą pewnością nie sypiał z żadną mężatką. Więc o co tu chodziło?

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Townsend?! - spytała Lou władcym tonem. - Jeśli już coś robisz, mógłbyś przynajmniej robić to porządnie.

Podniósł wzrok znad płomieni.

- O kurczę! - Mózg mu chyba trochę spowolniał na mrozie, bo dopiero teraz zarejestrował, co przed sobą widzi. - Rozpaliłaś ogień.

- To się nazywa hubka - wyjaśniła, jakby miała do czynienia z czterolatkiem. - Nie wystarczy rzucić wiązkę gałęzi na stos i podpalić, jasne, panie leśniczy? Najpierw musisz znaleźć hubkę i ją zapalić, a potem delikatnie dmuchać.

Podobał mu się kształt jej warg, kiedy wymawiała słowo „dmuchać”.

- Nie oglądałeś *Poza światem* ? - Rzuciła mu zapalniczkę Sama, wstrząsając się przy tym z obrzydzeniem.

- Chyba nie.

Zastanowił się, jakim cudem nigdy dotąd nie zauważył, że Lou Calabrese to szalenie seksowna dziewczyna. Oczywiście wiedział, że jest atrakcyjna. Na premierach *Gliniarza zabójcy* zawsze wyglądała nieźle, a już zwłaszcza tego wieczoru, kiedy dostała Oscara za *Hindenburga* i miała na sobie taką obcisłą czarną sukienkę, a Greta złośliwie rozpowiadała, że to podróbka Armaniego.

Trudno wytłumaczyć czemu, ale na pustkowiu Alaski, z guzem wielkości gęsiego jaja na czole i twarzą zarumienioną od wiatru, Lou Calabrese wyglądała seksowniej niż w tamtej wieczorowej sukience bez rękawów. Może dlatego, pomyślał sobie, że po raz pierwszy widzi ją bez wiecznie lepiącego się do niej Barry'ego Kimmela. Ten facet naprawdę działał mu na nerwy, i to zanim ożenił się z Gretą Jack nie cierpiał go od czasu, kiedy grali razem w *Izbie przyjęć*, żaden z nich nie był jeszcze sławny. Barry - czy też Bruno, jak teraz kazał do siebie mówić - co i rusz przy łąził do jego garderoby, wpytując, czy nie zna czasem jakiejś knajpy, gdzie można by wyrwać fajne laski. Laski, na miłość boską. Fajne laski! Jack od razu go skreślił.

A teraz w dodatku okazuje się, że na Barry'ego czekała wtedy w domu ta oto „laska”. Jack czasem po prostu nienawidził swojego zawodu. Och, uwielbiał aktorstwo, ale naprawdę gardził niektórymi kolegami.

- Zapamiętaj to sobie na przyszłość - mówiła Lou. - Hubka. W tym cała rzecz.

- Czy jest jakiś film, którego nie widziałas? - zainteresował się Jack.

- Nie. - Otrzymał krótką odpowiedź, której towarzyszył słodki uśmiech. Na moment kompletnie go rozbroiła, póki nie dotarły do niego następne słowa.

- W przeciwieństwie do niektórych - dodała - nie urodziłam się w czepku, więc musiałam zażywać rozrywek dostępnym szaremu człowiekowi.

- O rany! Domyślam się, że chcesz mi dowalić za moje uprzywilejowane dzieciństwo?

- Nie ma się czego domyślać - odparła. - Nazywasz się Townsend. Wszyscy wiedzą, co to znaczy. - Zerknęła na nieprzytomnego pilota. Nie wiedzieć czemu uparła się rozpalic ognisko tuż koło niego. - Chyba z wyjątkiem naszego drogiego Sama. Zdaje się, że nie studiuje zbyt uważnie kroniki towarzyskiej.

- A może właśnie studiuje... Może to dlatego... no, wiesz... Uniosła brwi.

- A co, wydaje ci się, że Paris Hilton ci pozazdrościła? - spytała. - Odbierasz jej uwagę mediów, więc wynajęła pocziwego Sama, żeby pozbyć się konkurencji?

- To równie dobra hipoteza jak każda inna - odparł Jack. - Może cię zaskoczę, ale nie wydaje mi się, żeby tłumy ludzi pały wobec mnie żądzą mordy.

- Naprawdę?

- Mówię poważnie. Jestem niesamowicie czarującym facetem. Prawie z każdym umiem się dogadać.

- Oprócz scenarzystów - zaznaczyła.

- Oprócz niektórych scenarzystów.

- Hej! - zawołała, rozjaśniając się. - A może to Związek Zawodowy Scenarzystów skrzyknął się, przeprowadził zbiórkę i płaci Samowi, żeby pozbywał się aktorów, którzy za twoim przykładem zmieniają nasze teksty. Miło byłoby wiedzieć, że moje składki idą na jakiś zbożny cel.

Spojrzał na nią z oburzeniem.

- Posłuchaj... „Fajnie jest, póki ktoś nie oberwie” to nie są słowa, których mój bohater...

- Twój bohater?! - huknęła. - Wybacz, to mój bohater. Ja go wymyśliłam. Chyba wiem, co mógłby powiedzieć, a czego by nie powiedział. I jestem pewna, że nie powiedziałby „Potrzebna mi większa”...

Jack przerwał jej gestem ręki. Ale nie po to, żeby wytoczyć własne argumenty.

- Słyszysz? - spytał.

Umilkła. Na pochyłości zbocza zapadał coraz gęstszy mrok. Słońce, które na dobrą sprawę przez cały dzień nie zdołało przebić się przez chmury, chyba się wreszcie poddało. Jednak nadal było dosyć światła, żeby mógł dostrzec, jak bielą się płatki śniegu na jej gęstych rudych lokach. Czubek nosa mocno jej się zaróżowił, a na policzkach zakwitły rumieńce. Wargi, z których już dawno znikły ostatnie ślady szminki, miały odcień wiśniowej czerwieni i - Jack zauważył to mimo woli - były niezwykle kuszące. Przyjemny widok.

Że też oni musieli bez przerwy żreć się ze sobą.

- To zupełnie w twoim stylu, Townsend - poskarżyła się. - Wywołałeś kłótnię, a teraz udajesz, że coś usłyszałeś, żebym musiała się zamknąć i wtedy ty automatycznie postawisz na swoim...

- Serio. Wydawało mi się, że słyszę silnik. Spojrzała w niebo.

- No cóż, najwyższa pora - powiedziała. - Na co oni czekali, na zaproszenie na czerpanym papierze?

Ale mijały kolejne chwile i chociaż oboje nadstawiali uszu, nic więcej nie usłyszeli.

- Jesteś pewien, że R - 44 w ogóle ma jakiś radiolokator? Wciąż wpatrując się w zaśnieżone niebo, wzruszył ramionami.

- A skąd mam wiedzieć?

Wyrwało jej się oburzone parsknięcie. To było urocze. A właściwie byłoby urocze,

gdyby wyrwało się z ust innej kobiety.

- Nie wiesz?! - wrzasnęła. - Przecież mówiłeś, że pilotowałeś R - 44 w *Czasie szpiega* ?

- Lekko przesadziłem - przyznał Jack niechętnie.

- No, faktycznie, lekko - sapnęła. - Tak samo jak z tym, że *Czas szpiega* miał w sumie sześćdziesiąt pięć milionów zysków w kraju. Błaaagam.

- Może chodziło mi o zyski ogółem - powiedział Jack.

- A potem Jeff Berger się obudził - odparła. - Nie zrobił żadnego hitu od czasu *Kłopotliwego niemowlaka*, a to było dziesięć lat temu.

Właśnie czegoś takiego Jack serdecznie nie znoślił. Właśnie dlatego kupił sobie rancho w Salinas. Nadal mógł dojeżdżać do Los Angeles - no cóż, odrzutowcem - ale rancho leżało na tyle daleko, że nie musiał rozmawiać o punktach procentowych i zyskach kasowych brutto (wyjawszy niezbyt częste rozmowy ze swoim agentem). Rancho było dla niego odludnym schronieniem, nie tylko miejscem zamieszkania. Pozwalało zachować zdrowe zmysły w szalonym świecie bankietów, lunchów w cenie czterystu dolarów od osoby i rewelacji z „Entertainment Tonight”.

A jednak, pomyślał, może to i lepiej. To znaczy, lepiej, że Lou tak wciągnął ten akurat temat. Bo gdyby jej przebogata pisarska wyobraźnia zaczęła pracować nad tematem: co będzie za parę godzin, kiedy zapadną kompletne ciemności i pojawią się wilki...

- Nie przepadasz za Jeffem, prawda? - spytał, bo wiatr się wzmaczał, ognisko wzniecone przez Lou przygasało, człowiek, który usiłował ich zabić, leżał tuż obok na wpół martwy, a oni razem utknęli w środku tego pustkowia na, Bóg raczy wiedzieć, jak długo. Chciał odwrócić jej uwagę od tego, o czym sam myślał, a mianowicie że rano ratownicy odnajdą ich ciała zamrożone niczym lodowe sandwicze.

- A czemu miałabym lubić Jeffa? - zainteresowała się Lou. Jeff Berger, reżyser filmów klasy B, odznaczał się brakiem skrupułów, brakiem taktu i upodobaniem do dowcipów skatologicznych. Nie cieszył się powszechną sympatią. Jack zagrał w *Czasie szpiega* wyłącznie po to, żeby mieć na czynsz, co w czasach po ucieczce z domu, a zanim jeszcze dołączył do obsady *Izby przyjąć*, stanowiło dla niego źródło ciągłego zmartwienia, ponieważ nie mógł - nie chciał - prosić o pożyczkę ojca.

Ale istniały też ważniejsze powody, żeby nie lubić Jeffa Bergera, niż kiepski gust w doborze kawałów. Na przykład, facet nie potrafił utrzymać rąk przy sobie. Jakby nie mógł nakręcić filmu, nie dostając potem pozwu w sprawie o molestowanie seksualne.

- Dowalał się do ciebie? - zapytał Jack, bo Lou z pewnością mogła być w typie Jeffa,

jak zresztą każda młoda atrakcyjna istota płci żeńskiej.

- Uh! - Skrzywiła się z niesmakiem. - Gorzej. Odrzucił *Hindenburga*. Owszem, przyznaję, byłby fatalnym reżyserem tego filmu, ale że miał czelność odmówić?! - Pokręciła głową. - Powiedział, że film jest infantylny. Facet, który nakręcił *Amerykańską studniówkę*, powiedział, że scenariusz *Hindenburga* jest infantylny. Wiem, nie da się zaliczyć *Hindenburga* do klasyki kina, ale infantylny na pewno nie był.

Nie siedzieli na tyle blisko siebie, żeby stykać się ramionami. Gdyby tak było i gdyby ona płakała —jak każda normalna kobieta na jej miejscu, w takich okolicznościach, zamiast siedzieć tu i dokuczać mu za to, że nigdy nie obejrzał *Poza światem* ani *Skazanych na szkołę* - otoczyłby ją ramieniem i podtrzymał na duchu.

A ponieważ była nieprzeciętnie atrakcyjną kobietą - kiedy nie robiła krzywych min - a on był tym, no cóż, kim był, naprawdę mogliby wypełnić czekanie na ratunek czymś przyjemniejszym, zamiast żreć się jak para szczeniaków.

Ale ona nie płakała, a on nie obejmował jej ramieniem. Jednak i tak, chociaż jej nie dotykał, czuł, że rodzi się między nimi jakieś napięcie.

A potem, po sekundzie, ona zerwała się na równe nogi i rozdarła się jak potępiony upiór. Śliczny, zgoda, ale zawsze upiór.

- Tutaj! - wrzeszczała, brnąc przez śnieg i dziko wymachując ramionami. - Tu jesteśmy!

Wtedy usłyszał. Dźwięk, który dobiegł go już przedtem, tylko wyraźniejszy. Hałas silnika. Nie samolot, ani nawet śmigłowiec, ale jakiś motor, który kierował się w ich stronę.

A potem zobaczył jasny punkt migający między drzewami. Skuter śnieżny.

Byli uratowani.

- Hej! - Jack poderwał się, rozsypując przy tym tyle śniegu, że żałośnie małe ognisko natychmiast zgasło. Ale to bez znaczenia. Byli uratowani. Nadeszła pomoc i wkrótce Jack znajdzie się w ciepłym wnętrzu swojego apartamentu hotelowego i...

Pewnie Melanie znów zacznie się na niego wydzierać, a może nawet rzucać sprzętami. I kto wie? Może i tym razem uda jej się coś podpalić.

Nieważne. Bo jeśli cokolwiek dobrego wynika z tego, że człowiek otrze się o śmierć, to jest to nagła, niezwykle wyraźna świadomość własnych priorytetów. A Jack właśnie zdał sobie sprawę, że jego głównym celem jest pozbyć się z własnego życia wszystkiego, co miało jakikolwiek, choćby odległy związek z Hollywood.

Głupio przyznać, ale właśnie przed tym ostrzegał go ojciec, i to wiele lat temu - że Jack wreszcie znudzi się odgrywaniem jak dzień długi kogoś innego i zacznie żałować, że nie

znalazł sobie „prawdziwego” zawodu. Wtedy nie chciał słuchać ojca - postawił się, rzucił studia i przeniósł się do Los Angeles - ale teraz zaczynał się zastanawiać, czy ta cała miłość do aktorstwa nie brała się po prostu z chęci ucieczki. Ojciec zaplanował już jego przyszłość - najpierw asystent wicedyrektora, potem wicedyrektor, potem dyrektor naczelny, a wreszcie prezes zarządu Townsend Securities - tyle że Jack za żadne skarby nie chciał takiej przyszłości.

Postawił na swoim i udało się - odniósł niewiarygodny sukces. Ale teraz aktorstwo nie stanowiło już wyzwania. Całe to Hollywood mogło mu pomachać rączką na pożegnanie. Jack zaczynał zbierać się do odlotu. Naprawdę, starczy tego dobrego.

- Hej! - zawołał, biegnąc za Lou po śniegu. Na szczęście, miał na nogach kowbojki... Niezbyt odpowiednie na zimowe warunki, ale zawsze nieprzemakalne. Skąd u licha miał wiedzieć, że będzie uprawiał biegi terenowe w górach Alaski?

Facet na skuterze wjeżdżał po stromym stoku. Nie wyglądał na pracownika służb państwowych, sądząc po jaskrawej, żółto - czerwonej kurtce. Pewnie jakiś miejscowy, który wybrał się na przejażdżkę. A może dostrzegł dym z płonącego helikoptera i podjechał sprawdzić, co się dzieje?

Jakkolwiek było, zbliżał się do nich prędko. Nadchodziła pomoc. Wkrótce Jack znajdzie się z powrotem w hotelu. Zamelduje się pod zmienionym nazwiskiem w nowym apartamencie, jak najdalej od Melanie. Potem zadzwoni na policję. Bo przecież, mimo wszystko, ktoś usiłował go zabić.

A później? No cóż, nie był pewien. Ale miał dziwną, przejmującą pewność, że Lou Calabrese odegra w tym „później” jakąś rolę.

Śmieszne, bo ona naprawdę absolutnie nie była w jego typie. Po pierwsze, w przeciwieństwie do wszystkich kobiet, z którymi się spotykał, wydawała się kompletnie niewrażliwa na jego wyjątkową męską urodę. Hej, w końcu przez dziesięć lat z rzędu trafiał na listę „People” - listę pięćdziesięciu najatrakcyjniejszych osób na świecie. Nie był zarozumiałcem, ale naprawdę nie mógł nie zauważyć, że podoba się kobietom.

Wszystkim kobietom poza Lou Calabrese, dla której najwyraźniej był tak atrakcyjny jak ser po tygodniu przechowywania w temperaturze pokojowej.

A chociaż sam nie uważał, żeby udział w *Izbie przyjąć* czy dziesięciu innych filmach czynił z niego wybitną postać, to jednak, jakby to delikatnie ująć... Był przecież jednym z najlepiej zarabiających aktorów w Hollywood. I to nie bez powodu. I wcale nie miało to nic wspólnego z jego fizyczną atrakcyjnością, wbrew temu, co najwyraźniej myślała Lou Calabrese. Był po prostu cholernie dobrym aktorem.

A jednak... Chociaż kobiety w całej Ameryce mdlały na jego widok, a opróżnione przez niego kubki po napojach traktowały jak relikwię, fakt, że na kimś nie robił najmniejszego wrażenia - że wręcz wzbudzał w kimś żywą niechęć - działał mu na nerwy bardziej, niż chciałby przyznać. A już zwłaszcza teraz, kiedy miał na głowie znacznie poważniejsze problemy, na przykład, jak zdoła skończyć pracę nad filmem po tej aferze z Melanie i jak się wydostać z tych lasów, nie padając ofiarą hipotermii, i - no tak - czemu ktoś usiłował go zabić. Wszystko to było znacznie ważniejsze niż brak sympatii ze strony Lou Calabrese.

Niemniej, tłumaczenia nie zdały się na nic. Fakt, Lou Calabrese to trochę dziwaczka, z tą swoją obsesją na tle kina i durnym laptopem, który nawet teraz objął jej się o biodro. Dziwna czy nie, miała wspaniałe, gęste rude włosy i ciemne oczy, niemal hipnotyzująco piękne - nawet kiedy przepelniała je pogarda wobec niego. Ale wolał pogardę niż to, co widywał w oczach innych ludzi. Bo podejrzanie często zdawało mu się, że widzi symbole dolara zupełnie jak w kreskówkach...

Jednak trudno było ignorować jej dziwactwa. Teraz na przykład stanęła jak wryta, zastygając w bezruchu. Króliki na jego ranczu robiły tak samo, kiedy coś je przestraszyło.

Jack nie zdążył wyhamować. Upadła na śnieg z cichym: „Oj!” Rzucił się, żeby pomóc jej wstać i przy okazji z wielką przyjemnością zauważył, że kurtka podjechała jej nad biodra, więc bez przeszkód mógł sobie popatrzeć na jej figurę. Nie mylił się co do tych wełnianych spodni. Skrywały naprawdę niezły tyłeczek.

- Co jest? - spytał Jack. - Dlaczego stajesz?

- Coś... - wysapała, patrząc przez drzewa na pędzący w ich stronę skuter. - Jest... nie... tak...

Popatrzył. Człowiek na skuterze rzeczywiście wykonywał jakieś dziwne ruchy... Sięgnął ręką za plecy, jakby czegoś szukał.

- Pewnie szuka walkie - talkie - wykrztusił Jack. On też nie mógł złapać tchu. - Porozumie się przez radio z...

Ale wtedy, sekundę później, ciszę lasu rozdarła eksplozja - to wcale nie był wybuch śmigłowca - i Jack zrozumiał, że facet wcale nie sięgał po walkie - talkie.

- Uciekaj! - wrzasnęła Lou, chwytając go za ramię.

Nie trzeba go było przekonywać. Obrócił się napięciem i zaczął zbiegać w dół, a Lou potykała się i ślizgała obok niego. Zabrzmiał kolejny strzał i tym razem z pobliskiego drzewa odpadło parę gałęzi, obsypując ich drzazgami i śniegiem.

Sądząc z wyglądu trafionego drzewa, facet strzelał ze zwykłego obrzyna.

- Tutaj! - Lou pociągnęła go na ziemię za zwalonym drzewem. Pień był pokryty śniegiem. Nie najlepsza kryjówka, pomyślał Jack. Czy strzał z obrzyna nie przebije takiego zbutwiałego pnia?

Ale okazało się, że Lou nie ma zamiaru się chować.

- Rewolwer! - krzyknęła. Nie było obawy, że ktoś ich usłyszy, ryk skutera zagłuszał wszystko... Pomijając odgłos strzałów.

Jack bez słowa wyciągnął broń. Z płonącego helikoptera zabrał rewolwer, a nie raketnicę, bo był pewien, że zostaną odnalezieni i bez pomocy rakiet, natomiast rewolwer Sama stanowił jego zdaniem niezbity dowód na to, że nastawano na jego życie. Jack nie wiedział zbyt wiele o rewolwerach. Raz jeden wybrał się na przejażdżkę z paroma funkcjonariuszami z Los Angeles, żeby zasmakować pracy prawdziwego policjanta przed *Gliniarzem zabójcą*. Nigdy nie trzymał w ręku broni załadowanej czymś innym niż ślepakami.

Ale Lou najwyraźniej wiedziała to i owo, bo zerwała rękawice i ścisnęła rewolwer obiema dłońmi, opierając ramiona na zwalonym pniu. Mierzyła do celu, patrząc lewym okiem. Prawe mocno przymknęła, co raczej nie wzbudzało zaufania.

- Blżej... - syknęła. Zauważył z jeszcze większą konsternacją, że i głos, i ręce trzęsły jej się w sposób niekontrolowany. - Troszkę blżej...

Trzask! Obrzyn wystrzelił, obsypując ich kawałkami kory. Potem, kiedy Jack nadal chował głowę, usłyszał spokojne bum, bum, bum rewolweru Sama, regularne staccato tak blisko jego uszu, że kiedy umilkło, na moment ogłuchł.

Ale nadal wszystko widział. Zobaczył długie czarne płozy, które jechały prosto na nich. Złapał Lou za kaptur i pchnął na ziemię. Skuter śnieżny przemknął nad nimi, ukazując na swoim smukłym podbrzuszu ślady po strzałach. Ciało kierowcy bezwładnie zwisało nad kierownicą.

A potem, parę sekund później, nastąpiła kolejna eksplozja, tym razem znacznie głośniejsza niż wszystkie strzały. Jack instynktownie własnym ciałem zakrył Lou, osłaniając ją przed nagłym deszczem odłamków, które posypały się na nich ze wszystkich stron. Spadały na ziemię, momentalnie gasnąc i tworząc syczące i dymiące kratery w śniegu. Niektóre odbijały się od skórzanej kurtki Jacka, nie czyniąc żadnej szkody.

Dopiero kiedy ustał deszcz płonących odłamków, Jack odważył się podnieść głowę. Zobaczył twarz Lou, bladą ale zdecydowaną.

Jeśli jednak oczekiwał jakiegoś kobiecego wybuchu emocji - łez, czy nawet hysterii - to znów doznał rozczarowania. Bo kiedy rozchyliła te swoje ciemnoróżowe wargi, padło z

nich tylko:

- Jezu, ważysz chyba z tonę. Złaż ze mnie. Dokładnie w tej chwili Jack zrozumiał, czemu taki Bruno di Blase zostawił Lou dla Greta. Facet taki jak Bruno - czy Barry, czy jak on się tam właściwie nazywał - nie miał najmniejszych szans zaimponować takiej dziewczynie. Greta... No cóż, Grecie w zupełności wystarczyło, że Jack potrafi poprawnie odczytać nazwę z mapy.

Powoli - chociaż właściwie nic go nie bolało, bo tylko trochę śniegu dostało mu się pod szary kaszmirowy sweter - zsunął się z niej. Gdy tylko to zrobił, przyklęła i z rewolwerem w obu rękach wymierzyła w stronę, gdzie nastąpił wybuch.

- Wydaje mi się - zauważył sucho Jack - że już go załatwiłaś.

Faktycznie, i skuter, i jego kierowca zostali unicestwieni. Została po nich dziura w ziemi, tuż przed potężną sosną, w którą uderzyli z pełną prędkością. Czarny gryzący dym unosił się nad kilkoma kawałkami pociętego złomu. Jack nie miał najmniejszej ochoty podchodzić do tych resztek, żeby sprawdzać, z kim tak właściwie mieli przyjemność.

Lou upuściła rewolwer Sama na kolana, jakby nagle zrobił się za ciężki. Ale nie siedziała długo. Gdzieś w oddali usłyszeli dźwięk, którego jeszcze niedawno wyczekiwali, ale który teraz niósł ze sobą groźbę.

Skutery śnieżne.

W większej liczbie.

Dużo większej.

- Wstawaj - powiedział Jack, podając jej rękę. - Wynosimy się stąd.

- Czekaj. Czekaj chwilę. Nie wiesz, kto to jest. Może tym razem to dobrzy faceci.

- Będziesz tu sterczeć, żeby się przekonać? - spytał ostro. Z cichym jękiem ruszyła za nim w dół. Ale nie bez ostatniego słowa skargi.

- Właściwie to kogo, do cholery - warknęła podejrzenie drżącym głosem - aż tak wkurzyłeś, Townsend?

Sam chciałby wiedzieć.

Jedenaście tysięcy dwieście czterdzieści jeden. Tyle kilometrów widniało na liczniku bieżni Lou w domu, w Los Angeles. Jedenaście tysięcy dwieście czterdzieści jeden kilometrów, które na zmianę przeszła i przebiegła w ciągu ostatnich sześciu lat, odkąd przeniosła się na Zachodnie Wybrzeże, mając na koncie wyłącznie nowiutki dyplom licencjacki w twórczym pisaniu i świeżo ukończony scenariusz - pierwszego *Gliniarza zabójcy*.

No i Barry'ego, oczywiście. Barry'ego też miała.

Prawie osiemset kilometrów nabiła na liczniku tylko w ciągu tych miesięcy, odkąd ona i Barry rozstali się. Miała w sobie mnóstwo zbędnej energii, którą chciała z siebie wywalić, a czy jest na to lepszy sposób, niż iść przed siebie po bieżni, jednocześnie oglądając *Sędzię Judy*?

Ale to co innego. Bieganie we własnym domu, na bieżni, w wygodnych adidasach, diametralnie się różniło od biegania przez las, w butach na pięciocentymetrowych obcasach, przez śnieg głęboki na metr i w temperaturze poniżej zera, z laptopem i torbą przerzuconymi przez ramię. Stopy nie były jedyną częścią jej ciała, która nadawała sygnały, że za chwilę odmówi posłuszeństwa. Płuca też były na wykończeniu.

- Czekaj - wydyszała, chwytając się najbliższej sosny i próbując odzyskać oddech. - Już... nie mogę. Nie... mogę...

Na szczęście, Jack był tak samo wykończony jak ona. A on, jak doskonale wiedziała, dysponował szczytową formą. Oczywiście, takie wymaganie zapisano w jego kontrakcie. Detektywowi Pete'owi Loganowi wiele można by zarzucić, ale nie brak kondycji.

- Musimy... biec... dalej - wysapał, przystając obok i opierając dłonie na kolanach. - Dawaj, Lou! Są tuż za nami.

- Byli tuż za nami - poprawiła go. Teraz, kiedy oddech trochę jej się wyrównał, nadstawiła uszu, ale nie usłyszała żadnych podejrzanych odgłosów. - Chyba... chyba ich zgubiliśmy.

Zdziwiłaby się, gdyby było inaczej. Słońce już prawie zaszło, a śnieg padał coraz gęściej, trudno było zobaczyć cokolwiek dalej niż na parę metrów dokoła. Śnieg i drzewa. Lou widziała wkoło tylko śnieg i drzewa. Śnieg i drzewa.

- Słuchaj - powiedziała Lou, kładąc Jackowi rękę na ramieniu. - Słyszysz coś?

Przez minutę stali cicho. Nie dobiegł ich żaden dźwięk - żaden dźwięk poza szmerem śniegu osiadającego im na głowach i ramionach. Śniegu i wiatru, który szumiał w koronach

sosen. Jeszcze nie wichura, ale jednak dość porywisty, zimny wiatr. I jakby przybierał na sile. Lou pomyślała, że zanim wykaraskają się z tej awantury, czeka ich jeszcze trochę kłopotów.

Jeszcze nie zapadły kompletne ciemności, ale zniknęły już ostatnie promienie słońca, pozostawiając im nad głowami jedynie ciemnoszare niebo, mroczniejące z minuty na minutę. Ledwie mogła odróżnić rysy Jacka, ale widywała jego twarz wystarczająco często - w gazetach, na dużym ekranie i we własnym telewizorze jeszcze w czasach *Izby przyjęć* - żeby z jego miny zorientować się, że wciąż nasłuchuje skuterów śnieżnych.

- Nic nie słyszę - powiedział w końcu.

- Ja też - dodała Lou. - Myślisz, że ich zgubiliśmy?

- Możliwe. - Spojrzał za siebie zmrużonymi oczami. Śnieg zacierał ślady. Ale zacierał nie dość prędko. - Las jest gęsty. Będzie im trudno za nimi jechać, chyba że ruszą pieszo. A wtedy... no cóż, zostawiamy takie ślady...

Lou puściła i sosnę, i jego ramię, i zaczęła się rozglądać za jakąś nisko wiszącą gałęzią.

- Moglibyśmy zacierać ślady - wyjaśniła mu. - Jak w *Prostym planie*.

- O, jasne! - odparł. - Zamiast iść po naszych śladach, będą szli po śladach gałęzi.

Lou poczuła, że coś gorącego nieprzyjemnie wzbiera jej w środku. Do licha, z tego gniewu i strachu zbierało jej się na płacz.

- Słuchaj no - powiedziała głośnym szeptem. - Oszczędź mi sarkazmu, dobra? To przez ciebie w ogóle tu jesteśmy, więc spróbuj nie robić z siebie takiego palanta, okej?

- Palanta? - Wyprostował się i spojrzał na nią. - A co ja takiego zrobiłem?

- Nie wiem - odparła, zadowolona, że zimny wiatr wystarczająco usprawiedliwiał łzy w oczach. - Ale zrobiłeś coś, co tak kogoś wkurzyło, że chce cię zabić. Nie tylko zabić, Townsend, wytropić cię jak psa. A teraz znajdź mi jakąś gałąź. Najlepiej taką z igłami.

Jack na szczęście nic więcej nie powiedział, tylko zaczął rozglądać się za gałęzią. Lou odetchnęła z ulgą, bo oczy miała tak pełne łez, że ledwie widziała. Boże, czym ona sobie na coś podobnego zasłużyła? Tkwiła w środku jakiejś dziczy w towarzystwie gwiazdora filmowego o humorach primadonny, który najwyraźniej nigdy w życiu nie obejrzał żadnego filmu o szkole przetrwania. Cud boski, jeśli się stąd wydostaną, tracąc tylko parę palców u rąk i nóg wskutek odmrożeń. Zaczynało jej świtać, że jak tak dalej pójdzie, nie uda im się przetrwać nocy.

Nie uda się, jeśli sobie nie zbudują jakiegoś igloo. W *Pogoni za śmiercią* Sydney Poitier i Tom Berenger przetrwali nocną śnieżycę dzięki temu, że zakopali się pod śniegiem i tulili do siebie dla ciepła. W filmie to była scena komiczna. W rzeczywistości myśl o tuleniu

się do Jacka Townsenda pod śniegiem, choćby przez kilka minut, przyprawiała Lou o gęsią skórę. Milionom kobiet w Ameryce myśl o spędzeniu nocy z Jackiem Townsendem nie sprawiłaby najmniejszej przykrości. Ale Lou do nich nie należała.

Dobry Boże, pomodliła się. Nie pozwól, żeby do tego doszło.

- Hej! - zawołał Jack, który odszedł spory kawałek w poszukiwaniu gałęzi. - Chodź tu. Chodź i zobacz.

Lou, myśląc w pierwszej chwili, że to kolejne skutery śnieżne, omal nie rzuciła się z powrotem w śnieg ze słowami: „Poddaję się od razu”. Ale Jack nie patrzył w stronę, z której nadjechał skuter. Wpatrywał się przed siebie, osłaniając oczy od śniegu i wiatru.

- Co? - zapytała ostro Lou. Widziała tylko drzewa. Drzewa i śnieg. - Nic nie widzę.

- Tam - pokazał. - Teraz widzisz? Lou pokręciła głową.

- Widzę tylko śnieg.

- Nie tam - powiedział Jack i nagle stanął za nią, położył dłonie na jej uszach i obrócił jej głowę we właściwą stronę. - Tam.

Dopóki Jack nie zakrył jej uszu dłońmi, Lou nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zmarzły. Musiały być znieczulone zimnem, bo nie miała czapki. Gęste włosy stanowiły wystarczającą ochronę przy lekkim mrozie, ale nie przy minus dwudziestu. Ciepło dłoni Jacka niemal ją parzyło. Całymi plecami czuła, że podobne ciepło emanuje z jego ciała, chociaż dotykał jej wyłącznie dłońmi, i to w rękawiczkach. Nagle pomysł spędzenia z nim nocy w jakiejś dziurze wygrzebanej pod śniegiem przestał wydawać się tak odpychający. Jeśli dzięki temu miałyby uszczknąć trochę więcej tego ciepła wyłącznie dla siebie...

Dobry Boże! O czym ona myślała? Przecież to Jack Townsend. Jack Townsend, gwiazdor filmowy, dziedzic Townsend Securities, aktor. Jack Twonsend, czyli próżność, brak lojalności i, jak mogłaby zaświadczyć Vicky, chroniczna niezdolność do angażowania się w poważne związki.

Brzęczyk alarmowy w jej głowie zapiszczał na cały regulator i Lou zignorowała przyjemne ciepło bijące z tych dłoni.

I wtedy zobaczyła graniastą sylwetkę rysującą się na tle szarego nieba, wystającą ponad czubki drzew. Co to takiego? Z pewnością nie dom, bo znajdowało się w powietrzu, nie na ziemi. Ale było kanciaste. Co do tego nie miała wątpliwości. A kąty proste oznaczały, że był to wytwór człowieka.

- Co to? - spytała, powstrzymując wreszcie myśli o tuleniu się do Jacka pod śniegiem.

- Co to może być?

- Nie mam pojęcia Myślałem, że mam halucynacje, ale skoro ty też to widzisz... -

Chwycił ją za ramię. - Chodź, zobaczymy.

Lou poczuła tę rękę na swoim ramieniu. Jak mogłaby nie poczuć? Nie lubiła go, ale nie mogła zaprzeczyć, że miał w sobie magnetyzm, który sprawiał, że widzowie nie mogli oderwać od niego wzroku, a Lou - no cóż, Lou nie bardzo mogła strząsnąć z ramienia jego dłoń.

Ale tym razem była mu nawet wdzięczna, bo pchał ją naprzód. I naprawdę dużo łatwiej się szło, w tym śniegu, w tych butach na obcasach i z ciężkim laptopem, kiedy ją popychał. Linka holownicza, pomyślała. To by się przydało. Linka holownicza. ..

- To ambona łowiecka - powiedział Jack, kiedy już dobrnęli do celu.

Faktycznie, miał rację. Maleńka drewniana chatka na wysokich palach przypominałaby dziecięcy domek do zabawy w konarach drzewa, gdyby nie wyglądała tak ponuro i odstręczające. Co gorsza, wyglądała też na idealne schronienie dla pajaków i innych paskudztw. Do kłapy w podłodze prowadziła stara, niebudząca zaufania drabina.

- Chodź - powiedział Jack, puszczać jej ramię.

- Ja tam nie wchodzę - oświadczyła Lou.

- Super! - Jack nawet się nie obejrzał. Wszedł po drabinie i pchnął klapę. - Zostań tam na dole i zamarznij. Ja osobiście chowam się przed tym wiatrem.

Lou mignęły jego długie nogi, a potem kowbojki - kowbojki! coś pięknego... - i zniknął.

Czekała, aż ambona rozpadnie się na kawałki pod ciężarem Jacka. Słyszała jego kroki na górze i przeraźliwe skrzypienie starych desek.

Ale nic się nie zawaliło. Nic - na przykład Jack - nie spadło z łomotem na ziemię.

W otworze pojawiła się twarz Jacka.

- Hej! - zawołał ze szczerą radością. - Nigdy byś nie uwierzyła. Tu jest tapczan. I koce. Chodź. Możemy tu przeczekać burzę. Założę się, że nasi przyjaciele na skuterach też postanowili ją przeczekać. Przez jakiś czas powinniśmy być bezpieczni.

Burzę? Lou zamrugała oczami. Śnieg zaciął ostro, arktyczny wiatr hulał wkoło niej, przenikając na wskroś gruby wełniany materiał. Pod spodniami miała rajstopy, ale to niewiele pomagało.

No tak. Burza śnieżna to chyba właściwe określenie.

- Lou... - Jack wychylił się przez klapę, spoglądając na nią ze zdziwieniem. - Co się z tobą dzieje? Nie słyszałaś mnie? Możemy tu przeczekać burzę. A cały ten śnieg zatrze nasze ślady. Przy odrobinie szczęścia uznają, że zamarzliśmy na śmierć pod jakimś drzewem. No wchodź!

Ściemniało się... Świetnie. Zapadała noc. No cóż, prawie. Było teraz prawdopodobnie późne popołudnie. Ale zimą na Alasce niemal przez cały czas było ciemno, tak jak latem niemal cały czas było jasno.

A ona miała spędzić tę noc w łowieckiej ambonie z Jackiem Townsendem, jednym z najseksowniejszych aktorów Hollywood.

Super. Po prostu świetnie.

- Lou? - Jacka chyba zaczynał trafiać szlag. - Nic ci nie jest? Wzięła głęboki, drżący oddech.

- Pająki tam są? - spytała słabiutko.

- Co? Czy co tu jest? - Nie widziała zbyt wyraźnie wśród śniegu i w ciemności, ale na twarzy Jacka malowało się chyba niedowierzanie. - Pająki?

Lou pokiwała tylko głową, nie chciała, żeby dosłyszał w jej głosie strach. Choć sama nie była pewna, czy bardziej boi się towarzystwa pajaków, czy Jacka Townsenda.

- Lou - powiedział Jack swoim zwykłym ironicznym tonem - tu nie ma żadnych pajaków, okej? Pająki na ogół nie żyją w subarktycznych temperaturach.

Lou to wiedziała, oczywiście. Chciała się tylko upewnić. Postawiła stopę na pierwszym szczeblu drabiny, a potem chwyciła rękoma szczebel nad swoją głową. Pajaków bała się bardziej niż wysokości, ale prawdę mówiąc, nie przepadała ani za jednym, ani za drugim.

Jack chichotał! Złapał ją za ramiona i wciągnął do ciemnego wnętrza.

- Pająki — zakpił, zatrzasnąwszy kłapę wejściową. - Strzelasz do ludzi, ale masz problem z pajakami!

- Zastrzeliłam tego faceta w samoobronie - odparła Lou, rozglądając się w półmroku. Jedyne światło wpadało przez małe okienka obserwacyjne rozmieszczone w regularnych odstępach na wszystkich czterech ścianach. Na szczęście miały szklane szybki, chociaż niesamowicie brudne. - On chciał nas zabić.

- Nie mówiłem, że nie popieram - zaznaczył Jack. - Tylko że ten strach przed pajęczakami jakoś do ciebie nie pasuje.

Jack wygrzebał z kieszeni latarkę Sama. W pomarańczowej poświacie słabiutkiej latarki Lou mogła wreszcie przyjrzeć się wnętrzu. Było niemożliwie małe, najwyżej trzy metry na trzy. Całe umeblowanie stanowiła pojedyncza wojskowa prycza, półka z paroma numerami „National Geographic” i szafka na akta.

Ale przynajmniej było sucho i w miarę czysto. W środku nie hulał wiatr i z całą pewnością nie mieszkaly tu pająki. Lepszego domu na razie nie mieli. Lou z najwyższym

trudem powstrzymywała się, żeby nie usiąść na podłodze tak jak stała.

Zdołała jednak przejść parę kroków do pryczy i dopiero na nią się osunęła. Na szczęście prycza nie zapadła się pod jej ciężarem, mimo groźnego, ostrzegawczego skrzypienia.

- Chcę ci coś powiedzieć - odezwała się Lou, dygocąc z zimna.

- Ach tak? - powiedział nieuważnie, otwierając szafkę na akta i grzebiąc w szufladach.

- Co takiego?

- Jeśli wyjdziemy z tego z życiem - powiedziała Lou, czując, że policzki i uszy zaczynają ją szczypać, pewny znak, że miała pierwsze objawy odmrożeń - zabiję cię własnymi rękoma.

Jack tylko się uśmiechnął. Ale nie tak, jakby coś go rozśmieszyło. To nie był wesoły uśmiech. Ale oczywiście, jak to u Jacka, był nieznośnie czarujący.

- Czemu mnie to nie dziwi? - zastanawiał się Jack. - Posłuchaj, Lou. Jeśli myślisz, że ja coś zrobiłem, żeby sprowokować tych ludzi, to mówię ci od razu, nic podobnego. Nie mam zielonego pojęcia, o co tu chodzi.

- Cóż - mruknęła Lou, uwalniając się od pasków torby z laptopem i torebki. - No wiesz...

- Mówię ci, nic nie zrobiłem.

- Och, daj spokój, Townsend. Nikt nie nasyła płatnych zabójców na zupełnie niewinnego człowieka. Musiałeś coś zrobić. Tylko co? Lepiej po prostu mi powiedz, żebym miała jakieś pojęcie... żebym mogła się przygotować... Chodzi o narkotyki?

Jack spiorunował ją wzrokiem.

- Nie bawię się w narkotyki, Lou - powiedział lakonicznie. Lou przygryzła dolną wargę. Sama wiedziała, naturalnie.

Jack nigdy nie wpakował się w kłopoty przez narkotyki, a obecnie studio rutynowo sprawdzało swoich aktorów, w ramach negocjacji kontraktów.

Ale nigdy nie można być pewnym. Jako dziewczyna z porządnej rodziny i w dodatku córka policjanta, Lou nigdy nie próbowała zakazanych substancji. Po przeprowadzce do Los Angeles przeżyła szok. Wszyscy tak beztrosko eksperymentowali z narkotykami. Niektórzy popadali w ciężkie uzależnienie, trafiali do więzienia albo na terapię, a inni dalej wesoło balowali. Wciąż jeszcze nie potrafiła się z tym pogodzić.

Ale nigdy nie słyszała, żeby Jack Townsend lubił sobie coś wciągnąć. Więc jeśli nie dług narkotykowy, to co u licha?

Lou popatrzyła na niego.

- Hazard? Skrzywił się.

- Lou. Dajże spokój.

- Przecież musi o coś chodzić! - zawołała Lou. - I chyba nie o kobietę. To znaczy, Greta cię rzuciła. Gdyby było odwrotnie, powiedziałabym, że to możliwe. To znaczy, mogę sobie wyobrazić, że Greta Woolston wynajmuje grupę komandosów, która ma cię wykończyć, ale...

Umilkła, bo przez moment, zanim latarka Sama zamigotała i zgasła, widziała wyraz twarzy Jacka.

- O... mój... Boże... - powiedziała powoli. - Chcesz mi powiedzieć, że jest ktoś inny? Już?

Jack potrząsnął głową, jakby chciał odgonić niezbyt miłą myśl.

- Nie - powiedział. - To znaczy, tak. Jest ktoś inny. No cóż, w pewnym sensie. Ale ona nie mogła...

- O Jezu! - Lou przewróciła oczami. - Co jest z wami, faceci? Nie wytrzymacie sami w łóżku przez tydzień? Kto to jest, Townsend? I przysięgam na Boga, jeśli mi powiesz, że Angelina Jolie, to ja cię po prostu uduszę.

Jack spojrzał spode łba.

- To nie jest Angelina Jolie, dobra? I to wcale nie tak jak myślisz, tylko... Ja po prostu popełniłem błąd. Nie powinienem był na to pozwolić, ale stało się, i wczoraj wieczorem usiłowałem jej to wytłumaczyć, a ona chyba dostała szału i...

- Wczoraj wieczorem? Wczoraj wieczorem? Chcesz powiedzieć, że w hotelu...? Ale kto...? — I nagle oczy jej się rozszerzyły. - Melanie? Ty i Melanie Dupre? Och, Jack, nie rób mnie w trąbę.

- Słuchaj - powiedział z bardzo poważną miną. Nie widziała u niego tak poważnej miny od chwili, kiedy... No cóż, odkąd po raz ostatni przykładano mu rewolwer do skroni, co miało miejsce zaledwie parę godzin temu. - To moja wina, przyznaję. Zaczęło się kilka tygodni temu, a potem trochę wymknęło się spod kontroli. Wczoraj wieczorem, kiedy usłyszeliśmy o Grecie i... ehm... Barrym, ona dostała... No cóż, zaczęła mówić, że może my też powinniśmy zrobić to samo, to znaczy pobrać się, a ja jej wyłożyłem swoje poglądy na temat instytucji małżeństwa, a ona... no cóż, ona...

Lou podniosła jedną rękę.

- Nic mi nie mów. Niech zgadnę. Podpałiła tę dwuosobową kozetkę dla zakochanych?

- No... - Jackowi, ulżyło, że nic więcej nie będzie musiał wyjaśniać. - To był właściwie zwykły tapczanik. Ale...

- Myślisz, że Melanie Dupre, gwiazda *Liceum na Manhattanie* wynajęła drużynę zawodowców? - przerwała mu Lou. - Nie, nie wydaje mi się.

Jack ściągnął rękawice i pomasaował ostry zarost, który już zdążył mu wyrosnąć.

- Nie - powiedział. - Chyba nie. Melanie raczej nie jest typem dziewczyny, która każe zastrzelić faceta i wyrzucić jego zwłoki z helikoptera. Już prędzej zadzwoni do „Esquire” i wszystko opowie.

Lou nadal kręciła głową.

- Melanie Dupre! - Lou jakoś nie mogła przestać kręcić głową. - Melanie Dupre.

- Hej... - zaprotestował Jack. - Nawet jej nie znasz. To bardzo ciepła, życzliwa osoba.

- Och, przestań. Nie powiesz, że chodziło ci o jej dobre serce. Co, zrobiłeś specjalizację z kardiologii? Daj spokój. Lukier do tortów Hinesa ma taki sam intelekt jak ta dziewczyna i dobrze o tym wiesz.

- No cóż. - Jack znów włożył rękawiczki. W chatce było wprawdzie zacisznie, ale piekielnie zimno. - W każdym razie, to by ją wykluczało.

- Jasne! - parsknęła Lou, chociaż wcale nie było jej do śmiechu. Utknęła setki kilometrów od cywilizacji, w środku burzy śnieżnej, w dodatku z aktorem. I to nie byle jakim aktorem, ale z Jackiem Townsendem, byłym facetem obecnej dziewczyny swojego własnego byłego.

Melanie Dupre? Melanie Dupre, która osłupiała, kiedy jej dietetyczka wyjawiała, że w owocowych roladkach w gruncie rzeczy jest bardzo niewiele błonnika? Nawet już Greta Woolston była bystrzejsza niż Melanie.

- Moglibyśmy zmienić temat? - poprosił Jack.

- Och. - Lou uroczyście położyła dłoń na piersi. - Przepraszam. Uraziłam cię, sugerując, żebyśmy przedyskutowali powody, dla których ktoś mógłby chcieć cię zabić? Jejku, wybacz. Jak mogłam!

Jack spojrzał na nią z góry. W słabnącym świetle wyglądał przystojniej niż kiedykolwiek przedtem.

- No cóż, jak na kogoś, kto nie przywykł, że do niego strzelają radzisz sobie całkiem nieźle. A przy okazji, gdzie się nauczyłaś tak strzelać?

Lou ponuro wbiła wzrok w podłogę.

- Ach, to - mruknęła. - Tata mnie nauczył.

- Naprawdę? Polował?

- Nie - odparła Lou. - Przez czterdzieści lat był policjantem.

Jack zainteresował się. I wcale nie z uprzejmości, ale jakby naprawdę szczerze. Albo

tylko udawał.

- Tak?

Lou pokiwała głową i rozchmurzyła się. Zawsze lubiła opowiadać o swojej rodzinie, bo chociaż bracia i ojciec czasem doprowadzali ją do szału, była z nich wszystkich dumna.

- Kiedy mama miała nas już serdecznie dosyć i nie mogła dłużej wytrzymać - wyjaśniła - szliśmy z tatą na lody. Tylko jakoś nigdy tam nie dochodziliśmy. Tak naprawdę szliśmy na strzelnicę. Jako mała dziewczynka sporo się nastrzelałam z jego służbowej broni.

Jack uniósł brwi. Wysoko.

- Co za wyraz ojcowskiej troski! Tylko tyle powiedział.

Lou wzruszyła ramionami.

- Chyba w ten sposób okazywał nam, że nas kocha.

- Nas? - Jack znowu uniósł te swoje ciemne brwi. - Masz rodzeństwo?

- Czterech starszych braci - powiedziała Lou. - Wszyscy zostali policjantami albo coś w tym rodzaju.

Nie wystraszył się, ale był pod wrażeniem.

- A ty zostałam scenarzystką i o nich piszesz. To znaczy o gliniarzach. Przynajmniej wtedy, kiedy nie piszesz o eksplodujących sterowcach. Rodzice muszą być z ciebie bardzo dumni - powiedział.

- Mama umarła dziesięć lat temu. Ale tak, była z nas dumna. I tata też. Chociaż daliśmy im niezłe do wiwatu.

- Wyobrażam siebie - powiedział Jack łagodnie. - Teraz już wiem, skąd się wziął Pete Logan.

Rzuciła mu mroczne spojrzenie.

- Tak. Stanowi coś w rodzaju połączenia wszystkich moich czterech braci...

- I to dlatego nie bardzo lubisz, kiedy się zmienia twoje teksty? - upewnił się Jack, wyraźnie rozbawiony.

- Tak, między innymi i o to chodzi. - Lou nie mogła pozbyć się kwaśnego tonu.

- Jasne. Reszta to zwykła próżność artystki.

- Nieprawda! Ja po prostu uważam, że nie rozumiesz tej postaci i tak, żeby...

- Nie rozumiem jej tak jak ty. Wiem, wiem. - Jack uśmiechnął się tym swoim sarkastycznym uśmieszkiem. Dlaczego nigdy nie traktował jej poważnie? Umiał być poważny, widziała przecież *Hamleta* w jego reżyserii - chociaż za nic by się nie przyznała, że w ogóle kupiła bilet na coś, co reżyserował i w czym zagrał Jack Townsend. Ale kupiła, obejrzała i musiała mu oddać sprawiedliwość: z *Hamleta*, którego zawsze uważała za

mięczaka, stworzył poruszającą postać.

I ani razu w tym filmie nie miał na twarzy charakterystycznego uśmiešku.

Niestety, teraz miał.

- Od dziś możesz być spokojna - ciągnął - nie będę już wtrącał się do scenariuszy. Skoro tak dobrze radzisz sobie z bronią...

Przeszedł ją dreszcz. Już nie było jej zimno - a przynajmniej nie tak zimno jak wtedy, kiedy na wskroś przeszywał ją lodowaty wiatr. Zadrzała, bo przypomniała sobie o czymś, co usiłowała usunąć ze świadomości. O czymś, czego nie chciała pamiętać i o czym w ogóle nie chciała rozmawiać.

O tym, że pozbawiła życia człowieka.

Jasne, usiłował ją zabić. Ale i tak nie było jej łatwo, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że jest pierwszą osobą w swojej rodzinie, która faktycznie kogoś zabiła. Mimo że jako jedyna nie nosiła służbowo broni.

- To nie jest śmieszne - powiedziała.

Nagły szloch zaskoczył ją. Ale przynajmniej stał złośliwy uśmiešek z twarzy Jacka Townsenda.

- Hej! Posłuchaj, nie chciałem...

- Och, nie chciałeś? - wykrztusiła. Boże, co się z nią działo? Z zasady nigdy nie okazywała emocji wobec ludzi, z którymi pracowała. Scenarzyści i tak mieli w Hollywood ciężkie życie, a co dopiero scenarzystki. Kobiecie naprawdę trudno się było przebić. Dlatego Lou próbowała zachowywać się jak facet i nigdy nie okazywała słabości. Przynajmniej nikt jej nie zarzuci, że jest za miękka i że nie zasługuje na poważne traktowanie.

A teraz rozpląkała się na oczach osoby, na której poważnym traktowaniu najbardziej jej zależało...

- Czekaj, Lou, ja rozumiem, że masz powody do zdenerwowania, ale...

- Nie, nie rozumiesz. - Głos jej się łamał.

O Boże, czemu nie mogła wziąć się w garść i potraktować całej sprawy jak mężczyzna? Musiała zacząć przy nim płakać?!

Ale nic nie mogła na to poradzić. Nie mogła już powstrzymać powodzi łez, zupełnie jakby pękła tama.

- Nic nie rozumiesz! Zabiłam dzisiaj człowieka, zgadza się? I chciałabym po prostu wiedzieć, dlaczego. Dlaczego usiłował mnie zabić. Ciebie zabić. Nas zabić. Czy to tak wiele?

Łzy płynęły strumieniem.

Świetnie. Po prostu świetnie. Płakała jak bóbr. Przy Jacku Townsennie! Szlag trafił

godność i profesjonalny wizerunek. Zalewała się łzami, a on stał nad nią i patrzył z otwartymi ustami, jakby nagle wyznała mu, że w wolnych chwilach uwielbia oglądać stare odcinki *Battlestar Galactica*.

A czego się niby spodziewała? Stał przed nią człowiek, który lubił towarzystwo Melanie Dupre, jednej z najgłupszych osób na tej planecie. Skąd on miał wiedzieć, jak reagują normalne kobiety. Przecież prawdopodobnie nigdy w życiu nie spędził pięciu minut w towarzystwie normalnej kobiety... Wykluczając może udzielanie autografów.

No cóż, niech spada. Nie miała zamiaru się uspokoić tylko po to, żeby on poczuł się lepiej. Teraz, kiedy się już porządnie rozplakała, zaczynała wreszcie odczuwać pewną ulgę. Nawet śnieg padający gęstą kurtyną tuż za oknem wydawał się mniej groźny, w miarę jak łzy spływały jej po twarzy z dość regularną prędkością. Ciemność już jej nie przerażała. Wydawało jej się nawet, że poprzez wycie wiatru słyszy głos swojego ojca, spokojny i pewny. Tamten facet to bydlę, mówił Frank Calabrese. Zasłużył na kulkę. Nie martw się, mała. W końcu nie miałaś wielkiego wyboru: albo ty, albo on. I co, wolałabyś sama zginąć?

Już się prawie wyplakała, kiedy zaszło coś tak niespodziewanego, że znów omal nie zakrztusiła się łzami.

Jack Townsend objął ją ramieniem.

No cóż, spodziewał się tego, prawda? Łez. Łez Lou. Powinien był wiedzieć, że trzeba czegoś więcej niż katastrofa helikoptera na Alasce, żeby w oczach Lou Calabrese pojawiły się łzy. Nie, żeby wodotrysk zadziałał, najpierw musiała umieścić kulkę w czaszce innego człowieka.

Teraz przynajmniej wiedział co robić, bo przedtem czuł się nieco zbity z tropu. Nie przywykł do kobiet, które zachowywały się - i mówiły - jak mężczyźni. Prawie wszystkie jego kontakty z płcią piękną miały charakter flirtów, a Lou Calabrese była chyba jedyną znaną mu kobietą, która - z wyjątkiem jego matki, oczywiście - zawsze wydawała się kompletnie odporna na jego urok. Choć była świadoma faktu, że innym się podobał. W przeciwnym razie, czy tworzyłaby te wszystkie sceny, w których Pete Logan musiał rozbierać się do rosołu?

Ale nigdy nie dała mu do zrozumienia, że uważa go za atrakcyjnego faceta. Odkąd ją znał, przez cały czas prezentowała wobec niego otwartą wrogość.

To dlatego nigdy nie wiedział, jak się przy niej zachowywać. Nie przywykł, że go nie lubiano. Och, jasne, w Hollywood byli ludzie, z którymi nie układało mu się dobrze. Na przykład Jeff Berger, któremu kiedyś podbił oko na zakończenie sprzeczki o pewną scenę. I wcale nie przepadał za Russelem Crowe.

Ale Lou była jedyną kobietą w Hollywood, z którą Jack pozostawał w niezbyt przyjaznych stosunkach.

Trochę dziwnie było siedzieć przy niej na chwiejnej pryczy i obejmować ją ramieniem.

- Ćś... Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie będzie - powiedziała Lou przez łzy. - Zapytaj Sama.

- Jestem pewien, że Samowi nic nie dolega.

- Owszem, dolega. - Lou pociągnęła nosem. - Albo nadal tam leży i śnieg go przysypuje, albo...

- Albo kumple go odnaleźli i opatrzyli.

- Nie zrobili tego - płakała Lou. - To nie w ich stylu. Na pewno po prostu zostawili go tam na śmierć.

Jack miał pewne problemy z odczuwaniem współczucia dla Sama Kowalskiego. Nie chciał się przyznawać, ale właściwie wyciągnął go z helikoptera tylko po to, żeby swobodnie przetrząsnąć mu kieszenie. Obawiał się też, że Sam faktycznie nie cieszy się w tej chwili

dobrym zdrowiem. A dokładniej, że już nigdy nie będzie się cieszył.

Mimo to powiedział:

- Założę się, że nie masz racji. Założę się, że Sam ma się świetnie. Założę się, że jest mu teraz lepiej niż nam. Siedzi w ciepłku w jakimś szpitalu, nafaszerowany po dziurki w nosie pysznymi środkami przeciwbólowymi, od których przeżywa odmienne stany świadomości.

Lou wydała jakieś parsknięcie. Chyba się roześmiała. Przez łyzy, ale zawsze to jakiś postęp.

Zauważył też coś jeszcze. Nic na to nie mógł poradzić. Ramię, które poklepywał, osłonięte puchową kurtką, było bardzo kształtnie zarysowanym ramieniem. Tłumaczył sobie, że tkwią w dziczy o tysiące mil od cywilizacji i tylko dlatego wydaje mu się, że jej włosy, teraz miękko muskające go po twarzy, pachną tak ładnie. I że to tylko te łyzy sprawiły, że brązowe oczy Lou stały się takie duże i błyszczące, a kusząco wilgotne usta rozchyliły się, jakby prosiły o pocałunek...

Ale Lou, która przestała wreszcie szlochać, spojrzała na niego tymi czarującymi, mokrymi oczami i powiedziała raptem:

- A tobie się wydaje, że co niby robisz?

Jack nie był przyzwyczajony, żeby kobiety przesłuchiwały go, kiedy tylko zaczynał wykonywać w ich stronę jakieś przyjazne gesty wstępne. Nie cofając ramienia, powiedział niezupełnie przytomnym tonem, bo ciężko zachować przytomność umysłu, kiedy włosy kobiety pachną tak przyjemnie kwiatem pomarańczy:

- Ja? Pocieszam cię.

- Taa? - Wysunęła się z jego objęć i wstała. - No cóż, zrób mi przysługę i pocieszaj mnie z pewnej odległości.

- Lou, posłuchaj, to nic złego, że się boisz. Do diabła, ja sam... - próbował przekonywać, ale nie szło mu najlepiej. Bo coś w tym ciele, które przed chwilą czuł tak blisko siebie, wytrącało go z równowagi, może nawet bardziej niż fakt, że tkwili w środku pustkowia, ścigani przez ekipę na skuterach.

- Nic mi nie jest. - Głos Lou brzmiał już prawie normalnie. - Okej? Wszystko w porządku. A ty siedź, gdzie siedzisz. Dobra?

Uniósł brwi, ale nie protestował. Najwyraźniej odraza do niego przewyższała lęk. Była to nader trzeźwiąca - i denerwująca—myśl.

- Umieram z głodu - oświadczyła Lou.

Nagle zdał sobie sprawę, że i on jest jakby trochę głodny. Trochę głodny? Zjadłby

konia z kopytami. Nic nie miał w ustach od wczorajszej kolacji, a i wtedy zjadł tylko pół steku i kilka frytek, bo wiadomość o małżeństwie Greta i Barry'ego doszła go w połowie posiłku i Melanie od razu zaczęła swoje występy...

- Może ktoś tu coś zostawił - rozejrzał się po wnętrzu ambony. - No, wiesz, jakieś żelazne racje czy coś.

Lou podniosła swoją torbę i zaczęła ją przetrząsać. Czerwone loki przesłoniły jej twarz.

- W szafce nic nie było? - wymruczała do środka torby.

- Nie przejrzałem wszystkiego.

Jack wrócił do szafki, wysunął pierwszą szufladę i zajrzał ponuro do środka. O co chodziło tej Lou Calabrese? To prawda, nigdy nie mogli się zbyt dobrze porozumieć, głównie dlatego, że była strasznie przewrażliwiona na punkcie własnej pracy, a Jack lubił wtrącić swoje trzy grosze. I to prawda, on i Vicky nie rozstali się przyjaźnie. Ale to było całe wieki temu. Więc o co chodziło tej całej Lou?

Kobiety na ogół lubiły Jacka. Nie wiedział, czemu tak jest - czy dlatego, że w przeszłości zawsze świetnie dogadywał się z matką, czy po prostu dlatego, że on sam szczerze lubił kobiety. Potrafił nawet zachowywać poprawne stosunki ze swoimi byłymi - no cóż, pomijając Melanie. Ale, na przykład, Vicky? Zrozumiała, że on nie może ofiarować jej tego, czego potrzebowała, czyli obrączki, ale czy zaczęła go nienawidzić? O ile wiedział, nic podobnego. Lou chyba bardziej przeżywała zerwanie ze swoim Barrym niż Vicky rozstanie z nim.

Więc o co mogło chodzić? Kiedy spojrzała na niego przed chwilą, gdy obejmował ją ramieniem, mógłby przysiąc, że dojrzała w jej oczach strach. Ale przed czym? Przed nim? A niby czemu? Przecież nigdy nie zrobił Lou Calabrese najmniejszej krzywdy.

Dobra, był ten numer z tekstem: „Potrzebna mi większa spluwa”. Dobra, zmienił kiedyś jedną durną linijkę jej cennego scenariusza... Pisarze, wiedział o tym, osobiwie podchodzili do pracy, traktowali swoje scenariusze jak ukochane dzieci i nie potrafili znieść krytyki. Ale to była jedna linijka, na miłość boską! No dobra, może ważna linijka. I Lou nie mogła być zachwycona, że tekst podsunęty przez niego chłopaki w całej Ameryce nosili na koszulkach, a nawet wypisywali na swoich deskorolkach.

Ale bez przesady. Czy to znaczy, że nawet nie może jej objąć, pocieszyć? Przed chwilą o mało mu głowy nie odgryzła!

- Aha!

Obejrzał się przez ramię i dostrzegł, że Lou wyciąga coś ze swojej torby.

- Wiedziałam, że muszę mieć trochę przy sobie. - Triumfalnie uniosła małą paczuszkę w sreberku.

Zauważył, że rozsunęła kurtkę, a chociaż sweter w warkocze należał raczej do obszernych, bez żadnego problemu dostrzegł, co mieściło się pod nim, to znaczy niezwykle kształtny biust - i to bez dodatku silikonu, był tego zupełnie pewien.

- Co to jest? - zapytał Jack, chociaż na dobrą sprawę było mu wszystko jedno. Już nie chciało mu się jeść, zaczął natomiast odczuwać głód innego typu... Głód, któremu raczej nie groziło rychłe zaspokojenie.

- Fistaszki w karmelu. - Znów zajrzała do torby. - I jestem prawie pewna, że mam tu gdzieś trochę cukierków. A ty?

Jack niechętnie oderwał wzrok od jej swetra. O czym on w ogóle myślał? Nawet nie był pewien, czy lubi Lou Calabrese. Dlaczego miał ją lubić? Ona go nie lubiła.

I czego się czepiała Melanie? Oczywiście, Melanie miała pewne braki, Einstein to to nie był, ale też nie było to naiwne dziecko we mgle. Melanie wiedziała, o co w życiu chodzi.

- Townsend? Znalazłeś coś?

- Nie. - Zatrzasnął pierwszą szufladę i otworzył drugą. - Chyba że liczy się spora ilość danych na temat zwyczajów migracyjnych arktycznych rybitw. Najwyraźniej ktoś tu zbierał materiał do doktoratu ... Hej! Momencik...

Znalazł coś przydatnego w trzeciej szufladzie. Pudełko krakersów, sześć małych pojemniczków marmolady i...

- Eureka! - powiedział i wyciągnął opróżnioną do połowy butelkę cutty sark, ukrytą w głębi najniższej szuflady pod przewodnikiem po ptakach Ameryki Północnej w miękkiej oprawie. - Boże, jak ja kocham ornitologów!

Lou, na której whisky najwyraźniej nie zrobiła wrażenia, spojrzała z nadzieją na marmoladę.

- Masz tu pomarańczową?

- Wybacz... - Jack zaprezentował jej butelkę takim samym szerokim gestem, jakim Vanna White odkrywała litery w *Kole fortuny*. - Być może nie zauważyłaś, co ja tutaj trzymam. Ja rozumiem, to tylko mieszanka ze zbożową. Ale mimo wszystko całkiem niezły trunek. Wiem, bo sam często pijałem, zanim mogłem sobie pozwolić na słodową.

Lou rozsiadła się na pryczy i odwijiała sreberko z fistaszków w karmelu.

- Nie znam się na tym - powiedziała odgryzając kawałek tabliczki. - Nie piję. Rzuć mi te krakersy. I marmoladę. Mamy nóż?

- Pijesz, pijesz - powiedział Jack, zatrzasnąwszy szufladę szafki nogą, bo ręce miał

zajęte butelką i krakersami. - Widziałem jak piłaś szampana na premierze *Gliniarza zabójcy*
3.

- Nie piję mocnych alkoholi. - Podsunęła mu fistaszki. - Chcesz trochę?

- Nie, dziękuję. —Jack usiadł obok, ignorując jej podejrzliwe spojrzenie. - Jak ty możesz jeść to świństwo? Nie zalepia ci zębów?

Lou zastanowiła się moment.

- Taa - odpowiedziała po chwili. - Ale w końcu zawsze daje się odlepić. Dzięki temu masz dodatkową drobną przekąskę.

- To jest obrzydliwe.

- Och, a to, co teraz robisz, nie jest? - zapytała, kiedy odkręcił zakrętkę i podniósł whisky do ust. - Nie masz zielonego pojęcia, kto przed tobą pił z tej butelki.

Jack, czując jak pałacy płyn spływa mu do żołądka, odparł:

- Nie, nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi. Poza tym alkohol zabił wszelkie zarazki. Jeżeli najpierw nie załatwiło ich zimno. - Wyciągnął do niej butelkę. - Masz. Weź sobie łyka.

- Nie, dzięki. - Lou otworzyła pudełko krakersów i maczała je, jeden po drugim, w marmoladzie. - Mówiłam ci, że nie piję mocnego alkoholu. Ostatnio raz mi się zdarzyło i obudziłam się rano z potwornym bólem głowy.

- Tak? A co piłaś?

Trudno to było stwierdzić po ciemku, ale wydawało mu się, że policzki jej nieco pociemniały. Wymamrotała coś niedosłyszalnie.

- Proszę? - powiedział.

- Irish Cream Bailey's — powtórzyła wyraźniej.

- Ach, ty biedne niewiniątko - roześmiał się Jack. - Wcale się nie dziwię. Ale widzisz, likier to nie prawdziwy trunek. Prawdziwy trunek jest twoim przyjacielem.

- Żaden trunek nigdy nie był moim przyjacielem.

- Taa — powiedział Jack, biorąc sobie krakersa. - W normalnych warunkach. Ale trudno uznać, że to normalne warunki. No, daj spokój. Tkwisz z facetem, którego nie znosisz, na mrozie, w dziczy, w środku burzy śnieżnej.

- To nieprawda, że cię nie znoszę - powiedziała Lou, wygarniając krakersem resztkę marmolady z opakowania.

- Aha. - Jednak nie udało mu się ukryć satysfakcji, kiedy przyznała, że wcale go nie nienawidzi. Ośmieszał się, to jasne. Uszczęśliwiło go, że ona go nie nienawidzi! Jakby znów był w pierwszej licealnej. - Ale mnie nie lubisz.

- No cóż, to prawda - przyznała.

Cholera świetnie. Musiał ją przypierać do muru?

- I w dodatku przeżyłaś katastrofę helikoptera - przypomniał. - I dwa zamachy na swoje życie.

- Dzięki.

- I zastrzeliłaś faceta - dołożył Jack. Spiorunowała go wzrokiem.

- Masz jakieś ostatnie życzenie przed śmiercią?

- A teraz... - Spojrzał na podświetlaną tarczę swojego zegarka. - Taa, chyba mogę powiedzieć, że właśnie teraz twój były i moja była wślizgują się razem do jacuzzi w kształcie serca, popijając szampana i wyjadając ostrzygi z rozłupanych połówek skorup... No i, oczywiście...

- Dawaj to. - Lou wyrwała mu butelkę cutty sark i podniosła ją do ust. Pociągnęła łyk, zakrztusiła się i oddała mu, a potem, z załzawionymi oczami i zmartwioną miną, powiedziała:

- Tylko pamiętaj, sam tego chciałeś.

- Wiem - odparł Jack. - Jestem dużym, niedobrym facetem, który upija niewinne młode scenarzystki...

Prychnęła.

- Ach, tak? Jeśli to ma być przykład twoich technik uwodzenia, to przysięgam, nie wiem, jakim cudem tak często znajdujesz kogoś do łóżka.

Teraz on się zakrztusił.

- C - co?

- Och, przestań. - Przewróciła oczami. - Słyszałeś. Czy jest w tym biznesie jakaś kobieta, z którą się nie przespałeś? - Wyjęła mu z rąk butelkę i pociągnęła kolejny łyk. - Z wyjątkiem mnie, oczywiście? - dodała, kiedy już przestała kaszleć.

- W gruncie rzeczy - powiedział Jack tonem urażonej godności - jest jedna taka osoba.

- Och, tak? Kto taki?

- Nie spałem z Meryl Streep. Na razie. Ale nadzieja nie umiera.

Roześmiała się. Kiedy Lou Calabrese się śmiała, nie sposób było pamiętać, że temperatura wynosi sporo poniżej zera i że arktyczny wiatr smaga cztery ściany ich wątlej chatki. Śmiech Lou Calabrese był jak słońce wychodzące zza chmur po miesiącu deszczu. Jak zimne piwo po gorącym, długim dniu za kierownicą. Jak gorący prysznic, kiedy przez cały dzień się marzło. Zdziwił się, że nigdy dotąd tego nie zauważył.

- Uważasz, że to ona zapłaciła Samowi, żeby cię sprzątnął?

Zamrugnął niepewnie, patrząc na nią. Nawet w ciemnościach jej skóra zdawała się niesamowicie gładka i delikatna.

- Kto?

Spojrzała na niego jak na idiotę.

- Meryl Streep. No, wiesz, bo jest wściekła, że jej nie chcesz.

- Wiesz, jakoś w to wątpię.

Uśmiechnęła się tylko i ułamała sobie kolejny kawałek fistaszków w karmelu. Jack nigdy nie spotkał kobiety, która nosiłaby w torebce słodycze. Już prędzej kieszonkowe opakowanie płynu do ust. Vicky zawsze miała przy sobie wyciąg z echinacei. Na folii, jak widział, coś było napisane. Odczytał: „Dziękujemy za wsparcie orkiestry szkolnej liceum Sherman Oaks Central”.

Sherman Oaks. Widocznie tam mieszkała. Dziwna okolica Los Angeles jak na scenarzystkę, która dostała Oscara. Już prędzej spodziewałby się mieszkania na wzgórzach. Albo w kanionie. Ale nie w Sherman Oaks. Właściwie nie była to zła dzielnica. Tylko że... Tylko że nie była modna.

- A ty? - zapytał w końcu. - To znaczy teraz, kiedy Barry... No, wiesz. Spotykasz się z kimś?

Popatrzyła na niego przez zmrużone powieki.

- Taa. Z Robertem Redfordem. Hej, może moglibyśmy się umówić na podwójną randkę? Ty, Meryl, ja i Bob.

Pociągnął łyk.

- Ja tylko pytam - powiedział. - W końcu jesteś interesującą, atrakcyjną kobietą. Musi być...

Wyjęła mu butelkę z ręki.

- Nawet nie próbuj - doradziła mu, pociągnawszy spory łyk.

- Czego? - wzruszył ramionami. - Jestem zwyczajnie ciekawy.

- Taa, jasne. - Otarła usta wierzchem dłoni. Usta wiśniowoczerwone, i to bez szminki, bo nie zauważył, żeby się malowała. — Przestań.

Usłyszał ostrzegawczą nutę w jej głosie. Zagwizdał, długo i nisko.

- Przepraszam. Nie wiedziałem. To znaczy, ty i Barry... Chodziłaś z nim już, kiedy zagrał w *Izbie przyjęć*, a to było...

- Sześć lat temu - dokończyła, oddając mu butelkę. - Której sylaby mojego: „przestań” nie zrozumiałeś?

Może to była whisky. Może doświadczenie otarcia się o śmierć. Może fakt, że we dwójkę utknęli w pokoiku trzy na trzy metry, w samym sercu alaskiej dziczy. A może po prostu chodziło o te brązowe oczy, pełne inteligencji, dowcipu... i bólu.

W każdym razie zignorował jej ostrzeżenie i wypalił:

- Sześć lat to długo. Przecież mieszkaliście ze sobą, prawda? W Sherman Oaks? I co się stało?

Spojrzała w jego stronę z niedowierzaniem.

- Co się stało? - powtórzyła jak echo, łamiącym się głosem. - A jak sądzisz, co się mogło stać? Twoja dziewczyna Greta, to się stało. Szkoda, że nie trzymałeś jej na krótszej smyczy.

Uniósł brwi.

- Hej - powiedział. - Mógłbym to samo powiedzieć tobie. To znaczy, twój chłopak, Barry, nie jest tu bez winy.

Wzięła od niego butelkę, pociągnęła potężny haust i tym razem ani się nie zakrztusiła, ani nie zakaszła. Wymowę miała jednak trochę niewyraźną.

- Zakonotuj sobie - powiedziała, Oskarżycielsko celując palcem w jego pierś. - Barry ożeniłby się ze mną, gdyby ta twoja głupia Greta się nie napatoczyła. Już był gotowy zaangażować się na poważnie.

Odebrał jej butelkę. Chyba miała dość.

- Kotku - westchnął. - Może cię to zaskoczy, ale jeśli po sześciu latach facet nie zdążył się poważnie zaangażować, to po prostu nie miał takiego zamiaru.

- Dziesięciu - powiedziała.

- Proszę?

- Dziesięciu latach - powiedziała Lou. - Byliśmy ze sobą przez dziesięć lat. Dopóki ta durna blondyna, Greta Woolston, nie uwzięła się na niego. Mieliśmy się pobrać. Kupilibyśmy sobie ten wymarzony dom w Santa Barbara. Mielibyśmy dzieci. Czy ty i Greta chcieliście mieć dzieci? - Trąciła go w ramię, zadziwiająco mocno jak na kobietę. - Co? Planowaliście dzieci?

- Nie, nie mieliśmy takich planów - powiedział Jack, ostrożnie umieszczając butelkę poza zasięgiem jej dłoni. - Słuchaj, ty nie żartowałaś mówiąc, że nie powinnaś pić mocnych alkoholi, prawda?

Lou chyba go nie dosłyszała. Obie ręce zaplotła na piersiach i powiedziała z naciskiem:

- Miałam za niego wyjść za mąż. Ty wykorzystywałeś Gretę dla seksu. Zatem moja strata jest większa niż twoja.

Wracając myślami do dnia, kiedy poznał Barry'ego na planie *Izby przyjąć*, powiedział:

- Wierz mi, Lou, niewiele straciłaś. Opuściła dłonie bezwładnym ruchem na kolana.

- Owszem, straciłam dziesięć lat - powiedziała. Pociągnęła nosem i nagle zrobiła zrozpaczoną minę. - Straciłam dziesięć lat. Najlepsze lata swojego życia. Zmarnowałam je na faceta, który miał na imię Barry. - Ponownie wymówiła to imię, tonem niedowierzania. - Barry.

Jack przyjrzał jej się z powagą.

- Najlepsze lata twojego życia? A ile masz, dwadzieścia osiem?

- Prawie dwadzieścia dziewięć - wyznała Lou, otwierając szeroko oczy w świetle tej tragicznej prawdy.

- Wapniaczka - powiedział Jack. - Masz rację. Lepiej nie rób żadnych planów. Nigdy już nikogo nie pokochasz.

- Ja przynajmniej kochałam - powiedziała. - *Lepiej jest kochać i stracić...*

- To akurat znam - oświadczył szybko Jack. - Czasem czytam Tennysona. Słuchaj, lepiej zjedz jeszcze parę tych krakersów. Urznęłaś się.

- Ty nigdy nikogo nie kochałeś - ciągnęła oskarżycielskim tonem. - Nie tak, jak ja kochałam Barry'ego.

- A skąd wiesz?

- Och, proszę... - powiedziała, machając ręką. - Melanie Dupre. Ale jazda! O czym wy ze sobą gadaliście, ludzie? O wycinaniu skórek przy paznokciach?

Ta myśl chyba ogromnie ją rozśmieszyła. Chichotała, trzymając się za brzuch. Jack przyjrzał jej się bez uśmiechu. W porządku, miała rację - z Melanie trudno było prowadzić błyskotliwą rozmowę. Ale nie spodobało mu się, że Lou jest tak bardzo przekonana o własnej moralnej wyższości. Patrzyła na niego z góry tylko dlatego, że w ciągu jej dziesięcioletniego, monogamicznego związku on spał z ... No cóż, z wieloma kobietami.

Ale w końcu kto tu był nieudacznikiem?! On, którego serce nadal było radośnie, bezwstydnie całe? Czy ona ze swoim złamanym serduszkim?

Nagle przestała się śmiać.

- O mój Boże... - powiedziała, a z jej twarzy zniknęły ostatnie ślady rozbawienia. - Zabiłam człowieka. - Popatrzyła na niego z paniką. - Jack! Ja dzisiaj zabiłam człowieka!

A potem pochyliła się i ukryła twarz między jego udami. Spoglądając z niejakim zdziwieniem na miedziane loki rozsypane na własnym podołku, Jack potrząsnął ją za ramię.

- Lou?

Kiedy nie odpowiedziała, potrząsnął mocniej.

- Halo? Lou? Nic ci nie jest?

Z okolic krocza dobiegł go stłumiony jęk. Brzmiało to tak, jakby powiedziała:

- Barry Kimmel może mnie w dupę pocałować. Posadził ją, żeby się przekonać, czy nadal oddycha, a ona powtórzyła to jeszcze raz. Tak. Barry Kimmel najwyraźniej nie należał już do ulubieńców Lou Calabrese. Zupełnie jak... no cóż, jak Jack Townsend.

Położył ją na pryczy. Prycza cuchnęła pleśnią, ale w tym stanie Lou niczego nie zauważył. Przykrył ją jednym z nadjedzonych przez mole koców i pomyślał sobie, że dopóki będą ogrzewać się nawzajem ciepłem swoich ciał, prawdopodobnie uda im się przetrwać do rana.

Jeżeli ci ludzie na skuterach nie wrócą.

- Proszę pani... - zagaiła stewardesa. - Przepraszam bardzo ale będzie pani musiała zamknąć psa w koszyku. Eleonora Townsend zrobiła przerażoną minę.

- O mój Boże... - powiedziała, gładząc jedwabiste uszka Alessandra. - Ale to taki długi lot... A on naprawdę jest grzeczny jak aniołek. Nie będzie nikomu przeszkadzał, obiecuję. Stewardesa z wdziękiem zmarszczyła brwi.

- Proszę pani, tak mi przykro. Nie możemy pozwalać, żeby zwierzęta biegały po pokładzie podczas lotu. To kwestia bezpieczeństwa, proszę zrozumieć.

- Och, ależ on wcale nie będzie biegał po pokładzie - odparła Eleonora. - Posiedzi sobie po prostu u mnie na kolanach, cichutko jak myszka. Nie sprawi najmniejszego kłopotu. Jestem pewna, że ten miły dżentelmen nie będzie miał nic przeciwko temu. Prawda, proszę pana?

Wysoki, siwowłosy, wyraźnie zakłopotany mężczyzna, który siedział obok niej, gwałtownie pokręcił głową.

- Oczywiście - odezwał się do stewardesy. - Nie mam nic przeciwko. Kocham psy. No cóż, szczerze mówiąc, wolę pieski trochę większe niż ten tutaj. Ale to chyba grzeczny zwierzak. Wcale mi nie przeszkadza. Jest całkiem dobrze ułożony.

Eleonora miała ochotę uściskać nieznanego. I może nawet by to zrobiła; gdyby się nie bała, że jeszcze bardziej go wystraszy. Bo już i tak, z dłońmi zaciśniętymi kurczowo na poręczy, wyglądał na przestraszonego.

- No i proszę! - Obdarzyła stewardesę najbardziej olśniewającym ze swoich uśmiechów, tym, który Jack nazywał uśmiechem „sam tego chciałeś”. - Widzi pani? Temu panu nie przeszkadza, a przecież to on mógłby mieć największe zastrzeżenia. Nikomu innemu w tym samolocie Alessandro nie zakłóci spokoju. - Rozejrzała się znacząco po przedziale pierwszej klasy, który był zupełnie pusty. - Może mógłby po prostu posiedzieć u mnie na kolanach i powyglądać sobie przez okno?

Stewardesa, oczarowana nie tyle psem, co jego właścicielką westchnęła:

- No cóż... Naprawdę nie powinnam... Ale może tym razem zrobimy wyjątek.

- Och, dziękuję pani - wyrzuciła z siebie Eleonora z ulgą. - Nie ma pani pojęcia, jaką ten pies jest dla mnie pociechą.

Stewardesa ruszyła do przedziału dziobowego przygotować kolację dla swoich pasażerów, a Eleonora odezwała się do siedzącego obok mężczyzny:

- Nie wiem, jak panu dziękować za wyrozumiałość. Obdarzył ją zdawkowym

uśmiechem. Widać było, że myślami przebywa gdzie indziej.

- Nie ma o czym mówić, proszę pani - odparł. - Cieszę się, że mogłem pomóc.

A potem zwrócił się twarzą w stronę kokpitu z taką miną, jakby to on prowadził maszynę.

Eleonora natychmiast rozpoznała w nim człowieka, który przywykł kontrolować sytuację i nie lubił, kiedy było inaczej.

- Chciałby pan przez chwilę potrzymać Alessandra? - zapytała, a widząc jego zaskoczoną minę, wyjaśniła: - Moim zdaniem, głaskanie zwierząt wspaniale uspokaja. Dowiedziono naukowo, że pomaga obniżyć ciśnienie krwi. A proszę się nie pogniewać za to, co powiem, ale wygląda pan na osobę zdenerwowaną.

Kiedy mężczyzna się zawahał, dodała:

- To tylko mały piesek. I nigdy w życiu nikogo nie ugryzł. Niechętnie i bez przekonania wziął od niej Alessandra, który natychmiast zaczął lizać go po twarzy.

- No proszę, polubił pana! - zachwycała się Eleonora. - Wiedziałam, że tak będzie. Wie pan, Alessandro jest w gruncie rzeczy szalenie wybredny. To naprawdę niemały zaszczyt, że tak szybko przyjął pana na członka stada.

Siwowłosy dżentelmen uśmiechnął się nieśmiało.

- No cóż - powiedział pomiędzy jednym liźnięciem różowego języka Alessandra a drugim. - Bardzo to miło. Nie wiedziałem, że w pierwszej klasie pozwalają trzymać psy na kolanach. W ekonomicznej nie wolno, wie pani.

- Ach, zazwyczaj lata pan ekonomiczną, tak?

- Tak - potwierdził. Alessandro, wylizawszy dokładnie twarz nowego przyjaciela, ułożył łapki na jego piersi i posapywał szybko. - Na ten lot wolne bilety były tylko w pierwszej klasie. A ja muszę się jak najszybciej dostać do Anchorage.

- To tak jak ja - zdziwiła się Eleonora. - Mój syn... Rozbił się helikopter.

Mężczyzna popatrzył na nią i zamrugał nerwowo. Alessandro, wyczuwając jego nagłe napięcie, przestał sapać i skomlał cichutko.

- Moja córka też.

Eleonora złapała go za nadgarstek.

- Mój Boże! Czy pana córka jest może scenarzystką?

- Tak - odparł. A potem, jakby sobie o czymś przypomniał, wyciągnął do niej rękę nagłym ruchem, który wystraszył Alessandra. - Frank Calabrese. Moja córka, Lou, zaginęła.

- Eleonora Townsend. - Podała mu dłoń. - Mój syn Jack również zaginął. Mówią... Mówią, że prawdopodobnie nie żyje. W rejonie, gdzie spadł helikopter, trwa burza śnieżna i

przed świtem nie uda im się wysłać samolotów ratunkowych.

Uścisk ciepłych palców Franka Calabrese działał kojąco. Nic dziwnego, że Alessandro go polubił.

- Mnie powiedzieli to samo - stwierdził. - I że jeśli nawet ktoś ocalał z katastrofy, zamarnie w nocy na śmierć.

- Tak - powiedziała Eleonora. - Usłyszałam to samo. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odezwało się już ani słowem. Cóż, niewiele można było jeszcze dodać. Oboje podziękowali za szampana, którego podała im stewardesa kilka minut później. A kiedy zaczął się film, oboje zrezygnowali ze słuchawek. Siedzieli nieruchomo, wciąż trzymając się za ręce i wpatrując w czerń nocnego nieba za oknem.

- Nie - rzucił Tim Lord do swojej komórki. Prościej było dzwonić z komórki niż zgłębiać zawilosci usług hotelowej centrali telefonicznej. - Powtarzam ci, Andre, mamy dość materiału zdjęciowego z Jackiem. Ujęcia, których nam brakuje, można zmontować cyfrowo. Ale nie będzie takiej konieczności, bo mam już wszystko, czego moglibyśmy ewentualnie potrzebować.

- Tatusiu... - odezwał się cichy głos.

- Posłuchaj, Andre - ciągnął Tim. - Mówię ci, mam co trzeba. Zostało tylko ostatnie ujęcie, z wybuchem w kopalni. A kiedy pozbędziemy się już tych kretynów tulących się do każdego drzewa, możemy...

- Tatusiu! - Ciemnowłosy chłopiec pociągnął Tima za połę kurtki. - Tatusiu, co się stało Vicky?

- Elias, Vicky odpoczywa - odparł. - Zostaw ją w spokoju. Idź i poproś nianię, niech ci poczyta. W każdym razie, Andre - mówił znów do telefonu - nie przewiduję opóźnienia w stosunku do harmonogramu ani o jeden dzień. Kiedy zrobimy te zdjęcia w kopalni, będziemy mieli całość z głowy. Możemy się pakować i...

- Nie chcę, żeby niania mi czytała! - zawołał Elias, ciągnąc ojca za kurtkę. - Chcę Vicky! Pukam i pukam, ale ona nie chce otworzyć.

- Poczekaj sekundkę, Andre. - Tim pochylił się nad synem: - Elias, posłuchaj. Mówiłem ci już, Vicky nie czuje się dobrze. Leży w łóżku. Jest chora.

- Na co? - dopytywał się Elias. - Ma grypę?

- No cóż, niezupełnie - odparł Tim. - Jest... po prostu jest smutna.

- Dlaczego jest smutna?

- Bo... - Tim westchnął. Za co? No nie... Dlaczego dzisiaj? Znów podniósł telefon do ucha i powiedział: - Słuchaj, Andre, muszę kończyć, oddzwonię. Dobra, wiem, że w studiu

się denerwują. Powiedz im, że nie ma się czym przejmować, jest wszystko, co trzeba. Na razie. - Przycisnął klawisz, a potem mruknął: - Mogliby poczekać, aż zwłoki ostygną. - Potem znów spojrzał na syna.

- Słuchaj, Eliasze - powiedział, ujmując chłopca za ramiona i przyklękając przed nim na jedno kolano na grubym białym dywanie. - Pamiętasz wujka Jacka, prawda?

- „Potrzebna mi większa spluwa”! - wyrecytował Eliasze.

- No właśnie. Wujek - Potrzebna - Mi - Większa - Spluwa. Widzisz, doszło do wypadku śmigłowca i ludzie się martwią, że wujek Jack... No cóż, wujek Jack prawdopodobnie zginął. I jeszcze jedna przyjaciółka Vicky też. Pamiętasz ciocię Lou, prawda?

- Jasne - odparł Eliasze. - *Z Hindenburga*. Poruszający obraz triumfu ludzkiego ducha.

- No właśnie. Ciocia Lou też zginęła.

- Czy to dlatego Vicky nie chce wyjść ze swojego pokoju?

- Tak - odparł Tim. - Widzisz, Vicky bardzo lubiła wujka Jacka i ciocię Lou. Więc teraz się martwi i jest jej smutno. Proszę cię, zachowuj się jak grzeczny chłopiec i daj jej trochę spokoju. I powtórz to rodzeństwu.

- Dobrze.

Komórka znów się rozdzwoniła. Ze znużoną miną Tim przytknął ją do ucha.

- Lord - powiedział do telefonu. Chwilę słuchał, a potem wybuchł: - Nie! Paul, nie możesz jej na to pozwolić! Żadnych oświadczeń. W tej chwili nie wydajemy żadnych oświadczeń. Na Boga, przecież ta śnieżycy jeszcze się nawet nie skończyła! Powiedz Melanie, że nie wolno jej udzielać żadnych wywiadów ani organizować żadnych konferencji prasowych aż do rana, kiedy będziemy może mieli więcej informacji...

Eliasze zostawił ojca i podreptał do stołu w jadalni, gdzie leżały jego kredki i blok rysunkowy. Wspiął się na wysokie obite jedwabiem krzesło, wziął czystą kartkę, a potem starannie dobrał kredki. Czerwona na włosy cioci Lou. Brązowa na jej oczy. Czarna na włosy wujka Jacka... Ale on miał też trochę siwych włosów, więc Eliasze wziął jeszcze szarą kredkę. Potem znalazł niebieską na oczy wujka.

Po kilku minutach ześliznął się z krzesła i mocno trzymając rysunek, przemaszerował na bosaka przez apartament. Na zewnątrz śnieg padał nieprzerwanie, tworząc gęstą białą zasłonę, a na środku pokoju ojciec nadal warczał do telefonu.

- Nie! Nie, Paul. Trzeba tylko dodać „Pamięci tego - a - tego” w napisach końcowych. Tak jak dla Vica Morrowa w *Strefie mroku*... A dlaczego nie? Moim zdaniem to w dobrym guście. Niby czemu nie wypada?

Eliasz dotarł do drzwi sypialni, którą macocha dzieliła z ojcem. Szarpnął za klamkę. Nadal zamknięte. Przykucnął i wsunął rysunek pod drzwi.

- To dla ciebie, Vicky! - zawołał przez szparę. - Teraz wujek Jack i ciocia Lou nigdy cię nie opuszczą!

A potem, z poczuciem spełnionego obowiązku, wrócił do braci i sióstr, którzy w sąsiednim pokoju oglądali na video film Disneya i polewali się szamponem z hotelowych buteleczek.

Coś tu śmierdzi.

Szeryf Walt O'Malley dokładnie obejrzał miejsce wypadku. Był już na miejscu wielu katastrof lotniczych - zazwyczaj chodziło o małe prywatne samoloty, bo tak daleko na północy odrzutowce wielkich linii raczej nie latały. Ale nigdy jeszcze nie widział czegoś tak podejrzanego.

Nie umiał precyzyjnie określić, czemu widok wraku uruchamiał w nim ten wewnętrzny brzęczyk alarmowy. Na śniegu leżała masa pogiętego żelastwa. Wczorajsza śnieżycyca wyświadczyła im tę uprzejmość i sama zgasiła ogień. No właśnie, ale pomijając pożar, R - 44 wcale tak bardzo w katastrofie nie ucierpiał.

Polecieć już nigdy nie polecą, co do tego nie było wątpliwości. Ale wylądował mniej więcej w jednym kawałku. Dziób był mocno zgnieciony. Pilot musiał doznać obrażeń, to pewne.

Ale pasażerowie? Walt nie widział żadnego powodu, dla którego nie mieliby przeżyć lądowania.

Więc gdzie się, do cholery, podziali?

Znaleziono tylko jedno ciało, tak zwęglone, że identyfikacja okazała się niemożliwa - trzeba będzie poczekać na sekcję zwłok w Anchorage, żeby stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Jednak Walt z góry zakładał, że znaleźli pilota. Kurtka w kratkę, była dość odporna na płomienie, podobne nosili wszyscy piloci w okolicy. Walt nie wyobrażał sobie, żeby taki wielki gwiazdor jak Jack Townsend mógł się ubrać w taką kurtkę. Townsend pewnie miał na sobie coś tej marki... no, tej, o której wiecznie mówiła najstarsza córka Walta, Tina. Prada. Tak. Właśnie to noszą gwiazdy.

Swoją drogą, dziwna sprawa z tym pilotem. Sam Kowalski, takie nazwisko podała im firma czarterująca śmigłowce. Jeśli to był pilot, to dlaczego w chwili katastrofy, nie siedział w fotelu pilota? Znaleźli go na tylnym siedzeniu.

- Walt?

Lippincott podszedł do szeryfa. Miał zaczerwienioną twarz. No, ale Lippincott zawsze

był czerwony na twarzy. Spędzał dopiero pierwszą zimę w arktycznym klimacie i jeszcze nie zdążył zrozumieć, że stosowanie kremu ochronnego jest tu niezbędne i wcale nie uwłacza męskiej godności. Do diabła, Walt miał w łazience całą kolekcję małych buteleczek i pojemniczków. Córki uwielbiały buszować w stoiskach z kosmetykami, wybierając dla ojca coraz to nowe próbki. Z zasady preferował Oil of Olay. Ten krem nie zaklejał porów, tak zwykle mawiała Lynn.

Lippincottowi dobrze by zrobił Oil of Olay, bo skóra schodziła mu z twarzy płatami.

- Coś mi tu śmierdzi, szefie - powiedział Lippincott.

- Czytasz mi w myślach - odparł powoli Walt.

Słońce już weszło i niebo na horyzoncie rozjaśniło się lekko. Śnieg wreszcie przestał padać, wiatr ustał. Przez szesnaście godzin napadało dobre trzydzieści centymetrów puchu. Według alaskiej miary to wcale nie była ostra śnieżycą, ale Walt i tak nie chciałby spędzić tej nocy w lesie.

- Tylko jedno ciało - powiedział Lippincott. - Ani śladu pozostałych. Myślisz, że mogli odejść z miejsca katastrofy? No, wiesz, byli w szoku, czy coś?

- Oboje? Mało prawdopodobne - stwierdził Walt. Zmrużonymi oczami wpatrywał się w mocno zachmurzone niebo. - Może kiedy zaczęła się burza, postanowili poszukać schronienia.

Lippincott omiótł wzrokiem zbocze góry.

- Jezu... - westchnął. - Chcesz powiedzieć, że oni gdzieś tam jeszcze są? Czy... do tej pory chyba już zamrzli na kość?

- Prawdopodobnie tak.

Lippincott popatrzył na osmalone resztki helikoptera.

- Nie powinni byli się oddalać - powiedział. - Płonący śmigłowiec musiał dawać mnóstwo ciepła. Gdyby tu zostali, już byśmy ich znaleźli. Dlaczego nie siedzieli przy maszynie?

- Tego właśnie sam chciałbym się dowiedzieć - powiedział Walt, przyglądając się zaśnieżonym wierzchołkom drzew.

Lou otworzyła jedno oko i natychmiast je zamknęła, bo głowę przeszył jej ból, który oznaczał, że należy jeszcze pospać.

Tyle tylko, że już nie mogła zasnąć. A nie mogła zasnąć, bo coś było nie tak. Co konkretnie było nie tak, nie umiała stwierdzić od razu - nie bez ponownego otwarcia oka, a na to nie miała ochoty ze względu na przykre doznanie za pierwszym razem.

A jednak coś było nie tak. Coś było, w gruncie rzeczy, bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że wcale nie leży we własnym łóżku, w swoim domu na Shennan Oaks. Po pierwsze, sypialnia pomalowana była na łagodne odcienie niebieskiego i kremowego koloru. Żadnego z nich nie dostrzegła, kiedy otworzyła na chwilę oko. Zamiast tego zobaczyła drewniane deski. Drewniane deski! Gdzie ona była, u licha? W piwnicy domu rodziców?

I jeszcze jedna rzecz. Lou była całkiem pewna, że nie leży sama. A w sypialni jej domu na Sherman Oaks, odkąd Barry się wyprowadził, nie było nikogo.

No więc czyje ramię miała pod głową?

Tak. Zdecydowanie miała pod głową czyjeś ramię.

Tu w ogóle nic nie miało sensu, bo Lou nie należała do osób rozwiązłych. Odkąd Barry się wyprowadził, sobotnie wieczory spędzała przy pracy, a od czasu do czasu oglądała jakiś film z Vicky. Lou nigdy w życiu nie przytrafiła się przygoda na jedną noc. Ani razu nie pozwoliła poderwać się w barze. Po prostu nie należała do tego typu dziewczyn. Albo miłość, albo nic z tego.

No więc co ona robiła w łóżku z mężczyzną, który ewidentnie nie był Barrym? Bo Barry nigdy nie lubił spać „na łyżeczki”. Zawsze się trochę złościł, kiedy Lou chociaż odrobinę przesunęła się na jego połowę łóżka...

A potem zdała sobie sprawę, że nie tylko pod głową ma czyjeś ramię. Bo z wierzchu opasywało ją drugie. Żeby tylko! Nie, to ramię ją przytulało, jakby była czyimś kocykiem bezpieczeństwa. No, niezupełnie, bo dłoń na końcu tego ramienia obejmowała ściśle jej pierś. Och, nie. Nie było mowy o pomyłce. Te palce lgnęły do niej, trzymając się jej jak samego życia.

I wtedy, niczym lawina, zasypały ją okrucy wspomnień z minionych godzin i Lou uświadomiła sobie wreszcie, gdzie jest, co tam robi i do kogo należy ta dłoń.

Usiadła z wrzaskiem.

Jack też usiadł i rozejrzył się wkoło nieprzytomnymi oczami.

- Co? - zapytał ostro. - Co się stało?

Lou zeskoczyła z pryczy, zabierając ze sobą koce i przyciskając je do piersi.

- Ty! - wrzasnęła, pokazując na niego drżącym palcem, podtrzymując koce drugą ręką.

- Ja chyba śnię!

Jack przecesał dłonią swoje ciemne włosy, nie do końca rozbudzony.

- Co, ja? — zapytał. — Przecież nic nie zrobiłem.

- Owszem, zrobiłeś - powiedziała Lou, a policzki zaczynały jej płonąć. - Ty... ty...

Kiedy jednak usiłowała znaleźć właściwe słowa, zdała sobie sprawę, że pod kocem jest nadal kompletnie ubrana. Wszystkie suwaki miała zapięte. I buty na nogach.

Szybko zmieniła strategię i oświadczyła ze znacznie mniejszym oburzeniem, ale z wyraźnym niesmakiem:

- Upiłeś mnie!

Jack przyjrzał jej się niepewnie. Niestety, powoli się budził. I Niestety, był już na tyle przytomny, że stwierdził z rozbawieniem:

- Hej, ty się rumienisz.

- Nieprawda - zaprzeczyła wyniośle Lou, chociaż wiedziała, że policzki jej płoną. - Po prostu... Jest mi tu za ciepło.

- Bzdura - powiedział Jack. - Tu jest koło zera. Ty się czerwienisz.

Lou rzuciła koce na podłogę i zaczęła rozpinać zamek kurtki. Włosy opadły jej na twarz, litościwie zasłaniając rumieniec.

- Nic podobnego - powiedziała, walcząc z zamkiem.

- A owszem, czerwienisz się - powiedział Jack ze złośliwym uśmiechem. - Wiesz, jesteś chyba ostatnią kobietą w Hollywood, która jeszcze się rumieni, kiedy jest zażenowana. I która nie może pić mocnych alkoholi.

- Dla twojej informacji... - Lou odrzuciła głowę do tyłu, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i natychmiast pożałowała tego gestu, bo ból rozsadził jej czaszkę. Nie zdołała powstrzymać jęku.

Jack, wciąż uśmiechnięty, wyciągnął się swobodnie na pryczy. Jakimś cudem, chociaż był kompletnie ubrany, wyglądał trochę tak... no cóż, jakby był nagi. Lou nie umiałaby dokładnie powiedzieć, na czym to polegało, ale efekt był mocny.

- Wiesz co, myślałem, że dziewczyny takie jak ty odeszły w zapomnienie, podobnie jak hula - hoop.

Lou, wściekła na siebie, pochyliła się, podniosła swoją torbę i natychmiast zaczęła w niej grzebać.

- Tak? - powiedziała z głową w torbie. - No cóż, to mam dla ciebie nowinę. Nadal istniejemy, a faceci tacy jak ty działają na nas jak płachta na byka.

Z westchnieniem ulgi wyciągnęła fiolkę z aspiryną.

- Faceci tacy jak ja? Naprawdę? A co my niby robimy? Lou wytrząsnęła trzy tabletki.

- Jakbyś sam nie wiedział - powiedziała zgryźliwie, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby popić tabletki. Zobaczyła tylko butelkę whisky, opróżnioną do jednej trzeciej. Na sam widok obręcz wokół jej czaszki zaczęła się zaciskać.

- Nie powinnaś brać aspiryny na pusty żołądek - pouczył ją Jack. Założył ręce za głowę i przyglądał jej się z takim zainteresowaniem, jakby była okazem w zoo: jedyna istota płci żeńskiej na tej planecie, która kiedykolwiek obudziła się w ramionach Jacka Townsenda i nie była tym faktem uszczęśliwiona. - Zjedz parę krakersów.

- Dobrze, mamusiu - sarknęła Lou i wrzuciła sobie trzy aspiryny do ust. Przełknęła. Lekko odbiło jej się gorzkim smakiem.

- Hej, jako człowiek z doświadczeniem dobrze ci radzę, zjedz coś. - Jack leżał sobie tak nonszalancko i najwyraźniej był tak odprężony, jakby leżał na brzegu basenu, a nie na zapleśniałej pryczy. Jemu głowa jakoś nie pękała. - Albo zwróć te tabletki.

Lou skrzywiła się.

- Nie ma mowy.

- Jak uważasz. - Wstał, z wdziękiem zeskakując z pryczy. Był tak wysoki, że głową prawie dotykał sufitu. Lou zastanawiała się, czemu nie zauważyła tego poprzedniego wieczoru. I poza tym, czemu nigdy nie zwróciła uwagi na to, w jaki sposób Jack wypełniał sobą przestrzeń. Naprawdę. Nie było w tym nic wymuszonego. Wydawało się, że zajmuje ją, jakby ta przestrzeń i wszystko, co go otaczało, należało do niego.

- Śnieg już nie pada - powiedział, wyglądając przez brudną szybkę. - Co byś powiedziała, gdybyśmy spróbowali wrócić do helikoptera? Pewnie do tej pory wysłali już ludzi na poszukiwania.

Lou, której nie zachwycała perspektywa bólu żołądka (wystarczy ból głowy), zaczęła po cichu żuć krakersa pozostałego z wczorajszej nocy. Zdziwiła się, że taki zwyczajny krakers może być taki smaczny i że natychmiast poczuła się znacznie lepiej.

Zaraz, myślała z niedowierzaniem, nam się faktycznie udało przetrwać noc na Alasce. Nikt by w to nie uwierzył, ale taka była prawda. W gruncie rzeczy, zaświtała jej nadzieja, może wyjdą z tego cało.

- Dobra - powiedziała Lou. Podniosła torbę z komputerem i zarzuciła ją na ramię razem z torebką. Czy to dzięki krakersom, czy aspirynie samopoczucie polepszało jej się z

minuty na minutę. Nie musi wspominać Jackowi, że w nocy trzymał ją za biust. Nikt poza nią nie musi o tym wiedzieć. I wszystko dobrze się ułoży.

Taką żywiła nadzieję do momentu, kiedy usłyszeli dobiegający z zewnątrz hałas. Skuter śnieżny.

Jack, który miał właśnie podnieść klapę, zastygł w bezruchu.

- Słyszałaś? - wyszeptał.

Lou pokiwała głową. Trudno było nie słyszeć.

- Może to jacyś ludzie nas szukają - odezwała się Lou.

- Z całą pewnością - odparł Jack. - Pytanie tylko, czy to dobrzy ludzie, czy może kumple Sama?

Lou przełknęła głośno. Warkot silnika nagle umilkł.

A potem Lou usłyszała szuranie butów i skrzypienie drewnianych szczebli. Ktoś wspinał się na drabinę.

Jack zacisnął palce na rączce klapy, a potem szepnął do niej:

- Rewolwer.

Z sercem w gardle wyciągnęła z kieszeni trzydziestkę ósemkę. Zerknęła na bębenek i syknęła:

- Ostatni nabój!

Jack z grobową miną pokazał jej gestem, żeby stanęła za jego plecami.

- Ja się tym zajmę - powiedział. - Jeżeli jest tylko jeden. Lou wcale nie podobały się te słowa. Nie ruszyła się z miejsca i nadal stała dokładnie na wprost klapy.

- Będzie miał karabin - wyszeptała.

- Nic mnie to nie obchodzi, może sobie mieć miotacz płomieni - syknął Jack. - Cofnij się, do cholery...

Ale ktoś już otwierał klapę, powoli i ostrożnie, jakby nie chciał zwracać niczyjej uwagi. Bo chyba ta ostrożność nie brała się z lęku przed pajakami? Lou trzymała rewolwer tak, jak nauczył ją ojciec, obiema dłońmi - lewa obejmowała prawą - i mierzyła w środek klapy, ignorując Jacka, który chyba był na nią wściekły.

Może to tylko leśniczy. Albo ratownik. Ale jeśli nie... Jeśli nie...

Kiedy klapa uchyliła się dostatecznie, Lou z miejsca się przekonała, że to nie żaden leśniczy. Facet miał czarną kominiarkę i kurtkę w barwach ochronnych. I jeszcze jedno... Magnum kaliber czterdzieści cztery, odbezpieczone i gotowe do strzału.

W otworach czarnej czapki jarzyły się niebieskie oczy. Omiotły spojrzeniem wnętrze ambony, zatrzymały się na butach Lou, a potem powędrowały w górę, aż rozszerzyły się na

widok trzydziestki ósemki.

Zamiast zawołać: „Policja, rzuć broń!” albo „Przychodzę z pomocą!”, mężczyzna w kominiarce, przytrzymując ramieniem klapę, wycelował...

Nie dano mu szansy. Jack, być może widząc po minie Lou, że poranny gość to nie przyjaciel, z całej siły uderzył ciężką drewnianą klapę, rozbijając facetowi czaszkę i zsyłając go z powrotem na ziemię bez pomocy drabiny.

Lou z wrażenia upuściła trzydziestkę ósemkę.

- Nieźle - powiedziała do Jacka.

- O, to chyba pierwsza miła rzecz, jaką od ciebie usłyszałem - odparł.

A potem szarpnął klapę, otworzył ją i zaczął schodzić na dół.

Lou poszła jego śladem, nieco zaskoczona zmianą w krajobrazie, jaka dokonała się dzięki nocnej śnieżycy. Już przedtem śniegu nie brakowało, ale teraz pokrywał ziemię metrową warstwą. Kiedy wreszcie zeszła z drabiny, prawie po uda zapadła się w puch.

Facet w kominiarce leżał ze dwa metry dalej, nogę miał zgiętą pod bardzo dziwnym kątem. Oddychał; obłoczki pary zamarzały w lodowatym powietrzu.

- O cholera! - zaklął Jack.

- O co ci chodzi? - spytała. - Nie zabiłeś go. Jest tylko nieprzytomny.

- Aż za bardzo - powiedział Jack ponuro. - A chciałem go o parę rzeczy wypytać.

- Wątpię, żeby ci coś powiedział. Chyba że wywarłbyś pewien. .. nacisk. Wybacz, Jack, ale nie wyglądasz na typa, który umie wywierać taki... nacisk.

- A to byś się zdziwiła - odparł Jack tajemniczo. A potem przyklęknął i wyłuskał z dłoni rannego magnum kaliber czterdzieści cztery. - Masz - powiedział, wręczając broń Lou. - Dodaj to do swojego arsenału.

Lou wzięła rewolwer, sprawdziła bezpiecznik, a potem bez słowa wsunęła go do kieszeni razem z trzydziestką ósemką. Przyglądała się, gdy Jack ściągał kominiarkę z twarzy ich niedoszłego zabójcy.

- Znasz go? - spytał.

Lou spojrzała. Facet był w średnim wieku, miał zupełnie niegroźną twarz i policzki czerwone od zimna.

- Nie. A powinnam?

- Nie mam pojęcia. - Jack wzruszył ramionami. - Ja też go nie znam. - Klęcząc na śniegu, podniósł wzrok i zapytał zniecierpliwiony: - Dlaczego faceci, których nawet nie znam, chcą mnie zabić?

- Nie wiem - powiedziała Lou. - Ale lepiej nie marnujmy czasu. Słyszysz?

Jack odrzucił głowę w tył. On też nie miał czapki. Wiatr, łagodny w porównaniu z poprzednim dniem, ale nadal bardzo zimny, mierzwił mu włosy.

- Skutery śnieżne — stwierdził posępnie. - Jadą tu.

- Możliwe, że to nasi - powiedziała Lou, ale bez większego przekonania.

- Dopóki nie zobaczę błyszczącej srebrnej odznaki, nie uwierzę nikomu. - Jack chwycił Lou za ramię. - Chodź. Tym razem przynajmniej sobie pojedziemy.

Pozwoliła mu poprowadzić się do skutera śnieżnego porzuconego przez człowieka w kominiarce.

- Jeździłeś już kiedyś czymś takim? - spytała sceptycznie.

- Jasne - odparł Jack, przerzucając nogę przez siodełko. - Spędzaliśmy zimy w Aspen, kiedy byłem mały.

- Och - westchnęła Lou ironicznie. - Spędzałeś zimy w Aspen. No jasne. Co za głuptas ze mnie. A lata gdzie? W Vineyard?

Uruchomił silnik, oglądając się na nią przez ramię.

- Na przylądku - odparł. - Jedziesz czy wolisz zostać tutaj i dalej robić kąśliwe uwagi na temat mojego dzieciństwa?

Przyjrzała się szerokiemu czarnemu siedzeniu. Było tam dosyć miejsca dla dwojga, ale trzeba by siedzieć ciasno. Na szczęście, z tyłu zobaczyła uchwyty dla rąk, więc przynajmniej nie będzie musiała trzymać się Jacka Townsenda. Jacka Townsenda, który pół godziny wcześniej obejmował ją ściślej niż ktokolwiek inny w całym jej życiu.

Warkot nadjeżdżających skuterów robił się coraz głośniejszy.

- Lou - ponaglił Jack. - Chodź wreszcie.

No cóż, czy miała jakiś wybór? Mogła wsiąść na skuter z Jackiem Townsendem albo ryzykować kulkę w łeb.

Nie zastanawiała się długo. To dlatego, że obok przeleciał pocisk. Minął ją dosłownie o centymetry i utkwił w śniegu parę metrów dalej.

Lou skoczyła na siedzenie za Jackiem jak wystrzelona z procy. Na śmierć zapomniała o rączkach z tyłu. Objęła ramionami Jacka i wrzasnęła z całej siły:

- Jedź, jedź, jedź!

Nie trzeba było go poganiać. Sekundę później zjeżdżali na łeb na szyję po stromym stoku, wiatr szarpał im włosy i smagał policzki, a nad ich głowami świstały kule.

Dzięki niechęci Lou, Jack w roli detektywa Logana był już w najrozmaitszych sytuacjach. Na przykład w *Gliniarzu zabójcy 2*. Wskakiwał do lodowato zimnego, wzburzonego oceanu, i to pod gradem wielorybicznych harpunów. Oczywiście, nie były to prawdziwe harpuny. I nie harpuny dały mu się we znaki. Raczej temperatura wody - tym bardziej że gdzieś po drodze, zgodnie ze scenariuszem, pozbył się spodni.

Lou wyklócała się, że ta scena w akcie trzecim jest konieczna dla ostatecznego rysunku postaci. Reżyser oczywiście zaufał jej ocenie. Jack dziarsko skakał do wody raz za razem, powtarzając ujęcia. Film w pierwszym tygodniu po premierze zarobił sto milionów.

Potem był *Gliniarz zabójca 4*, w którym Logan musiał się rzucić - nagi jak go pan Bóg stworzył, oczywiście — w zaspę śnieżną. Inaczej, twierdziła Lou, późniejszy zwrot akcji nie będzie miał sensu.

A Tim Lord jej uwierzył.

Ale nawet zdobywczyni Nagrody Akademii Filmowej w kategorii dla najlepszego scenariusza, Lou Calabrese, nie zdołałaby, według Jacka, wymyślić czegoś takiego jak to. Gnali na złamanie karku, nie mając pojęcia, dokąd, a tymczasem kule świstały im nad głowami.

Jednak za jedną rzecz wdzięczny był losowi: przynajmniej tym razem miał na sobie ubranie.

Oczywiście, instynkt kazałby mu raczej jechać w górę. W górę, gdzieś tam, gdzie leżał wrak R - 44. Niestety, nie miał wyboru.

Jego zegarek wskazywał po ósmej, kiedy Lou wyrwała go ze snu. Do tej pory ekipa ratunkowa na pewno znalazła już wrak. Teraz powinni penetrować okolicę, szukając jakichś śladów Jacka i Lou.

Ale najwyraźniej kumple Czarnej Kominiarki też zdawali sobie z tego sprawę, skoro rozwinęli tyralierę, i stosując szalenie przekonujący ogień z broni palnej, zmusili Jacka, żeby kierował się w dół, gdzie, Bóg raczy wiedzieć, co go czeka.

Pędząc po stromym stoku, cudem omijał drzewa i skały. W głowie kołatała mu się jedna myśl: jeśli przeżyje, nigdy więcej nie nakręci już żadnego filmu. I tyle. Skończyło się. Przejdzie na emeryturę. Kinowa kariera Jacka Townsenda dobiegła końca.

Pomyślał, że w sumie była to kariera udana. Lubił grać doktora Rourke w *Izbie przyjąć*, a *Gliniarz zabójca* dał mu zarówno niezależność finansową, jak i okazję doskonalenia umiejętności aktorskich. Niejedna scena napisana przez Lou w odwecie za tekst:

„Potrzebna mi większa spluwa”, pozwoliła Jackowi dowieść, że potrafi wyrazić wszystkie ludzkie emocje. Dzięki temu dostawał główne role w filmach mniej znanych, ale bardziej cenionych przez krytykę.

A *Hamlet* został sfinansowany w całości z dochodów z *Gliniarza zabójcy*. Jack odłożył wystarczająco dużo pieniędzy, żeby założyć własną firmę producencką, gdyby zdecydował się na zawsze zrezygnować z aktorstwa. Mógłby być takim amerykańskim Kennethem Branaghem, robiąc filmy na podstawie mniej znanych sztuk Szekspira. Może nawet Ibsena i Shawa. Wyświetlano by je tylko w centrach kultury w większych miastach, ale to mu nie przeszkadzało. Mógłby wtedy więcej czasu spędzać na ranczu...

Tak, miał za sobą udaną karierę. Z pewnością udało mu się osiągnąć więcej, niż spodziewał się po nim ojciec.

Chociaż Jack bardzo wątpił, czy ojciec byłby dumny, gdyby go teraz zobaczył, w scenie brawurowej ucieczki na skuterze przed śmiertelnie groźnymi bandytami... W scenie, która nie należała do żadnego ze scenariuszy Lou Calabrese, ale rozgrywała się naprawdę.

Dawno już przekroczyli bezpieczną prędkość i Jackowi przemknęło przez myśl, że zaraz się rozbiją. Mimo wszystko wołał jednak umrzeć w ten sposób niż dać się zastrzelić. Przynajmniej nie da satysfakcji tym dupkom w kominiarkach.

Miał nadzieję, że Lou jest tego samego zdania. Mocno oplotła go ramionami, ledwie mógł oddychać.

Jednak wcale nie kulila się ze strachu, o nie. Zamiast tego wykrzykiwała mu coś do ucha; jak się domyślał, były to uwagi co do sposobu prowadzenia skutera. Na szczęście, silnik wył tak głośno, że nie słyszał ani jednego słowa. Ale żeby tylko krzyczała! Co chwilę puszczała się, ryzykując życie, i wskazywała ręką kierunek. Dlaczego uważała, że wie dokąd jechać, skoro tak samo jak on zupełnie nie znała Alaski, nie miał pojęcia. Ale najwyraźniej należała do kobiet, które nie lubią tracić kontroli nad sytuacją. A ta jej mina dziś rano, kiedy zorientowała się, że spał obok niej! No cóż, czego się spodziewała? Że będzie spał na podłodze?

- Uważaj!

Tym razem zdołała przekrzyczeć silnik. Nie na wiele się to zdało, bo Jack i tak nie zrozumiał, o co jej chodzi... dopóki nie uderzyli w niewielki głaz, na wpół ukryty pod śniegiem, i nie poszybowali w powietrze.

- O mój Boże! - Usłyszał ją bardzo wyraźnie, pewnie dlatego, że trzymała usta tuż przy jego uchu. - Townsend, jeśli nas w końcu zabijesz, to...

Skuter wylądował potężnym szarpnięciem, które poczuł w całym kręgosłupie. Jack

cudem zdołał odzyskać panowanie nad pojazdem i ruszył dalej, wzbijając tumany śniegu.

- .. .pożałujesz! - dokończyła Lou.

Mróz i wiatr wyciskały mu łyzy z oczu. Powinien był zabrać gogle Czarnej Kominiarki, ale nie chciał nawet faceta dotykać. Głupio zrobił, teraz prawie nic nie widział.

Ledwo rozróżniał sylwetki drzew, kiedy pędzili prosto na nie. No i pozostawała jeszcze Lou, która z całej siły wyrzaskiwała mu do ucha instrukcje:

- W lewo! A potem:

- W prawo!

A potem wreszcie:

- Townsend, co ty wyrabiasz?! W lewo, w lewo!

Nie wiedział, czy kule nadal świszczą im nad głowami. Chyba przestały. Trudno byłoby strzelać przy tak dużej prędkości.

Ale pogoń nie ustawała. Widział ich kątem oka, żółte i czerwone smugi. Do diabła, czym sobie na to zasłużył? Nie bawił się w hazard ani w narkotyki. Jego życie poza ekranem było nudne jak flaki z olejem. Składał datki na rozmaite fundacje dobroczynne, a Szpitalowi Dziecięcemu St. Jude ofiarował tyle pieniędzy, że całe skrzydło nazwano jego imieniem. Ratował maltretowane albo porzucone konie i na swoim ranczu pozwalał im w spokoju dożyć końca swoich dni.

Więc kto, u diabła, mógł życzyć mu śmierci?

Dwa skutery zaczęły ich doganiać. Zaraz będą parę metrów za nimi. Dobry dystans do strzału.

Przed sobą widział spory spłachetek otwartej przestrzeni, dziwnie pozbawiony drzew. Pomyślał, że jeśli dociśnie gaz do dechy, a potem nagle skręci, to może uda mu się zgubić pogoń.

Obawiał się tylko, że przy okazji zgubi też Lou. Znowu wykrzykiwała mu coś do ucha. Czy zdawała sobie sprawę, że jeśli ścigający zbliżą się na odległość strzału, ona pierwsza oberwie kulkę? Chyba nie. Koncentrowała się raczej na wytykaniu mu błędów. Jak większość pilotów z tylnego siedzenia, uważała, że kierowca jedzie jak łamaga.

Nie, nie może pozwolić jej zginąć. W końcu od paru lat Lou Calabrese była jego ulubionym wrogiem. Życie bez niej definitywnie straciłoby pewien smak. Nie znał znowu aż tak wielu kobiet, które by go zdecydowanie nie cierpiały. I do których w dodatku czuł jakiś pociąg. Dlaczego miałyby go interesować kobieta, która jawnie okazywała mu wrogość, nie potrafił sobie wytłumaczyć. Może właśnie dlatego, że tak bardzo go nie lubiła?

I wtedy zobaczył przepaść. Nic dziwnego, że nie było tu drzew. Zbliżyli się do

szerokiego na trzy metry jaru. W dole płynął strumień, pewnie bardzo malowniczy latem, a teraz zamrznięty na kamień. Nie było żadnego mostka, nie w takiej dziczy. A więc tu kończyła się ich ucieczka.

Oczywiście, mógł zawrócić. Skręcić i zginąć od kul. Albo dalej jechać przed siebie. Tak czy inaczej, zmierzali prosto w objęcia śmierci.

Przyspieszył.

- Townsend! - wrzasnęła Lou. Ona też już widziała, co się dzieje. I niespecjalnie jej się to spodobało.

- Co robisz? Zwariowałaś? Skręcaj! Skręcaj! Jack zaciskał palce na dźwigni gazu.

- *Smokey i bandyta!* - zawołał przez ramię.

- Myślałam - odwrzasnęła - że nie lubisz filmów...

Jej krzyk - tak głośny, że słysząc go było chyba w samym Anchorage - brzmiał mu w uszach, kiedy lecieli nad przepaścią. Spojrzał pod płozy i mignęły mu kaskady wody, daleko w dole. Nurt musiał być bardzo silny, jeśli strumień nie zamarł przy tej temperaturze. Zdażył się zastanowić, czy spadając, rozbiją się na skałach, czy po prostu porwie ich woda i zatopi...

Ale wtedy płozy dotknęły brzegu rozpadliny, chociaż tylna część skutera zawisała nad przepaścią...

- Skacz! - wrzasnął Jack.

Upadli razem w śnieg, a skuter zachwiał się i runął w trzydziestometrową przepaść.

Ich prześladowcy nie mieli tyle szczęścia. Zamiast przyspieszyć, nacisnęli hamulce - jeden zrobił to ciut za późno. Spadł na łeb na szyję prosto w otchłań.

Jack nie czekał, żeby przekonać się, jak poradzili sobie pozostali. Poderwał się na nogi i pociągając za sobą Lou, wrzasnął:

- Biegiem!

A potem, trzymając ją mocno za ramię, rzucił się w stronę drzew.

Biegł na oślep przed siebie, ciągnąc za sobą Lou. Mroźne powietrze zapierało dech w piersiach. Pamiętał, żeby biec zygzakiem - trudniej ich będzie trafić.

Długo biegli, zanim zdał sobie sprawę, że nie słyszą strzałów. Zaczął zwalniać kroku. Znaleźli się w lesie na tyle gęstym, że nikt nie mógłby ich ścigać na skuterze... Nawet gdyby prześladowcy znaleźli jakiś sposób na pokonanie jaru.

Lou ciągnęła go za rękaw.

- Chodź - nalegała. - Chodź, Jack. Oni tam są. Chodź, Jack.

- Nie. - Jack zatrzymał się, oparł o drzewo i ciężko dysząc, obejrzał za siebie. - Nie ma ich, Lou. Popatrz. Zostali za wąwozem. Zgubiliśmy ich. Na razie.

- O mój Boże! - Więcej powiedzieć nie zdołała. - O mój Boże, Jack.

Słyszał jej krótki urywany oddech, widział wielkie oczy i źrenice rozszerzone ze strachu. Zrozumiał, że wcale nie dyszała ze zmęczenia. Ona łkała. Bez łez, ale łkała. Nigdy jeszcze nie widział kogoś tak przerażonego.

- Już w porządku - powiedział, przyciągając ją do siebie. - Hej! Już w porządku.

Przez chwilę zdawała się kimś zupełnie innym. Bezczelna, zrozumiwała Lou Calabrese, do której tak przywykł, zniknęła gdzieś, a jej miejsce zajęła nieznajoma ze łzami w oczach i drżącymi wargami. Przywarła do kurtki Jacka, chowając twarz na jego piersi, nagle miękka i wrażliwa jak kociątko. Czuł jej ciepły oddech na swojej szyi, czuł jej piersi, krągłe i żywe. Co najdziwniejsze, poczuł też iskrę pożądania.

To było niewiarygodne. Tkwił na mroźnym pustkowiu, ścigany przez bandytów, nie wiedział nawet, czy przeżyje najbliższą godzinę, a co dopiero mówić o całym dniu, tymczasem jego ciało reagowało na dotyk ładnej kobiety... W dodatku kobiety, która od dawna uprzykrzała mu życie, potrafiła kłuć jak kaktus, ale jak właśnie odkrywał, bywała też łagodna jak owieczka...

Właśnie zastanawiał się, czy nie powinien wykonać jakiegoś ruchu - tłumaczył sobie, że wcale nie wykorzystywałby w ten sposób jej chwilowej słabości - na przykład unieść jej podbródek i pocałować - kiedy Lou nagle zeszywniała, wysunęła się z jego objęć i walnęła go w ramię.

- Au! - zawołał nie tyle z bólu, chociaż walnęła całkiem mocno, ale z zaskoczenia. - Co ci jest, kobieto?!

- Co mi jest?! - Źrenice zmalały jej do normalnych rozmiarów. Już nie była przerażona. Teraz była wściekła. - Co mi jest?! A tobie?! Kogo ty do cholery odgrywałeś? Stevena Sea - gala?

Jack potarł ramię, oburzony i zarazem nieźle zawstydzony, że poczuł do niej jakikolwiek pociąg.

- Udało się, nie? - powiedział ostro. - Może to cię zdziwi, ale oni do nas strzelali prawdziwymi nabojami.

- Strzelali do nas? - powtórzyła jak echo. - Chyba chciałeś powiedzieć, strzelali do ciebie. To nie ja tutaj...

- To nie ty co? - przerwał jej gniewnie.

- To nie ja tutaj narozrabiałam. To nie mnie chcą zabić! Jack zamknął oczy, modląc się o cierpliwość.

- Po raz ostatni - powiedział tak powoli i spokojnie, jak tylko zdołał - tłumaczę ci, że

nie zrobiłem niczego, co by mogło kogoś wkurzyć do tego stopnia!

- Ach tak? No to, kto tam jest, do cholery? - zapytała Lou. - Członkowie klubu strzeleckiego z Myry na Alasce?

Jack wziął głęboki oddech.

- Mówiłem ci już. Nie wiem, dlaczego ci faceci mnie ścigają. I lepiej wynośmy się stąd do diabła, zanim przekroczą wąwóz i nas dopadną.

Spiorunowała go wzrokiem.

- I niby dokąd mielibyśmy pójść? - zapytała lodowato. Może nie zauważyłeś, ale zgubiliśmy się.

Rozejrzał się. Wokół był gęsty las. Nic tylko śnieg, drzewa i skały.

Mimo to dość łatwo było wyznaczyć kierunek marszu. Pokazał w dół i powiedział:

- Tam.

Lou nie wyglądała na przekonaną.

- Oni chcieli, żebyśmy uciekali w tym kierunku — powiedziała. - Właśnie tam nas zaganiali.

- I dlatego powinniśmy iść w tamtą stronę - stwierdził. - Spodziewają się, że będziemy się kierować w górę, z powrotem do Myry i miejsca katastrofy. A my ich przechytrzymy. Ruszymy w dół, w kierunku Anchorage.

- Sama nie wiem, Townsend - powiedziała.

Obdarzył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem, tym, który użyty po raz pierwszy w *Izbie przyjęć*, przyniósł więcej fanpoczty niż jakikolwiek inny odcinek serialu.

- Zaufaj mi - powiedział.

Popatrzyła na niego tak, jakby postradał zmysły. Ale kiedy zaczął schodzić, ruszyła jego śladem. Wiedział, że to niewiele. No cóż, dobre i to.

Apartament hotelowy był dokładnie zastawiony kwiatami. Frank nie widział tylu bukietów w jednym miejscu - lili, białych róż, kwiatów, których nazw nie znał - od czasu pogrzebu Helen przed dziesięcioma laty. KONSJERŻ, który czekał na nich w holu i zaprowadził do apartamentu Tima Lorda, powiedział, że przysyłano tyle bukietów, że zaczęli je już ustawiać w sali konferencyjnej i sali bankietowej. Jak to ujął, cały świat pogrążył się w żałobie po Jacku Townsendzie.

I po panie Calabrese naturalnie też, dodał, rzucając szybkie spojrzenie na Franka. Frank jednak nie miał do niego żalu. Lou już dawno wyjaśniła mu, że na zastawionym po hollywoodzku stole gwiazdy takie jak Jack Townsend - a teraz, dzięki *Hindenburgowi*, również ten chłystek, Barry Kimmel - były jak stek z polędwicy, za to scenarzyści, na przykład Lou, jak ziemniaki. I to nawet nie frytki, a zaledwie puree. Mówiąc wprost - tłuczone kartofle.

Kwiaty stwarzały żałobną atmosferę. A może nie tyle kwiaty, ile absolutna cisza panująca w białym pokoju. Tim Lord miał podobno dzieci - chyba z szóstką, ze swoich licznych małżeństw, ale najwyraźniej nie było ich w pobliżu. Cisza i spokój, jak w domu pogrzebowym. Kwiaty jeszcze pogarszały sprawę. Jeden z bukietów miał kształt wieńca. Wokół niego wiła się biała jedwabna wstęga. Na wstędze złotymi literami wypisano: „Najszczerze kondolencje”.

Zamiast usiąść na białej otomanie, Eleonora Townsend przeglądała bileciki dołączone do kwiatów. Szczupła i elegancka w swojej ciemnej garsonce - teraz pokrytej gęsto złotymi włosami Alessandra - pochyliła się nad wieńcem.

- To ze studia filmowego. - Skrzywiła się z niesmakiem. - Czemu nie zaczekają, dopóki nie dowiemy się z całą pewnością, że zginęli, zanim zaczną wyrażać te swoje najszczerze kondolencje?

Frank zerknął do filiżanki z kawą, która dymiała przed nim na szklanym blacie stołu. Jeszcze jej nie tknął, ale pachniała całkiem nieźle.

- Faktycznie, jakoś nie bardzo - powiedział. - Ale co mieli napisać? „Powodzenia”?

- W ogóle nie powinni nic pisać, jeśli nie mogli wymyślić czegoś podnoszącego na duchu.

Frank znów musiał się zgodzić z Eleonorą Townsend. W ciągu minionych dwunastu godzin wielokrotnie przyznał jej rację. Dziwne, bo przecież właściwie nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Weźmy na przykład tego psa. Frank zawsze wolał porządne duże psy: owczarki niemieckie, labradory. Denerwowały go te małe wypieszczone pieski dziwnych ras, kapryśne i jazgoczące.

Ale nawet on musiał przyznać, że Alessandro chwycił za serce. W czarnych oczkach błyszczała inteligencja, a włochaty mały pyszczek miał w sobie coś z lisiego sprytu.

Nie tylko Alessandro podobał się Frankowi u Eleonory Townsend. Nie, ta dama - bo przecież była damą w każdym calu - miała sporo zalet.

Tim Lord energicznie otworzył drzwi i wszedł do środka. Frank poznał go na uroczystości wręczenia Oscarów. Udało mu się wtedy poznać Paula Newmana. Och, jakże Helen by się tam podobało... Za Lordem szedł facet w garniturze i krawacie, z teczką w ręku.

- Frank! —zawołał Tim Lord. Oczy błyszczały mu nienaturalnym ożywieniem. Niewypłakane łzy? Za dużo alkoholu? Tych typków z biznesu filmowego ciężko było wyczuć. - I pani Townsend, bardzo się cieszę, że mogę panią nareszcie poznać. Jaka szkoda, że nie spotykamy się tu w okolicznościach bardziej...

Tim Lord rzucił się naprzód i chwycił dłoń Eleonory w swoje dłonie. Frank zauważył, że facet jest zaledwie ze dwa centymetry wyższy niż ona.

- Tak mi przykro, że nie mogłem być w holu, aby państwa przywitać - mówił Lord. - Ale prasa... No cóż, na pewno państwo ich widzieli. Są niczym sępy, doprawdy. Odrażające kreatury. Usiłuję trzymać ich na dystans od czasu... No cóż, od czasu tragedii.

Frank Calabrese przez czterdzieści lat służby w policji niejednego się nauczył. A umiejętność natychmiastowego wykrywania taniego bajeru miał opanowaną perfekcyjnie.

Teraz, słuchając Tima Lorda, poczuł, że jego detektorowi taniego bajeru skończyła się skala.

- Jeszcze za wcześnie mówić o tragedii, panie Lord. - Głos Eleonory przypominał Frankowi dawne aktorki filmowe, które Helen tak lubiła, na przykład Kate Hepburn czy tę drugą, która wyszła za księcia. - Nie znaleziono jeszcze żadnych ciał, prawda?

Facet w garniturze postawił teczkę na stoliku i odezwał się:

- Nie, nie znaleziono. A pan Lord i ja, jak cała reszta świata, modlimy się z nadzieją że pan Townsend i panna Calabrese nadal żyją i mają się dobrze. Tymczasem jednak są pewne sprawy, które musimy przedyskutować...

Frank patrzył na faceta z niedowierzaniem, czując, jak ogarnia go złość. Prawnik. Tim Lord przyprowadził ze sobą prawnika. Niesłychane. W takiej sytuacji potrafił martwić się wyłącznie o własny tyłek...

Nagle przy drzwiach nastąpiło małe zamieszanie i po chwili, nie zważając na protesty

konsjerża do środka wszedł szeryf hrabstwa.

- Ehm, słucham pana? Czy mogę panu w czymś pomóc? spytał nerwowo prawnik.

Szeryf był wysokim siwiejącym facetem. Zanim szedł znacz nie młodszy zastępca, którego twarz prosiła się o dermatologa albo chociaż o dobry krem ochronny. Spojrzenie szarych oczu szeryfa powędrowało od Tima Lorda do prawnika, a potem w stronę Franka i Eleonory Townsend. Zatrzymało się, na Eleonorze.

- Pani Townsend, czy tak? - spytał grzecznie, zdejmując kapelusz. Stojący zanim zastępca też zdjął nakrycie głowy.

Eleonora chyba trochę za mocno ścisnęła Alessandra, o ile można było sądzić po żalonym skomleniu.

- Tak - odparła. - Nazywam się Eleonora Townsend.

- A to pan Calabrese? - Frank poczuł uznanie dla tego faceta, mimo że wiedział, co za chwilę nastąpi. Szeryf chciał sam przekazać im wiadomość, zamiast zrzucać nieprzyjemny obowiązek na policyjnego kapelana.

- Jestem Frank Calabrese. - Zdziwił się, że jego głos brzmi tak strasznie obco. To był głos starego człowieka. Cóż, Frank może najlepsze lata miał już za sobą, ale nie stał jeszcze nad grobem...

- Jestem szeryf Walter O'Malley. Wracam z miejsca wypadku R - 44, którym podróżowali wczoraj rano pana córka i pani syn. Pomyślałem, że lepiej będzie, kiedy sam państwa poinformuję. Naszym zdaniem pan Townsend i panna Calabrese przeżyli katastrofę.

- Przeżyli? — rozległ się kobiecy głos.

Ale to nie była Eleonora. Głos nadbiegł z przeciwnej strony pokoju. Frank odwrócił głowę i zobaczył drobną kobietę w szarej jedwabnej piżamie, z mocno potarganymi krótkimi włosami. Stała w drzwiach sypialni. Na jej niewiarygodnie ślicznej twarzy malował się wyraz bezgranicznej, obezwładniającej radości.

- Naprawdę pan to powiedział? - Podbiegła do nich szybko i złapała szeryfa za ramię. Przywarła do jego boku. - Oni żyją?

Walter O'Malley zrobił zakłopotaną minę. Najwyraźniej nie przywykł, żeby obce młode damy tuliły się do niego.

- Ehm - odchrząknął. - No cóż, proszę pani, we wraku było tylko jedno ciało, zwłoki pilota. Przechesujemy okolicę, szukając pana Townsenda i panny Calabrese. Sądzymy, że musieli oddalić się od miejsca katastrofy, być może w poszukiwaniu jakiegoś schronienia...

- Musicie ich odnaleźć - oświadczył stanowczo Tim Lord, podchodząc do kobiety w piżamie i obejmując ją ramieniem. - Koszty nie grają roli. Studio pokryje wszelkie wydatki.

Zróbcie co w ludzkiej mocy, żeby ich uratować.

Walter O'Malley spojrział na Tima Lorda z pewnym niesmakiem. A więc szeryf też ma detektor taniego bajeru, pomyślał Frank.

- To nie koszty utrudniają nam poszukiwania. - Szeryf bezskutecznie próbował uwolnić ramię z uścisku blondynki. - Szczerze mówiąc, bruździ nam pogoda. Mamy w powietrzu samoloty - biuro lotnictwa cywilnego obiecało sprowadzić jeszcze kilka - ale zbliża się kolejny front burzowy. Dziś w nocy znów spodziewamy się ataku śnieżycy...

- Och, nie... - Eleonora osunęła się na sofę obok Franka, bo nogi odmówiły jej nagle posłuszeństwa. Po omacku wyciągnęła rękę, jakby szukała jego dłoni. Chwytał ją i mocno uściskał. Alessandro, zaniepokojony, zaczął lizać swoją panią po brodzie.

- Jeśli udało im się przetrwać wczorajszą zamieć - ciągnął szeryf - to istnieje spore prawdopodobieństwo, że przeżyją i tę. Prognozy mówią, że będzie tylko trochę silniejsza...

- O Boże! - jęknęła blondynka w pizamie, jakby nie mogła już dłużej tego słuchać.

Szeryf spojrział na nią krótko.

- Mój zastępca Lippincott i ja chcielibyśmy dowiedzieć się, czy pani syn, pani Townsend, albo pańska córka, panie Calabrese, posiadają jakieś umiejętności ułatwiające przetrwanie w ekstremalnych warunkach.

Eleonora zamrugała powiekami, patrząc na szeryfa pustym wzrokiem.

- Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, o czym pan mówi.

- No cóż, chodzi o to, czy któreś z nich wie, jak radzić sobie w takiej sytuacji - wyjaśnił uprzejmie szeryf O'Malley. - Na przykład, pan Townsend. Czy kiedyś polował? Wędrował po lesie?

- Jest właścicielem rancza - odparła Eleonora. - Hoduje tam konie. Ale ranczo leży w Salinas. W Salinas śnieg nie pada.

Szeryf O'Malley pokiwał głową.

- A pańska córka, panie Calabrese? - zapytał. - Czy ma jakiegokolwiek doświadczenia tego typu? Poruszanie się w trudnym terenie, przetrwanie w arktycznym klimacie? Pytam, bo może to nam podsunie wskazówkę, gdzie ich szukać. Samoloty będą musiały oblecieć ogromny teren, a gdyby pan, na przykład, wiedział, że córka potrafi odnajdować strony świata bez użycia kompasu...

Frank uważnie słuchał szeryfa. Lou nigdy w życiu nie pojechała na żaden obóz. Piesze wędrówki, biegi terenowe - nie, to nie dla niej. Jako dzieciak większość czasu spędzała zwinięta w kłębek z książką w rękę. Albo przed telewizorem.

Frankowi nie bardzo się to podobało, ale Helen broniła córki. W gruncie rzeczy,

choć nigdy nie ośmieliliby się powiedzieć tego żonie prosto w oczy, to przez nią Lou miała pewne problemy z nadwagą. Zamiast pobiegać czy pojeździć na rowerze, wiecznie siedziała przed telewizorem. A Helen mawiała tylko: „Ona tak kocha filmy. I co to szkodzi? Stopnie ma dobre”.

Lou rzeczywiście zawsze miała dobre stopnie. Kiedy nie mieli jeszcze magnetowidu, Helen często pozwalała jej zostać w domu, kiedy leciał jakiś szczególnie ważny film. Nawet sama dzwoniła do szkoły, usprawiedliwiając nieobecność Lou.

Dzięki Bogu, zanim Lou skończyła dwanaście lat, Frank mógł wreszcie pozwolić sobie na magnetowid, w przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że dziewczyna w ogóle nie skończyłaby szkoły.

Nagle uderzyła Franka pewna myśl. Nie, Lou nigdy nie lubiła dzikiej przyrody. Nie lubiła biwaków, a wędrowała wyłącznie po centrach handlowych. Ale obejrzała każdy film, jaki kiedykolwiek nakręcono. Tego był absolutnie pewien.

Więc powiedział:

- Kino! - I spojrzał wyczekująco na szeryfa.

W przeciwieństwie do pozostałych, szeryf zrozumiał.

- Widziała dużo filmów o sztuce przetrwania? - spytał O'Malley.

- Co do jednego cholernego gniota - odparł Frank. A potem dodał, zerkając na Eleonorę: - Przepraszam.

Ale Eleonora chyba nie zwróciła uwagi na przekleństwo, które mu się wyrwało.

- Filmy... - powtórzyła, zamyślona. - Zastanawiam się, czy...

Ale Frank się nie zastanawiał. Bo wiedział swoje. Jeśli istniał jakiś film o sztuce przetrwania w arktycznych warunkach, to Lou na pewno go widziała. Pozostawało, oczywiście, pytanie, czy to wystarczy.

- Jezus, Lou! - zawołał Jack przez ramię. —No chodźże. Lou odgarnęła spadający na oczy kosmyk i wyciągnęła nogę zasy. Chociaż już dawno wsadziła sobie nogawki spodni w długie buty, nadal wydawało jej się, że śnieg jakoś dostaje się do środka.

- Rusz się, Lou - mruknęła do siebie. - Pośpiesz się, Lou. Łatwo ci mówić. Spróbuj brnąć przez ten śnieg w butach na obcasach!

Ostrożnie postąpiła krok naprzód. W niektórych miejscach śnieg pokrywała warstewka lodu i czasami udawało jej się przejść bez zapadania się głęboko w biały puch.

Ale nie tym razem. Stopa zapadała się i zapadała... Cholerny, głupi śnieg. Nie bez powodu przeniosła się do Kalifornii i nie chodziło wyłącznie o Barry'ego, który chciał tu zamieszkać ze względu na swoją aktorską karierę. Nie, sama chętnie się przeprowadziła, bo to oznaczało, że już nigdy w życiu nie będzie musiała brnąć przez taki sięgający kolan...

- ...śnieg. - Podniosła oczy, spoglądając na szare niebo i mrugając z niedowierzaniem. Nie. To niemożliwe.

Ale tak było. Padał śnieg. Znow. Białe płatki gęsto sypały się z nieba i nic nie wskazywało, żeby miały wkrótce przestać. Cholera. Cholera! Nie dość, że...

- Lou! - zawołał znowu Jack. —Zbieraj się. Musimy pokonać to wzniesienie przed zmierzchem!

- Dlaczego? - spytała Lou zaczepnym tonem. - Co, u licha, twoim zdaniem mielibyśmy znaleźć za tym wzniesieniem? Pieprzony hotel Sheraton?

- To tylko taki cel - wyjaśnił Jack tonem człowieka, któremu powoli puszczają nerwy. - Nigdy przedtem nie wędrowałaś? Wybierasz jakiś punkt krajobrazu i mówisz sobie: będę szła, póki nie dotrę do tego drzewa. A kiedy docierasz do tego drzewa, wybierasz następne i idziesz dalej.

- Nie uprawiam wędrowek - powiedziała Lou sucho. - Biegam na bieżni podczas każdego odcinka *Sądzi Judy*.

Jackowi niespecjalnie zaimponowała.

- Nie da się zdobyć dobrej kondycji, biegając na bieżni.

- Mam znakomitą kondycję - oświadczyła Lou. - A ty mi nie wmówisz, że za tym wzniesieniem kryje się coś ciekawego. Śnieg. Drzewa. I jeszcze trochę śniegu. A potem, wiesz co? Och, może jeszcze trochę drzew i śniegu.

- Co ja mam twoim zdaniem zrobić, Lou? - zapytał Jack. - Mam ci kłamać? Powiedzieć, że za następnym wzgórzem jest bar z hamburgerami?

- Byłoby miło - odparła Lou. - Może to by wzbudziło we mnie nieco więcej zaufania do twoich kwalifikacji jako przewodnika. Bo z całą pewnością na razie nie zobaczyłam niczego, co by mi zaimponowało.

Mimo gęsto padającego śniegu dostrzegła na jego twarzy niedowierzenie.

- O co ci chodzi? - zapytał. - Uratowałem nas przed śmiercią, może nie?

- Och - prychnęła z niesmakiem. - A skąd ja mam wiedzieć, czy my się teraz nie pchamy z deszczu pod rynnę? Nawet nie wiesz, w jakim kierunku idziemy. Tony Hopkins w *Lekcji przetrwania* zrobił sobie kompas z klipsa do papieru i liścia. Szkoda, że ty się nie możesz wykazać taką pomysłowością.

- Taa. No cóż, nie mam przy sobie klipsa do papieru - odparł Jack. - A jeśli zobaczysz jakieś liście, daj mi znać. Boja na razie widzę same igły. Przykro mi, ale MacGyvera nie grałem, zapomniałaś? To ten drugi facet. Ale jeśli potrzebna ci intubacja, jestem do twojej dyspozycji.

- Ha! - powiedziała Lou. - Myślisz, że ja ci kiedykolwiek pozwolę wsadzić sobie coś do gardła?

A potem, zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało, Lou dodała pośpiesznie:

- Moim zdaniem te nowe opady śniegu wyglądają dość poważnie. Powinniśmy zadbać o jakieś schronienie, dopóki się nie uspokoi. Widziałam ten odcinek *Domku na prerii*, w którym zbudowali igloo. Może powinniśmy...

Ale Jack nie miał zamiaru jej odpuścić.

- Znow się zarumieniłaś - zauważył.

- Nieprawda - powiedziała sztywno Lou, unikając jego wzroku. - Jest mi po prostu zimno, to wszystko.

- Dlaczego, tak się zastanawiam, sam pomyśl, że miałbym ci coś wsadzić do...

- To przez ten wiatr! - krzyknęła Lou.

- No jasne - zakpił. I uśmiechał się.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała z rozpaczą. - Dobra? Kiedy powiedziałam o wsadzaniu mi czegoś do gardła, mówiłam o rurze do intubacji...

Ale Jack jej chyba nie słuchał. Bo spytał tylko:

- A w ogóle co to za imię? Lou? Czy to nie męskie imię?

- To zdrobnienie. - Zatrzymała się, żeby wytrześć śnieg z cholewek. - To nie jest moje prawdziwe imię.

- Naprawdę? A jak masz naprawdę na imię? - dopytywał się. Ciekawe, skąd to nagle zainteresowanie jej osobą. Chyba stąd, że w promieniu setek kilometrów była jedyną istotą

rodzaju żeńskiego. Nie licząc łosic. To znaczy klep. Czy jak tam się na samice łosia mówi.

Zamruczała coś, robiąc następny krok, ale poskrzypywanie śniegu zagłuszyło jej słowa.

- Słucham?

Wyrывая stopę z zasy, rzuciła przez zaciśnięte zęby:

- Louise.

- Louise? - ryknął śmiechem. - Louise Calabrese?

- No tak, to szalenie dojrzałe z twojej strony, Townsend - powiedziała zadziornie Lou.

- Śmiać się z mojego imienia. Proszę, nie przeszkadzaj sobie.

Natychmiast opanował rozbawienie.

- Przepraszam - powiedział. Ale złośliwy uśmiech znów wypełził mu na twarz. - Co twoim rodzicom strzeliło do głowy?

- Nie pomyśleli, dobra? - ucięła Lou. - Louise to imię mojej babki ze strony mamy. A poza tym, jeśli jesteś Włochem, to nie wymawiasz tego nazwiska Calabreze, tylko Calabreze, więc sienie...

- Hej, hej! - powiedział Jack, wyciągając ręce przed siebie. - Zaczekaj, partnerze. Zachowujesz się, jakbyś była jedyną osobą, z której śmiano się w szkole ze względu na nazwisko.

Lou odparła gorzko:

- No jasne. Bo nazwisko Townsend to świetne pole do żartów, co?

- Wcale niewykluczone - zauważył Jack. - Chodziłem do szkoły dla chłopców, pamiętaj. A faceci w tym wieku nie mają wyrafinowanego poczucia humoru. Wystarczyło im, że dodali: „srał” przed „send”...

Lou pomyślała chwilę, a potem westchnęła.

I zdała sobie sprawę, że rumieni się jeszcze mocniej.

Na szczęście, tym razem Jack chyba tego nie zauważył. Bo w tej samej chwili, kiedy zaczęła się rumienić, postawiła nogę w kolejnej zaspie, zapadła się prawie do połowy uda i omal nie przewróciła.

Poleciałaby na twarz, gdyby Jack nie złapał jej za ramię.

- Będzie tego dobrego - warknął, kiedy już ustawił ją mniej więcej w pionie. - Starczy. Laptop zostaje.

Lou popatrzyła na niego, jakby się z choinki urwał - niełatwo tak patrzeć, kiedy płatki śniegu zlepiają człowiekowi rzęsy.

- C - co?! - spytała. - Co ty mówisz?

- Już za długo targasz ze sobą tego grata - powiedział Jack, wyciągając rękę po torbę z komputerem. - Nic dziwnego, że nie możesz nadążyć, on waży chyba tonę. Dawaj. - Szarpnął za pasek. - Powiedz laptopowi do widzenia.

Lou złapała pasek obiema dłońmi i zaczęła ciągnąć.

- Czyś ty oszalał?! Ten komputer kosztował dwa tysiące dolarów. Nie zostawię go w środku lasu.

- Kupisz sobie nowy, kiedy wrócimy do domu - powiedział Jack, nie wypuszczając paska z ręki i nie ustępując na krok. - Nie powiesz mi chyba, że brak ci gotówki, Lou. Czytałem w „Variety”, że na *Gliniarzu zabójcy 4* zarobiłaś siedmiocyfrową sumę. Więc dawaj to. Jest za ciężki. Musimy go wyrzucić.

- Nie ma mowy. Ty nie rozumiesz. Tam są różne rzeczy. Różne rzeczy, których nie chcę stracić, jasne?

Teraz on popatrzył na nią jak na wariatkę.

- Ty nie kopiujesz plików?

- Oczywiście, że tak - powiedziała, cofając się o krok. - Ale tam jest nowy fragment, który napisałam przedwczoraj wieczorem, i nie mam tego na dyskietce, jasne? I nie mam zamiaru tego stracić. To bardzo ważne dla...

- Lou... — Jack, nawet z dwudniowym zarostem na twarzy, a może zwłaszcza z dwudniowym zarostem, wyglądał nieznośnie przystojnie. - My tutaj walczymy o życie. Rozumiesz? Laptop utrudnia ci marsz. Zostaw go. Wrócimy po niego...

- Tak, jasne... - przerwała mu Lou z gorzkim uśmiechem. - I niby jak go tu znajdziemy? Dzięki psom od tropienia komputerów?

- Lou, ja mówię poważnie. - Pociągnął za pasek. - Puść. Laptop nie jest tego wart. Możemy tu zginąć. Po co ci jakiś głupi scenariusz, jeśli zamarzniesz tu na śmierć...

- To nie jest żaden głupi scenariusz - powiedziała Lou, szarpiąc torbę. - Dobra? I nie jest dla mnie za ciężki. Buty przeszkadzają mi w marszu, okej? Nie komputer. A teraz puszczaj...

Szarpnęła z całej siły - i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Jack trzymał za zamek błyskawiczny. Jednym gładkim ruchem zamek rozsunał się dookoła. A potem wystarczyło tylko wyszarpać komputer i w magiczny sposób laptop znalazł się w rękach Jacka.

- Nawet o tym nie myśl... - wyjąkała.

Ale było już za późno. Rzucił komputer najdalej jak mógł, w kierunku wzniesienia, o którym bez przerwy gadał. A potem otrzepał rękawice.

- Załatwione - powiedział. - Wywal torbę i chodźmy. Powinniśmy iść znacznie

szybciej. Nie będziesz miała ani połowy tych kłopotów z przedzieraniem się przez głęboki...

Urwał, kiedy uważniej przyjrzał się Lou. Była blada jak śnieg. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu czuła taki gniew - może chyba tylko tamtego dnia, kiedy po dziesięciu latach związku Barry oświadczył, że jednak nie jest gotów wiązać się na stałe.

Zareagowała teraz tak jak wtedy. Niepohamowaną furią.

- Ty! - wrzasnęła, rzucając się na Jacka. Jack cofnął się zaskoczony.

- Słuchaj, Lou - powiedział. - Zastanów się. Bądź rozsądna. Laptop waży z tonę. Do niczego nam się nie przyda, a tylko spowalnia marsz. Musimy...

Nie zdążył dodać nic więcej, bo Lou rąbnęła go pięścią w dołek, powalając na śnieg. Nie na darmo czterej bracia ćwiczyli z nią boks, twierdząc, że to zasadniczy element edukacji dobrze wychowanej dziewczyny. Teraz przerzuciła nogę przez Jacka i usiadła na nim, przyciskając mu ramiona do ziemi, jak uczył ją Nick.

- Czyś ty zwariował?! - wrzasnęła mu prosto w twarz. - Ten komputer to jedyna rzecz, która mnie tutaj utrzymuje przy zdrowych zmysłach, rozumiesz? Boję się... I jestem głodna... I strasznie mi zimno... I nie czuję palców u nóg... I tkwię w dziczy na Alasce, w dodatku z tobą! J to wszystko twoja wina! Więc lepiej idź i znajdź ten komputer, i módl się, żeby był w jednym kawałku, bo jeśli nie, to ja sama własnoręcznie cię zastrzelę!

Jack, z wyrazem totalnego osłupienia, powiedział tylko.

- Wiesz co? Jesteś naprawdę śliczna, kiedy się wściekasz.

Przez jedno, może dwa uderzenia serca Lou patrzyła na niego z góry, niepewna, czy dobrze usłyszała. A potem popełniła swój pierwszy błąd. Puściła jego ramiona. Puściła ramiona, żeby złapać go za gardło, tego głupiego, egocentrycznego, uprzywilejowanego...

Niełatwo jednak udusić kogoś, kto się tak strasznie śmieje. Nie przestając rechotać, złapał ją za nadgarstki i jednym ruchem zdjął z siebie i przewrócił na śnieg.

I zanim się zorientowała, już na niej siedział. Nawet nie mogła wbić mu kciuków w oczy. Całe pole widzenia przesłonił jej obraz wielkiej, głupiej, przystojnej, roześmianej gęby.

I nic nie mogła na to poradzić.

- Puszczaj mnie - warknęła. Było jej naprawdę niewygodnie. Śnieg dostał jej się za kołnierz kurtki i pod sweter. Miała nadzieję, że i jemu sporo śniegu napchało się pod ubranie.

- Słyszałeś mnie? Puszczaj, mówię!

- Musiałbym być kompletnym idiotą, żeby to zrobić, nie sądzisz? - Wciąż się śmiał. Zęby miał równe i białe, i w stu procentach własne, co do jednego. Wiedziała to od swojego dentysty, do którego chodził też Jack. - Przecież twierdzisz, że mnie zastrzelisz.

- Jack posłuchaj. Puść mnie i pomóż znaleźć komputer, a wtedy uznamy, że to remis.

- Nie - odparł po paru sekundach. - Przykro mi. To nie wystarczy. Załedwie przed minutą wyglądałaś jak rasowy morderca. Nie jestem przekonany, czy jeśli obrócę się do ciebie plecami, nie wbijesz mi sopła lodu w czaszkę...

- Jack, proszę - powtórzyła. Bliskość jego ciała sprawiała, że po raz pierwszy tego dnia zaczynało jej się robić ciepło. Było to przyjemne uczucie. Zanadto przyjemne. Niepokojąco przyjemne. Całe tygodnie minęły - miesiące, na dobrą sprawę - odkąd po raz ostatni czuła męskie ciało tak blisko przy swoim.. . To znaczy, nie licząc tego, co stało się dziś rano. Ale była całkiem pewna, że Jack nic nie pamiętał.

A teraz robił to świadomie. Och, z całą pewnością robił to świadomie.

- Śnieg dostał mi się pod kurtkę - powiedziała Lou. — Okej? Więc pozwól mi wstać.

- No, nie wiem. - Jack, namyślał się, zaciskając wargi. Niestety, to tylko przyciągnęło spojrzenie Lou. Chcąc nie chcąc gapiała się na jego roześmiane, nieznośne, sarkastyczne usta. - Sprawy zaczynają wyglądać interesująco. Nie mogę przestać zadawać sobie pytania, co na moim miejscu zrobiłby detektyw Pete Logan.

Lou zaczynało brakować tchu - chociaż wcale nie dlatego, że Jack przygniatał ją swoim ciężarem, przecież siedział jej tylko na biodrach.

- Townsend, ja mówię poważnie. Puść mnie.

- Gdyby to był scenariusz *Gliniarza zabójcy* - ciągnął Jack - autorstwa zdobywczyni Oscara, Lou Calabrese, to Pete Logan bez wątpienia znalazłby się tutaj, w temperaturze dwudziestu stopni poniżej zera, bez majtek. Ciekawe, dlaczego? Możesz mi to jakoś wyjaśnić, Lou?

- Daję ludziom to, czego chcą - powiedziała Lou, patrząc teraz w niebo.

- Doprawdy? - zapytał Jack. - Czy po prostu usiłujesz mnie ukarać, scenariusz po scenariuszu, za słowa: „Potrzebna mi większa spluwa”?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Lou. - Tak się składa, że jestem profesjonalistką. Nie pozwalam, żeby osobiste przekonania rzutowały na jakość mojej pracy. Przykro mi, że cię rozczaruję, Townsend, ale Pete Logan regularnie ląduje w swoim garniturku z dnia narodzin dlatego, że amerykańska publiczność lubi sobie pooglądać twój tyłek.

- Amerykańska publiczność? - Jack uniósł brwi. - Czy Lou Calabrese?

- Nie pochlebiaj sobie. - Ledwie skończyła wypowiadać te słowa, a już oblewała się szkarłatem. Nagle śnieg na karku nie wydawał się już ani w połowie tak zimny jak do tej pory. Właściwie nawet przyjemnie chłodził. - Boże drogi, Townsend.

Może to dla ciebie szok, ale w przeciwieństwie do tego, co ci się ewidentnie wydaje,

są na tym świecie kobiety, które bardziej interesuje to, co facet ma w głowie niż w spodniach.

- Czyżby? To dlaczego znów się rumienisz?

- Nie rumienię się - odparła, czerwieniąc się jeszcze bardziej. - Jeśli mam czerwoną twarz, to dlatego, że odcinasz mi krążenie w górnej połowie ciała.

- Jasne - mruknął Jack. - Mówiłem ci już, że ślicznie wyglądasz, kiedy się wściekasz, prawda?

- Powiedziałeś coś w tym stylu, ale...

- To dobrze - stwierdził Jack. - W takim razie nie powinnaś się zanadto zdziwić.

I wtedy jego usta - te roześmiane, nieznośne, idealne w rysunku usta - znalazły się na jej wargach. A Lou umarła i poszła do nieba.

Oczywiście, powinna była się domyślać, jak to będzie wyglądało. Całowanie się z Jackiem Townsendem. Czy raczej pozwalanie Jackowi Townsendowi na pocałunki. Bo to nie Lou pracowicie odwalala to zadanie. Och, co to, to nie.

To znaczy, trochę trudno jest nie oddawać pocałunków, kiedy jest się całowanym tak dokładnie i wprawnie.

Nie, nie, to wcale nie znaczy, że podobały jej się pocałunki Jacka Townsenda. No cóż, przynajmniej teoretycznie.

W praktyce jednak... Hm, praktyka to zupełnie inna sprawa.

Bo Jack Townsend całował ją tak, jakby nic innego go nie interesowało. To nie było żadne grzecznościowe cmoknięcie w policzek ani cmok w powietrzu, ani muśnięcie warg. To była kompleksowa oralna eksploracja przy otwartych ustach - wrestling języków, jak mawiali jej bracia, ile razy złapali ją na całowaniu się z Barrym.

Ale całowanie się z Barrym, w niczym nie przypominało obecnego pocałunku. Barry, w przeciwieństwie do Jacka, nigdy nie przeprowadzał takiego niespiesznego i rzetelnego badania jej ust i okolicy. Barry nigdy nie całował się z nią tak, jakby to było jedyne zajęcie zaplanowane na ten dzień i jakby mieli całą wieczność, żeby zrobić to spokojnie i porządnie. Barry nigdy nie zdołał jednym pocałunkiem sprawić, że serce tłukło jej się w piersi jak oszalale.

Jackowi się to udało. Czująca go - jego ciepło, jego ciężar, jego natarczywość - od ust przez całe ciało aż po koniuszki palców u nóg, które, jak zauważyła, jakimś odległym, jeszcze działającym zakątkiem mózgu, wcale tak strasznie nie przemarzły, skoro mogła je podkurczać w butach. Bo właśnie to zrobiła, kiedy tylko dotknął jej ust.

Oczywiście, to śmieszne, że zareagowała w ten sposób. Zupełnie jak napalona małolata. Albo niewyżyta stara panna. A przecież była dojrzałą, świadomą własnej wartości kobietą. Jej błyskawiczna kariera - nie wspominając o udanym życiu miłosnym, no cóż, przynajmniej do niedawna - stanowiła inspirację dla wszystkich pulchnawych rudzielców na całym świecie...

A tu jeden pocałunek ulubieńca Amerykanek, Jacka Townsenda, zamienia ją w garstkę roztrzęsionej galaretki. Podanej na lodzie.

Tą częścią umysłu, która jeszcze nie zdążyła zamienić się w żelatynową masę chaotycznie działających neuronów, zdołała pomyśleć, że to jakiś absurd. Przecież ona nienawidzi tego faceta.

Więc jak to możliwe? Jeden pocałunek zdołał sprawić, że poczuła się... Jakby po raz pierwszy od miesięcy naprawdę żyła. Dlaczego miała ochotę rozsunąć nogi - o dobry Boże, ratunku! - i opleść go nimi? Dlaczego jego ostry zarost sprawiał, że pragnęła przeciągnąć językiem po całym jego ciele?

Przecież to nie miało żadnego sensu. W jednej sekundzie gotowa była strzelić mu między oczy. W następnej mruczała do niego jak kotka.

I to nie była żadna magia Hollywood. Och, nie. Wcale nie chodziło o efekty wizualne. Zadziałała stara jak świat, poczciwa, tradycyjna chemia.

Chemia! Między nią a Jackiem Townsendem? Niemożliwe! A jednak. Czowała to całkiem wyraźnie.

Ale to przecież Jack Townsend, Jack Townsend, który złamał serce jej najlepszej przyjaciółce! Jack Townsend, aktor, a ona raz na zawsze przysięgła dać sobie spokój z aktorami. Zesztywniała i wyrrywając nadgarstki z jego uścisku, chwyciła go za łokcie i uniosła kolano, opierając je o ten jego słynny tyłek.

A potem, stosując technikę, której nauczył ją ojciec, na wypadek, gdyby wpadła w jakieś tarapaty w akademiku - udało jej się przerzucić go sobie ponad głowę i cisnąć o śnieg.

Przekleństwo, które wyrwało się Jackowi przy lądowaniu, zapewniłoby kategorię „od osiemnastu lat” u każdego szanującego się hollywoodzkiego cenzora.

Lou wstała i otrzepując ręce, odezwała się głosem zadziwiająco spokojnym, jeśli wziąć pod uwagę, że kolana wciąż się pod nią uginały po tym pocałunku:

- Jak nie znajdę tego komputera w jednym kawałku, będziesz żałował, że tamci cię nie zastrzelili.

A potem pomaszerowała w stronę wzniesienia, za które rzucił jej laptopa.

Jack leżał w śniegu, zastanawiając się, czy połamał sobie kręgosłup. Wpatrywał się w ciemniejące niebo i kombinował, co tu się właściwie stało. Czy on naprawdę pocałował Lou Calabrese? Co mu strzeliło do głowy? Co niby chciał w ten sposób osiągnąć?

No cóż, przynajmniej odpowiedział sobie na pytanie, które dręczyło go już od dawna...

A w każdym razie od ostatniej nocy.

Bo kiedy wczoraj siedziała na pryczy, z tymi wspaniałymi włosami spływającymi na ramiona, z kusząco rozchylonymi wargami, zaczął się zastanawiać: jak smakuje pocałunek Lou Calabrese?

No cóż, teraz już wiedział.

Bolesnie. Tak smakował pocałunek Lou Calabrese.

Ale zanim zabolalo... Ach, tak. Zanim zabolalo, bylo przyjemnie. I to jeszcze jak przyjemnie...

Nie mial pojecia, co mu odbilo. Ze wszystkich kobiet na swiecie musial wybrac sobie akurat te jedna ktora w ogole nie byla zainteresowana? Lou Calabrese byla odporna na jego wdzieki, tak jak jej scenariusze byly odporne na poprawki.

Nienawidzila go.

Ale moze jednak nie do konca? Bo kiedy ja calowal, byl taki moment, gdy moglybys przysiac, ze aktywnie oddawala pocaunek. Poczul probny, pelen wahania dotyk jej jezyka. Moze sobie wmawial, ale jej piersi, nawet przez te grube warstwy ubrania, jakby prosily o pieszczote.

A wiec... Podobaly jej sie jego pocaunki. Moze tylko przez chwile. Ale podobaly sie.

Gdyby tylko zechciala sie do tego przyznac... Jakby nie mial w tej chwili powazniejszych problemow! Byl glodny, zmarzniety i zagubiony w najwiekszym stanie Ameryki. Padal snieg, powoli zblizala sie noc i jezeli dalej bedzie lezal na sniegu, to albo go zlapia bandyci, albo dopadnie hipotermia. Dziwne, ale najpilniejszym problemem wydawal sie Jackowi ten, ktory... jak by to powiedziec... gwałtownie narastal mu w spodniach.

Ale czy nie zawsze tak bylo? Faceci juz tacy sa. Mogu umierac z glodu i z zimna, scigani przez platnych mordercow, a i tak mysla tylko o jednym.

Powinien byl wiedziec, jak bedzie wygladal pocaunek Lou. Jezeli tak calowala faceta, ktorego nawet nie lubila, to jak by to wygladalo, gdyby zyvila dla niego choc troche uczucia? Byla cudownie pelna zycia i pasji, naladowana energia... Barry Kimmel to duren.

Nie wiekszy zreszta niz ja sam, pomyslal. Bo mial ja przed samym nosem przez te ostatnie sześć lat - sześć lat - i co robil? Wyklocal sie z nia o brzmienie dialogow, zamiast sprubowac, jak nalezalo, zgnanc ja dla siebie. Vicky nigdy nie calowala go choc w polowie tak zarliwie jak Lou. A Vicky przeciez przysiegala, ze kocha go z calaj duszy! A Greta?

Przytulanie Greta skojarzylo mu sie teraz z przytulaniem scierki do naczyń.

To niesamowite, pomyslal, siadajac ostroznie i przekonujac sie ku wlasnemu zdziwieniu, ze nie polamal sobie zadnych kosci. Po raz pierwszy od dawna czul sie... no coz, zywy. Glodny, owszem. Zmarzniety, to z pewnoscia. Ale przede wszystkim zywy. Dzieki Lou Calabrese. I to nie tylko dlatego, ze tak dobrze poslugiwala sie bronia.

Swoja droga, gdzie ona sie nauczyla takich sztuczek? Wszystkie kobiety, z ktorymi sie ostatnio spotykal, zdecydowanie przedkladaly aerobik albo stretching nad sztuki walki. Lou najwyrazniej nie nalezala do tego typu dziewczyn. Kuszykajac, ruszyl jej sladem. Zauwazyl, ze snieg rozpadal sie na dobre. Niedlugo zrobi sie ciemno. Jezeli nie schowaja sie przed tym

wiatrem i nie rozpalą ognia, zostanie z nich karma dla niedźwiedzi polarnych. Lou klęczała u podnóża pagórka. Obejrzała się na niego przez ramię.

- Masz szczęście - poinformowała go mrocznym tonem, otrzepując komputer ze śniegu. - Jest cały.

- Lou? - Zatrzymał się tuż przy niej, ale i tak musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć wycie wiatru. - Porozmawiajmy.

Siłą nawyku nie należał do osób gadatliwych. Wydawało mu się często, że to był jeden z powodów, dla których spędzał tak dużo czasu na swoim ranczu. Tam nie musiał wiele gadać - oczywiście, pomijając te chwile, kiedy popełniał błąd i sprowadzał sobie damskie towarzystwo. Bo kobiety miały przemożną potrzebę omawiania swoich odczuć. Dyskutowały, analizowały, zamiast po prostu pozwolić się życiu toczyć. Jack nigdy nie potrafił tego pojąć.

Ale tym razem sam uznał, że rozmowa o uczuciach będzie w gruncie rzeczy wskazana. Chociaż musiał przyznać, niewiele z tego rozumiał. Wiedział tylko, że zaszło między nimi coś ważnego, i nie miał zamiaru tego zignorować. Po prostu nie mógł.

Ale Lou najwyraźniej mogła, bo powiedziała tylko - starannie unikając jego spojrzenia:

- Nie ma o czym mówić.

- Hm, niestety, że nie zgodzę się z tobą w tej kwestii, Lou. To, co się tam stało, było...

- To, co się tam stało, było głupią, kolosalną, niepotrzebną pomyłką - powiedziała Lou sucho. Patrzyła teraz wprost na niego, mrużąc oczy od wiatru. - Okej? Było minęło. Dobra, już nie musisz tego mówić. Sama to powiedziałam. A teraz, jeśli jakimś mało prawdopodobnym przypadkiem uda nam się kiedyś wrócić do cywilizacji, a ja podłączę ten sprzęt do prądu i okaże się, że nie mam dostępu do moich plików... Chcę, żebyś wiedział od razu — obciążę cię osobistą odpowiedzialnością za wszelkie straty poniesione z tego tytułu. Zrozumiałeś, Townsend?

Jack prawie jej nie słuchał. Bo podczas gdy ona dawała upust złości - pierwszy raz w życiu spotkał kobietę, która nie lubiła mówić o uczuciach - dostrzegł coś pomiędzy drzewami. Nie był pewien, śnieg ograniczał widoczność i zrobiło się prawie ciemno, ale miał wrażenie... To wyglądało zupełnie jak...

- Townsend, czy ty mnie słuchasz? - Lou zasunęła suwak torby z laptopem. - Posłuchaj, musimy się schować przed tym wiatrem. Może powinniśmy zacząć zbierać gałęzie na jakiś namiot czy coś takiego. Jak to się nazywa? To coś, co Tom Hanks zbudował sobie w *Poza światem*, no wiesz, zanim znalazł jaskinię. Przynajmniej osłoni nas od wiatru...

Jack złapał ją za ramię.

- Nie wiem, czy potrzebny nam będzie szalas - powiedział, stawiając ją na nogi. - Chyba że to się okaże fatamorganą.

Lou popatrzyła we wskazanym kierunku. Nawet z podkrążonymi oczami i potargana, wyglądała pięknie. Jak mógł uważać ją za zimną, wyrachowaną sukę - bo tak kiedyś o niej myślał.

- O mój Boże! - zawołała. - Czy to dom?

Jack puścił jej ramię. Ogarnęło go dziwne znużenie. Ale chyba mógł sobie wreszcie pozwolić na zmęczenie, skoro chyba byli już bezpieczni?

- Więc ty też to widzisz? Nie byłem pewien, czy mnie wyobraźnia nie zwodzi...

- Nie, nie zwodzi cię. Idziemy.

Teraz Lou wzięła go za ramię i poprowadziła dziarsko w stronę domu. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że to niewielka drewniana chatka ze spadzistym dachem i dużymi oknami po obu stronach frontowych drzwi.

Właściciel musiał mieć stąd fantastyczny widok, chociaż nie przy tej pogodzie. Wiatr dmuchał prosto w twarz, gęsty śnieg padał prawie poziomo. Jack ledwie widział, zdołał jednak dostrzec, że dom wygląda na opuszczony. W środku nie paliło się światło, a na śniegu zalegającym frontową werandę nie było żadnych ludzkich śladów.

Lou rzuciła się przed siebie. Dopadła do okna i przycisnęła twarz do szyby.

- Och, Jack! —jęknęła, osłaniając oczy i zaglądając do środka. - Nikogo tam nie ma! Co my teraz zrobimy? O mój Boże, tam jest kuchnia, Jack! Z lodówką. A to... O rany, tam jest łazienka. Widzę zasłonę prysznic! Łazienka, Jack! Łazienka!

Jack stanął za nią, czując, że palce u rąk i nóg ma na wpół zamrzniete. Udało mu się jednak zacisnąć dłoń na gałce drzwi. Spróbował przekręcić...

- Co robisz? - Lou odeszła od okna i spojrzała na niego. - Jack, no co ty, nie możemy wejść. To by było włamanie!

Klamka nie ustąpiła. Zamknięte. To czyjś domek letniskowy, pomyślał Jack. Będzie tak stał aż do wiosny, kiedy śnieg stopnieje i znów da się tu dojechać drogą.

Puścił gałkę u drzwi.

- Jeśli myślisz, że ja zamierzam stać tu i zamarzać, kiedy mógłbym brać w środku długi gorący prysznic, to będziesz się musiała jeszcze zastanowić. Nie ruszaj się stąd.

I zaczął przedzierać się przez śnieg na tyły domku. Lou zawołała za nim niespokojnie:

- Dokąd idziesz? Co robisz? Ale on odpowiedział tylko:

- Stój tutaj. Wrócę za minutę. A potem zniknął za rogiem.

I tyle go widziała. Minęło pięć minut.

To było najdłuższe pięć minut jej życia. Wiatr przeszywał ją na wskroś. Uszy trzymały się chyba tylko dzięki temu, że przymarzły. Na pewno zaraz odpadną. Dlaczego nie wzięła ze sobą czapki? Z pewnością ucierpiałaby wtedy jej fryzura i może jeszcze godność osobista, bo trudno zachować godność z kołtunem na głowie. Ale przynajmniej nie traciłaby osiemdziesięciu procent ciepła przez głowę, tak jak teraz.

A jej nieszczęsny żołądek? Krakersy, które zjadła na śniadanie, wydawały się odległym snem. Choć raz, pomyślała, udało jej się osiągnąć ideał - ten wklęsły plązowy brzuszek, który innym kobietom ewidentnie przychodził bez trudu.

A jej biedne oczy, które szczypały i łzały od wiatru?

Tylko umysł miał się całkiem nieźle i pracował na pełnych obrotach. Ale nie rozmyślała o tym, że jeśli jeszcze trochę postoi na tym zimnie, znajdą ją zamarznąłą na kość niczym dziewczynkę z zapalkami.

Nie, rozmyślała o Jacku Townsendzie. O Jacku Townsendzie i jego pocałunkach. Po raz pierwszy od dawna poczuła, że jest kimś godnym pożądania, a nie chodzącym edytorem tekstów. Przypomniała sobie też epizod *Star Treka*, w którym kapitan Kirk i jego załoga trafili na istoty pozaziemskie na tak wysokim szczeblu ewolucji, że już nie potrzebowały ciał. Były po prostu mózgami pływającymi w szklanych pojemnikach.

Tak właśnie czuła się Lou od czasu rozstania z Barrym. Jakby miała mózg i nic poza tym.

I właściwie nie przeszkadzało jej to zbytnio. Łatwiej być wyłącznie mózgiem, nie kłopotać się ciałem i jego zachciankami.

Co najdziwniejsze, to Jack Townsend sprawił, że znów stała się całością, to dzięki niemu poczuła, że ciało to coś więcej niż tylko opakowanie dla mózgu. Sprawił, że jej ciało zaśpiewało.

Nic dziwnego, że tak się wystraszyła. Przecież poczuła się tak przez Jacka Townsenda. Przez Jacka Townsenda, za którym szalały wszystkie kobiety w Hollywood - a ściślej mówiąc, wszystkie kobiety w całej Ameryce. Lou miała dosyć spotykania się z gwiazdoram. Nie miała zamiaru popadać w taki nawyk.

Ale ten pocałunek! Mój Boże!

Tyle że potem Jack chciał o tym porozmawiać. Jakby, u diabła, można było gadaniem wymazać to zdarzenie z pamięci. Mało prawdopodobne. Była pewna, że jeszcze na łożu śmierci będzie rozpamiętywała ten pocałunek.

Ale to do Jacka podobne, żeby chcieć o wszystkim dyskutować. Zawsze analizował swoje role, motywacje bohaterów i tak dalej. O własnym postępowaniu też pewnie potrafił

gadać godzinami.

No cóż, nie miała zamiaru dać mu tej satysfakcji. Ten pocałunek teraz należał do niej. Nie mógł go jej odebrać swoimi argumentami i racjonalnymi wyjaśnieniami. Stało się, a ona była zadowolona. Zadowolona, bo dowiodła samej sobie, że nie jest w środku martwa, jak już zaczynała podejrzewać.

I cieszyła się, bo najzwyczajniej w świecie miała to z głowy. Taka sytuacja już się nie powtórzy. Spróbowali, nie wyszło - zadbała o to rzutem przez kolano - a teraz mogą wrócić do swoich normalnych kontaktów: nienawiści i żarcia się o każdy drobiazg. Stało się. Było po wszystkim. Koniec.

Nagle w domku zapaliło się światło. Po chwili zazgrzytał zamek i Jack otworzył drzwi.

- O, cześć! - powiedział z jednym ze swoich najsympatyczniejszych uśmiechów, zwykle rezerwowanym dla prasy. - Jak miło, że wpadłaś. Wchodź do środka!

Lou stała i gapiła się na niego.

- Alej - jak... - wyjąkała. - Co się...?

- Drzwi od piwnicy nie były zamknięte - wyjaśnił Jack i przestał się uśmiechać. - Ludzie zazwyczaj nie zamykają drzwi do piwnicy w letniskowych domkach. Myśmy nigdy nie zamykali.

I wtedy wciągnął ją do środka.

Zanim zamknął za nią drzwi, zdążyła tylko pomyśleć: O mój Boże! Skłamałam. To wcale jeszcze nie koniec.

Domek był myśliwski, a nie letniskowy. Świadczył o tym całkiem niezły zbiór broni palnej - kilka strzelb kalibru 30 - poroża na ścianach i spore zapasy dziczyzny w zamrażarce. W szafie w sypialni było trochę letnich ubrań, kilka flanelowych koszul, kalesony i stos ciepłych wełnianych skarpet.

Ewidentny brak telefonu, telewizji czy radia - przynajmniej pierwsze gorączkowe poszukiwania niczego nie dały - kazał Lou przypuszczać, że jest pierwszą kobietą składającą w tym domku wizytę. Jego właściciel - Donald R. Williams, którego nazwisko odkryli na zmiętym czeku American Express w szufladzie - musiał być kawalerem. Albo po prostu żona nie podzielała jego myśliwskiej pasji i nie przepadała za dziką przyrodą. W całym domku nie było nawet jednego pilniczka do paznokci!

Sądząc po lodówce - termin przydatności wszystkich produktów minął przed miesiącem - Donald od paru tygodni nie odwiedzał domku. Lou miała nadzieję, że im wybaczy bezprawne wtargnięcie, chociaż prawdę mówiąc, niewiele ją obchodziło, co sobie pomyśli Donald. Jack pomajstrował coś w piwnicy i z kranów popłynęła gorąca woda. Lou nie siedziała pod prysznicem tak długo, jak by chciała, pamiętając, że trochę tej cudownie ciepłej wody powinna mimo wszystko zostawić dla Jacka.

Ale i tak tych kilka bezcennych chwil, które spędziła, myjąc włosy - jeszcze jeden dowód na to, że znalazła się w ściśle męskim środowisku: szampon w łazience był z rodzaju 2 - w - 1 - mogła zaliczyć do najpiękniejszych w całym swoim życiu...

Oczywiście, z wyjątkiem pocałunku Jacka.

Ale zdecydowała, że więcej do tematu wracać nie będzie. Po wyjściu spod prysznica, rozkosznie rozgrzana od czubka głowy do końców palców, ubrała się we flanelową koszulę, którą wzięła sobie z szafy w sypialni - nic by jej nie zmusiło do ponownego włożenia ubrania, w którym spędziła ostatnie czterdzieści osiem godzin - i w męskie kalesony, wprawdzie niezupełnie modne, ale ciepłe i czyste.

A ponieważ zdecydowała, że cokolwiek zaszło między nią i Jackiem, było pomyłką - i że gdyby miało się jeszcze coś dziać, należy to zdusić w zarodku - nie zawracała sobie głowy makijażem, tylko wyszła z łazienki w pożyczonych ciuchach i z głową owiniętą ręcznikiem.

- Hej! - zagaiła do Jacka, który dopiero co rozpałił ogień w dużym kominku. - Prysznic jest twój.

- Dzięki. - Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć... ... i upuścił zapaloną zapalnąkę na podłogę.

- Jezu - westchnęła Lou, kiedy zdeptał już ognek. - Nie wystarczy ci, że włamaliśmy się facetowi do domu? Chcesz mu go jeszcze spalić?

Jack spojrzał na nią kwaśno.

- Bardzo śmieszne - powiedział. - Słuchaj, w mikrofalach rozmrażają się dwa steki z dziczyzny. Jeśli timer się odezwie, zanim wyjdę z łazienki, i uznasz, że się rozmroziły, natrzyj je trochę oliwą, wrzuć na patelnię i postaw na kuchence. Jasne?

Lou wpatrywała się w niego jak urzeczona. Nie mogła się powstrzymać. Nawet brudny, z dwudniowym zarostem na brodzie, facet wyglądał świetnie.

- Umiesz gotować? - To wszystko, na co się zdobyła, a i tak zabrzmiało żałośnie głupio.

- Oczywiście, że umiem gotować - powiedział Jack, obchodząc rattanową kanapę w drodze do łazienki. - A ty nie?

- Hm... - Lou pomyślała nagle, że z tym ręcznikiem na głowie może jednak przesadziła. - Jasne. Jasne, że umiem.

- To super - odparł Jack. - Rzuć te steki na patelnię, kiedy się rozmrożą, dobra?

A potem zniknął w łazience. Lou, chociaż stała dobre trzy metry od ognia, czuła, jak nagła fala ciepła przenika jej ciało. Ściągnęła ręcznik, z nadzieją, że zimne mokre włosy ochłodzą jej rozpalone policzki.

- Och, byłbym zapomniał! - Jack wystawił głowę z łazienki. - Znalazłem w piwnicy butelkę wina. Oddycha na blacie. Nalej nam po kieliszku, dobrze? Chyba że - dodał z diabolicznym uśmieszkiem - wino zwali cię z nóg tak samo jak szkocka wczoraj wieczorem.

Lou powiesiła ręcznik na oparciu krzesła. Domek w zasadzie składał się z jednego wielkiego pomieszczenia, jak to było ostatnio w modzie, chociaż właściciel raczej nie należał do snobów. Meble, proste i solidne, najwyraźniej wybierał z myślą o wygodzie. Kuchnia została wyposażona we wszystkie nowoczesne urządzenia... poza telefonem.

Ale Lou nadal rozkoszowała się sytuacją. Nie marzyła i przynajmniej chwilowo czuła się bezpieczna. Na dworze szalała kolejna śnieżycy, wył wiatr - w każdym razie miała nadzieję, że to tylko wiatr, a nie skutery.

A jej było ciepło i była czysta, i miała się wkrótce najeść - o ile Jack mówił prawdę o gotowaniu. Czego więcej mogła pragnąć?

Hm, no cóż... Przydałoby się może trochę poczucia godności.

Lou była przekonana, że po tym występie na śniegu niewiele jej zostało. To znaczy, godności. Całowała się z takim zapamiętaniem... No cóż, jak fanka. Naprawdę. Nic dziwnego, że chciał z nią „porozmawiać”. Prawdopodobnie zamierzał jej przypomnieć, że oboje leczą

rany po nieudanych związkach i że byłoby „rozsądniej” nie angażować się teraz w nic bez zastanowienia. Jakby ona w ogóle mogła brać pod uwagę spotkanie się z Jackiem - nie - jestem - jeszcze - gotów - do - zobowiązań - Townsendem. Nie ma mowy. Kolejny aktor? Wielkie dzięki. Jeśli kiedykolwiek zaangażuje się znów w jakiś związek, będzie to ktoś wykonujący normalny zawód. Na przykład gliniarz. Albo biegły rewident księgowy.

Mikrofalówka zapiszczała. Lou otworzyła drzwiczki i pomacała leżące w środku steki. Już nie były twarde. Wyjęła je i natarła oliwą, jak polecił Jack, a potem wyłożyła na przygotowaną patelnię i włączyła gaz. Ślinka napłynęła jej do ust. I wtedy zauważyła butelkę wina.

To Barry usiłował zostać znawcą win. Próbował wbić jej do głowy różnicę między merlot a montepulciano. Lou nigdy nawet nie usiłowała go słuchać. Zawsze zajmowały ją ważniejsze rzeczy, na przykład, jak zetknąć dwie postacie w trzecim akcie, żeby dialog brzmiał przekonująco. Swoją drogą, ciekawe, czy Greta jest amatorką wina i czy to jest właśnie to, co ona i Barry mają ze sobą wspólnego.

W trakcie zakończonej niepowodzeniem inspekcji lodówki - zasadniczo pustej - i spiżarni - to samo, Lou nie udało się znaleźć nic do przegryzienia, zanim steki się dosmażą, więc naląła sobie kieliszek wina. Jeden na pewno jej nie zaszkodzi. Zresztą wino i piwo jej nie szkodziło; tylko mocne alkohole zwały ją z nóg.

Z kieliszkiem w ręku usiadła przy kuchence, żeby pilnować steków. Gdyby ktoś jej powiedział, że dzisiejszego wieczoru będzie smażyła steki z dziczyzny, w cudzych ciuchach i bez makijażu, a tymczasem Jack Townsend w łazience obok będzie brał prysznic, Lou nigdy by w to nie uwierzyła. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Nie zdarzają się Lou. Takie rzeczy zdarzają się innym ludziom, a Lou tylko je opisuje. Tym się przecież zajmowała - notowaniem swoich obserwacji na temat życia - czasem prawdziwego, czasem wymyślnego - ale zawsze życia innych ludzi. Jej życie nie było warte opisywania.

Przynajmniej do ostatnich dni.

Nagle jednak wszystko niezwykle się skomplikowało.

Wino było mocne i miało wyraźny bukiet. Lou wiedziała już dość o winach, żeby to wyczuć. Smakowało wybornie i delikatnie spływało po języku. Lou już zrobiło się ciepło po kąpieli, a potem na widok Jacka, teraz jednak, po kilku łykach wina na pusty żołądek, zrobiło jej się jeszcze cieplej.

A potem Jack wyszedł z łazienki owinięty wyłącznie ręcznikiem, omotanym nisko na biodrach.

Dobrze, że Lou zdążyła przełknąć, zanim wszedł do pokoju, bo chyba oplułaby winem

całą okolicę. Wiele razy widziała go na planie skąpo odzianego, a jednak teraz serce zatłukło jej się w piersi.

- Jak się mają steki? - spytał Jack.

- Świetnie - odparła Lou, nie patrząc mu w oczy.

- No to super - powiedział. - Przyjdę za chwilę i się nimi zajmę.

Lou pokiwała głową, a on, na szczęście, poszedł sobie... Miała nadzieję, że w sypialni włoży na siebie jakieś ciuchy. Zdała sobie sprawę, że jest chyba jedyną kobietą w Ameryce, która widząc Jacka Townsenda bez ubrania, ucziwie wolałaby, żeby jednak coś na sobie miał.

To dlatego, że była chyba jedyną kobietą w Ameryce, której nie zachwycała perspektywa nieszczęśliwej miłości do Jacka Townsenda.

Nie wiadomo, czy Jack zrozumiał jej niewypowiedzianą prośbę, ale kiedy wyszedł kilka minut później z sypialni, był już ubrany. On też najwyraźniej nabawił się awersji do własnych ubrań i włożył na siebie jedną z flanelowych koszul właściciela domku. Tylko zamiast kalesonów wybrał dzinsy gospodarza, odrobinę przyciasne, podobnie jak koszula.

Podszedł do kuchenki i odwrócił steki - od ich zapachu Lou zaczynało się już lekko kręcić w głowie... Chyba że kręciło jej się od winą. Albo od nadmiernej bliskości Jacka Townsenda.

- Co my tu jeszcze mamy? Samą sarniną człowiek się nie pożywi.

Otworzył zamrażarkę i pochylił się, a Lou miała okazję zobaczyć, jak ciasno spodnie gospodarza opinają słynny tyłek Jacka Townsenda.

- Eureka! - Wyciągnął z zamrażarki oszronioną paczkę. - Szpinak. Cudownie! Nie dostalibyśmy lepszego u Petera Lugera.

A potem zdarł opakowanie i wrzucił szpinak do mikrofalówki.

Lou, której umiejętności kulinarne ograniczały się do przyrządzania tostów i od czasu do czasu kanapki z jajkiem na twardo, odezwała się dziwnie nieswoim głosem, cichym i grzecznym:

- Nie wiedziałam, że umiesz gotować.

- Och, jasne - powiedział Jack, obracając steki widelcem, który wygrzebał z szuflady. - Musiałem nauczyć się działać w kuchni, kiedy byłem mały. Jako dziecko byłem niejadkiem i nie miałem ochoty na to, co gotowała Kucharcia... - Wzruszył ramionami. - No cóż, w domu panowała taka zasada, że jeśli nie odpowiadało ci jedzenie serwowane przez Kucharcię, gotowałeś sobie sam. Więc tak, nauczyłem się gotować.

Kucharcia, pomyślała Lou. Powiedział to tak naturalnie, jakby każdy w dzieciństwie

miał jakąś Kucharcię.

Ale, do licha, jak na razie w kuchni radził sobie sprawniej niż Lou czy Barry, a żadne z nich nie dorastało w domu pełnym służby. W gruncie rzeczy ona i Barry woleliby raczej zamorzyć się głodem, niż sięgnąć po garnek i ugotować choćby makaron.

A potem zdała sobie sprawę, że właściwie nic o Jacku nie wie.

- Masz jakieś rodzeństwo? - spytała znów tym dziwnym głosem.

- Nie - odparł Jack. Polał steki odrobiną wina ze swojego kieliszka. - Tylko ja, mama i tata.

- Och! - westchnęła Lou. Po głowie chodziło jej tylko jedno: że facet świetnie wygląda w tych dżinsach, zdobyła się jednak na pewien wysiłek i dodała: - Pewnie czułeś się bardzo samotny.

- Wy, z dużych rodzin, zawsze tak myślicie - odparł Jack z szerokim uśmiechem. - Ale jak mogło mi brakować czegoś, czego nigdy nie zaznałem? Poza tym dobrze dogadywałem się z rodzicami. - Uśmiech zbladł. - Przynajmniej dopóki nie zdecydowałem, że chcę być aktorem.

Lou, której ulżyło, że przestał się uśmiechać, bo od tego uśmiechu coś dziwnego robiło się z jej pulsem i wcale jej się to nie podobało, uznała, że dotknęli właściwego tematu i mogą bezpiecznie na nim jechać jeszcze przez parę godzin. I może nawet, pod warunkiem, że uda jej się go powstrzymać przed kolejnymi uśmiechami, zdoła wytrwać w postanowieniu, że nie będzie miała z nim nic więcej do czynienia... przynajmniej fizycznie.

- Och? Twoi rodzice nie popierali takiego wyboru kariery?

- No cóż, mama się nie sprzeciwiała - powiedział Jack. - Ale ojciec chciał, żebym przejął rodzinny interes. Albo żebym przynajmniej poszedł na studia prawnicze. - Pociągnął łyk wina. - Kiedy się uparłem, odciął mnie od pieniędzy. Nie mógł się pogodzić, że jego jedyny syn robi karierę w niskobudżetowym sitcomie.

Lou powiedziała:

- No, ale od tego czasu sporo przecież osiągnęłaś. Odniosłaś niewyobrażalny sukces! Musi być z ciebie dumny.

- Może. - Jack wzruszył ramionami. - Ale nie miał okazji mi o tym powiedzieć. Umarł. Nawet nie dożył pierwszego *Gliniarza zabójcy*.

Lou westchnęła. Dziwne, ale naprawdę mu współczuła. Jackowi Townsendowi!

- Musiało ci być ciężko.

- Jak przypuszczam, nie bardziej niż tobie w domu pełnym chłopaków. - Znów się uśmiechał. - To oni nauczyli cię tego rzutu, którym mnie załatwiłaś na śniegu?

Poczuła, że na tę aluzję do pocałunku, jakkolwiek nie bezpośrednią, policzki zaczynają jej płonąć. Na szczęście, timer mikrofalówki zapiszczał i Jack poszedł zajrzeć do szpinaku.

- Nie - odparła ostrożnie. - Tata mnie nauczył. Wiesz, martwił się o mnie, kiedy wyjeżdżałam na studia. Chciał mieć pewność, że będę się umiała obronić.

- Taa - powiedział Jack, mieszając szpinak. - No cóż, możesz mu ode mnie pogratulować. Chłopcy nie bali się z tobą umawiać? No wiesz, chodzić z dziewczyną, która ma czterech starszych braci i ojca z pozwoleniem na broń...

Lou nie wiedziała, czy to ze względu na wino, czy swobodę, z jaką rozmawiali - zupełnie bez złośliwości, chyba po raz pierwszy od świtu, czy też może dlatego, że wreszcie, po czterdziestu ośmiu godzinach koszmaru, właśnie zaczynała się rozluźniać... W każdym razie roześmiała się i powiedziała:

- No cóż, nie wiem. Był tylko jeden.

- Co jeden? Rewolwer?

- Nie - odparła i zachichotała. Zachichotała! Lou, która nigdy nie chichotała, ale lubiła śmiać się na całe gardło, wzorem Lindy Fiorentino, ile razy zdarzało jej się utknąć w korku na autostradzie! - Chłopak.

Jack chyba sparzył sobie dłoń szpinakiem. Machając nią w powietrzu, zapytał zdumiony:

- Co? Barry Kimmel to twój jedyny chłopak? W całym życiu?

O Boże, po co ona to powiedziała? Jack miał tyle romansów - i to tylko odkąd stał się sławny - że łączna suma byłych partnerów Lou musiała stanowić dla niego niezłe zaskoczenie. Zdaje się, że doznał szoku.

Ale co ją to obchodzi? I tak nie chciałyby się z nim związać. Przykład Vicky wyleczyłby ją z wszelkich skłonności pod jego adresem, gdyby oczywiście miała jakieś skłonności. A poza tym postanowiła dać sobie spokój z aktorami, prawda? Czy nie to miała zamiar dać mu do zrozumienia ręcznikiem niedbale zwiniętym na głowie i brakiem makijażu?

Tak więc podniosła swój kieliszek, pociągnęła łyk i odparła:

- Taa. Tylko Barry.

Jack patrzył na nią z totalnym niedowierzaniem. Ostatnio widziała u niego taką minę podczas pierwszego czytania *Gliniarza zabójcy 4*, kiedy doszedł do sceny, w której szef gangu Eskimosów brutalnie łamie Loganowi rękę.

- Mój Boże. Całe życie i tylko jeden facet? Przecież ty jesteś praktycznie... - urwał.

Zmrużyła oczy i przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Praktycznie kim? - spytała.

- Nieważne. - Odwrócił się do kuchenki. - Hej, posłuchaj, chyba już są dobre. Weźmy sobie dwa talerze i...

- Praktycznie kim, Townsend?

- No wiesz... - powiedział, wzruszając ramionami z zażenowaniem. - Dziewicą.

- Och! - zawołała żona Tima Lorda, klaszcząc w ręce. - Niemożliwe! Boże, jakie to śmieszne! Zupełnie w jego stylu. Nie sądzisz, że to zupełnie w stylu Jacka, Mel?

Melanie Dupre uśmiechnęła się półgębkiem. Eleonora pomyślała, że to pewnie kolejny pseudonim artystyczny, wszyscy znajomi Jacka mieli pseudonimy, bo dziewczyna w żaden sposób nie mogła być Francuzką. Żadna znana Eleonorze Francuzka nie dałaby swojej córce na imię Melanie. W przeciwieństwie do Vicky, druga aktorka nie wydawała się specjalnie zainteresowana opowieściami o dzieciństwie Jacka. Eleonora nie miała jej tego za złe. Jack był słodki jako dziecko, oczywiście. Ale trudno, żeby taką osobę jak panna Dupre, oszałamiająco piękną kobietę, bawiło wysłuchiwanie czułych opowieści matki o ukochanym synu. W końcu ledwie go znała.

A może znała go o wiele lepiej, niż się wydawało, bo dyskretnie przysłaniając ziewnięcie delikatną dłonią - Eleonora nie zdołała powstrzymać myśli, że paznokcie u tej dłoni są nieco za długie - powiedziała:

- Och, Jack setki razy opowiadał mi tę historię.

- Doprawdy? - Vicky rzuciła dziewczynie jadowite spojrzenie. - No cóż, ja jej nigdy nie słyszałam.

A potem ta Vicky o twarzy anioła - która na wieść, że Jack może jeszcze żyje, ożywiła się niezmiernie, przebrała z piżamy i nawet przeciągnęła szczotką po włosach - zwróciła się do Eleonory i poprosiła, szeroko otwierając błękitne oczy:

- Proszę mi powiedzieć, co Jack zrobił potem, pani Townsend.

Eleonora westchnęła. Spojrzała na pana Calabrese - czy raczej Franka, bo nalegał, żeby tak się do niego zwracała. Eleonora z zasady nie pochwalała zdrobnień, ale Franklin było istotnie zbyt oficjalnym imieniem dla tego miłego człowieka. Biedaczek. Musiał być tak samo znużony jak ona, prawie zasypiał na białej kanapie. Dobry, poczciwy człowiek. Okazał jej tyle troski i życzliwości. I jakie to urocze, że wziął Alessandra na kolana i nawet pozwalał lizać się po twarzy.

A w czasie rozmów z policją okazał się wprost nieoceniony! Jako emerytowany policjant rozumiał z tego wszystkiego o wiele więcej niż ona i wyjawiał jej mnóstwo ciekawych rzeczy na temat prowadzenia akcji ratunkowych i poszukiwania zaginionych. Eleonora już zdążyła zacząć ciepło myśleć o biednej pannie Calabrese, którą spotkało to nieszczęście, że dano jej na imię Louise. Jeśli ktoś powinien się domagać artystycznego pseudonimu, to na pewno córka Franka Calabrese. Louise Calabrese, Chryste Panie!

Dziewczyna była całkiem ładna - Frank pokazał jej zdjęcie - no i w swoim zawodzie odnosiła spore sukcesy, więc Eleonora przypuszczała, że imię nie dawało jej się tak bardzo w znaki. A jednak ta okropna historia z panem di Blase, tym, na którego Frank mówił Barry, dla którego zostawiła Jacka ta okropna Greta Woolston! Eleonora nie lubiła wydawać sądów o osobach, których nigdy nie spotkała osobiście, ale tym razem mu się udało zgodzić się z Frankiem, że ten cały Barry to nieokrzesany cham. I burek.

No właśnie, jakich ciekawych słów uczyła się od Franka! Naprawdę, był dla niej źródłem niezwykłych, nowych przeżyć. Eleonora zerknęła na niego kątem oka. Był również przystojny, prawdziwy dżentelmen. No cóż, Eleonora nie przypominała sobie, kiedy po raz ostatni ktoś przepuszczał ją w drzwiach - wyłączając oczywiście, Richardsa.

Było w nim o wiele więcej z dżentelmena niż w tym okropnym Timie Lordzie. Aż trudno uwierzyć, że ten oto mały człowieczek wyreżyserował najgłośniejszy film ostatnich lat. Nic dziwnego, że czuł się taki ważny. Ale mimo wszystko, to nie do przyjęcia, żeby on i jego żona zatrzymywali ich tak długo. Przecież zdawali sobie sprawę, że cały dzień spędzili z Frankiem na rozmowach z policją, z biurem lotnictwa cywilnego i z prasą... Na litość boską, wystarczyłoby tego, żeby wykończyć młodą osobę, a Eleonora zbliżała się do sześćdziesiątych piątych urodzin...

I do tego jeszcze zmiana czasu! W domu było już po północy. Nawet Alessandro spał teraz jak zabity w swoim wiklinowym koszyku!

- Pani Townsend? - Vicky Lord patrzyła na nią wyczekująco. Och tak, chyba zadała jej jakieś pytanie. Eleonora czuła się tak strasznie zmęczona, nie mogła sobie nic przypomnieć. Ach, właśnie. Ta historyjka o Jacku.

- No cóż, Jack jako mały chłopiec zupełnie nie wykazywał zrozumienia dla sztuki - powiedziała. - Więc jeździł tym swoim samochodzikiem, rozumieją państwo - po ścianach... Luwru! Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki strażnik nie podszedł do niego i nie powiedział: „*Petit monsieur* - Oni są tacy uprzejmi, to znaczy strażnicy w Luwrze, nie wiem, czy państwo zauważyli... - *S'il te plait, ne conduis pas sur le mur*. Proszę nie jeździć po ścianie. Czy to nie urocze?

Żona Tima Lorda roześmiała się, ale panna Dupre nie zmieniła wyrazu twarzy. Piękne, ale niezbyt bystre stworzenie. Podobnie jak Greta Woolston.

Ta myśl uderzyła Eleonorę i kazała jej uważniej spojrzeć na pannę Dupre. Dobry Boże, pomyślała sobie, czy to możliwe, że ta dziewczyna i Jack...

Nie. To byłoby po prostu śmieszne. Jack na pewno zdążył już zmądrzeć. To niemożliwe, żeby związał się z taką dziewczyną. Nie z kolejną aktorką. Nie...

Ale wtedy dziewczyna znów się odezwała, patrząc na panią Lord spod długich rzęs:

- Tak, Jack mi to opowiadał, kiedy ostatni raz byłam u niego na ranczu. Byłaś u niego na ranczu, Vicky, prawda?

Pani Lord zakrztusiła się lekko szampanem. Tim Lord spojrzął na nią z troską.

- Nic ci nie jest, kochanie? - spytał czule, i gdyby Eleonora nie wyrobiła już sobie opinii o samolubnej naturze tego człowieka, mogłaby pomyśleć...

- Nic mi nie jest. - Vicky odkaszlnęła w zaciśniętą pięstkę. - Przepraszam. Wszystko w porządku. Trafiło nie w tę dziurkę. Przepraszam bardzo.

Frank Calabrese drgnął nagle, jakby wyrwany z kilkusekundowej drzemki. Rozejrzał się dokoła szeroko otwartymi oczami, jakby nie do końca świadom, gdzie jest.

- Która to godzina? - spytał. Tim Lord spojrzął na zegarek.

- Dopiero wpół do dziesiątej - powiedział. - Należę panu szkockiej, panie Calabrese. Mam tu dwunastoletnią whisky, po której wyskoczyłby ze skarpet nawet...

- Nie, dziękuję - przerwał Frank, wstając. - Dla mnie jest znacznie później. Po północy. A jutro czeka nas kolejny ciężki dzień. Eleonoro, dobrze się czujesz? Czy może wolałabyś, żebym cię odprowadził do twojego pokoju?

Eleonora poczuła przyływ wdzięczności.

- Och, jestem bardzo zmęczona - westchnęła. - Państwo są szalenie mili, ale jeśli nie mają nic przeciwko temu...

- Ależ skąd. Odprowadzę państwa do drzwi. - Vicky Lord szybko poderwała się na nogi, jakby nagle zaczęło jej strasznie zależeć, żeby sobie już poszli. Dziwne, zwłaszcza że to ona właśnie tak bardzo nalegała, żeby po kolacji zajrzeli do ich apartamentu na drinka - a swoją drogą, kolacja w hotelowej restauracji też była nieporozumieniem. Szef kuchni bynajmniej nie wzbіл się na wyżyny sztuki kulinarnej. Ktoś powinien mu powiedzieć, żeby postawił raczej na tradycyjne proste potrawy.

No i odprowadziła ich, zupełnie niepotrzebnie cackając się z nimi jak z jajkiem. Frank niósł Alessandra i koszyk. W tej pani Lord było nawet coś miłego. Szkoda, że nie można tego samego powiedzieć o Melanie Dupre. Eleonora od dawna nie widziała równie niesympatycznej osoby. Jeśli Jack się z nią spotykał, to chyba tylko ze względu na jej urodę, rzeczywiście niezwykłą. Ale na Boga, uroda to nie wszystko. Dlaczego nie może sobie znaleźć jakiejś miłej dziewczyny, z którą mógłby osiąść na tym swoim ranczu i dorobić się nie tylko stada koni? Na przykład dać jej kilku wnuków?

No cóż, na pewno nieprędko to nastąpi, zwłaszcza jeśli Jack nadal będzie się wiązał z tymi rozkapryszonymi gwiazdkami.

- Miejmy nadzieję, że rano dowiemy się czegoś dobrego - mówiła w drzwiach Vicky Lord, ściskając dłoń Eleonory.

- Tak - powiedziała Eleonora. - Miejmy nadzieję.

- Dobranoc - dodała Vicky.

- Dobranoc - pożegnał się Frank.

A potem Vicky zamknęła drzwi apartamentu. Frank, który trzymał koszyk w jednym ręku, a psa w drugim, powiedział:

- Czy ci ludzie poszaleli?!

Eleonora cudem powstrzymała wybuch śmiechu. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś równie precyzyjnie ujął w słowa jej własne myśli.

- Nie wiem - powiedziała, naciskając guzik windy. Tim Lord zajmował apartament na ostatnim piętrze. - Ale to było trochę dziwne, nieprawdaż?

- Dziwne? - Frank Calabrese pokręcił głową. - To była totalna głupota, ot co. Nasze dzieci zaginęły, a oni chcą z nami pić szampana. Może tak postępują ludzie w Hollywood, ale mówię ci, na Long Island, jeśli czyjeś dziecko zaginie, nikt nie będzie nalewał rodzicom szampana.

- Moim zdaniem szampan to dla nich coś oczywistego. Tak jak dla nas filiżanka kawy.

- No cóż, sam chętnie wypiłbym małą czarną - powiedział Frank, kiedy już jechali na swoje piętro. Dostali pokoje naprzeciwko siebie. - Może bym nie zasnął, kiedy ten Tim Lord rozwodził się nad *Hamletem*. Chyba Jack odniósł wielki sukces jako reżyser, prawda?

- Tak, film miał niezwykle korzystne recenzje - przyznała Eleonora wysiadając z windy. - Ale, och, Boże mój... Frank, tracę wiarę w to, że Jack i Lou kiedykolwiek się znajdą, jeśli tacy ludzie mają ich szukać.

- Na szczęście, to nie oni szukają. Ci, którzy szukają naszych dzieci, to nie typki z Hollywood. To normalni ludzie. Zwłaszcza ten szeryf. Wygląda na to, że znalezienie niedźwiedzia polarnego w środku zamieci śnieżnej nie sprawiłoby mu wielkiego kłopotu. Nic się nie martw, Eleonoro. Nic im się nie stanie.

Eleonora bardzo chciała mu uwierzyć. Ale czy to możliwe, żeby dwoje ludzi przetrwało katastrofę helikoptera i zapadło się pod ziemię, nie zostawiając po sobie ani śladu? Dlaczego jeszcze ich nie znaleziono? Tak, oczywiście, pogoda spowalniała poszukiwania, ta okropna zamieć. Eleonora pomyślała, że już nigdy w życiu nie spojrzy na śnieg. Dobrze, że sprzedała domek narciarski w Aspen.

Ale jak długo można przetrwać na takim mrozie?

Niedługo. Nikt jej nie odpowiedział wprost, ale zauważyła, że Frank i szeryf

wymienili znaczące spojrzenia. Usiłowali ochronić ją przed prawdą, z pewnością tak.

A prawda była taka, że nikt - niezależnie od tego, ile filmów obejrzał — nie mógł przeżyć w lesie, w arktycznych warunkach czterdziestu ośmiu godzin.

Dla Eleonory, oczywiście, śmierć kogoś bliskiego nie była pierwszą. Oboje rodziców straciła już dawno temu, a parę lat temu umarł jej mąż. Starła się stawić czoło tym stratom jak najdzielniej i z jak największym wdziękiem...

Ale jak można stawić czoło stracie jedyne dziecko? Chyba nie można. Jeśli Jack zginął... jeśli Jack zginął...

Równie dobrze ona sama mogłaby już nie żyć.

Frank postawił na podłodze koszyk i Alessandra. Jednak zamiast poprosić ją o klucz, żeby otworzyć drzwi do jej pokoju a potem grzecznie życzyć spokojnej nocy, ujął ją za ramię i, zaglądając w oczy spytał:

- Hej, co się dzieje?

Eleonora, która była całkiem pewna, że ma mocno ponurą minę - jeszcze bardziej pochmurną niż ta paskudna Melanie Dupre - spróbowała się uśmiechnąć.

- Nic takiego - powiedziała. - Nic mi nie jest. Tylko że... coś mi wpadło do oka.

- Posłuchaj, Eleonoro - powiedział Frank tym swoim głębokim miłym głosem. - Rozmawialiśmy już o tym. Te nasze dzieci to prawdziwi twardziele. Naprawdę uważasz, że trochę śniegu i mrozu może zaszkodzić takim dzielnym dzieciakom?

Eleonora pociągnęła nosem. Nic nie mogła na to poradzić. Chusteczkę miała w torebce, ale nawet nie miała siły jej szukać. Czuła się taka zmęczona. Tak okropnie zmęczona.

- Posłuchaj mnie teraz - powiedział Frank. - Moja córka to najbardziej uparta osoba, jaką znam, pomijając jej zmarłą matkę. Jeśli sądzisz, że pozwoli, żeby na drodze stanęła jej jakaś śnieżycyca, no cóż, to jej po prostu nie znasz. A z tego, co słyszałem o twoim Jacku, taki mróz to dla niego pikuś. Nic im nie będzie, Eleonoro. Nic im nie będzie. Prawdopodobnie zaszyli się w jakiejś jaskini - a przedtem wykurzyli z niej niedźwiedzia. Biedny misiek zagląda teraz z głupią miną do środka, a oni tylko na niego warczą.

Eleonora nie mogła się nie roześmiać.

- Tak - przyznała. - To zupełnie podobne do Jacka.

- A widzisz? - powiedział Frank. - Mam rację? No, to pakuj się do łóżka i złap parę godzin snu. Do rana, możesz się ze mną zakładać, uda im się namierzyć dzieciaki. Śniadanie zjemy już w komplecie.

- Mam nadzieję, że nie w tej żałosnej instytucji na dole - powiedziała Eleonora,

ocierając łzę.

- Chyba żartujesz? - oburzył się Frank. - Musiałem łyknąć garść tabletek na wątrobę po tym steku. Nie wiem, jak można zepsuć zwykły stek, ale tym ludziom jakoś się udało. Znajdziemy sobie jadłodajnię prowadzoną przez miłą rodzinę gdzieś na mieście i zjemy prawdziwe śniadanie. Jak ci się to widzi?

- To mi się widzi znakomicie - powiedziała Eleonora. A potem, pod wpływem impulsu, wspięła się na palce i szybko pocałowała Franka Calabrese w policzek. - Dziękuję - szepnęła.

Ku jej zdumieniu, Frank oblał się dość jaskrawym różem. Dopiero po sekundzie czy dwóch dotarło do Eleonory, że to nie atak serca, tylko rumieniec. Nie zdołała powstrzymać okrzyku:

- Ależ, Frank! Ty się zaczerwieniłeś!

Natychmiast zakryła sobie usta i spojrzała na niego zawstydzona. Podobne uwagi to przecież szczyt złego wychowania. Ku jej zdumieniu, rumieniec Franka jeszcze się pogłębił, nabierając barwy burgunda.

- Wiem - jęknął strapiony. - To rodzinna klątwa. Wszyscy tak mamy.

Eleonora odjęła dłoń od ust i powiedziała, ujmując go lekko za ramię:

- No cóż, ja uważam, że to po prostu urocze.

- Naprawdę? - spytał z niedowierzaniem.

- Oczywiście. To w gruncie rzeczy wręcz niezwykle. Czasami wydaje mi się, że już nikt na tym świecie nie czuje się nigdy niczym zażenowany... A zwłaszcza ludzie, którzy mają najwięcej powodów do wstydu.

- Ja też mam takie wrażenie. - Frank uśmiechnął się szeroko. - Czy to nie zabawne?

Eleonora poczuła dziwne szarpnięcie - prawie tak jak wtedy, kiedy Alessandro szarpał się na smyczy, bo chciał się czemuś bliżej przyjrzeć. Tylko że tym razem szarpnięto ją nie za ramię, ale - była tego zupełnie pewna - za serce.

To było zaskakujące odkrycie, bo Eleonora nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek przedtem czuła coś podobnego, chyba że wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Gilberta na balu kotylionowym u Maude Gross - Dunleavy, tak wiele lat temu...

Wielkie nieba! Czy właśnie coś takiego się tutaj działo?

- No cóż - powiedział Frank, którego cera odzyskała swój normalny odcień. - Dobranoc, Eleonoro.

- Dobranoc, Frank. - Eleonora szybko zabrała Alessandra do pokoju i zamknęła za sobą drzwi, zanim Frank zdążył się zorientować, że teraz na odmianę jej twarzy oblała się

purpura.

Lou nadziała kawałek dziczyzny na widelec. Mięso było przepyszne, tak samo jak puree ze szpinaku, ale nie miała zamiaru wychwalać kuchni Jacka Townsenda.

Jednak jej talerz bardzo szybko opustoszał i trochę się obawiała, że to ją zdradzi.

- Powiedzmy sobie od razu - powiedziała, chociaż przyjemne ciepło i sytość w żołądku bardzo jej utrudniały gniewanie się na Jacka. - Myślisz, że skoro byłam tylko z jedną osobą, to jestem dziewicą?

Miał mocno skonsternowaną minę, i to od chwili, kiedy słowo dziewica po raz pierwszy wysnęło mu się z ust.

- Posłuchaj - powiedział. - Możemy to sobie odpuścić?

- Nie - odparła Lou. - Nie możemy sobie tego odpuścić. Bo trudno mnie nazwać dziewicą, Townsend. Przecież ja mieszkałam z facetem sześć lat. Sześć lat.

A on nadal, cholera, nie miał zamiaru się oświadczyć, dodała. .. Tylko w myślach, oczywiście.

- Posłuchaj mnie, Lou. - Jack odłożył widelec. - Ja tu nie usiłuję wydawać żadnych osądów ani nic. Tylko że... No cóż, sama musisz przyznać, to trochę rzadkie w naszych czasach.

- Co jest rzadkie? - Zamrugła zdziwiona, patrząc na niego przez stół - chropawy, nierówny stół, który zastawiła przypadkową zbieraniną naczyń z szafki Donalda. Przynajmniej tyle mogła zrobić, stwierdziła, skoro Jack wziął na siebie gotowanie.

Teraz jednak przyszło jej do głowy, że mogła się nie wysilać. Zdanie na jej temat Jack miał już najwyraźniej ugruntowane.

- Ty mówisz o monogamii w związkach? - zapytała z lekkim niedowierzaniem.

- No cóż - odparł, popijając wino. - Tak. W zasadzie sądziłem, że już dawno wymarła.

Nie spuszczała z niego wzroku.

- Zdajesz sobie sprawę, że z nas dwojga to ja mam broń? - spytała. - Mogłabym cię bez trudu zastrzelić i zostawić. Za parę miesięcy Donald znalazłby twoje rozkładające się zwłoki.

- Powiedziałem, niczego nie oceniam. - Napełnił ponownie jej kieliszek. - Nie wiem, po co te obronne tony.

- Nazwałeś mnie dziewicą - przypomniała Lou.

- Praktycznie - przypomniał jej Jack. - Powiedziałem, że jesteś praktycznie dziewicą. Jak ci smakuje stek?

- Nie próbuj mnie zagadywać - powiedziała Lou, chociaż sama miała kłopoty z trzymaniem się tematu. Jak miała prowadzić tę rozmowę, kiedy on siedział tak blisko, oddzielony od niej tylko blatem stołu, i wyglądał lepiej niż... No cóż. lepiej niż powinien. Ewidentnie użył jednorazowej golarki Donalda, bo szczecina, która od wczorajszego ranka pokrywała jego szczupłą, kwadratową szczękę, zniknęła. Gęste włosy nadal były wilgotne po kąpieli i układały się na karku w krótkich, miękkich skrętach. Kolejna partia ciemnych włosów - tych na klatce piersiowej - wyglądała z trójkątnego dekoltu niedopiętej flanelowej koszuli. Chociaż Lou oglądała jego nagi tors setki razy - nawet na dużym ekranie - fakt, że teraz, pomijając tę parę guzików, miała go w zasięgu ręki, sprawiał...

...no cóż, że robiło jej się jakby ciepło.

Może to te kalesony. Może ogień płonący dziarsko na kominku, a może pyszna kolacja.

A może to dlatego, że jak na aktora, Jack Townsend bardzo dziwnie się zachowywał. Ani razu nie wymienił słowa sztuka, nie zrobił ani jednej uwagi na temat swojego agenta. Przez cały czas, który spędzili razem, ani razu nie padło nazwisko Stanisławskiego. To wystarczało, żeby Lou nabrała podejrzeń.

- Nie staram się zmienić tematu - powiedział Jack. - Szczerze interesują mnie twoje gastronomiczne doznania.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Jedzenie jest świetne - powiedziała. - I doskonale o tym wiesz.

- Donald ma trochę lodów w zamrażarce, a w lodówce zauważyłem butelkę sosu czekoladowego.

Lou pochyliła się przez stół i złapała jego pusty talerz.

- Zajmę się zmywaniem - zaproponowała. - A ty podaj lody z sosem.

Ale on nawet nie drgnął. Siedział i patrzył, jak ona kręci się po kuchni, ustawia brudne naczynia i na wierzch wrzuca sztućce.

- Co? - zapytała, kiedy wreszcie zauważyła jego spojrzenie. - Mam szpinak na buzi? - Spróbowała zeskrobać go palcem. - Gdzie? Już nie mam?

- Nie masz szpinaku na buzi - powiedział Jack, a ten jego uśmiech wart piętnaście milionów dolarów rozwinął się na pół gwizdka - no może na siedem ósmych gwizdka. - Ja tylko nie przywykłem jeść obiadów z kobietami, które tak bardzo interesują się deserem.

Lou parsknęła i zaczęła napełniać zlew gorącą wodą.

- No, to mnie zdziwiłeś - zakpiła. - Patrz, a ja byłem przekonana, że Greta Woolston nie rusza się nigdzie bez fistaszków w karmelu w torebce, zupełnie jak ja. No, nieważne,

Townsend. Powiedzmy po prostu, że ostatnio twój wybór partnerek pozostawia sporo do życzenia.

- Aha! A Barry Kimmel to po prostu idealny partner życiowy, tak? - powiedział Jack, rozpierszając się na krześle i zaplatając dłonie za głowę, więc Lou naprawdę nie mogła nie zauważyć, jak interesująco napięły się bicepsy pod przyciasną koszulą.

- Barry przynajmniej nie jest chodzącym zombie.

- Może i nie - zgodził się Jack. — Ale zamiast mózgu ma chyba prażoną kukurydzę. A ty z nim spędziłaś ile, dziesięć lat? Ja na Gretę zmarnowałem zaledwie dwa miesiące.

- Och! - Lou położyła mokrą od mydlin dłoń na piersi. Donald, oczywiście, nie miał rękawiczek do zmywania. - Mój Boże. Masz rację. Jesteś o tyle lepszy niż ja. - Przyjrzała mu się drwiąco. - Townsend, dla twojej informacji, ja Barry'ego kochałam. Nie jestem z tego specjalnie dumna, ale przynajmniej usiłowałam stworzyć dojrzały związek, jak dorosły człowiek, zamiast po prostu zebrać sobie zróżnicowaną kolekcję króliczków do pieprzenia.

Jack, który bujał się na krześle, przechylił się tak mocno do tyłu, że omal się nie przewrócił. Odzyskał równowagę w ostatniej chwili, ale tylko dlatego, że zeskoczył z krzesła. Kiedy odwrócił się i stanął z Lou twarzą w twarz, miał minę niewinnie skrzywdzonego szczenięcia.

- Króliczki do pieprzenia? - powtórzył. Lou wróciła do zmywania.

- Och, wybacz - odezwała się. - Chcesz mi dać do zrozumienia, że Melanie Dupre pociągała cię intelektualnie? Co, siadaliście sobie i w jej przyczepie na planie omawialiście Kanta? Jakoś tego nie widzę.

- Wiesz co? - powiedział Jack z namysłem. - Nie wiem, czy to dlatego, że miałaś tych wszystkich braci, czy dlatego, że tata zabierał cię na strzelnicę zamiast na lody, kiedy byłaś mała, czy co. Ale straszna z ciebie kastrująca baba.

- Taa? - powiedziała Lou, odwracając się od zlewu, żeby spojrzeć mu w twarz. — No cóż, wolę być kastrującą babą niż dużym, ładnym, nakręcanym chłopcem, który tylko przechadza się przed kamerą i powtarza jak papuga słowa napisane przez innych, a w wolnych chwilach pozwala wodzić się za członka. Jack pochylił się nad nią, aż jej nos znalazł się naprzeciw dekoltu koszuli, ukazującego ciemne włosy na jego piersi.

- A więc to takie rzeczy chodzą po głowach scenarzystkom? Że bez nich nie byłoby filmu?

- A byłby? - spytała zaczepnie.

- Myślisz, że nie potrafię sam napisać sobie scenariusza? - spytał ostro Jack. - Zjedna kwestią poszło mi nieźle, nie sądzisz? Jakoś nie widzę, żeby ludzie jeździli samochodami z

naklejką „Fajnie jest, póki ktoś nie oberwie”.

Lou gwałtownie wciągnęła powietrze. Czowała, że robi się czerwona na twarzy, ale było jej już wszystko jedno. Z furią potarła czubek nosa mokrą ręką.

- Nie, dzięki tobie - rzuciła. - Za to jeżdżą z tym twoim idiotycznym: „Potrzebna mi większa spluwa”. Wiesz, Jack, nie rozmiar rewolweru się liczy, ale siła rażenia, która... Co ty sobie wyobrażasz, do licha?!

Bo Jack nagle sięgnął do jej twarzy i otarł jej nos rąbkiem swojej koszuli.

- Nie ruszaj się przez chwilę - powiedział, kiedy chciał mu się wyrwać. - Masz pianę na nosie.

Lou z przerażeniem zdała sobie sprawę, że za sobą ma tylko zlewozmywak, a przed sobą Jacka Townsenda, i nie była zbyt szczęśliwa, kiedy nagle jej twarz znalazła się między jego dłońmi.

A najgorsze było to, że Lou miała okazję zerknąć na jego twardy, szczupły brzuch. Gorzej, na ciemną linię włosów, która prowadziła przez ten brzuch od piersi w dół, aż znikwała pod jego dżinsami, niczym strzałka wskazująca jakiś ukryty skarb.

Szlak przyjemności, jak zawsze nazywała to zjawisko Vicky.

Oczywiście, szlak przyjemności Jacka był czymś, co Lou już wcześniej widziała.

Ale nigdy z tak bliska. Zawsze na ekranie i z odległości kilku rzędów...

Lou najwyraźniej nie była jedyną osobą, która zdała sobie sprawę z nagłej i dramatycznej zmiany atmosfery w pokoju.

Jack, trzymając jej twarz w swoich dużych dłoniach, popatrzył na nią z takim samym zaciekawieniem, jakie zauważyła, zanim przewróciła go na śnieg... Zanim ją pocałował.

Lou poczuła drgnienie czegoś, co nie było strachem, ale nie było też podnieceniem. Serce waliło jej ciężko o żebra, słyszała swój własny oddech, krótki i urywany. Mimo to zdążyła całkiem przytomnie pomyśleć, że wcale nie chce, żeby to się stało.

- Jack - powiedziała dziwnie niepewnym głosem. - Nawet o tym nie myśl. To się nigdy nie uda. Ja nie chcę wiązać się z kolejnym zaabsorbowanym sobą aktorem.

- Myślisz, że ja chcę się wiązać z kastrującą przemądrzałą babą? - spytał znacząco.

I wtedy, uporawszy się z tą kwestią, pocałował ją mocno w usta.

Lou poczuła, że ten pocałunek, podobnie jak pierwszy, wywołuje dreszcz, który przeleciał jej po kręgosłupie niczym kolejka górską. Nagle okazało się, że lgnie do niego, czując każdy guzik tej flanelowej koszuli przez własną koszulę. Ciepło promieniowało od niego, ciepło wędrowało do jej podkurczonych palców u nóg i wracało w górę, po drodze robiąc sobie przystanki na zwiedzanie we wszystkich głównych punktach erotycznych.

Ledwie się powstrzymywała, bo miała ochotę owinąć nogi wokół jego bioder i zawołać: Bierz mnie! Niczym Marlena Dietrich w...

Zaraz. Czy to była Marlena Dietrich? O Boże, kogo to obchodzi?!

Chwycił ją za ramiona i delikatnie odsunął od siebie.

- Używałaś szczoteczki do zębów Donalda? - zapytał. A przynajmniej tak jej się zdawało, bo naprawdę była zanadto oszołomiona, żeby go dobrze zrozumieć.

- Oczywiście - powiedziała. - A ty nie?

A potem przyciągnął ją do siebie, tym razem obejmując ramionami i popychając w stronę zlewu. Woda chyba już się przelewała. Ale co ją to obchodziło. Trudno przejmować się czymkolwiek, kiedy jest się całowanym tak głęboko i namiętnie. Aż trudno było wierzyć, że on jej nie cierpi, kiedy całował ją w taki sposób.

I trudno było pamiętać, że to osoba, którą lubi najmniej ze wszystkich ludzi na świecie, skoro jego pocałunki budziły w niej takie doznania... Jakby była najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek chodziło po tej planecie. Jack jej pragnął. Dawał jej to do zrozumienia naprawdę dobitnie. Jack pragnął jej, Lou Calabrese, mimo że była bez makijażu, za to w męskich kalesonach. I owszem, może i była jedyną kobietą w promieniu setek kilometrów, ale on jej pragnął, czuła to bardzo wyraźnie.

Nie było żadnych wątpliwości: Jack Townsend miał na nią ogromną ochotę.

A ona z radością skłonna była przyznać, że ma wcale nie mniejszą. I kogo to w ogóle obchodziło, że facet romansował na prawo i lewo i miał awersję do stałych związków? Ważne, jak się dzięki niemu czuła! Jego język wyczyniał teraz takie sztuczki, że ach... A jego ręce wędrowały coraz niżej, aż do samego dołu flanelowej koszuli Lou. Potem, po nagiej skórze powędrowały znowu w górę i zaczęły wprawnymi ruchami głaskać jej piersi. Lou, która ledwie doszła do siebie po tym pierwszym, zwalającym z nóg pocałunku, znów osłabła. Nagle wydało jej się, że dłużej nie zdoła ustać.

Ale to nie miało znaczenia, bo Jack chyba zrozumiał. Chwycił ją za biodra i unióśł lekko, tak że usiadła na krawędzi zlewu, rozkładając szeroko nogi. Podciągnął jej koszulę - Jack Townsend nie będzie sobie zawracał głowy guzikami - i na szczęście okazało się, że teraz jej sutki znalazły się dokładnie w zasięgu jego natarczywych warg.

Pierwszy palący dotyk tych ust sprawił, że Lou omal nie wpadła do zlewu pełnego gorącej wody i mydlin. Na szczęście, zdążył ją podtrzymać. Dzięki Bogu, bo wydawało jej się, że świat nagle przewrócił się do góry nogami. To znaczy, na pewno się przewrócił skoro zrobiła to, co zrobiła: rozpięła rozporek dżinsów Jacka Townsenda.

I nagle ta część jego ciała, którą była w tej chwili najbardziej zainteresowana,

zaciążyła jej przyjemnie w dłoni. Jedyne ciało Jacka Townsenda, której nigdy nie widziała. Teraz miała okazję docenić ją w pełni, jako że reprezentowała sobą wszystko to, czego dziewczyna mogłaby oczekiwać od gwiazdy dużego ekranu, a nawet jeszcze więcej.

Szlak przyjemności Jacka, stwierdziła z zadowoleniem, nie prowadził do rozczarowania.

Jack, jakby nieprzyzwyczajony do tak bezpośrednich pieszczot w tym miejscu — co było trochę dziwne, biorąc pod uwagę doświadczenie jego byłych kochanek - odetchnął głęboko i skrył twarz na szyi Lou. Jego dłoń ześliznęła się w dół, ku rozciągniętej gumce męskich kalesonów, które miała na sobie...

Palce Jacka wślizgnęły się między jej nogi i znalazły to gorące, wilgotne miejsce. Lou nie zdołała powstrzymać jęku, kiedy znów ją pocałował. Pomyślała sobie, że gdyby teraz po prostu wzięła go w siebie, przestałaby być „praktycznie” dziewicą. Ta myśl nieskończenie ją pociągała. Prawdę mówiąc, trudno jej się było powstrzymać.

Ale Jack miał chyba inne pomysły. Nagle zdjął ją ze zlewu i trzymając mocno w ramionach, zaczął iść do sypialni. Najwyraźniej nie przepadał za zabawianiem się z kobietami siedzącymi na kuchennym zlewie - innego wyjaśnienia dla tej nagłej decyzji Lou nie znalazła.

Sekundę później położył ją na łóżku Donalda... A potem sam położył się na niej. Nagle poczuła ten szlak przyjemności na swoim gołym brzuchu... Szlak przyjemności i inne przyjemne rzeczy.

A potem ściągał z niej ubranie. Spadła flanelowa koszula. Do widzenia powiedziały obie skarpetki. Na końcu poszły sobie precz kalesony, które ściągnął z niej ostrożnie, przyglądając się uważnie, jak wyłania się spod nich naga skóra.

- A więc jesteś naturalnie ruda - zauważył zachrypniętym głosem, przebiegając palcami przez trójkąt włosów między jej nogami.

- Wątpieś? - spytała Lou równie gardłowo.

- Kotku - powiedział - nigdy więcej nie zwątpię w nic, co ciebie dotyczy.

I znów ją całował. Czowała się tak, jakby jedynym powodem, dla którego on pojawił się na tej ziemi, było właśnie to... żeby mógł ją całować. Jednocześnie przebiegał dłońmi po jej nagim ciele, dotykając jej tak, jak Barry nigdy jej nie dotykał. Kochanie się z Barrym było przyjemne, ale było w tym też coś niedbałego. Robili to regularnie, ze trzy razy na tydzień, i zupełnie im wystarczało.

Ale Barry nigdy nie przycisnął jej do zlewu i nie całował tak, jakby od tego zależało jego życie. Barry nigdy nie wydawał takich dźwięków jak Jack, kiedy objęła go ręką, a on schował głowę na jej szyi. Barry nigdy nie sprawił, że poczuła się tak, jakby na całym świecie

nie istniało nic oprócz nich.

Barry nigdy, w przeciwieństwie do tego, co zrobił teraz Jack, nie zdierał z siebie ubrania gwałtownym ruchem.

I oto ukazał się w całej glorii - słynny tyłek Townsenda.

I przynajmniej na razie należał wyłącznie do niej. Przesunęła dłońmi po jego gładkich pośladkach, a potem bardzo mocno przyciągnęła go do siebie.

Jack zrozumiał i chyba nie potrzebował dalszej zachęty. Sekundę później zatopił się w niej.

Dom. Tylko o tym mogła myśleć Lou. Że po miesiącach, po latach podróży nareszcie dotarła do domu. Co było śmieszne, oczywiście, bo Jack w ogóle nie kojarzył się z domem. Jack nie kojarzył się ze spokojem. Z Jackiem człowiek się nie relaksował. No, może pomijając gotowanie, Jack wcale nie kojarzył jej się z domowymi wygodami.

Ale pasowali do siebie. O Boże, jak dobrze do siebie pasowali! Jakby ciało Jacka zostało stworzone tylko po to, żeby łączyć się z jej ciałem. Lou nigdy nie przeżyła czegoś takiego. Kiedy zatopił się w niej tak głęboko, że czuła go w samym kręgosłupie, przeżyła doznanie cudownej absolutnej pełni. Dopiero teraz zaczęła czuć się kobietą. W gruncie rzeczy była pewna, że właśnie umarła i poszła prosto do nieba.

Póki się nie poruszył.

Tylko odrobinę. Ale i tak tym ruchem wywołał w ciele Lou falę odczuć, których istnienia nawet się nie domyślała. Nagle znowu znalazła się na kolejce górskiej, ale tym razem była to górską kolejką żądy. Pragnęła, żeby Jack znów się tak poruszył. Pragnęła poruszać się tak razem z nim...

Wychodząc mu naprzeciw, zdała sobie sprawę z tego, że tak właśnie powinien wyglądać seks, nie jak te suche, mechaniczne ruchy, które wykonywała z Barrym, poczynawszy od ich pierwszego razu na tylnym siedzeniu chevroleta jego matki. Nie, seks to było to - ta wilgotna, gorąca miłość, przypominająca szaleńczą jazdę kolejką, to coś, o czym wszyscy mówili, coś, o czym latami pisała, ale nigdy sama nie poczuła, nigdy nie I rozumiała...

Aż do teraz. Teraz już wiedziała. Teraz już rozumiała, o co to całe zamieszanie, leżąc pod Jackiem Townsendem, z ciałem przytulonym do jego ciała.

Pozostawało jeszcze tylko pytanie, jakim cudem tak długo się bez tego obywatela.

A wtedy coś zaczęło się dziać. Coś się w niej piętrzyło — napięcie, które przez mgłę rozpoznawała jako doznanie, które zdarzało jej się przeżywać z Barrym, ale sto razy bardziej intensywne. Z całą pewnością nie mogła jeszcze dochodzić do orgazmu. Zazwyczaj zajmowało jej to przynajmniej ze dwadzieścia minut, a i to po półgodzinnych igraszkach

wstępnych.

Ale coś się jednak działo, wzbierało z jakiegoś miejsca ukrytego w głębi jej ciała, a potem zaczęło rosnąć jak płomień na czubku zapalki.

Tylko że zamiast się wypalić jak zapalka, ten płomień rósł i rósł, i wkrótce był większy niż płomień świecy, większy niż ognisko, niż pożar domu. Nie, to był szalejący pożar lasu; pochłaniał ją i sprawiał, że robiła różne rzeczy, których nie robiła nigdy w życiu, na przykład, zatapiała paznokcie w wart piętnaście milionów dolarów tyłek Jacka Townsenda i wołała jego imię oszalałym głosem, który jednak brzmiał zupełnie jak jej własny głos, aż nagle przelało się przez nią coś, co przypominało ścianę chłodnej błękitnej wody, która ugasiła płomienie i zatopiła ją błogosławnymi falami niezemskiego spokoju...

A potem Lou otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu udało jej się dojść do orgazmu bez fantazjowania, że jest z kimś innym - na przykład, z tym seksownym facetem z serialu *Horatio Hornblower*. Nie, doszła sama z siebie - no, może z niewielką pomocą Jacka - i to w rekordowym tempie.

A Jack, jak sobie wkrótce zdała sprawę, o ile wielki ciężar, który runął na nią, mógł stanowić jakąś wskazówkę, też doszedł, niewątpliwie w jakimś momencie jej szalonej ekstazy. Jedyne znaki sugerujące, że jeszcze żyje, to bicie serca, które czuła wyraźnie, bo tłukło się bardzo szybko tuż obok jej własnego.

- Mój Boże, Jack - powiedziała, kiedy wreszcie udało jej się zebrać tyle sił, żeby się odezwać. - Co to było?

- Lou - powiedział Jack, zanurzając łyżkę w pojemniku z lodami. - To się zdarza. To znaczy, kiedy dwoje ludzi tak się zre między sobą jak ty i ja...

- .. .pojawia się spore napięcie - dokończyła za niego Lou, dokonując w lodach sporej dewastacji swoją łyżką. - Jasne, dociera do mnie. Ale daj spokój. To znaczy, może ja i jestem praktycznie dziewicą...

- Mówiłem ci, cofam to. - Jack zmarszczył brwi, patrząc na nią przez szerokość łóżka. - I przestań bogartować sos czekoladowy.

- Bogartuje się tylko papierosy - odparła Lou, oddając mu butelkę z sosem.

- Nieważne. I nie to chciałem powiedzieć. Jasne, walczyliśmy jak pies z kotem. Ale dlaczego tak walczyliśmy? Widzisz, to jest pytanie, które powinnaś sobie zadać.

- Wiem, dlaczego ze sobą walczyliśmy - odparła Lou. - Dlatego że jesteś dupkiem.

- Wcale nie dlatego się żremy - powiedział Jack, wyciskając sobie sos czekoladowy prosto do ust, a potem dodając łyżkę lodów. - Klócimy się, bo ty nie umiesz zapanować nad nienasyconą żądzą do mnie, i to ci działa na nerwy.

- Czy ze wszystkimi swoimi dziewczynami rozmawiasz z pełnymi ustami? - spytała Lou. - Czy to tylko mnie spotkał ten zaszczyt?

Przełknął, a potem przeturlał się na łóżku, aż oparł głowę na jej nagim udzie. Lou, jak się przekonał od pierwszej chwili, jeszcze w kuchni, kiedy wsunął dłoń pod tę flanelową koszulę, miała skórę o konsystencji wosku do nart, tak samo gładką twardą, a zarazem miękką jak masło. Nie dotykał takiej skóry od... No cóż, nie umiał sobie przypomnieć od kiedy. Może nigdy.

Wiedział jedno. Jeszcze się jej nie dość nadotykał. Jeszcze długo nie zdoła się nią nasycić.

- A co byś powiedziała na to, żebyśmy tu po prostu zostali? - zapytał, nawijając na palec kosmyk jej długich rudych włosów. - Na zawsze. Albo chociaż dopóki śnieg nie stopnieje.

Podniosła pojemnik z lodami i zaczęła wyskrobywać resztki z dna.

- Wybierz to sobie z głowy - powiedziała. - Skończy nam się masło orzechowe. Poza tym nie ma telewizora.

- Niepotrzebny nam telewizor - zaproponował Jack. - Mamy siebie.

- Jasne. - Lou roześmiała się. - Zabiliśmy się pierwszego, najdalej drugiego dnia.

- Nieprawda - przekonywał Jack. - Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że twoje włosy

przypominają zachód słońca na Key West?

- Nie - ucięła Lou. - Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że kiedy masz orgazm, drzesz się jak wyjec?

- Widzisz - westchnął Jack. - To dlatego tak dobrze do siebie pasujemy. Jesteś jedyną zupełnie odporną na pochlebstwa kobietą jaką w życiu spotkałem. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin zrozumiałem, że większość moich poprzednich związków była po prostu serią nic nieznaczących, pustych seksualnych zbliżeń...

- A skoro już o tym mowa - wtrąciła Lou - jeśli złapię od ciebie jakąś brzydką chorobę, absolutnie zamierzam iść z tym do prasy.

- Może jednak pozwolisz mi łaskawie skończyć? Usiłuję ci przekazać coś, co ma dla mnie głębokie, osobiste znaczenie.

Podniosła rękę.

- Jeśli tylko nie usiłujesz przekazać mi rzesistka, zamieniam się w słuch. Ale następnym razem absolutnie używamy prezerwatywy.

Jack głęboko westchnął. Nie miał pojęcia, czemu to jest takie trudne. Może dlatego, że przez cały czas usiłowała robić dowcipne uwagi. Może dlatego, że był emocjonalnie i fizycznie wykończony - chociaż w przyjemny sposób. Może dlatego, że przyzwyczał się do bycia adorowanym, a nie tym, który adoruje.

A może dlatego, że po raz pierwszy w życiu naprawdę zaczęło go obchodzić - obchodzić bardziej, niż sam by tego pragnął - co o nim pomyśli jakaś kobieta.

- Posłuchaj - zaczął znowu. - Wiem, że w przeszłości mieliśmy pewne nieporozumienia. Ale przez te ostatnie dwa dni naprawdę zacząłem darzyć cię szacunkiem, Lou. Jesteś rozsądna, dzielna i zaradna w trudnych chwilach. Nie wspominając już o tym, że rewelacyjna w łóżku. Zdaję sobie sprawę, że sypiając z pewnymi kobietami, ograniczałem rozwój własnej osobowości. Istnieje coś, wiem to teraz, co przemawia za przewagą intelektu nad urodą.

- Jeśli myślisz, że ci teraz zrobię laskę - odparła, oblizując łyżkę - to chyba się naćpałeś.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedział. - Lou, jesteś pierwszą kobietą, która nie tylko zjadła wszystko, co dla niej ugotowałem, ale jeszcze zaproponowała, że potem pozmywa... Nie mówiąc już o tym, że nie boisz się zjeść deseru.

- Najwyraźniej nie wzięłaś żadnej ze swoich byłych dziewczyn na czterdziestoośmiogodzinny objazd po krainie horroru, jak mnie. Uciekanie przed uzbrojonymi bandytami zaostrza dziewczynom apetyt.

- Lou - westchnął. - Ja mówię poważnie. Myślę, że kiedy wrócimy do cywilizacji, może... może moglibyśmy rozważyć...no cóż, myślałem, że chyba powinniśmy razem zamieszkać.

Wiedział, jakie to ryzykowne. Nigdy jeszcze nie poprosił kobiety, żeby się do niego wprowadziła. To się na ogół działo samo. Któregoś dnia on szedł do studia, a po powrocie zastawał wszystkie rzeczy dziewczyny w swojej szafie.

I nie chciał, żeby Lou nabrała fałszywych nadziei. Nie mówił o małżeństwie. Nie był głupi, nie ożeniłby się z kobietą, z którą przespał się jeden raz. No cóż, dwa, jeśli wziąć pod uwagę wygłupy pod prysznicem po pierwszym razie.

Ale mieszkanie razem to zupełnie inna sprawa.

Miał wrażenie, że Lou Calabrese nie jest kobietą, która pewnego poranka po prostu stanie na jego progu z walizką w ręku i pudłem kompaktów. Nie, Lou zdecydowanie była takim typem dziewczyny, która poczeka na zaproszenie.

Wobec tego wystąpił z zaproszeniem, i to od razu, zanim ktoś inny go uprzedzi i sprzątnie mu ją sprzed nosa.

Ale jeśli oczekiwał wdzięczności za swoją uprzejmą propozycję, to spotkało go srogie rozczarowanie.

Lou pochyliła się i poklepała go bardzo łagodnie po ramieniu.

- Dzięki, stary - powiedziała. - Ale może zaczekamy i zobaczymy, czy uda nam się przez następne dwadzieścia cztery godziny uniknąć zastrzelenia, zanim zaczniemy podejmować jakiegokolwiek poważne decyzje na temat naszych planów mieszkaniowych.

Spojrzał na nią z wahaniem. Nie był do końca pewien, czy go dobrze zrozumiała.

- Lou, ja nie mówię o ranczu w Salinas - wyjaśnił. - W Los Angeles mam dom na wzgórzach, wiesz? Siedem sypialni, basen, z którego widać cały horyzont...

Lou podała mu pusty pojemnik po lodach, obie łyżki i sos czekoladowy.

- Super, Jack - powiedziała. - Ale może się z tym najpierw prześpimy? Mam wrażenie, że oboje jesteśmy mocno wykończeni.

Wyśliznęła się z łóżka, a potem podreptała, nagusieńka, z sypialni do łazienki. Kilka chwil później usłyszał, że znów używa szczoteczki do zębów Donalda.

Ile znanych mu kobiet zdecydowałoby się użyć szczoteczki do zębów obcego człowieka? Żadna.

Jack nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Dlaczego seks z Lou wyzwalał takie uczucia? Fakt, był to najlepszy seks, jaki mu się w życiu przytrafił, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Musi uważać, bo jeszcze trochę i zacznie mu się wydawać, że się w niej zakochał.

Co, oczywiście, nie było prawdą. Zdecydowanie nie.

Tyle tylko, że nie chciał już nigdy znaleźć się z dala od niej. Co niekoniecznie jest równoznaczne z miłością. To po prostu...

Fascynacja. Był nią zafascynowany. Była niczym jakiś nowy i interesujący model samochodu. Odbił jazdę próbną i podobało mu się. Teraz interesuje go leasing. Nie kupno. Leasing.

Może z opcją pierwokupu.

Lou wyłączyła światło w łazience i wróciła do sypialni. No tak, to był właśnie ten problem. Jak miał zachować trzeźwość umysłu, skoro odwalala mu takie numery? To znaczy chodziła goła, jak ją Pan Bóg stworzył?

Bo, oczywiście, okazało się, że pod tym wielkim swetrzyskiem i wełnianymi spodniami kryło się ciało, które było zaokrąglone we wszystkich właściwych miejscach, i szczupłe tam, gdzie należy. Poza tym - idealnie kształtny biust z kuszącymi, cudownie sterczącymi sutkami i ta cholernie rozpraszająca myśli kępka rudych włosów. Wszystko to razem przepowiadało mu niewesołą przyszłość. Bo jak miał się oprzeć czemuś opakowanemu tak uroczo?

Może, pomyślał z nadzieją, kiedy Lou wśliznęła się do łóżka obok niego, ona chrapie. Nigdy by nie mógł mieszkać z kobietą, która chrapie. Chrapanie od razu by go zniechęciło.

Lou uśmiechnęła się jednym z tych swoich tajemniczych uśmiezków.

- Dobranoc, Townsend - powiedziała i sięgnęła do wyłącznika lampki stojącej na szafce przy łóżku.

- Dobranoc, Lou.

Pokój ogarnęła ciemność. Ogień w sąsiednim pokoju już dawno zgasł. Teraz w domku zapanowała zupełna cisza... Pomijając wiatr, który nadal wył za ścianą, wydając jęki, które przypominały żalosne wycie arktycznego wilka.

Leżeli tak, a jedyną barierę między nimi stanowił opróżniony pojemnik po lodach, z brudnymi łyżkami i butelką z sosem czekoladowym w środku.

Przynajmniej tę przeszkodę łatwo było usunąć. Jack, gdy tylko to zrobił, przysunął się do Lou jak najbliżej, przytulając się brzuchem do jej pleców. Jedno ramię wsunął jej pod głowę, drugim objął zaborczo jej pierś.

- Tylko nie znowu - powiedziała niezbyt miłym tonem.

- O czym ty mówisz?

- Nieważne - odparła. - O tym, że jesteś bestią o nienasyconym apetycie.

Nie miał zielonego pojęcia, co ją znów ugryzło. Wiedział jednak, że cokolwiek to jest,

nie ma znaczenia. Już nie.

- Równie dobrze możesz się przyznać, Calabrese - powiedział w mrok, w jej włosy rozsypane na poduszce. - Jesteś mną zachwycona.

Ponad wyciem wiatru usłyszał jej cichy chichot. Nie chciał zasypiać, w razie gdyby Kominiarka i jego kumple ich znaleźli. Ale zasnął, wdychając kwiatowy zapach jej włosów. Skąd miał wiedzieć, że to szampon z odżywką Donalda? Uznał, że tak pachnie dusza Lou. Zasnął, myśląc, że to cud, że znaleźli ten domek, ale że jeszcze większym cudem jest to, że znaleźli siebie nawzajem. Zasnął, marząc o wszystkich tych chwilach, które spędzą w domku, czekając na ekipę ratowniczą: o posiłkach, które ugotuje, o partyjkach kart - Donald powinien mieć karty gdzieś pod ręką - będą grali przed kominkiem, będą opowiadać sobie różne historie.

I myślał o miłości i seksie - zwłaszcza o tym.

Tyle że kiedy obudził się następnego ranka, nie zastał jej w łóżku.

Nie tak się umawialiśmy, chłopaki. Kiedy kobiety spędzały z nim noc, na ogół pozostawały tam, gdzie chciał je widzieć, czyli w łóżku. Nie wstawały i nie zaczynały snuć się po domu bez niego. Chyba że chciały go zaskoczyć śniadaniem do łóżka.

Ale Lou nie wstała po to, żeby mu przynieść do łóżka śniadanie. Wyszedł do pokoju, owinięty jedynie prześcieradłem i ciężką kapą z łóżka. Lou nie było ani w kuchni, ani w salonie. Łazienka też była pusta.

I nie tylko to go zaniepokoiło. Coś jeszcze mu nie pasowało, ale nie bardzo wiedział co. Dopiero po paru minutach, załapał. Tak, światło! Wpadało przez okna i świetlik na górze, z którego istnienia nie zdawał sobie sprawy. Jasne światło słońca, jakiego nie widział ani razu od przyjazdu na Alaskę.

Słońce wisiało wysoko na bezchmurnym niebie. Sprawiało, że śnieg leżący wkoło domku jarzył się oślepiającą bielą.

I wtedy zobaczył, gdzie jest Lou. Stała owinięta drugą kapą na frontowej werandzie, w jednej ręce trzymała parujący kubek, a drugą ocieniała sobie oczy, wpatrując się w biały błyszczący śnieg.

Otworzył drzwi, ostry mróz natychmiast uderzył go w twarz.

- Lou, co ty robisz? Tu jest strasznie zimno. Wracaj do łóżka.

Popatrzyła na niego. Włosy miała rozrzucone i potargane, a poza szlafrokiem miała na sobie wyłącznie kolejną flanelową koszulę Donalda i jego kalesony. Stopy wsunęła w wielkie męskie buty robocze, przynajmniej pięć numerów za duże. Czubek nosa zaróżowił jej się z zimna.

A Jack uznał, że w życiu nie widział piękniejszej kobiety.

- Nazwij mnie wariatką - powiedziała, wskazując na coś w oddali - ale czy to nie wygląda ci jak jakaś droga?

W głowie mi się nie mieści, że dałem się na to namówić - powiedział gorzko Jack. Małe obłoczki oddechu wyglądały jak para z miniaturowego silnika dziecięcej lokomotywy.

- Posłuchaj... - Lou spociała się zdrowo i czuła się świetnie, kiedy tak sunęli przed siebie, - Mówiłam ci. Jeśli nie dotrzemy do cywilizacji przed zachodem słońca, zawsze możemy zawrócić do domku.

- Żeby stado wilków dopadło nas po ciemku i rozszarpało na kawałki? Świetny plan. Musisz biec tak szybko? Nigdy nie jeździłem na biegówkach. Tylko na nartach zjazdowych.

Lou spojrzała na niego przez ramię. Wyglądał nieznośnie przystojnie. Jak zawsze. Pożyczył od Donalda kominiarkę i wełniany szalik, które mogłyby wyglądać idiotycznie na mniej przystojnym mężczyźnie, na nim jednak wyglądały rewelacyjnie. Przewracając oczyma z obrzydzeniem - dokładnie wiedziała, jak głupio sama wygląda w pożyczonych ciuchach - Lou przyłożyła się jeszcze mocniej do pracy kijkami.

- Nie miałeś nigdy Nordic Track? - zapytała. Jej samej podobało się szusowanie po świeżym białym śniegu. Gdyby nie strach, że wynajęci mordercy zjawią się lada moment i zastrzelą ich oboje, mogłaby się naprawdę całkiem nieźle bawić.

No i czemu nie? Nie potrafiłaby tego wyjaśnić. Dlaczego ich ciała tak dobrze do siebie pasowały i jak mu się udało doprowadzić ją do ekstatycznej przyjemności, jakiej nigdy przedtem nie zaznała, i dlaczego, na Boga - no właśnie, dlaczego - Jack zaproponował jej całkiem wyraźnie, żeby się do niego przeprowadziła. Chyba był to efekt zbyt obfitego wydzielania endorfin do mózgu.

Ale musiała przyznać, że chociaż nie umiała tego wyjaśnić, wszystko jej się podobało. Bardzo.

- Nie, nigdy nie miałem Nordic Track - warknął Jack. - Czyja dla ciebie wyglądam jak Suzanne Sommers?

Zmarszczyła nos, patrząc na niego z zastanowieniem.

- Może trochę - powiedziała. - Ale ona woli ćwiczyć na Thighmasterze, a nie na Nordic Track. Chociaż muszę przyznać, że jej tyłek nie ma tak ładnych linii jak twój.

- Od mojego tyłka - powiedział Jack - łaskawie się odpatykuj.

Lou roześmiała się tylko i wyprzedziła go o parę metrów. Nie było wcale tak łatwo i miała pewne obawy związane z drogą, którą odkryła... Na tej drodze byłoby świetnym celem, gdyby uzbrojeni przyjaciele Jacka zdołali zdobyć jakiś helikopter.

Trzymali się zatem skraju, gdzie zwieszały się nad nimi gałęzie sosen. Ziemia nie była

tu tak równa jak na środku drogi, ale przynajmniej czuli się bezpieczniej.

Jack był przeciwny przywłaszczeniu sobie nart, które znaleźli w jednej z szaf Donalda razem z dwiema parami butów, które choć za duże na Lou, a przymałe na Jacka, na krótką metę mogły spełnić swoje zadanie. Nawet nie chciał jechać tą drogą i sprawdzać, czy prowadzi do miasta, czy może do autostrady.

- Dlaczego nie możemy po prostu tu zostać? - pytał Jack.

- Bo ludzie się o nas pewnie martwią - wyjaśniła Lou. - Jestem pewna, że wszyscy myślą, że nie żyjemy. Kto wie, jaką wersję wydarzeń przedstawił Sam.

- A czemu myślisz, że Sam cokolwiek im powiedział? - spytał Jack. - Kto w ogóle mówi, że on przetrwał tę pierwszą noc?

- Ty sam twierdziłeś, że przyjaciele na skuterach się nim zajmą - odparła Lou, nagle szeroko otwierając zatroskane oczy. - Sądzisz, że go nie znaleźli?

- Możliwe - odpowiedział Jack.

Ale Lou wyczuła, że jest mu to zupełnie obojętne. No cóż, Sam jednak miał zamiar ich zastrzelić, więc było to właściwie zrozumiałe. Ale jednak Sam był również czyimś ojcem. Co się stanie z jego biednymi dziećmi, jeżeli on zamierza na śmierć?

Ale Jack najwyraźniej interesował się tylko tym, co wiązało się z nim bezpośrednio. Typowe. Chociaż, kiedy przyszło do decyzji, w jaki sposób wynagrodzić Donaldowi jego nieświadomą gościnność, Jack popadł w drugą skrajność.

- Wypisz mu czek na tysiąc dolarów - zdecydował. Lou, która wyciągnęła książeczkę czekową, bo ani ona, ani Jack nie mieli przy sobie większej gotówki, zatrzymała się z piórem uniesionym nad odpowiednią rubryką.

- Tysiąc dolarów? - powtórzyła jak echo. - Jack, my tylko zjedliśmy dwa steki i trochę mu pognietliśmy pościel. Myślałam, że trzysta to będzie aż za dużo.

- Daruj sobie tę swoją oszczędność rodem ze Środkowego Zachodu.

- Pochodzę z Long Island.

- Używaliśmy jego szczoteczki do zębów. - Jack usiłował przemówić jej do rozumu. - A teraz zamierzamy ukraść mu narty.

- Narty odeślemy - powiedziała Lou. - Kiedy dotrzemy do cywilizowanego świata.

- Tysiąc dolców - powtórzył Jack. A na jej niedowierzające spojrzenie, dodał: - Naprawdę tak uważam, przysięgam.

Nie była w stanie tego pojąć. Przed chwilą z zupełną obojętnością mówił o ludzkim życiu, a teraz tak szczerze wynagradzał nieznanego sobie człowieka za odrobinę bałaganu i niewielkie straty materialne.

Z drugiej strony, Donald przecież nie usiłował ich zabić. Już samo to uznała, warte było tysiąca dolarów.

Jack wyrwał Lou z zamyślenia, doganiając ją teraz i przynajmniej przez kilka uderzeń serca, sunąc obok niej w tym samym rytmie. Zapytał:

- To wszystko trafi do twojego następnego scenariusza, prawda?

Popatrzyła na niego. Słońce, które tak jasno świeciło z samego rana, szybko schowało się za zasłoną chmur. Ale te chmury przynajmniej były białe i nie wyglądały, jakby zamierzały lada chwila obrzucić ich kubłami śniegu.

Słońce, nie słońce, Jack Townsend wyglądał świetnie. Jack Townsend zawsze wyglądał świetnie. Zaczęła się teraz martwić własnym wyglądem — mimo wszystko nie zawracała sobie głowy makijażem, pomijając odrobinę błyszczyka do ust. Jak, do diabła, miałyby konkurować z byłymi ukochanymi Jacka, z których żadna nie potrzebowała szminki, żeby podkreślić naturalne, wrodzone piękno?

A potem się otrząsnęła. O czym ona myśli? Nie będzie konkurować z żadnymi byłymi ukochanymi Jacka, bo między nią a Jackiem nic nie zaszło. Ta durna orgietka poprzedniej nocy była pomyłką, efektem zbyt długiego przebywania we własnym towarzystwie. To wszystko. Nie zamierzała spotykać się z kolejnym aktorem. Znajdzie sobie jakiegoś sympatycznego weterynarza albo nauczyciela, albo coś.

I z całą pewnością nie pozwoli sobie zakochać się w Jacku Townsencie. Dzięki Vicky aż za dobrze wiedziała, czym się to może skończyć. Ostatniej nocy plótł coś o tym, żeby razem zamieszkali. Ale co będzie za miesiąc, najdalej za dwa, kiedy wyrzuci ją na zbity pysk? Nie, dzięki. Lou Calabrese nie miała zamiaru pozwolić, żeby Jack Townsend złamał jej serce.

- Dla twojej informacji - powiedziała, mocno ściskając kijki - rezygnuję z pisania scenariuszy.

- Co?

- Słyszałeś. Nie będę już pisała scenariuszy. *Gliniarz zabójca 4* był ostatni.

- Naprawdę? - Jack nie wydawał się przekonany. W gruncie rzeczy to jego „naprawdę” brzmiało podejrzenie uprzejmie. - Idziesz na emeryturę przed trzydziestką?

- Nie idę na emeryturę - powiedziała Lou, uchylając się przed nisko zwieszoną gałęzią.

- Po prostu już nie będę pisała dla kina.

- Rozumiem. A co masz zamiar pisać? Reklamy?

- Cha, cha - parsknęła sarkastycznie Lou. - Jeśli musisz już wiedzieć, zamierzam napisać powieść.

- Powieść - powtórzył Jack.

Zachęcona tym, że nie wybuchł głośnym śmiechem, Lou dodała:

- Tak, powieść. Właściwie już ją zaczęłam.

- Rozumiem. - Jack popatrzył na jej torbę z laptopem. - Teraz rozumiem, czemu z taką determinacją się tego trzymasz.

Kiedy ruszali w drogę, Jack zaproponował, że poniesie jej torbę, ale odmówiła, pamiętając aż za dobrze, jak potraktował laptopa, kiedy ostatni raz dostał go w swoje ręce.

- Tak. - To było wszystko, co zdołała powiedzieć.

- A czy mogę spytać - zainteresował się - o czym będzie ta powieść?

- Och! - Lou poczuła, że oblewają znajome ciepło, jak zawsze kiedy ktoś pytał o jej pracę. - No cóż, kobieta, która została zdradzona przez swojego pierwszego kochanka, znajduje pocieszenie w tym, że...

Przerwała, zażenowana. Dobry Boże, przecież w żadnym przypadku nie mogła opowiadać Jackowi fabuły swojej książki! Mógłby sobie pomyśleć, że to o nim! Co z całą pewnością nie było prawdą. Już dawno wymyśliła fabułę, zanim w ogóle się z nim przespała.

A poza tym bohaterka jej książki miała na nowo odnaleźć miłość w ramionach porządnego człowieka! To z całą pewnością nie dotyczyło Jacka. Jack nie był porządnym facetem. Absolutnie nie. Był, w gruncie rzeczy, bardzo, ale to bardzo niedobrym facetem. Porządny facet nigdy nie zdołałby jej doprowadzić do takiej ekstazy, jaką przeżyła zeszłej nocy. Nie, w Jacku nie było ani krzyny pocziwości.

A może jednak? Bo przecież zrobił jej ten obiad. I czy przez te dwie noce, które spędzili razem, nie wykazywał uroczej skłonności do przytulanek?

Właściwie nie miała Jackowi nic do zarzucenia. Poza tym, oczywiście, co zrobił Vicky. I poza tym, że ktoś chciał go zabić.

- Znajduje pocieszenie w...? - zapytał.

- Och. - Lou zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Może on tego nie zauważy. - W pracy na rzecz biednych.

Jack popatrzył na nią w osłupieniu.

- Żartujesz sobie ze mnie. Potrafisz napisać kawałek, w którym nic nie wybucha?!

Udało jej się uśmiechnąć.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? - A potem, chcąc zmienić temat, zapytała szybko: - A ty? Jaki będzie następny projekt Jacka Townsenda?

Zmarszczył brwi. Oczywiście ze zmarszczonymi brwiami też wyglądał super. Lou wydawało się zupełnie niewiarygodne, że zaledwie dwanaście godzin wcześniej te idealnie

wyrzeźbione rysy skrywały się między jej...

- Reżyserka - powiedział. Teraz ona osłupiała.

- Przepraszam?

- Mam zamiar reżyserować - powtórzył. A potem jęknął. - O Boże! Wszyscy tak mówią, wiem. Ale w zeszłym roku wyreżyserowałem film - wątpię, żebyś go widziała, to była mało reklamowana produkcja. W każdym razie zdałem sobie sprawę, jaką władzę ma reżyser filmu. To znaczy, ja nie mówię, że miałaś rację z tym... no wiesz, z tym nakręcanym chłoptasiem, który tylko spaceruje przed kamerą i klepie teksty napisane przez kogoś innego...

Lou skrzywiła się.

- Słuchaj, przepraszam. Nie o to mi chodziło.

- Owszem, o to - powiedział bez urazy. - Ale nie ma sprawy, bo w pewien sposób masz rację. Oczywiście, w aktorstwie jest też coś więcej. To znaczy, więcej niż tylko wypowiadanie cudzych kwestii. A wracając do reżyserowania, naprawdę mnie to wzięło. Miałem okazję pracować po obu stronach kamery i myślę, że mógłbym być niezłym reżyserem. Takim... przychylnym aktorom. Nie megalomańskim palantem jak Tim Lord. Lou tak zaskoczyła ta uwaga, że nie zauważyła kamienia wystającego spod śniegu i omal nie złamała narty. Jack błyskawicznie ją podtrzymał.

- Nic ci się nie stało?

- Nie - odparła ze śmiechem. - Tylko ten... megalomański palant. Wy tak naprawdę o nim myślicie? O Timie Lordzie? No wiesz, w końcu dostał w zeszłym roku Oscara za reżyserię...

- Wiem, że dostał - powiedział Jack. - Zasłużył na to, biorąc pod uwagę, z czym musiał pracować. Nie chodzi mi o twój scenariusz, który był, jak wiemy, perfekcyjny. Ale musiał sobie poradzić z Gretą i z Barrym. To trochę tak, jakby reżyserować dwa kawałki drewnianej sklejki...

Lou znów o mało się nie przewróciła, tym razem ze śmiechu, ale Jack zdołał ją podtrzymać.

- O Boże! - Otarła łzy wierzchem rękawiczki. - Dwa kawałki sklejki! A przy okazji, mylisz się. Ja go widziałam.

- Kogo widziałaś?

- *Hamleta* - odparła Lou. - Twój film. Był dobry.

- Naprawdę? - Twarz mu się rozjaśniła. - Tak uważasz? Ja...

Ale nie dokończył. Bo tuż nad wierzchołkiem drzew rozległ się nowy dźwięk, huk,

który zdawał się wibrować nie tylko w powietrzu, ale i w piersi Lou.

- Cholera! - Jack pociągnął ją głębiej w krzaki. Straciła równowagę i upadła, ale na szczęście - a przynajmniej na szczęście dla niej - wylądowała Jackowi na brzuchu. Łopaty helikoptera zwały stosy śniegu z gałęzi nad nimi i obsypały ich lawiną zbitych grud.

- Może to nie oni! - wrzasnęła Lou.

- Chcesz sprawdzić? - odkrzyknął Jack.

No cóż, nie. Niezupełnie. Lou nie miała zamiaru wylazić z krzaków i machać do helikoptera tylko po to, żeby dać się skosić ogniem z broni maszynowej czy jakiegokolwiek innej. Więc została w ramionach Jacka - w niezupełnie wygodnej pozycji - i czekała, czy helikopter wyląduje - na drodze miał mnóstwo miejsca do lądowania - czy polecą dalej.

Pięć najdłuższych w jej życiu uderzeń serca później helikopter zawrócił i poleciał tam, skąd przybył. Był to biały ośmioosobowy śmigłowiec, z dużym czerwonym krzyżem na podbrzuszu.

- Widziałeś?! - Lou walnęła Jacka pięścią w pierś. - Ekipa ratownicza! Szukają nas!

- A skąd miałem wiedzieć? - Jack zasłonił się ramieniem przed jej ciosami. - Nie miałem ochoty nadstawiać karku, żeby się przekonać.

Mrucząc coś, Lou wstała na nogi i zaczęła szukać swoich kijków. Jeden z nich leżał parę metrów dalej.

- Moglibyśmy już być w drodze - powiedziała. - Moglibyśmy w tej chwili już być w drodze do hotelu, do naszych szczoteczek do zębów i świeżej bielizny, i prawdziwej kawy, a nie rozpuszczalnej.

- Hej - powiedział Jack, kuśtykając za nią. - Nie było nam tak źle. Wydaje mi się, że puree ze szpinaku całkiem ci smakowało, o ile mnie pamięć nie myli.

Odwróciła się do niego, opierając dłonie na biodrach.

- Tak, bardzo mi smakowało puree ze szpinaku - powiedziała. - Ale wiesz co? Mogłam równie dobrze najeść się puree ze szpinaku w Anchorage, dziękuję bardzo.

- Nie, nie mogłaś. W Anchorage nie byłaś zainteresowana jedzeniem puree ze szpinaku. Dopiero kiedy poznałaś mnie lepiej, wyrobiłaś sobie smak na puree ze szpinaku.

- Wyjaśnijmy to sobie od razu. Ja zawsze lubiłam puree ze szpinaku. Ja tylko nie dałam mu do tej pory szansy...

- ...dopóki nie utknęłaś z nim na bezludziu. - Jack dokończył za nią prędko. - Widzisz, dokładnie to miałem na myśli.

- No cóż, być może dlatego - powiedziała Lou - że puree ze szpinaku było za bardzo zajęte pieprzeniem się do upadłego z takimi pannami jak Gloria, Melanie i Winona...

- Hej - zaprotestował. - Nigdy nie tknąłem Winony nawet palcem. Ona nie jest w moim typie.

- Ciekawe czemu? - zainteresowała się Lou. - Bo umie czytać?

Rysy Jacka na moment zniekształciła złość. Nie wyglądał zresztą przez to ani trochę mniej przystojnie.

- Daj spokój, Lou - powiedział. - Wiesz, że to tylko...

Wcale mu nie przerywała. W pierwszej chwili nie wiedziała, dlaczego nagle zamilkł. Potem zauważyła jego spojrzenie. Wpatrywał się intensywnie w coś, co znajdowało się za nią. Przerazona, że to kolejni przyjaciele Sama, obróciła się szybko napięcie...

I zobaczyła zapuszczony budynek stojący tuż przy drodze, z wielkim neonem, który niebieskim i czerwonym światłem obwieszczał: „Baru Budda”.

Budd nie stał osobiście za barem, kiedy Jack ostrożnie pchnął drzwi i zajrzał do środka. Zobaczył tylko nieco niechlujną tlenioną blondynę, która wycierała szklanki. Z kącika ust zwisał jej papieros. Spojrzała na Jacka.

- Zamknięte - warknęła. - Proszę przyjść za pół godziny. Jack nie wierzył własnym oczom. To był prawdziwy bar, z szafą grającą i stołem bilardowym, wielkim odbiornikiem telewizyjnym w głębi, neonowymi reklamami w oknach i długim, lśniącym kontuarem, przy którym ustawiono ze dwadzieścia stołków. Dla Jacka wyglądało to jak samo niebo.

- Moglibyśmy u państwa skorzystać z telefonu? — spytał. - To zajmie sekundkę.

Blondyna wskazała automat na ścianie obok szafy grającej.

- Tylko się pan pośpiesz - burknęła.

Jack szerzej otworzył drzwi, żeby Lou, która stała za nim i tłukła go pięściami po plecach, mogła wejść do środka. Kiedy przyjrzała się temu wewnątrz, jej twarz rozjaśnił słoneczny uśmiech.

- U Budda - westchnęła. - Uwielbiam Budda!

- Budda nie ma - powiedziała blondyna zza baru. - I nie możecie tu siedzieć. Mówiłam wam. Jeszcze nie otwieramy.

- Och! - Lou ustawiła narty w przedsiionku i podbiegła do włączonego telewizora. - Telewizor. Patrz, Jack. Telewizor.

Jack też odstawił narty.

- Taa - powiedział, patrząc, jak Lou ściąga rękawice i z czułością głaszcze boki telewizora. - Świetnie. - A potem osunął się na stołek i zwrócił do kobiety za barem: - Wiem, że jeszcze zamknięte, proszę pani. Ale wie pani co? Mam straszną ochotę na piwo.

Uśmiechnął się do niej swoim najpiękniejszym uśmiechem, tym, który zapewnił mu rolę doktora Paula Rourke w *Izbie przyjąć*, choć było wielu innych, bardziej doświadczonych kandydatów.

Najwyraźniej uśmiech nie stracił siły oddziaływania, bo blondyna popatrzyła na Jacka niczym królik zahipnotyzowany przez grzechotnika, nie ruszając się z miejsca i nawet nie strzepując bardzo długiej strużki popiołu z papierosa. Powiedziała:

- Się robi. A na imię mam Martha.

- Dzięki, Martho. - Jack puścił do niej oko. - Jesteś nieoceniona.

Nie zarumieniła się. Nie znał kobiet, które by się jeszcze rumieniły, z wyjątkiem tej jednej w rogu, która pogrążyła się w ekstazie przed telewizorem. Ale jednak Martha wyjęła

papierosa z ust i z nieśmiałym uśmiechem założyła pasmo lepkich włosów za ucho.

- To satelita - powiedziała Lou, opadając na stołek obok Jacka. - Siedemset kanałów. Dziewięć z nich to HBO.

- Cudownie - odparł Jack. Wziął piwo, które postawiła przed nim Martha, i podniósł kufel w jej stronę. - Zdrowko.

Martha uśmiechnęła się, a potem spojrzała ponuro na Lou.

- Podać pani coś? - spytała bezbarwnym tonem.

- Och. - Lou z trudem oderwała wzrok od ekranu. - Poproszę to samo. Dzięki.

Martha bez uśmiechu zaczęła napełniać kufel. Lou wyciągnęła z torby komórkę.

- Popatrz - powiedziała. - Siedemset kanałów, ale nadal zero zasięgu. To draństwo kompletnie zdechło. Może powinnam była wczoraj ją naładować. Ale wątpię, czy to by coś pomogło. Zatem...

- Ćśśś. - Jack wskazał na telewizor. Lou odwróciła głowę i zobaczyła na ekranie własną twarz. A dokładniej swoje zdjęcie w długiej różowej krynolinie.

Lou wyrwał się wrzask.

- O mój Boże! - wrzasnęła. - Co to ma być? Jack spojrzał na Marthę i spytał grzecznie:

- Mogłabyś zrobić troszkę głośniej? Martha spełniła prośbę.

- Minęły prawie siedemdziesiąt dwie godziny od katastrofy helikoptera, na którego pokładzie znajdowali się wybitny aktor Jack Townsend i zdobywczyni Oscara za scenariusz filmowy, Lou Calabrese. Helikopter rozbił się w pobliżu góry McKinley. Na miejscu wypadku nie odnaleziono ich ciał.

Teraz pojawiło się zdjęcie Jacka w smokingu. Rozpoznał, że to z ubiegłorocznej uroczystości wręczania Złotych Globów.

- Ekipy ratowników nadal przeczesują ten obszar w nadziei na odnalezienie rozbitków - ciągnął sprawozdawca. - Zimowe śnieżyce spowolniły poszukiwania. Rzecznik prasowy nadleśnictwa okręgu McKinley twierdzi, że z każdą godziną maleją szanse na odnalezienie ich całych i zdrowych, biorąc pod uwagę, że warunki pogodowe stanowią bezpośrednie zagrożenie dla ludzkiego życia.

Pojawiły się zdjęcia okolic, w których Jack i Lou wałęsali się od prawie trzech dni, a potem zdjęcia takiego samego helikoptera jak ten, przed którym się schowali.

- Przedstawiciel prasowy Tima Lorda, reżysera najnowszego, nieukończonego jeszcze filmu z udziałem Jacka Townsenda, poinformował, że cała społeczność Hollywood myśłami towarzyszy bliskim ofiar katastrofy, za których bezpieczny powrót wszyscy się modlą.

- Jezu! - zawołała Lou z oburzeniem. - Czyś ty widział to moje zdjęcie? To miało być

najlepsze zdjęcie, jakie udało im się znaleźć?

Jack powiedział:

- Mnie wydawało się całkiem słodkie.

- Ja chyba zabiję Vicky - ciągnęła Lou całkiem poważnie. - To zdjęcie z jej ślubu z Timem. Byłam jedną z druzhen. Boże, błagałam ją, żeby darowała sobie te krynoliny.

Jack powiedział:

- Wyglądałaś jak mała Bo Peep.

Lou wykrzyknęła coś niezrozumiałego, a potem pomaszerowała do telefonu.

- W moim prawie jazdy mam lepsze zdjęcie niż to coś! - rzuciła przez ramię.

Jack uśmiechnął się i znów zajął piwem. Dopiero wtedy zauważył, że Martha nie odrywa od niego szeroko otwartych oczu.

- To był pan, nie? - powiedziała bez tchu. - W telewizji? Jack westchnął. A potem przywołał kolejny uśmiech.

- Tak, Martho - przyznał. - To byłem ja, istotnie.

- Pan jest Jack Townsend! Z tego serialu o lekarzach. I z *Gliniarza zabójcy*.

- Zgadza się - przytaknął Jack.

Martha powoli wyciągnęła w jego stronę serwetkę i długopis.

- Podpisze mi się pan tutaj? Bo inaczej nikt mi nie uwierzy.

Jack nabazgrał na serwetce swój podpis. A potem pod spodem dopisał: *Fajnie jest, póki ktoś nie oberwie*.

Martha, mrużąc oczy, przyjrzała się napisowi. Odczytała go, poruszając wargami.

- Co to znaczy? - zapytała.

- No cóż, to znaczy... - Jack wzruszył ramionami. - Dobra, daj mi to na chwilę.

Przekreślił i napisał: *Potrzebna mi większa spluwa*. Martha uśmiechnęła się szeroko.

- Och, jasne. To pamiętam.

A potem spojrzała na Lou, która z ożywieniem paplała coś do słuchawki.

- A ona też jest sławna? Jack pokiwał głową.

- Napisała scenariusz do *Hindenburga*.

- Naprawdę? - Marta wytrzeszczyła oczy. - *Hindenburg* to mój ulubiony film. Zna pan tę piosenkę - no wie pan, tę z filmu? Mamy ją w szafie grającej. Chce pan, żebym puściła?

- Nie - szybko powiedział Jack. - Nie, naprawdę, nie trzeba. Myślę, że my tylko, no wiesz, dopijemy piwo i skorzystamy z telefonu, i popatrzymy sobie na wyniki ligi w telewizji, jeśli można.

- Och, jasne!

W przeciwległym rogu sali Lou tłumaczyła coś do słuchawki. Jak na razie szło jej nieźle. Dodzwoniła się do Czterech Pór Roku w Anchorage i poprosiła z apartamentem Tima Lorda.

Kiedy słuchawkę podniosła gosposia Vicky i Tima Lordów, Lou powiedziała:

- Lupe? Cześć, mówi Lou Calabrese. Jest tam może pani Lord?

Odpowiedział jej wysoki wrzask, po którym usłyszała:

- *Nombre de Dios.*

A potem trzask, jakby Lupe wypuściła słuchawkę z ręki.

- Halo? - Lou spojrzała w stronę baru, ale na pomoc Jacka liczyć nie mogła. Oglądał telewizję.

- Jetsi wygrali?! - zawołał z niedowierzaniem w głosie. Lou usłyszała kliknięcie, a potem głos Tima Lorda.

- Kto mówi? - zapytał ostro. - Jeśli to ma być żart, to zapewniam panią że w najgorszym guście. Uprzedzam, ta rozmowa jest właśnie sprawdzana i...

- Tim - przerwała Lou. - Uspokój się. To ja, Lou. Zapanowała osłupiała cisza, a potem Tim wybuchł:

- Lou? O mój Boże! Żyjesz? Żyjesz!

- Oczywiście, że żyję - powiedziała Lou. - Przecież dzwonię do ciebie, nie?

- Gdzie jesteś? Jack jest z tobą?

- Nie wiem, gdzie jestem - powiedziała Lou - a poza tym... Po drugiej stronie słuchawki rozległy się odgłosy szarpaniny, a potem zabrzmiał głos Vicky:

- Lou?! Lou, czy to naprawdę ty?

- Cześć, Vicky - powiedziała cierpliwie Lou. - Tak, to ja. Jack i ja mamy się dobrze. Jesteśmy w...

- Och, Bogu dzięki! - Vicky nie wytrzymała napięcia i zaczęła histerycznie szlochać.

Nie po raz pierwszy tego ranka Lou poczuła piknięcie poczucia winy. Dopiero co przespała się z byłym facetem najbliższej przyjaciółki. No właśnie, przecież z byłym facetem Vicky. Teraz Vicky miała kochającego, troskliwego męża. Więc Lou chyba nie musiała czuć się winna, prawda?

Zgodnie z tyra wnioskiem, warknęła do telefonu:

- Vicky, coś ty sobie wyobrażała, dając CNN moje zdjęcie z twojego ślubu? Wiesz, że ja nienawidzę tego zdjęcia jak nie wiem co. A teraz cały kraj oglądał mnie w tej krynolinie... Vicky? Vicky?

Słyszac wyłącznie łkanie, Lou westchnęła i spojrzała w sufit.

- Vicky, przepraszam. Nie chciałam. Uwielbiam to zdjęcie, naprawdę. Kocham je. Kocham nawet tę sukienkę. Słuchaj, daj mi z powrotem do telefonu Tima, dobrze? Vicky? Vick?

A potem szlochy ucichły i w słuchawce odezwał się nowy głos:

- Lou? Lou, kotku, to ty?

Z niedowierzaniem przyjrzała się słuchawce. Minęło parę sekund, zanim do jej mózgu dotarło, z kim rozmawia. Ale nawet wtedy wszystko to nie miało sensu.

- Tata!?

- Tak, kochanie. To ja. Nic ci nie jest? Gdzie jesteś?

- Ojej - wykrztusiła Lou. Nie mogła uwierzyć. Zadzwoiła do Tima Lorda, a on zdołał ją jakoś połączyć z ojcem! Co mogło oznaczać tylko jedno, oczywiście: ojciec pofatygował się na Alaskę, żeby jej szukać.

Właściwe to by się nawet trzymało kupy. Frank Calabrese tak postępował. Takim właśnie był człowiekiem, lubił mieć nad wszystkim kontrolę. Pewnie chciał sam nadzorować poszukiwania i kierować akcją ratowniczą.

Ale mimo wszystko... Tata przyleciał na Alaskę z drugiego końca świata, żeby jej szukać. Czy mogło ją spotkać coś bardziej chwytającego za serce? I bardziej upokarzającego?

- Och tato! Lou zaczęła pociągać nosem. - Ja tylko... No cóż, nic mi nie jest. Siedzę w barze, tato.

- W barze? - Głos ojca brzmiał surowo. - Posłuchaj mnie teraz, młoda damo. Czy ty wiesz, ilu ludzi cię poszukuje? My tu wariujemy ze strachu, a ty mi mówisz, że siedzisz w barze?!

- Tato - powiedziała Lou. - To długa historia.

Parę minut potem odłożyła słuchawkę, zupełnie ogłupiała. Powoli podeszła do baru i usiadła na stołku. Jack oderwał wzrok od ekranu.

- Jetsi wygrali - pożalił się. - Dałabyś wiarę?

Lou wypła duszkiem pół kufła piwa, pod lekko zdumionym spojrzeniem Jacka.

- Ale numer! - powiedziała. - Zgadnij, kogo zastałam w apartamencie Tima Lorda.

Jack zastanowił się przez chwilę.

- Okej, już wiem. Roberta Redforda i Mery I Streep.

- Nie. - Lou nawet się nie uśmiechnęła. - Mojego taty. Jack uniósł brwi.

- Naprawdę? A co on tam robi?

- Jack, wszyscy myśleli, że nie żyjemy. Wygląda na to, iż w Czterech Porach Roku jest zjazd rodzinny. Mój tata, twoja mama...

- Proszę? - spytał szybko Jack. - Moja...

- Twoja matka - powtórzyła Lou, znów sięgając po piwo. - Twoja matka, Eleonora Townsend. Bardzo miła i uprzejma dama, jak powiedział mój tata.

Jack szybko złapał swoje piwo.

- O Jezu - jęknął, kiedy odstawił pusty kufel. - Proszę, cofnij to.

- Chciałabym. Dzisiaj rano wspólnie zjedli śniadanie. Jack nerwowo potrząsnął głową.

- Co takiego?

- Słyszałeś - powiedziała Lou, a do Marthy zawołała: - Przepraszam panią? Możemy tu prosić jeszcze dwa piwa?

- Powiedz mi - Jack błagał - że wcale nie powiedziałaś tego, co powiedziałaś.

- Mój tata zjadł jajka smażone na kanadyjskim bekonie, chociaż kardiolog kazał mu unikać tłustych potraw. Twoja mama zdaje się woli lżejszą dietę. Zjadła tylko grzankę z pełnoziarnistego chleba, z połówką grejpfruta i gorącą wodą z...

- ...cytryną i miodem - dokończył Jack. - Wiem. Wiem. Jada to na śniadanie co rano, odkąd się urodziłem.

- Zrobiła spore wrażenie na moim ojcu. Lubi, kiedy ludzie odżywiają się sensownie.

Jack miał przerażoną minę. Usiłował jednak podejść racjonalnie do całej sprawy.

- No cóż, śniadanie - powiedział. - Więc zjedli razem śniadanie. To znaczy, to nie znaczy... To znaczy, to tylko śniadanie.

Lou, nagle zrozumiałszy, co on ma na myśli, skrzywiła się z niesmakiem.

- Oczywiście, że to tylko śniadanie. Myślisz, że mój tata i twoja mama mogliby...

- Nie - zaprzeczył natychmiast Jack.

- Oczywiście, że nie. Jezu, przestań grzebać się myślami w rynsztoku.

- Ale jednak... - odezwał się Jack nieszczęśliwym tonem. - To znaczy, sam fakt, że oni się znają...

- Wiem - warknęła Lou. - Przestań o tym mówić. Dostaję mdłości. Mają tu po nas wysłać jakiegoś szeryfa. Chyba zna się z Buddem. I posłuchaj. Nic nikomu nie mówimy... - uniosła ostrzegawczo palec - o nas. O tym, co się między nami stało. U Donalda. Nikomu. A zwłaszcza nie rodzicom. Jasne?

- Och, tak. - Jack gorliwie pokiwał głową. - Wyobrażasz sobie te nagłówki? Aktor i scenarzystka, porzuceni przez swoich partnerów, szukają pociechy w...

- Nagłówki? - przerwała mu Lou. - Mamy o wiele poważniejsze zmartwienia niż nagłówki, przyjacielu. Tata nadal nosi przy sobie broń. Jeśli się dowie, jak mnie wykorzystałeś w chwili mojej słabości, łeb ci odstrzeli.

Jack zakrztusił się piwem z nowego kufła, a Lou uśmiechnęła się do barmanki.

- Ile będziemy pani winni? Martha pokręciła głową.

- Och, ani grosza, ani grosza. Piwo na koszt firmy. Chciałabym tylko spytać... Bo pan Townsend powiedział mi tu, że to pani napisała ten film, *Hindenburg*.

Lou pokiwała głową.

- Tak. Owszem, napisałam.

- No cóż — powiedziała Martha. — Chciałam tylko pani powiedzieć, że to mój ulubiony film. Naprawdę.

- No cóż, dziękuję - odparła grzecznie Lou. - Dziękuję bardzo. Za piwo również.

- I to jest prawda, wie pani? - dodała Martha konspiracyjnym szeptem.

- Co takiego? - Lou nie bardzo rozumiała. - Chodzi pani o fabułę? Tak, film został oparty na prawdziwych wydarzeniach.

- Nie - wyjaśniła Martha nabożnym tonem. - Chodzi mi o to, że to prawdziwie poruszający triumf ludzkiego ducha.

- Powiedzmy to sobie jasno - powiedział szeryf O'Malley, zerkając w lusterko wsteczne. - Twierdźcie, że jacyś uzbrojeni ludzie na skuterach śnieżnych ścigali was po lasach?

- Zgadza się - powiedziała ruda, gorliwie kiwając głową. - Strzelali do nas.

- Strzelali do was - powtórzył Walt. — A wy, w odpowiedzi, strzelaliście do nich. Z rewolweru, który zabraliście pilotowi Samowi Kowalskiemu, który też usiłował was zabić.

- Miał zabić mnie - powiedział ten aktor, Jack Townsend. Waltowi trudno było uwierzyć, że to ten sam facet, którego widywał na dużym ekranie. Facet z ekranu był o wiele... większy. Chociaż trzeba przyznać, że przy wzroście mniej więcej metr osiemdziesiąt parę, Townsend w realnym życiu i tak był wysoki. Tyle że nie miał sześciu metrów wzrostu, jak zwykle wtedy, kiedy Walt widział go w kinie.

Śmierząca sprawa, pomyślał chyba po raz setny. Wszystko tu jest dziwne, i ta mała ślicznotka, żona reżysera, która chwytala go za ramię (nie żeby miał coś przeciwko temu... Już sporo czasu minęło odkąd do jego ramienia lgnęła jakaś kobieta, która nie byłaby jego córką. Żona umarła mu prawie pięć lat temu), i ta historyjka, którą on i Lippincott usłyszeli od uratowanych. Wieźli ich właśnie z miasteczka Damon do Anchorage.

No cóż, powiedzmy wprost - Walt cieszył się, że to nie on, a Lippincott musi spisać raport.

- Twierdzi pan, że Sam Kowalski chciał pana zabić, panie Townsend? - odezwał się Lippincott. - Mogę spytać, skąd pan to wie?

- Bo mi o tym powiedział, do cholery! - Walt zauważył z niejaką ulgą, że Townsend miał przynajmniej taki sam niecierpliwy charakter jak postać, którą odgrywał na ekranie. - A pan uważa, że ja to sobie wymyśliłem?

W lusterku wstecznym Walt zobaczył, że ruda uspokajającym gestem kładzie dłoń na ramieniu Townsenda. Może on i grywał gliniarza na dużym ekranie, ale z nich dwojga to ona rozumiała, jak działa policja. A przynajmniej jej następne zdanie na to wskazywało.

- Pan Kowalski powiedział nam, że ktoś mu zapłacił za zabicie Jacka - wyjaśniła spokojnie. - Nie powiedział, kim jest ta osoba, ale wydawał się przekonany, że jeśli nie wywiąże się z zadania, popadnie w spore tarapaty.

Lippincott zapisał to, ale nie zdołał powstrzymać się od uwagi:

- W takim razie miał facet szczęście, że się usmażył jak frytka. Powiedział to pod nosem, właściwie sam do siebie, ale nie tylko Walt go dosłyszał. Ta mała Calabrese pochyliła

się nagle naprzód.

- Proszę? - powiedziała.

Twarz Lippincotta - czerwona od wiatru i mrozu, zmieniła odcień na jeszcze czerwiejszy, ale nikt oprócz Walta nie zdołałby tego zauważyć.

- Nic takiego, proszę pani - mruknął szybko Lippincott.

- Słuchaj pan, nie możemy jechać trochę szybciej? - Townsend najwyraźniej nie podzielał zainteresowania panny Calabrese. - Czeka tam na nas parę osób w hotelu i trochę nam się do nich śpieszy ...

- Niedługo dojedziemy - odparł Walt lakonicznie. Policyjny terenowy trailblazer jechał zaledwie pięćdziesiątką, ale szybciej przy tym śniegu się nie dało. Rozumiał jednak zniecierpliwienie faceta. Taki aktor, co to mieszka sobie w luksusowych apartamentach, przez ostatnie dwie doby miał do dyspozycji tylko ambonę łowiecką i domek myśliwski. Jeśli oczywiście mówili prawdę. Bo Waltowi jakoś trudno było uwierzyć w te bajeczki. Chyba że sami byli zamieszani w to śmierdzące nie wiadomo co, które rozegrało się na miejscu wypadku...

- No więc zabraliście rewolwer pana Kowalskiego - powiedział - i zastrzeliliście jednego z ludzi na skuterach...

- Co on chciał przez to powiedzieć? - wtrąciła ruda. To znaczy Lou. Jej ojciec był chyba jedyną osobą z tego towarzystwa, która nie robiła wrażenia kompletnie nienormalnej. On i może jeszcze Eleonora Townsend. Wszyscy inni wydawali się Waltowi równie podejrzani, jak miejsce katastrofy... Może dlatego, że wszyscy pozostali to były różne hollywoodzkie typki.

- Powiedział, że usmażył się jak frytka - ciągnęła Lou. - Wie pan, ja nie jestem idiotką. Wiem, co to znaczy. Kto się usmażył jak frytka?

- Bardzo panią przepraszam. - Walt pospieszył na ratunek swojemu zastępcy. - On chciał powiedzieć tylko, że być może pan Kowalski miał szczęście, ginąc w wypadku helikoptera, bo w ten sposób nie musiał przyznawać się do porażki swojemu zleceniodawcy.

Na kilka sekund w samochodzie zapadła cisza. Potem Townsend powiedział:

- Kowalski nie zginął w katastrofie. Lippincott spojrzał na tylne siedzenie.

- Czy może pan to powtórzyć?

- Kowalski nie zginął w katastrofie - powtórzył aktor. - Żył, kiedy go wyciągałem z wraku. Był nieprzytomny, ale żył.

- Wyciągnął go pan z wraku? - Walt zwolnił. Chciał się upewnić, że dobrze słyszy. — Ze śmigłowca?

- Taa - odparł Townsend. - Oberwał dość mocno, ale na pewno nie...

- Kiedy przyjechaliśmy na miejsce wypadku - powiedział ostrożnie Walt - znaleźliśmy we wraku ciało, identyfikacja na podstawie uzębienia wykazała, że to zwłoki Samuela Kowalskiego.

Ruda głośno wciągnęła powietrze.

- O mój Boże! - chwyciła Townsenda za rękaw. - O mój Boże, Jack. Oni go zabili. Zabili Sama.

W lusterku było widać, jak Townsend obejmuje rudą. Kiedy się znów odezwał, głos miał znużony, ale spokojny.

- Pilot żył, kiedy go po raz ostatni widzieliśmy - powtórzył. - Odciągnąłem go dobre dziesięć metrów od wraku. Oddech miał równy. Nie był poparzony. Ani trochę.

Walt wyprostował się na siedzeniu.

- A pan mówi, że strzelał do jednego z tych ludzi? - spytał Townsenda. - Jednego z tych na skuterach śnieżnych? I zabił go pan?

- Nie ja - powiedział Townsend. Napotkał spojrzenie Walta w lusterku i skinieniem głowy wskazał Lou, która ukryła głowę na jego piersi.

- Nie znaleźliśmy żadnych śladów - ciągnął powoli Walt. - Żadnych ciał poza zwłokami pilota.

Lou podniosła oczy pełne łez.

- To niemożliwe - wykrztusiła. - Facet uderzył w drzewo. Skuter - nie mówiąc już o kierowcy - rozleciał się na tysiące kawałków. A pan mi wmawia, że nie znaleźliście żadnych śladów?

- Hm - odchrząknął Lippincott z niewyraźną miną. - Może po sobie posprzątał.

Walt odkaszlnął znacząco i Lippincott się zamknął.

- Bardziej prawdopodobne - powiedział Walt - że śnieg wszystko zakrył, cokolwiek tam było...

Townsend przerwał mu zdziwionym głosem:

- Pan nam nie wierzy.

- Chwileczkę. - Walt z ulgą dostrzegł przed sobą błyski pierwszych świateł Anchorage. Dzięki Bogu, już niedługo.

Ale ta sprawa... Ta sprawa, miał przecucie, pociągnie się jeszcze bardzo, bardzo długo. Jakby tego właśnie potrzebował. Jakby nie wystarczało, że musi się użerać z wariatami od ochrony przyrody, którzy zjechali się tu przez ten przeklęty film. A teraz jeszcze banda płatnych zabójców, jeśli tych dwoje mówi prawdę.

- Nikt nie powiedział, że panu nie wierzymy - odezwał się w końcu. Szkoda, pomyślał sobie, że nie możemy wezwać FBI. Z wielką radością przekazałby sprawę federalnym i niechby sobie chłopaki łamali głowy. On chciał tylko wrócić do domu i wziąć kąpiel. Może z dodatkiem olejku. Tego właśnie potrzebował. Gorącej kąpieli i może jeszcze cygara.

Walt zobaczył, że Townsend trąca dziewczynę łokciem.

- Pokaż im - powiedział.

A wtedy ruda pokiwała głową i wyciągnęła z kieszeni spodni...

- Hej! - krzyknął Walt, omal nie tracąc panowania nad kierownicą. No cóż, niecodziennie wymierzano w niego rewolwer. A właściwie dwa. W gruncie rzeczy przetrwał dwadzieścia lat służby, ani razu nie sięgając po broń.

- Jezu Chryste! - wrzasnął Lippincott. Gorączkowo zaczął wyciągać z kabury pistolet, wołając jednocześnie: - Proszę pani, chwileczkę. Porozmawiajmy o tym. Niech mi pani wierzy, nie musi pani do nas strzelać...

- Niech się pan uspokoi - powiedziała sucho Lou. - Są zabezpieczone. Po prostu usiłuję udowodnić panom, że mówimy prawdę. Tę trzydziestkę ósemkę zabraliśmy pilotowi - człowiekowi, który, jak pan twierdzi, zginął w katastrofie - a tę czterdziestkę czwórkę facetowi, który usiłował nas zaatakować w ambonie. Proszę bardzo, może je pan sobie wziąć. Może uda się sprawdzić numery seryjne i odkryć, do kogo należały.

Walt z trudnością odzyskał panowanie - nad kierownicą i nad sobą.

- Posterunkowy Lippincott? Zechce pan uwolnić pannę Calabrese od tej broni.

Lippincott prędyutko wyjął rewolwery z rąk Lou, a potem włożył je ostrożnie do schowka na rękawiczki.

- A teraz? - zapytał Townsend. - Teraz nam pan wierzy? Co miał powiedzieć Walt?

Przytaknął, choć bez przekonania.

- I mówi pan, że nie ma pan pojęcia - odezwał się do Townsenda - czemu ktoś mógł chcieć pana zabić?

- Zielonego - odparł Townsend. - Z pewnością nie jestem aniołem, ale nigdy - o ile wiem — nie zrobiłem niczego, co by kogoś tak wkurzyło, że miałby ochotę mnie zabić. Zdemolować mi pokój w hotelu, owszem, ale nie zastrzelić, rozumie pan.

- Kto panu zdemolował pokój hotelowy? - zaciekał się Walt. - Może jest jakieś powiązanie...

- Nie ma żadnego - uciął stanowczo Townsend. - Proszę mi wierzyć.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Walt zauważył przed sobą sylwetkę hotelu Cztery Pory Roku w Anchorage, jeden z najwyższych budynków w tej dzielnicy. - Panie Townsend,

proponuję tak: damy panu policyjną ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki nie wyjedzie pan z tego stanu...

- Wykluczone - przerwał Townsend.

- Panie Townsend - perswadował Walt, tym samym tonem, którego używał, kiedy jego córki upierały się, że będą nosić ubrania z lycry. - Miało miejsce kilka zamachów na pana życie...

- Jasne - zgodził się Townsend. - Tam. Nie tutaj.

- Na razie tam - wtrąciła Lou i dodała: - Proszę cię, posłuchaj szeryfa. On wie, co mówi. Ktokolwiek za tym stoi, równie dobrze może dopaść cię w Anchorage jak w Myrze. A dopóki nie odkryjemy, kto to jest, twoje życie...

- Lou! - Townsend obniżył głos do gniewnego szeptu, ale Walt i tak słyszał go bez trudu. - Nie chcę mieć bez przerwy jakiegoś gliniarza na karku.

- Wolisz oberwać kulkę w głowę?

Townsend nic nie odpowiedział. Skręcali już na podjazd przed Czterema Porami Roku. We wstecznym lusterku Walt zobaczył, że Lou Calabrese prostuje się na widok tłumu demonstrantów.

- O matko święta! - westchnęła. - Wciąż tu są?

- Tak, proszę pani - powiedział bez troski Walt. - I nadal są wściekli na pana Lorda za pomysł wysadzenia w powietrze tamtego szybu.

Niektórzy z protestujących gniewnie potrzęsali pięściami. Wielu trzymało transparenty z hasłami: „Uratować kopalnię!” i „Chrońmy lisy Arktyki!”, a przede wszystkim: „Zabierajcie swoje tyłki do Filmatkowa”. Ekipa wiadomości właśnie robiła wywiad z jakimś mocno owłosionym typem, najwyraźniej tubylcem.

- To mógł być jeden z nich - powiedziała Lou. - Którykolwiek z nich.

Jack parsknął lekceważąco.

- Na tych skuterach nie jechali aktywiści ruchu ochrony środowiska, Lou. Wierz mi.

Spojrzała na niego. Walt, który widział tylko odbicie jej oczu we wstecznym lusterku, dostrzegł w tym spojrzeniu ogień.

- Dostaniesz policyjną ochronę - powiedziała Lou twardym głosem. - I bez dyskusji.

Ku zdumieniu Walta, Townsend nie odezwał się już ani jednym słowem.

- Lou! - krzyknął reporter „Extra”. - Jak się czułaś, tkwiąc przez trzy dni w lasach ze słynnym z licznych podbojów miłosnych, Jackiem Townsendem którego nazywają największym ogierem Ameryki?

- Lou! - Wrzasnęła dziennikarka z „Us Weekly”. - Czy Jack Townsend zwierzał ci się ze swoich uczuć w związku z małżeństwem Greta Woolston z Brunem di Blase?

- Lou! - Przedstawiciel Greenpeace wymachiwał plakatem „Hollywood ma to gdzieś”. - Jak zdołasz usprawiedliwić wyrżnięcie setek leśnych zwierząt na potrzeby filmu? Jak się ma do tego fakt, że film gloryfikuje przemoc?

- Panno Calabrese - pisnęła jakaś nastolatka. - Może mi pani skołować numer telefonu Jacka Townsenda? Błagam! Chcę mieć z nim dziecko!

- Dobra, tato - powiedziała Lou, kiedy przedarli się przez tłumy reporterów i znaleźli wreszcie w bezpiecznym miejscu, to znaczy w windzie. - Po raz ostatni wyszliśmy coś zjeść poza hotelem, rozumiesz? Od tej pory jedzenie do pokoju albo nic.

Frank Calabrese walnął pięścią w guzik z numerem piętra i powiedział:

- Kotku, ty nie rozumiesz. Ja już wczoraj wieczorem jadłem to, co dają w tej hotelowej restauracji i pozwól tylko, że powiem ci jedno, moja wątroba...

Drzwi windy przymknęły się, miłosiernie odgradzając ich od tych wszystkich krzyków w holu.

- Będziemy zamawiać pizzę. Nieważne. Ja nie mogę znów tamtędy przejść. Nie zniosę tego. Nie dość, że jacyś bandyci...

- Posłuchaj, kotku, tłumaczyłem ci. Jackowi nic się nie stanie. Szeryf O'Malley załatwił mu obstawę dwadzieścia cztery godziny na dobę, na koszt policji z Anchorage. Jeśli ktokolwiek chce zabić Jacka, chłopcy w niebieskich mundurach nie...

- Jeśli? - Lou nie wierzyła własnym uszom - Och, świetnie. Ty też nam nie wierzysz, tak?

- Tego nie powiedziałem. - Frank obserwował numery pięter wyświetlające się nad drzwiami. - Oczywiście, że wam wierzę. Wszyscy wam wierzymy. Mówię tylko, że nie powinnaś się tak o niego zamartwiać. Jest dorosłym człowiekiem, a poza tym najlepsi ludzie w Anchorage się nim opiekują.

Lou nic już nie powiedziała. „Najlepsi ludzie w Anchorage” nie sprawiali na niej wrażenia szczególnie kompetentnych, ale wiedziała, że robią co w ich mocy. Poza tym nie było sensu zaczynać teraz sprzeczki z ojcem. Mimo wszystko udało im się zjeść w miłej

atmosferze w Shandy's Shrimp Shack - facet z hotelowej ochrony powiedział ojcu, że to najlepsza restauracja w mieście. Frank chciał zjeść z nią spokojny obiad po tym całym cyрку. Bo wysiadłszy z wozu szeryfa, Lou i Jack, niczego nie podejrzewając, trafili w sam środek imprezy, którą zorganizowała Vicky Lord - imprezy z balonami „Witajcie w domu!”, bufetem szwedzkim i obecnością wszystkich związanych i mniej związanych z filmem.

Włącznie z ojcem Lou i matką Jacka.

Lou miała ochotę wymknąć się do swojego pokoju, wziąć prysznic i iść do łóżka, ale jej nie dali. Och, udało jej się wymknąć pod prysznic przed obiadem. Ale ominęła ją drzemka. Zamiast tego zaczęła się zamartwiać.

Przede wszystkim o Jacka. Ktoś usiłował go zamordować, a nadal nie mieli zielonego pojęcia, kto to mógł być i czy nie spróbuje znowu. Jasne, szeryf O'Malley miał tę czterdziestkę czwórkę i będzie próbował namierzyć jej właściciela. Może mu się uda.

A jeśli się nie uda? A jeśli mimo dodatkowej ochrony zorganizowanej w hotelu i policyjnej eskorty, bez której Jack miał się nigdzie nie ruszać, coś się jednak stanie - na przykład coś takiego, co przydarzyło się biednemu Samowi?

- Lou?

Podniosła wzrok, wbity we własne buty, i napotkała wzrok ojca.

- Nic ci nie jest, kochanie? Zadrzała.

- Nie - powiedziała szybko. - Nic mi nie jest. Przepraszam. Ja tylko... myślałam...

...o największym ogierze Ameryki. O Boże! Żeby tak nisko upaść! Oto jak się kończy zakochywanie się w aktorach. Czyżby była masochistką? Martwiła się jeszcze jednym: propozycją Jacka, żeby wspólnie zamieszkali...

...i faktem, że bardzo poważnie ją kusilo, żeby tę propozycję przyjąć.

A potem drzwi windy rozsunęły się, a twarz Lou oblała się rumieńcem. Bo na ósmym piętrze, jej piętrze, nie Jacka, który przeniósł się na dziesiąte, stał nikt inny, tylko największy ogier Ameryki we własnej osobie... a obok niego jego matka.

- Ależ to Frank! - zawołała Eleonora Townsend tonem, o ile Lou się nie myliła, niekłamanego zachwytu. - I Lou. Tak się cieszę, że was widzę. Właśnie pukaliśmy do twojego pokoju, Lou, spytać, czy ty i twój ojciec nie mielibyście ochoty zejść z nami na obiad. Bardzo się cieszę, że was złapaliśmy.

- Wracamy z obiadu - powiedziała Lou szybko z nadzieją, że ani Frank, ani jego matka nie zauważą rumieńca, który całą jej głowę zamienił w czerwonego buraczka.

Ojciec zareagował nieco bardziej uprzejmie.

- Co za szkoda - powiedział tonem, który Lou słyszała u niego tylko raz - kilka godzin

wcześniej w apartamencie Lordów. Ojciec przedstawił ją matce Jacka tym samym, nieco zbyt serdecznym tonem...

- Ten szwedzki stół w apartamencie Lordów dzisiaj po południu był bardzo przyjemny i tak dalej - ciągnął ojciec Lou jowialnie - ale człowiek nie pożywi się wyłącznie samymi surowymi warzywami. Prawda, Jack?

- Prawda - odparł Jack z uśmiechem. - Wielka szkoda. Byłoby nam bardzo miło, gdybyście zgodzili się dołączyć do nas na kawę...

- Bardzo chętnie - powiedział Frank. - Prawda, Lou? Ale Lou zauważyła coś jeszcze. A mianowicie, że Jack i jego matka stali na korytarzu ósmego piętra sami, zupełnie sami.

- Gdzie jest ten policjant? - zapytała ostro, patrząc na Jacka Oskarżycielsko. - Ten, który miał trzymać cię na oku?

Jack uśmiechnął się do niej szeroko, a te elektryzujące błękitne oczy pełne były czegoś, czego Lou nie potrafiła do końca określić - nigdy nie potrafiła.

- Dałem posterunkowemu Juarezowi wolny wieczór - wyjaśnił.

- Jack... - Lou czuła, że za moment szlag ją trafi. Naprawdę. - Cały sens policyjnej ochrony kryje się w tym, że są przy tobie bez przerwy. Nie możesz dawać im wolnych wieczorów. A jeśli ktoś zaatakuje cię tu, w hotelu?

- Przecież schodzimy tylko do restauracji - powiedział Jack.

- A co, restauracja wywiesiła napisy: „Nie strzelać w sali jadalnej”? „Uprasza się o niezabijanie klientów przy stolikach”?

Jack uśmiechnął się kwaśno.

Dopiero wtedy Lou zauważyła, że jej ojciec i matka Jacka uważnie jej się przyglądają. No cóż, jej i Jackowi.

- Więc może wy pójdziecie - zaproponował Jack. - Ja nie jestem specjalnie głodny.

Eleonora zrobiła zaskoczoną minę.

- Och, ale Frank już jest po obiedzie.

- Zawsze znajdzie się miejsce na więcej - odparł Frank. - Poza tym nie jadłem jeszcze deseru.

Lou nie wierzyła własnym uszom. Ojciec zgadzał się zjeść z matką Jacka w hotelowej restauracji, na której przed chwilą wieszał psy. I miał zamiar zaryzykować przepychanie się po drodze przez tłum reporterów w holu! Co się tutaj wyprawia? Czy to po prostu poczucie więzi między rodzicami, których dzieci przeszły razem trudne chwile? A może chodziło o coś więcej?

- Do zobaczenia później, moi drodzy — powiedział Frank, prowadząc Eleonorę do

windy, chociaż „zaganiając”, byłoby chyba lepszym określeniem. - Jack, ty się słuchaj Lou! Ona wie, co mówi. I nie czekajcie na nas!

Drzwi windy zamknęły się, ucinając chichot Eleonory Townsend. Chichot! Ta kobieta zachichotała! Lou uderzyła Jacka pięścią w ramię.

- Auć! - krzyknął rozbawiony. - Za co?

- Za podpuszczanie mojego ojca - warknęła Lou. - Czy ty nie widzisz, że on robi słodkie oczy do twojej mamy?

- On? Moja matka o nikim innym nie mówi, tylko Frank to, Frank tamto. Czy ty wiesz, że twój ojciec sam gotuje sos do spaghetti? No cóż, ja już wiem. Wiem nawet, co w nim jest. To słynny przepis na sos do spaghetti rodziny Calabrese. I ja go znam. Przysięgam, przez ostatnią godzinę marzyłem o tym, żeby mieć jeden z tych rewolwerów, które oddałaś policji i palnąć sobie w łeb.

Lou, wściekła, chodziła tam i z powrotem po korytarzu.

- Świetnie - powiedziała. - Po prostu świetnie, Jack. Jakbyśmy nie mieli dosyć problemów. Najpierw ktoś usiłuje cię zabić, a teraz nasi rodzice robią do siebie słodkie oczy.

- Stała raptownie i spojrzała na niego z przerażeniem. - Mój Boże, Jack. Co my zrobimy, jeśli oni zaczną się ze sobą umawiać?

- No cóż - zastanowił się Jack. - Przyznaję, że może być trudno wyjaśnić to dzieciom. To znaczy, czemu mama i tata ich rodziców są małżeństwem. Może jeśli przeniesiemy się w Appallachy, nie będą tak bardzo wyśmiewać się z nich w szkole...

- Nie możesz choć raz zachować się poważnie? - spytała Lou.

- Myślę - powiedział Jack z najpoważniejszą miną pod słońcem - że przesadzasz. I nie mówię też tylko o tym zatrudnianiu gliniarza do ochrony. Lou, nikt nie będzie próbował napaść na mnie tu, w hotelu. Za wielu świadków, jasne? Lou już miała coś powiedzieć, ale Jack uniósł dłoń.

- No więc, twój tata i moja mama polubili się - ciągnął. - Co z tego? Niech mają trochę frajdy. Sam osobiście mogę wymyślić parę rzeczy... - podszedł i objął ją w talii - ...które wolałbym robić teraz, zamiast zamartwiać się o to, co chodzi po głowach naszym rodzicom. A ty?

Odsunęła się od niego - a przynajmniej próbowała. Bo trzymał ją dość mocno i wcale nie miał ochoty puścić. A ona, trzeba przyznać, czuła, że coś się w niej skręca, kiedy doleciał ją zapach Jacka świeżo po prysznicu... Cholera jasna...

- Jack - powiedziała, próbując jakoś się trzymać, kiedy pochylił głowę i ustami dotknął jej szyi. - Mówiłam ci. To się nigdy nie uda.

- Nigdy mi niczego takiego nie mówiłaś - powiedział Jack, nie ruszając ust z miejsca... i wywołując spore zamieszanie w jej układzie krążenia, czego na pewno był świadom. - Powiedziałaś mi wczoraj wieczorem, że musisz się z tym przespać. No cóż, już się chyba przespałaś. I jeśli ci to nie robi różnicy, chciałbym podjąć rozmowę w tym punkcie, gdzie ją przerwaliśmy, zanim tak bezpardonowo zakłóciły nam ją wycieczki narciarskie po okolicy i barmanki imieniem Martha...

- Jack - wymamrotała Lou. Nadal jednak zamierzała trwać przy wcześniejszym postanowieniu. - Doskonale wiesz, że to niedobry pomysł.

- Uważam, że to świetny pomysł - powiedział Jack w jej kark. - I mam jeszcze lepszy. Zamówmy sobie butelkę szampana, wywieśmy na drzwiach „Nie przeszkadzać” i weźmy razem długą, przyjemną kąpiel w pianie.

Lou czuła, że jej puls wyprawia szalone harce, nadal jednak nie chciała poddać się cielesnym żądom. Tak było kiedyś z Barry m. I proszę, dokąd jato zaprowadziło.

- Daruj sobie. Nie zwiążę się już z żadnym aktorem.

- A to się dobrze składa, boja rzucam ten interes - powiedział z ustami przy jej uchu. - Hej, mam pewien pomysł. Kupmy sobie psa. Złotego retrievera. Nazwiemy go Dakota i kiedy „Entertainment Tonight” przyjdzie do nas po wywiad na temat naszego niezmaconego szczęścia, będziemy mogli pójść na spacer plażą i rzucać Dakocie frisbee zupełnie jak John Tesh i Connie Sellecau...

- Jack... - Lou, zupełnie wbrew własnej woli, przymknęła oczy. - My nie kupimy sobie razem żadnego psa.

- Tylko jednego - szepnął Jack, powoli wyciągając bluzkę zza paska jej spodni. - Na początek. Żeby pasował do naszego domu na plaży.

- Nie kupimy sobie żadnego domu na plaży. Mówiłam ci. Już nigdy nie zwiążę się z ak...

Jej protest ucichł pod ustami Jacka. Poczowała, że roztopia się w jego ramionach. Jakąś częścią siebie przeklinała w głębi ducha własną słabość.

Ale druga, znacznie większa część, nie mogła się wprost nacieszyć. Gorący dotyk jego języka w jej ustach, oszalamiający dotyk palców, które z niesłychaną delikatnością wsunęły się pod koronkę jej stanika i zaczęły pieścić spragnione piersi.

Jęknęła cicho. Nic nie mogła na to poradzić. Poddawała się jego pieszczotom, czując, jak wzbiera w nim pożądanie.

- Co teraz powiesz? - Oderwał usta od jej ust tylko na moment, żeby zadać pytanie. - Odrobina dom perignon, żeby zapomnieć o kłopotach?

Tak łatwo byłoby powiedzieć: tak. Odprężyć się w jego ramionach, pozwolić, żeby robił z nią, co tylko zechce.

I zrobiłaby to. Powiedziałyby: tak, może nawet (co za upokorzenie!) wykrzyczałyby zgodę...

... gdyby w tym momencie nie otworzyły się drzwi windy, ukazując Melanie Dupre we własnej osobie, z butelką szampana i dwoma kieliszkami w dłoniach, w negliżu i z wyrazem determinacji na twarzy.

Wyraz determinacji zniknął nagle, kiedy ich dostrzegła. Nie zastanawiała się długo. Nabrała powietrza i zaczęła wrzeszczeć na całe gardło. Cud, że nie obudziła mieszkańców Kanady.

- Ty łgarzu! - krzyczała, celując w Jacka długim jak szpon paznokciem. - Ty przekłety łgarzu! Powiedziałeś mi, że nie ma nikogo innego. Powiedziałeś mi, że chcesz po prostu przez jakiś czas pobyć sam. A przez cały ten czas - przez cały czas - kręciłeś z nią?

Wyraz pogardy na twarzy Melanie, kiedy powiedziała ostatnie słówko, wystarczył, żeby Lou ocknęła się z rozmarzenia. Zesztywniała, odsunęła Jacka od siebie, przy okazji odrywając od własnej bluzki kilka guzików. Posypały się na podłogę, ale miała to gdzieś. Mogła myśleć tylko o jednym: jak się stąd ulotnić, i to szybko.

Jack zasłaniał się uniesionymi rękoma, jakby Melanie była co najmniej kobrą.

- Mel - powiedział głosem, który zdaniem Lou miał być łagodny i uspokajający. - Posłuchaj mnie. Tamtego wieczoru, kiedy powiedziałem, że chcę pobyć przez jakiś czas sam, mówiłem szczerze. Naprawdę. Ale potem, jak wiesz, znalazłem się o krok od śmierci. A w takich sytuacjach człowiek nagle rozumie, co jest dla niego ważne, wiesz? Ja wtedy zrozumiałem, że może powinienem jeszcze dać szansę monogamii...

- Ty draniu! Zachciało ci się monogamii z tą tutaj? Z nią, a nie ze mną?

Na ścianie za głową Jacka rozprysło się szkło. To Melanie cisnęła jednym z kieliszków.

Na szczęście Lou zdążyła już wyłowić z torby kartę do zamka od swojego pokoju. Nie była pewna, czy to w porządku, zostawiać Jacka samego z tą harpią. Z drugiej strony, to nie ona była tak głupia, żeby wdawać się w romans z Melanie Dupre - albo dawać posterunkowemu Juarezowi wolny wieczór.

Druga eksplozja szkła pomogła jej podjąć decyzję. Postanowiła usunąć się z linii ognia - zwłaszcza że Melanie zdawała się winić ją za decyzję Jacka o zerwaniu. Wsunąwszy kartę w szczelinę zamka, czekała bez tchu, aż światelko zmieni się na zielone. Melanie tymczasem wrzeszczała:

- Czy ty masz pojęcie, jakie to dla mnie będzie upokorzenie, kiedy rozniesie się, że porzuciłeś mnie dla scenarzystki? Przecież, na Boga, ona nawet nie ma karty Związku Aktorów!

Światelko zazieleniło się. Lou z całej siły pchnęła drzwi, wpadła do środka, a potem zatrzasnęła je za sobą i na wszelki wypadek zamknęła na klucz.

Właśnie sięgała po telefon, żeby zadzwonić po ochronę, kiedy zdała sobie sprawę, że nie jest w pokoju sama. Na jej łóżku siedział mężczyzna. Mężczyzna w kaszmirowym swetrze, zamszowej marynarce i dżinsach. Mężczyzna, który wyglądał niepokojąco znajomo. Mężczyzna, którym okazał się...

- Cześć Lou - powiedział do niej Bruno di Blase alias Barry Kimmel.

Lou kompletnie osłupiała. Co Barry robił tutaj, w Anchorage? Barry, który zaledwie kilka dni wcześniej ożenił się z Gretą Woolston, a teraz powinien spędzać z nią miesiąc miodowy?

- Lou - odezwał się Barry. - Lou, twoja bluzka jest, um... trochę...

Lou zerknęła i przekonała się, że bluzka jest zupełnie rozpięta. Każdy mógł sobie obejrzeć jej biały biustonosz.

- Barry - powiedziała, odwracając się i sięgając po hotelowy szlafrok, który zostawiła na fotelu. - Co ty tutaj robisz?

- Och, dałem jakiemuś gościowi w recepcji pięćdziesiątka, żeby odpałił mi jeden z tych kluczy. No, wiesz, do twojego pokoju.

- Nie. - Lou owinęła się obszernym szlafrokiem i mocno zawiązała pasek. - Nie chodziło mi o to, co robisz w moim pokoju. Chodziło o to, co robisz w Anchorage.

Twarz Barry'ego, zawsze tak gładka i przystojna, wyglądała niemal nieznośnie gładko i przystojnie, kiedy czemuś nie dowierzał, jak to ewidentnie miało miejsce w tej chwili.

- Lou! - Powiedział, wstając. - Jak w ogóle możesz o to pytać? Myślałem, że zginęłaś. Oczywiście, że przyjechałem!

Przetrawienie tej informacji zajęło Lou całą minutę.

- Barry... - zaczęła powoli - nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, ale my ze sobą zerwaliśmy, pamiętasz?

- I tylko dlatego nie wolno mi się już o ciebie martwić? - zapytał. - Przecież błąkałaś się tam - gestem wskazał wielkie okno z widokiem na góry Alaski, choć o tej porze był to widok na zupełną ciemność zagubioną w zamarznętej tundrze...

- W lasach - poprawiła go Lou.

Spojrzał na nią sennymi brązowymi oczami. Barry szedł przez życie z taką miną, jakby wiecznie chciało mu się spać i jakby czekał tylko na to, że pojawi się właściwa kobieta i wreszcie go obudzi. Lou najwyraźniej tą kobietą nie była. Ale nie wyglądało też na to, żeby była nią Greta, ponieważ Barry nadal wydawał się mocno zaspany.

- Nieważne - powiedział. - To znaczy, daj spokój, Lou. Oczywiście, że musiałem przyjechać. Wiem, że pod koniec mieliśmy pewne nieporozumienia, ale cokolwiek się zdarzy, dla mnie zawsze będziesz najważniejsza.

- Doprawdy? - Lou zerknęła na jego lewą dłoń. Zarejestrowała brak złotego błysku obrączki. Powiedziała: - Barry, czy ty czasem nie miałeś być w podróży poślubnej?

Zrobił urażoną minę. Miał ten zwyczaj, że przybierał zbolaną minę, ilekroć wytykała mu błędy.

- Naprawdę uważasz, że mógłbym się dobrze bawić, wiedząc, że jesteś w niebezpieczeństwie, że ktoś cię ściga i nastaje na twoją cześć...

- Chyba na moje życie - poprawiła.

Chociaż biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, jego słowa wcale nie było dalekie od prawdy.

- Nieważne - uciał Barry. - Kiedy tylko usłyszałem, co się stało, złapałem pierwszy samolot.

- Naprawdę? - powiedziała Lou. - No cóż, miło z twojej strony.

To było dziwne. Bardziej niż dziwne. Wręcz nierealne. Ona i Barry bynajmniej nie rozstali się przyjaźnie. Co on tutaj robił, tak naprawdę?

- A Greta? Czy ona też przyjechała? - spytała Lou, spoglądając w stronę łazienki. - Chyba nie schowała się pod prysznicem, prawda? Mówiłam ci już kiedyś Barry, żadnych trójkątów.

Opalona, przystojna twarz Barry'ego pociemniała. Znowu rzucił jej niechętnie spojrzenie. Poruszyła delikatny temat...

- Lou - powiedział. - Proszę cię. Nie trywializuj tego. Oczywiście, że Grety nie ma pod prysznicem. Nie przyjechała ze mną.

Nie wyjaśniał obszerniej, ale ton głosu miał wystarczająco pochmurny, żeby w głowie Lou zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek: „Oho! Kłopoty w rajcu!”.

- Lou - ciągnął z tym swoim rozmiękcującym spojrzeniem. Patrzył teraz zupełnie jak w tej scenie z *Hindenburga*, kiedy razem z Gretą mają spuścić się na dół ze sterowca. Według „Cosmo” to spojrzenie mogłoby zamienić lodowiec w kałużę letniej wody. - Cieszę się bardziej, niż umiem wyrazić, że cię widzę całą i zdrową.

Kolejny brzęczyk rozległ się w głowie Lou. Już sama obecność Barry'ego wystarczyła, żeby rozbudzić jej podejrzenia, ale naprawdę zaniepokoiło ją, kiedy wspomniał, że odpalił gościowi z recepcji pięćdziesiąt dolarów. Przecież Barry był okropnym skąpiradłem. A teraz jeszcze cieszy się, że ją widzi, tak? Lou doszła do wniosku, że Barry albo wypróbował kolejną nową osobowość - co mu się zdarzało z niejaką regularnością - albo padł ofiarą wypadku, w którym poważnie uszkodzono mu głowę.

- Barry - odezwała się ostrożnie. - Czy ostatnio nie spadło na ciebie coś ciężkiego?

Barry zmarszczył te swoje idealnie wyregulowane brwi.

- Co?

- Nieważne.

Dziwnie dobrze było wiedzieć, że Barry to nadal Barry. Jak cała reszta Hollywood, nigdy się nie zmieniał. Było w tym coś pocieszającego.

- Posłuchaj, Barry, miło z twojej strony, że skróciłeś podróż poślubną, żeby przyjechać i zobaczyć się ze mną. Ale ja naprawdę mam za sobą długi dzień i jeśli nie zrobi ci to większej różnicy, chciałabym już pójść spać.

Barry nie krył wielkiego rozczarowania.

- Lou, ja naprawdę miałem nadzieję... To znaczy, bardzo chciałem z tobą porozmawiać... Wiem, że jesteś zajęta i tak dalej, ale... no, wiesz. My już nigdy ze sobą nie rozmawiamy.

Lou opadła na łóżko.

- Barry - westchnęła. - To dlatego, że rzuciłeś mnie dla innej kobiety. Pamiętasz jeszcze?

- Widzisz, właśnie o to mi chodzi. - Barry przysunął sobie krzesło do łóżka Lou. - To, że teraz jestem z kimś innym, nie znaczy jeszcze, że przestałem przejmować się tobą.

- Doprawdy? - powiedziała, myśląc gorączkowo. Co tu się dzieje? Najpierw Barry rzucają dla Greta Woolston, potem płatni mordercy ścigają ją w alaskaskiej dzicy, a na koniec Barry postanawia, że chce do niej wrócić? Niemożliwe. Chyba że...

Chyba że wszystkie te rzeczy jakoś się łączą. Ale to niemożliwe... Niemożliwe, żeby Barry krył się za atakami na Jacka. Dlaczego Barry miałby mu życzyć śmierci? Żeby przejąć rolę detektywa Pete'a Logana? To prawda, że od czasu *Hindenburga* miał kłopoty ze znalezieniem scenariusza, który pasowałby do jego nowo wykreowanego wizerunku megagwiazdy.

Ale żeby posuwać się do zabójstwa? Nie, to nie pasowało do Barry'ego. To by wymagało o wiele za dużo zachodu... Nie wspominając już o kosztach.

Nie. Jej pisarska wyobraźnia znów się rozbrykała. Potrzebowała spokoju. Potrzebowała popatrzeć na to wszystko z dystansem. Potrzebowała...

.. usunąć dłoń Barry'ego ze swojego kolana. Bo tam ją nagle położył.

- Oczywiście, że nadal się tobą przejmuję, Lou - ciągnął. - Byliśmy razem przez dziesięć lat. Myślisz, że mogę po prostu włączać i wyłączać swoje uczucia jak światło? Nie. To tak nie działa. Zawsze będę się troszczył o ciebie, Lou. Zawsze.

Teraz przyszła kolej na wyraz rozbijającej szczerości. Taką minę miał w *Hindenburgu* w tej scenie, kiedy Greta wypytywała go o jego zamiary. Robił ją również często, przypominała sobie Lou, wobec policjantów z drogówki, ile razy zatrzymano go za

przekraczanie prędkości.

Lou nie dała się na to nabrać.

- Czego ty chcesz?

Szczera mina znikła i zastąpił ją wyraz twarzy, który Lou nazywała: „Kto? Ja?”.

- Czego chcę? - powtórzył Barry. - Lou, już ci powiedziałem, że chciałem się upewnić, czy nic ci nie jest. To wszystko. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie wiem, skąd się bierze cała ta wrogość.

- O kurczę, Barry, sama nie wiem. Może to dlatego, że przez dziesięć lat opowiadałaś mi, że nie jesteś jeszcze gotowy, żeby się poważnie zaangażować, że musisz samego siebie lepiej poznać, zanim będziesz mógł naprawdę poznać kogoś innego. A potem dowiaduję się z cholernego „Access Hollywood”, że ty i Greta Woolston wzięliście cichy ślub w Kaplicy EMsa...

- To nie była Kaplica EMsa - powiedział Barry, znów obrażony. - To była Sala Hindenburga w Kasynie Trumpa i...

- Nieważne, Barry - odparła Lou. - Nie mam ochoty się kłócić. Po prostu...

- Ja też tego nie chcę - podchwycił Barry gorliwie. - Bo mimo naszych przeszłych nieporozumień, Lou, nadal jesteś jedną z najważniejszych dla mnie osób na tym świecie. Nawet nie wiesz, jak bardzo żałowałem, że cię nie było na ślubie. Bardzo mi cię brakowało, naprawdę.

- Hm... - Lou nie miała ochoty mówić rzeczy oczywistych, ale przecież on sam naprawdę nie zrozumie. - Nie było mnie tam, bo rzuciłaś mnie dla panny młodej, Barry. Wypadło ci z pamięci?

Barry skrzywił się z lekkim niesmakiem, co ani trochę nie zaszkodziło jego doskonałym rysom. Bo Barry Kimmel - Bruno di Blase dla reszty ludzkości - był jednym z najprzystojniejszych facetów na świecie.

Drugiemu, Lou słyszała to aż za dobrze, aktorka i modelka o rozmiarze dwa nadal skopywała wart miliony dolarów tyłek na korytarzu.

- No cóż, nie ułożyły nam się sprawy sercowe - stwierdził lekko Barry. Tym samym tonem mógłby zamawiać pizzę. - Ale nadal jesteś dla mnie jak siostra. To jeszcze jeden powód, dla którego musiałem osobiście przyjechać na Alaskę i przekonać się, czy nic ci nie jest, Lou.

Odchrząknął, a Lou pojęła, że on się szykuje do wygłoszenia dłuższej mowy. Jego ostatnia przemowa - ta, w której dowodził, że stała się twarda i cyniczna i że już nie poznawał w niej słodkiej dziewczyny sprzed lat, do tej pory dźwięczała jej w uszach, a przecież

wygłosił ją całe tygodnie temu. Czym ona sobie zasłużyła na dalszą karę?

- Wpadłem na pomysł - obwieścił Barry z emfazą, jakby zapowiadał coś zupełnie niezwykłego. Cóż, istotnie było to dość niezwykle. Barry rzadko miał jakieś pomysły.

- Pomysł? - powtórzyła.

- Tak. Wpadłem na ten pomysł w samolocie po drodze na Kajmany. Wiesz, co jest najważniejsze na Kajmanach, Lou, prawda?

Lou zmarszczyła brwi.

- Że są rajem podatkowym?

- Nie - odpowiedział Barry ze śmiechem, ukazując wszystkie swoje białe, równe zęby.

- Że są tam wulkany, Lou! Pierścień Ognia. I to mnie właśnie uderzyło. Wpadłem na pomysł projektu, przy którym *Hindenburg* to pikuś. A w tej samej chwili, kiedy na niego wpadłem, powiedziałem sobie, że muszę to powiedzieć Lou. Bo ona jest jedyną znaną mi osobą, która sobie z tym poradzi.

Lou uśmiechnęła się do niego słabo, przeczuwając już, co nadchodzi.

- Doprawdy?

- Doprawdy - przytaknął. Wyciągnął przed siebie opalone, starannie utrzymane dłonie

- dłonie, które przez dziesięć lat błędziły po wszystkich zakamarkach jej ciała, ale które nigdy, ani razu nie zdołały wywołać w niej takich uczuć jak Jack w ciągu jednej nocy. - Gotowa?

Lou pomyślała z tęsknotą o chłodnych białych prześcieradłach. Poszłaby już spać.

- Gotowa - powiedziała.

Barry zarysował dłońmi mały prostokąt, przypominający kinowy ekran.

- Pompeje - powiedział dramatycznym tonem.

- Pompeje! - powtórzyła Lou słabo.

- Tak! - Barry poderwał się z krzesła i szeroko rozłożył ręce. - Nigdy nie nakręcono filmu o zniszczeniu Pompejów. Wyobraź to sobie, Lou. Kulturalni, wyrafinowani ludzie - artyści, tak właściwie - żyją nieświadomi niebezpieczeństwa u stóp wulkanu. Zajmują się swoimi zwykłymi, artystycznymi problemami, aż tu ni stąd, ni zowąd - BACH! — góra eksploduje, zalewając brukowane kamieniami ulice ich miasta potokami lawy, niszczącej wszystko na swojej drodze. Czy nasi młodzi kochankowie... widzisz, musimy mieć parę kochanków. Dwoje młodych, których rodzice nie aprobują tego związku. Więc czy nasi młodzi kochankowie zdołają uratować się przed lawą i popiołem? Tu dopiero można mówić o triumfie ludzkiego ducha!

Barry opuścił ręce i stał, przyglądając jej się z szerokim uśmiechem.

- No i? - powiedział. - Co sądzisz? Widzę się w roli młodego kochanka. Młodego generała rzymskiego, czy coś. A dziewczyna mogłaby pochodzić, no wiesz, z długiej linii wirtuozów fletni Pana, a jej rodzice nie chcą, żeby poślubiła żołnierza, bo wolą żeby kontynuowała rodzinny biznes i grała na fletni Pana, czy jakieś inne takie tam bzdety. A ten generał, rozumiesz, on mógłby być jedyną osobą która wie, że ten wulkan wybuchnie, bo coś podobnego zdarzyło się kiedyś na jego rodzinnej wyspie. Jest kimś w rodzaju starożytnego wulkanologa. No więc, on usiłuje wszystkich ostrzec, tylko że oni nie chcą słuchać, bo wszyscy mają bzika na punkcie fletni Pana...

- O kurczę, Barry - przerwała mu Lou. Nie chciała przerywać, ale Barry nie wydawał się w ogóle zbliżać do końca, a ona chciała pozbyć się go z pokoju przed północą. - To świetny pomysł.

Barry spojrział na nią z triumfem.

- No widzisz. Wiedziałem, że będzie ci się podobał. Dlatego, kiedy tylko o tym pomyślałem, stwierdziłem: muszę porozmawiać z Lou. Tylko że ty akurat zaginęłaś w tundrze.

- W lasach - poprawiła Lou, wstając. - I wydaje mi się, że to znakomity pomysł na film, Barry. A wiesz, co jest w nim najlepsze? To, w jaki sposób go opowiadasz. Tak ciekawie. Właściwie mówisz o tym tak barwnie, że moim zdaniem, ty sam powinieneś napisać scenariusz.

Wzięła go pod ramię i zaczęła prowadzić w stronę drzwi. Teraz jednak Barry wyrwał rękę z jej uścisku.

- Ależ Lou, ja nie jestem scenarzystą. Dlatego przyszedłem do ciebie. Możesz wziąć sobie ten pomysł. Możesz liczyć na wszystkie napisy: „na podstawie”, „scenariusz” i tak dalej, co tylko chcesz. Jeżeli tylko otrzymam główną rolę, nic innego mnie nie obchodzi. Widzisz, Lou, scenariusze, które dostają od czasu *Hindenburga*... No cóż, one są wszystkie do bani. Chcę, żebyś napisała coś dla mnie. Jeszcze jeden samograj...

Lou uśmiechnęła się do niego, a zaraz potem zrobiło jej się trochę nieswojo. W zasadzie czuła się tak, jakby miała zastrzelić rybkę w sadzawce.

Ale on sobie na to zwyczajnie zasłużył. Więc powiedziała:

- Pamiętasz, zarzuciłeś mi, że stałam się taka twarda i cyniczna, że prawie nie poznajesz już we mnie tej dziewczyny, z którą przeprowadziłeś się do Kalifornii?

Spojrzał na nią niepewnie.

- Tak...

- No cóż, ja wtedy zrozumiałam, Barry, że masz rację. Rzeczywiście stałam się twarda

i cyniczna. Dlatego zdecydowałam, że rzucę pisanie scenariuszy filmowych.

Barry patrzył na nią z takim zdumieniem, że zapomniał nawet o przybraniu jakiejś konkretnej miny.

- Rzucasz pisanie scenariuszy? - powtórzył.

- Tak - powiedziała Lou, biorąc go pod ramię i kierując w stronę drzwi. - Widzisz, jak ogromny miałeś wpływ na mnie, Barry? I sama nie wiem, jak ci za to dziękować.

- A - ale to niemożliwe - jękał się Barry. - Nie możesz tak po prostu tego rzucić. Co będziesz robić?

- Pracuję nad powieścią. Barry spojrzał z nadzieją.

- Naprawdę? Myślisz, że nadawałaby się do ekranizacji? Bo wiesz, założę się, że studio chętnie ją zaadaptuje, a jeśli wspomnisz moje nazwisko jako kandydata na odtwórcę głównej roli...

Lou roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać.

- No cóż - powiedziała. - Nie wiem, jak będzie z główną rolą. Ale definitywnie jakaś rólka dla ciebie się znajdzie, Barry.

Rozjaśnił się.

- Naprawdę?

- Yhm - powiedziała Lou. - Możesz zagrać byłego chłopaka, który wykorzystuje główną bohaterkę, a potem rzucają, kiedy pojawia się jakaś ładniejsza laska.

Uśmiech zniknął.

- Hej! Hej, zaraz! To nie w porządku!

- Na pewno, Barry? - spytała Lou. Doszli już do drzwi. Musiała tylko otworzyć i wystawić go na korytarz.

Ale miała mu jeszcze jedno do powiedzenia.

- *Hasta la vista*, Barry.

A potem, dokładnie tak jak planowała, otworzyła zamek, pchnęła drzwi i przymierzyła się do wystawienia Barry'ego o...

Tyle że jej się nie udało. Bo za drzwiami stał strasznie poturbowany Jack Townsend, trzymając w jednym ręku butelkę dom perignon, a w drugiej jasnoróżową butelkę z płynem do kąpieli.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś — powiedział Jack parę chwil potem. - Zostawiłaś mnie samego na pastwę półtorametrowego króliczka do pieprzenia.

- Hej - odezwała się Lou z łazienki, gdzie właśnie myła zęby. - To twój króliczek do pieprzenia, nie mój.

- Och, jasne - powiedział Jack. - Jakbym przed chwilą nie obronił cię przed atakiem twojego własnego króliczka do pieprzenia.

- Dla twojej informacji - powiedziała Lou. - Barry nie jest żadnym króliczkiem do pieprzenia. Kiedyś łączyła nas głęboka obopólna miłość.

Jack, wyciągnięty na jej łóżku z butelką dom perignon na płaskim brzuchu, powiedział:

- Proszę jeszcze raz, tym razem normalnie.

Lou wypłukała usta i wyszła zamaszystym krokiem z łazienki, mówiąc:

- Kochałam się w Barrym. Przez długie lata. Jack skrzywił się.

- Ja bym się tym na twoim miejscu tak szeroko nie chwalił - powiedział. - To cię nie stawia w najlepszym świetle.

- Och, a uprawianie seksu z Melanie Dupre? - zapytała ostro Lou.

Jack przyglądał jej się z łóżka.

- Co masz pod tym szlafrokiem? - spytał. Lou poczuła, że policzki zaczynają jej płonąć.

- Nic - odparła. - I to nie dlatego, co myślisz. Tak się składa, że kiedy pojawiłeś się znowu, brałam prysznic. Nie spodziewałam się, że cię zobaczę dziś wieczorem po raz kolejny. Myślałam, że zamierzasz odprowadzić Barry'ego do jego pokoju, a potem wrócisz grzecznie do siebie. Jutro o dziewiątej masz być na planie, o ile dobrze odczytałam tablicę informacyjną.

Jack przewrócił się na bok i podparłszy głowę jedną ręką, powiedział:

- Hej, facet musi być ostrożny, kiedy idzie o taką kobietę jak ty. Odwracam się na moment, żeby uspokoić rozdrażnioną byłą narzeczoną i zaraz się okazuje, że jesteś tutaj z dupkiem, który, o ile wiem, nie tylko już dawno zniknął z twojego życia, ale i ożenił się z inną. Masz cholerną rację, wróciłem. Nie wiedziałem, kogo zastanę u ciebie tym razem. Wydawało mi się, że widzę jak Matt Lauer kręci się po holu i rozgląda za podrywką. Założyłem, że prędzej czy później trafi na ósme piętro. Wygląda na to, że każdy tu prędzej czy później trafia.

- Wiesz, jesteś bardzo chorym człowiekiem.

- Wiem. - Poklepał znacząco materac. - Chodź i usiądź tu koło mnie. Wydaje mi się, że powinienem zajrzeć pod ten szlafrok.

Lou usiadła po przeciwnej stronie łóżka i zaczęła pracowicie wcierać krem w swoje świeżo ogolone nogi. Robiła to, żeby nie patrzeć głodnym wzrokiem na jego ciało, rozciągnięte tak sugestywnie na łóżku. Nie miała zamiaru znów poddać się pokusie. Nie tym razem.

- Chyba coś sobie przypominam, Jack - powiedziała. - Mówiłam ci niedawno, że ten drobny flirt, którym zajmowaliśmy się ostatnio, do niczego nie prowadzi, prawda?

- No cóż, nie doprowadzi, jeżeli nie zdejmiesz szlafroka.

- Ja mówię poważnie, Jack.

- Ja też.

- Jack... - westchnęła Lou. - To, co się tam stało, kiedy, no wiesz, zgubiliśmy się... To pomyłka. Zgoda? To nie byłam ja. Ja nie robię takich rzeczy... No cóż, tego, co robiliśmy w domku Donalda? Okej? Ja nie jestem taką dziewczyną!

- Patrz, a ja bym się nabrał - powiedział Jack i roześmiał się znacząco.

- Wiem. - Lou poczuła, że znów zaczyna się rumienić. Bądź silna, powiedziała sobie. Pamiętaj, jak było z Barrym. Jack może ci złamać serce tysiąc razy boleśniej. Pokręciła głową. - Słuchaj, przepraszam, jeśli dałam ci złudną nadzieję. Ale cokolwiek to było, musi się skończyć. Musi się skończyć teraz, dzisiaj.

Jack uniósł brwi.

- Zaczekaj chwilę... - Popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Ty ze mną zrywasz?

Prawdopodobnie była jedyną kobietą, która podziękowała za okazję zostania panią Jackową Townsend na jakiś miesiąc, czy ile tam na ogół trwały jego romanse. Nic dziwnego, że facet doznał szoku.

Była też, tłumaczyła sobie, jedną z niewielu kobiet, które odeszły od niego, zanim zdążył złamać im serce.

A przynajmniej mogło tak jeszcze być, jeśli zdoła z nim zerwać teraz, dziś wieczorem, natychmiast...

- Posłuchaj - powiedziała Lou. - Żebyśmy mogła zerwać z tobą, musielibyśmy najpierw być w jakimś związku. A związkiem nigdy nie byliśmy.

- Naprawdę? - Jack miał jeszcze bardziej zdumioną minę. - Popatrz, znów bym się nabrał.

LOU roześmiała się nerwowo. Nie, nie spodziewała się, że będzie musiała się z nim w

tej kwestii spierać. Myślała, że raczej mu ulży. Czy wszyscy nałogowi podrywacze tacy jak Jack nie umierali wprost z chęci znalezienia jakiegokolwiek pretekstu, żeby rzucić swoją obecną podrywkę i móc zająć się następną? Powinien klęczeć przed nią z wdzięczności na obu kolanach.

A zamiast tego, miał zmartwioną minę.

- Kto powie o tym Dakocie? - zapytał.

- O czym ty mówisz?

- No cóż, mówię tylko, że nie możesz ze mną w tej chwili zerwać - powiedział Jack. - Nawet nie ustaliliśmy jeszcze, kto zajmie się Dakotą. I czy zastanowiłaś się nad tym, jak to zrukuje jej młodą wrażliwą psychikę? Po czymś takim przez lata będzie potrzebowała terapii.

Żartował. Lou dopiero po chwili to zrozumiała, ale on po prostu żartował. Tak naprawdę nic go nie obchodziło. Nic a nic.

Może to i lepiej - teraz będzie jej łatwiej wyplątać się z kłopotu.

A jednak w jakiś sposób poczuła się zraniona. Jakąś częścią - tą częścią, która wierzyła w szczęśliwe zakończenia, tą która naprawdę wierzyła, że miłość potrafi zwyciężyć wszystkie przeciwności losu - czuła się do żywego zraniona na myśl, że on potrafił sobie żartować z czegoś, co znaczyło dla niej więcej niż... No cóż, więcej, niż gotowa była przed sobą przyznać.

Ale tak będzie lepiej. O wiele lepiej. Teraz mogą wrócić do sprzecznania się o jego rozbierane sceny i o kwestię „Potrzebna mi większa spluwa”. Wszystko będzie po staremu.

Wszystko, wiedziała, ale nie dla niej. Lou Calabrese zrozumiała, że już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

I dlatego bardzo dobrze, że wypląta się z tego teraz, zanim szkody staną się nieodwracalne, a ona nie będzie mogła już nigdy związać się z żadnym innym mężczyzną.

- Myślałam, że Dakota - powiedziała sucho - to złoty retriever.

- Zmieniłem zdanie - odparł Jack. - Pies wabi się Ranger. Nasza pierworodna ma na imię Dakota.

Lou westchnęła. Wiedziała, że on tylko żartuje.

Ale tego rodzaju żarty bolały. Nie mógł wiedzieć, oczywiście, że w szkole średniej, kiedy planowała wspólną przyszłość swoją i Barry'ego, pewna była, że do jej trzydziestych urodzin będą już małżeństwem z przynajmniej jednym dzieckiem. Fakt, miała jeszcze mniej więcej rok na wywiązanie się z tego terminu.

Ale nie był to dla niej temat do żartów.

- Nie powinieneś był tu wracać, Jack - powiedziała poważnie.

- Musiałem. Zostawiłem swój płyn do kąpieli.

- Mówię serio - dodała.

- Hej, myślałem, że mamy randkę. Pamiętasz? Na korytarzu? Zanim tak niegrzecznie nam przerwano, otrzymywałem z twojej strony zdecydowanie pozytywne wibracje zwrotne. Potem wracam tutaj i nagle ty ze mną zrywasz. Nie rozumiem. Co się zmieniło? Chodzi ci o posterunkowego Juareza? Posłuchaj, przysięgam, jutro przykuję się do niego kajdankami. Timowi nie będzie pasował do planowanego na jutro ujęcia, ale po prostu wytnie się potem faceta z kadru...

- Nie o to chodzi - powiedziała Lou. - Chociaż wołałabym, żebyś trochę bardziej poważnie traktował to, że ktoś usiłuje cię zabić.

- No to o co chodzi? - spytał, nie kryjąc irytacji. - O Melanie? Nie mówiłem ci, że jest mi przykro z tego powodu? Ale szczerze jak przed Bogiem, Lou, nigdy jej niczego nie obiecywałem i kiedy tylko przekonałem się, jak bardzo zaczyna się do mnie przywiązywać, usiłowałem z nią zerwać - to dlatego mój pokój hotelowy został zdemolowany. Nie miałem zielonego pojęcia, że jest taka narwana...

Lou, która od dawna wiedziała, że Melanie jest narwana, nie mogła powstrzymać odruchu współczucia wobec tej dziewczyny. Jack Townsend to mężczyzna, dla którego łatwo stracić głowę. Wyglądał tak, że miała ochotę schrupać go niczym świeżo odwinęty z opakowania batonik.

Szkoda, że przysięgła nie jeść czekolady.

- Ja tak nie mogę, Jack - powiedziała bez krztyny rozbawienia. - Naprawdę nie mogę.

Zamrugnął powiekami i usiadł prosto.

- To wszystko zaczyna brzmieć bardzo złowieszczo - powiedział. - Czego tak konkretnie nie możesz, Lou?

- Tego. Z tobą. Ja nie umiem uprawiać seksu bez zobowiązań, Jack. Nigdy nie widziałam sensu w czymś takim. A już zwłaszcza nie mogę tego robić z facetem, który jest praktycznie królem seksu bez zobowiązań. Ja po prostu nie potrafię. Wolę to przerwać, zanim zabrnę za daleko.

- Och! - Jack, ku jej zdumieniu, nagle spowaźniał. Teraz wyglądał... no cóż, jakby poczuł się zraniony.

Ale to niemożliwie. Przecież to Jack Townsend. Jack Townsend nigdy nie był zraniony. On tylko ranił.

- Więc tylko tyle dla ciebie znaczyłem? - spytał. — Flirt bez zobowiązań?

Gdyby nie widziała wyrazu jego twarzy, mogłaby pomyśleć, że z niej żartuje. Ale

przynajmniej raz w tych stalowoniebieskich oczach nie było kpiny.

- Cóż, Jack - zaśmiała się nerwowo. - No daj spokój. Nie wmówisz mi, że planowałeś, że to potrwa dłużej. Szybka piłka. Racja? To znaczy... Chyba tak myślałeś?

Przez chwilę błysnął jej promyk nadziei. Ale nie, szanse, że Jack Townsend, notoryczny podrywacz, kiedykolwiek się ustakuje, były dokładnie zerowe. W wywiadzie udzielonym „Playboyowi” powiedział nawet, że małżeństwo to instytucja przestarzała i że nie wydaje mu się, żeby istota ludzka była stworzona do monogamii.

- Pewnie nigdy się tego nie dowiemy, prawda? - Rzucił jej chłodny, zdawkowy uśmiech. To nie był ten Jack, którego poznała przez ostatnie trzy dni. Nie było w nim nic lekkomyślnego czy żartobliwego. Żadnej nonszalancji.

Ale jak to możliwe? Przecież była tylko jedną z wielu jego panienek. Och, jasne, tym razem wybrał taką, która pracuje raczej za kamerą niż przed nią. Ale to jedyna różnica, prawda?

Czy nie ze wszystkimi swoimi dziewczynami rozmawiał o Dakocie? Czy rozmawiał o Dakocie z Vicky?

Lou wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Jack, mówiłam ci już wcześniej, nie mogę związać się z kolejnym aktorem.

- No to się świetnie składa, bo *Gliniarz zabójca 4* to mój ostatni film - powiedział.

Pokręciła głową.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

Faktycznie, minę miał poważną. Nigdy nie widziała, żeby spoglądał z taką powagą.

- Nie. - Próbowała opanować drżenie głosu. Powinna być silna. - Ja naprawdę mówię poważnie, Jack. Ja po prostu nie mogę pozwolić sobie na to, żeby ktoś znów mnie zranił w taki sposób, nie teraz. Potem... potem nic mi nie zostanie.

Zapadła cisza. Na jedno uderzenie serca, na dwa.

Jack wstał z łóżka.

Lou założyła, że on zbiera się do wyjścia. Zwiesiła głowę, łzy zakłuły ją pod powiekami.

Ale to tylko wyjdzie jej na dobre, pocieszała się. Nie może sobie pozwolić na to, żeby ktoś znów ją zranił... A zwłaszcza nie ktoś taki jak Jack, kto potrafiłby zranić ją o wiele boleśniej niż Barry. Rozstanie z Barrym, teraz widziała to wyraźnie, zraniło tylko jej dumę. Jack złamałby jej serce.

Z Jackiem, wiedziała, sprawy będą wyglądać inaczej. Jej miłość do Barry'ego była

raczej wieloletnim nawykiem. To, co czuła - a w każdym razie, co zaczynała czuć - do Jacka, było o wiele głębsze... I o wiele bardziej niebezpieczne. Jeśli się z tego zaraz nie wyplacze, pogrąży się na amen.

Ale ku jej zdziwieniu, Jack nie wyszedł. Zamiast tego, podszedł do łóżka i stanął naprzeciwko niej. Podniosła wzrok, zastanawiając się, czego mógłby jeszcze od niej chcieć. Była pewna, że wyraziła swoje zdanie zupełnie jasno.

Ale powinna była wiedzieć. Powinna była wiedzieć, kiedy pochylił się i wyjął jej z ręki butelkę balsamu. Powinna była się domyślić, kiedy odstawił balsam na nocną szafkę i ukląkł przed nią na grubym dywanie. Powinna była się domyślić, kiedy położył ręce na jej kolanach, wciąż zaróżowionych po kąpieli, i łagodnie, ale stanowczo je rozsunął...

...a potem schował twarz wśród wilgotnych loczków między jej nogami.

- Jack! - zawołała, chwytając go za głowę. - Co ty wy... Przestań, Jack. Nie możesz...

Ale mógł. Pozwoliła mu. Mocno przylgnął ustami do jej uda. Gorący, wprawny język parzył ją niczym lawa. I znów nic nie mogła na to poradzić. Zaciśnęła palce na włosach Jacka i jęczała, wyginając plecy w łuk pod wpływem jego pieszczot... Czy można się dziwić, że opadła na łóżko, kompletnie zapominając o wszystkich rozsądnych argumentach? Czy trudno się dziwić, że odnalazła jego dłonie i chwyciła je mocno, zapraszając coraz wyżej, póki nie rozchyliły szlafroka i nie odnalazły jej nabrzmiałych piersi?

To nie tak. Wiedziała, że to nie tak. Wykorzystywał jej bezbronność. W końcu ją zrani, tak jak zranił już tyle innych. A wtedy nazwie ją króliczkiem do pieprzenia. I tylko patrzeć, jak to ona będzie stała w negliżu pod jego drzwiami, rzucając kieliszkami do szampana.

Wiedziała o tym wszystkim.

Tylko dlaczego to, co teraz robił, wydawało się tak oczywiste, tak bardzo na miejscu?

Przesunął ustami po jej brzuchu i zatrzymał się najpierw przy jednej, potem przy drugiej piersi, drażniąc ich różowe sutki. Wsunął dłoń między jej nogi, a czubki jego palców okazały się podniecająco twarde i szorstkie, tak jak język był łagodny i miękki.

Kiedy jego twarz znalazła się wreszcie tuż przy jej twarzy, spojrzał na nią z góry. Oczy pociemniały mu z pożądania. Uśmiechnął się lekko.

- Wiesz, w czym leży twój problem, Calabrese? - powiedział. - Za dużo myślisz. Czasami powinnaś przestać myśleć i po prostu być.

Przy tych słowach wszedł w nią i nawet nie miała czasu się zdziwić, że nawet nie zauważyła, kiedy pozbył się spodni. Czuła go w sobie, czuła na sobie jego ciężar i bardzo jej się to podobało. Unosiła biodra na jego spotkanie, ruch po ruchu, podczas gdy jego wargi

szukały jej szyi i rąk.

To było szaleństwo. To było niebo. To się musiało skończyć. Powinno się skończyć, bo przecież ona nie może się tak zachowywać.

Ale, och, było jej dobrze. Nareszcie działo się coś, co było silniejsze niż głos rozsądku. Wreszcie działo się coś, co uciszało wszelkie wątpliwości. Nieważne, że był niedobrym chłopcem. Nieważne, że chciał tylko jednego, jak wszyscy mężczyźni. Ale dopóki sprawiał, że czuła się tak jak teraz, wszystko było w porządku.

A potem znalazła się, drżąca, na skraju ciemnej przepaści, tak głębokiej, że nie widziała dna. A potem spadała, spadała w dół i w dół. I nagle zobaczyła, jak dno przepaści wybiega jej naprzeciw pełne cudownej błękitnej wody. Chłodne kropelki całowały jej skórę...

Och, tak, pomyślała Lou, leżąc na skłębionych, wilgotnych prześcieradłach, czując jak serce Jacka bije mocno tuż przy jej sercu. Źli chłopcy są fajniejsi.

— A teraz - powiedział Jack zupełnie zwyczajnym tonem. - Chciałaś mi coś powiedzieć na temat tego, że nie możemy być razem?

Osiem pięter niżej Frank Calabrese wziął do ręki mikrofon. - „Do ciebie ma miłość dziś wieczór już płonie” - zaczął śpiewać zadziwiająco przyjemnym tenorem. - „Szczęśliwszy nie czułem się nigdy”.

Eleonora Townsend, jedyny gość poza Frankiem w barze Czterech Pór Roku w Anchorage, wesoło zaklaskała w dłonie. Nigdy przedtem nie widziała karaoke i zdziwiła się, że hotel o standardzie Czterech Pór Roku zapewniał taką rozrywkę. Ale to w końcu Alaska.

Poza tym przekonała się, że karaoke zasługuje na jej aprobatę. Naprawdę, to była znakomita zabawa. Szkoda, że Jack nie przyszedł tu z nimi. Bardzo by mu się podobało, a już zwłaszcza hamburger z łosia - wprost wyśmienity i mało kaloryczny. A do tego, za radą Franka, piwo. Hamburger i piwo świetnie do siebie pasowały. Tak jak Frank i karaoke.

- „A gdy ogień w mym sercu zapłonie - śpiewał Frank - dowiesz się, że to ciebie tak pragnę”.

Słyszając te słowa, Eleonora parsknęła śmiechem. No tak, i piwem przy okazji. O dobry Boże! Co za maniery! Nie śmiała się tak chyba od czasów, gdy była małą dziewczynką. A swoją drogą, że taka bzdura mogła zdobyć Oscara! Niewiarygodne!

Eleonora przytknęła serwetkę do nosa, nieco zażenowani swoim zachowaniem. Na szczęście, ani Frank, ani barman ni czego chyba nie zauważyli.

- „Świat się cały pograży w płomieniach - śpiewał Frank, zbliżając się do wielkiego finiszu - i nic nigdy nie będzie tak samo. Szepnę imię twe, miła..”

Frank brawurowo dokończył refren. Potem uklonił się, nagradzany oklaskami Eleonory, i wrócił do stolika.

- A teraz twoja kolej.

Eleonora odłożyła serwetkę i zawołała:

- Ależ, Frank, nie! Ja nie umiem śpiewać.

- A czy to ważne? - spytał Frank. - Proszę, tu masz śpiewnik. Któraś z nich na pewno znasz. O, na przykład ta: *Jesteś światłem mego życia*. Przecież musisz ją znać. Wszyscy ją znają.

- Och, Frank! - Eleonora znów się roześmiała. Na szczęście, tym razem nie miała w ustach piwa. - Nie wiesz, o co prosisz. Ja naprawdę strasznie fałszuję.

- O, ta - powiedział Frank, podnosząc śpiewnik. - Musisz ją znać. *Jesteś taki próżny*. Zaśpiewaj *Jesteś taki próżny*.

- Frank, nie! - Eleonora nie bardzo mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak

dobrze się bawiła. Bo odkąd umarł Gilbert, na pewno nie. Gilbert, mimo wszystkich swoich sztywnych zasad, był człowiekiem zabawnym, kiedy chciał komuś sprawić przyjemność. Życie stało się strasznie nudne po jego śmierci, chociaż Eleonora usiłowała zabić tę nudę pracą dla organizacji dobroczynnych.

Ale dobroczynność była interesująca tylko do pewnych granic. Pochłanianie ogromnych hamburgerów i śpiewanie karaoke z emerytowanym policjantem z Nowego Jorku było o wiele bardziej podniecające. Kto by pomyślał, że podczas podróży na Alaskę w poszukiwaniu zaginionego syna spotka człowieka, przy którym znów się poczuje jak nastolatka? Jej w każdym razie z pewnością nie przyszło to do głowy.

- Musisz coś zaśpiewać - nalegał Frank. - Ja zaśpiewałem, więc ty też musisz.

- No dobrze - poddała się Eleonora, wzdychając tragicznie. - Ale sama sobie wybiorę piosenkę.

Wzięła śpiewnik do ręki i zaczęła przeglądać. Tyle piosenek, a prawie wszystkie o jednym - o miłości. Nic dziwnego, czy może być lepszy temat? Od wieków ludzie śpiewali o miłości. I nawet najrozsądniejsi nie potrafili się oprzeć temu cudownemu uczuciu lekkości, które uderzało do głowy i trochę przypominało...

No cóż, przypominało to, co Eleonora odczuwała w tej chwili.

A czuła się zupełnie tak, jakby musowały w niej bąbelki szampana. Absurdalne, bo przecież już niemal minęła północ alaskiego czasu, a to oznaczało prawie trzecią w nocy w domu, w Nowym Jorku. Kiedy po raz ostatni bawiła się do trzeciej rano? Nie była w stanie sobie przypomnieć. To niemożliwe, żeby zakochała się w emerytowanym funkcjonariuszu policji, ojcu piątki dzieci, którego poznała zaledwie trzy dni temu.

A przecież Alessandro polubił go od pierwszego wejrzenia. A Alessandro nigdy się nie mylił co do ludzi.

- Zrobię to - oświadczyła, nagle tak lekka i beztroska, jakby miała piętnaście lat. - Zaśpiewam.

Frank zaczął klaskać, podczas gdy barman bardzo uprzejmie sprawdził numer piosenki, a potem wprowadził go do komputera.

Bardzo mocno trzymając mikrofon, Eleonora zwróciła się twarzą do swojej jednoosobowej widowni - bo barmana tak pochłonęło układanie pasjansa, że nie zwracał na nią najmniejszej uwagi - i zaczęła dzielnie śpiewać piosenkę, której nigdy w życiu przedtem nie słyszała.

Na tę właśnie piosenkę padł jej wzrok w chwili, gdy zdała sobie sprawę, że zakochała się we Franku Calabrese. I z tego powodu w jej sercu raz na zawsze znalazło się specjalne

miejsce dla *Kung - Fu Fighting*.

Dwanaście pięter ponad hotelowym barem Vicky Lord nie mogła zasnąć.

A przecież właśnie dziś, po raz pierwszy, odkąd Jack i Lou zaginęli, powinna zasnąć zdrowym snem. Odnaleźli się cali i zdrowi. Kiedy usłyszała o katastrofie helikoptera i była prawie pewna, że oni zginęli - poczuła się tak, jakby umarła również część jej samej. Naprawdę tak się czuła. Przez trzydzieści sześć godzin nie mogła podnieść się z łóżka...

Ale potem pojawiła się nadzieja, że przeżyli. Vicky tak się ucieszyła, że nawet dała Lupe podwyżkę w wysokości stu dolarów tygodniowo.

A teraz oni wrócili. Wrócili, nic im nie groziło i za to Vicky czuła się wdzięczna losowi. Zorganizowała małe przyjęcie powitalne we własnym apartamencie, wykupując z tej okazji cały hotelowy zapas dom perignon i koktajlu z krewetek. Przyjęcie chyba się udało. Jack i Lou sprawiali wrażenie całkiem zadowolonych.

Dopiero coś, co usłyszała w wiadomościach o jedenastej, zaniepokoiło ją, i teraz nie pozwalało zasnąć. Nawet pigułki nasenne nic nie pomogły. Wciąż krążyła myślami wokół tej historii, coraz bardziej zdenerwowana. Właściwie nawet przerażona.

Bo na przyjęciu Jack powiedział jej, że ktoś do niego strzelał.

To samo powiedzieli w wiadomościach. A pilot, który rzekomo zginął podczas katastrofy, najwyraźniej wcale wtedy nie ucierpiał.

„Nierozwiązana zagadka towarzyszy fatalnemu wypadkowi helikoptera, którym leciał Jack Townsend i scenarzystka - mówił reporter wiadomości. - Urząd medycyny sądowej w Anchorage poinformował, że pilot helikoptera, Samuel Kowalski, nie zginął podczas katastrofy, jak początkowo przypuszczano. Sekcja wykazała, że Kowalski został zabity strzałem w głowę. Szerniałe zwłoki znaleziono we wraku R - 44 wynajętego przez studio filmowe. Biuro szeryfa w Myrze odmawia wszelkich komentarzy na temat ostatnich ustaleń w tej sprawie. Townsend i druga pasażerka helikoptera, autorka scenariusza do *Hindenburga*, prawie siedemdziesiąt dwie godziny błądzili po bezdrożach Alaski. Przedstawiciel prasowy pana Townsenda informuje, że gwiazdor odpoczywa teraz po trudnych chwilach i ma zamiar kontynuować pracę nad obecnym projektem zgodnie z planem. W dalszej części wiadomości...”

Ale pozostałych wiadomości Vicky już nie słuchała. Całą uwagę skupiła na jednym słowie. Strzał. Samuelowi Kowalskiemu strzelono w głowę. Nie zginął w katastrofie helikoptera, jak informowano poprzednio. A Jack i Lou opowiedzieli jej o uzbrojonych ludziach na skuterach śnieżnych. Ścigali ich. Ścigali Jacka.

Vicky siedziała przed telewizorem, bezmyślnie zmieniając kanały.

Ktoś usiłował zabić Jacka. Nie Lou. Jacka. Lou została w to wplątana przypadkiem. Tylko dlatego, że leciała tym całym R - 44. Ale to Jack był celem. I nadal groziło mu wielkie niebezpieczeństwo.

Musiała go ostrzec. Wiedziała, że musi go ostrzec.

Ale wciąż jej się nie udawało. Na przyjęciu nie zdążyła, był tam krótko i zaraz wyszedł razem z matką.

A kiedy po przyjęciu Vicky zadzwoniła do niego do pokoju, nikt nie odebrał. Dzwoniła jeszcze wiele razy, ale Jack nie podnosił słuchawki.

Musiała mu powiedzieć. Musiała. Zanim będzie za późno...

- Vicky?

Głos nadchodzący z najciemniejszej części salonu tak ją wystraszył, że omal nie spadła z tapczanu. A to tylko jej mąż wołał do niej sennym głosem z sypialni.

- Vicky! - Tim Lord w szarej jedwabnej piżamie i czarnym szlafroku wyszedł z cienia i zbliżył się do tapczanu. Tim nie przejmował się swoim wyglądem w pracy - zazwyczaj nosił dzinsy i nieodłączne kowbojki. Ale do łóżka ubierał się wspaniale. To dlatego, zwierzył się kiedyś Vicky, że wyrósł niemal w biedzie. Matka wychowywała go samotnie, bo ojciec uciekł w siną dal, i była w stanie zapewnić mu jedzenie i ubranie do szkoły, ale niewiele więcej.

- Co ty tu robisz tak długo? - chciał wiedzieć Tim. - Dobrze się czujesz?

Vicky nacisnęła wyłącznik na pilocie. Nie chciała, żeby w niebieskawej poświacie ekranu dostrzegł, jak blada jest bez makijażu.

- Tak - powiedziała. - Nic mi nie jest.

- To chodź do łóżka, dobrze? Wiesz, że bez ciebie nie mogę usnąć. A jutro czeka mnie ciężki dzień. Będziemy kręcić scenę wybuchu w kopalni. To ostatnie zdjęcia, rozumiesz. Ostatnie, a potem się pakujemy i spadamy stąd.

Vicky posłusznie wstała z tapczanu i pozwoliła mężowi zaprowadzić się do sypialni.

Nawet nie podejrzewał, co ona właśnie odkryła. Cóż, nie na darmo była aktorką. Nie miał zielonego pojęcia. Nie miał też pojęcia, że leżała obok niego bezsennie przez całą noc...

...aż do momentu, kiedy wszystkich obecnych w hotelu - tych, którzy jeszcze nie wstali - wyrwała ze snu eksplozja, która zrujnowała pokój Jacka Townsenda dwa piętra niżej.

Jack Townsend nie znajdował się w swoim nowym pokoju na dziesiątym piętrze, kiedy ten wybuchł w chmurze dymu i ognia. Znajdował się nadal w pokoju Lou Calabrese na ósmym. A dokładniej mówiąc, w samej Lou Calabrese.

Ale nie bawił się tak dobrze, jak można by się spodziewać. To dlatego, że Lou, nie zważając na okoliczności, postanowiła odebrać telefon, który zaczął dzwonić o nieludzkiej porze. Była szósta czterdzieści pięć rano.

Zaledwie kilka minut przed telefonem Jack obudził się przyjemnie blisko Lou, plecami przytulonej do jego brzucha, obejmując ją ramionami, i odkrył, że cierpi na dokuczliwą erekcję naprawdę wielkiego kalibru.

Chociaż nie była to sytuacja w jego życiu zupełnie bezprecedensowa, pierwszy raz przytrafiło mu się to z Lou.

I w dodatku - co za radość - ona też się zaczęła budzić. Dał jej trochę czasu na dojście do siebie, pieszcząc delikatnie jej ramię.

Wreszcie otworzyła oczy i powiedziała głosem zachrypniętym od snu:

- Wiesz, co? Myliłeś się. Niepotrzebna ci większa spluwa. . - Ach, jak zawsze, romantyczka.

- Jesteś nienasycony - odparła.

- Większość kobiet cieszyłaby się z takiego obrotu spraw - zaznaczył.

Lou obróciła się z westchnieniem i leżąc płasko na plecach, oświadczyła:

- Dobra. Bierz mnie.

A Jack posłuchał. Na szczęście, tym razem niepotrzebne było żadne nerwowe zdzieranie ubrań. Wystarczyło odrzucić prześcieradło i zabrać się do dzieła, co Jack natychmiast uczynił. Przycisnął wargi do różowego sutka, który leżał sobie słodko i spokojnie, póki go nie pocałował. Pod jego dotykiem szybko obudził się jednak do życia.

Prześlizgując dłonią po jej gładkim brzuchu, znalazł kępkę rudawych włosów, które przebadał tak dokładnie poprzedniej nocy. Przekonał się, że była gotowa do miłości tak samo jak on.

Sekundę potem pociągnął ją, roześmianą, na siebie, sugerując, że może dla odmiany teraz ona by trochę popracowała...

Lou ochoczo zabrała się do realizacji zadania. Wciągnęła go głęboko w siebie - tak gorąca, tak wilgotna, tak słodko ciasna - i wtedy zadzwonił telefon.

Naprawdę nie spodziewał się, że ona odbierze. Nie w tym momencie, na Boga!

A jednak zobaczył, że jej dłoń wyciąga się w stronę słuchawki.

- Jest tak wcześnie - wyjaśniła. - To musi być coś ważnego. Może policja. Albo mój tata.

Ojciec Lou to nie był temat, który Jacka w tej konkretnie chwili szczególnie pociągał.

A potem podniosła słuchawkę i powiedziała:

- Halo?

Ale to nie była ani policja, ani jej ojciec. Dzwoniła z Nowego Jorku, gdzie właśnie dochodziła dziesiąta, agentka Lou, Beverly Tennant.

Agentka najwyraźniej była dla Lou równie ważna jak policja albo ojciec, bo natychmiast wdały się w długą rozmowę na temat Tima Lorda i najskuteczniejszych wobec niego metod perswazji. Bo Lou miała dziś przekonać Tima, żeby jednak nie wysadzał w powietrze fragmentu dzikiej alaskiej przyrody. Byłby z tego tylko wielki skandal, co z pewnością przysporzyłoby filmowi złej prasy i tak dalej, tym bardziej że ci nawiedzeni ekolodzy już szykowali się do walki w całym kraju w obronie lisa arktycznego, no i tylko Lou zdoła Tima przekonać, bo przecież posłuchał jej ostatnim razem, na planie *Hindenburga*, kiedy chciał wysadzić w powietrze zabytkowy węgierski dworzec kolejowy, głównie dlatego, że zostało mu pod ręką trochę materiałów wybuchowych i pomyślał sobie, że pożar będzie wyglądał efektownie na ekranie.

Przynajmniej tyle Jack zrozumiał z tej całej rozmowy. Słyszał tylko jedną jej część, ale miał w niej bardzo osobisty udział. Czuł wibracje niskiego głosu Lou w całym jej ciele, a to ze względu na intymne połączenie cielesne, jakiego obecnie doświadczali.

- Odczep się od tego telefonu - warknął wreszcie Jack, kiedy rozmowa zesłała na nieco przydługi opis, ze strony Beverly, jakichś włoskich kafelków podłogowych.

Lou zrobiła do niego paskudną minę, zakrywając dłonią słuchawkę. Najwyraźniej spóźniła się z tym gestem, bo Jack usłyszał, że agentka pyta dociekliwie:

- Ktoś tam jest z tobą? Mój Boże, Lou, kto to?

I nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczyna rozwodzić się nad jakimś programem dokumentalnym na Learning Channel o poławiaczach alaskiego kraba, o ich pięknie rozwiniętych przedramionach, i snuje domysły, czy może Lou udało się właśnie takiego złowić. Poławiacza, nie kraba, oczywiście.

Jack już wrywał jej słuchawkę, żeby wtrącić trzy grosze na temat krabów, ale Lou, w ostatniej chwili i z szybkim „Wybacz, zadzwonię później”, zdążyła się rozłączyć.

Jack uznał, że bezpieczniej będzie trzymać ją z daleka od telefonu, i pchnął ją na plecy...

- Muszę złapać Tima - mruknęła Lou, bez większego przekonania - zanim pojedzie na plan...

- Masz na to mnóstwo czasu - powiedział Jack, zbliżając usta do jej karku. - On nic nie zrobi, póki ja się tam nie pojawię, a ja się tam nie wybieram, dopóki - i zanurzył się w niej jeszcze głębiej - nie będę gotów.

To, co nastąpiło potem, stanowiło, przynajmniej według Jacka, kwintesencję dobrego seksu. Nie przestawało go zadziwiać, jak dobrze do siebie pasowali. Nigdy jeszcze nie przeżył seksualnego zbliżenia, które dałoby się z tym porównać. Może dlatego, że po raz pierwszy w życiu znalazł partnerkę, która nie tylko pociągała go fizycznie, ale którą zwyczajnie lubił, a nawet, do pewnego stopnia, podziwiał.

Poza tym, jakie ona miała usta! Boże, kochał te usta.

Problem jednak polegał na tym, że zaczynała od niego żądać pewnych rzeczy, których na razie nie potrafił jej dać. Pierwszy raz sam zaproponował kobiecie, żeby z nim zamieszkała, ale jej to nie wystarczało. Dlaczego musiała chcieć więcej? Czy nie wiedziała, że to więcej przyjdzie w sposób naturalny, jeśli tylko da mu szansę?

Nie. Nie wiedziała. Bo już raz się sparzyła. Teraz potrzebowała pewności.

Ale Jack miał spore problemy z wypowiedzeniem niektórych słów... Bo, oczywiście, nie wypowiadał ich nigdy przedtem. Jak poprosić kobietę, żeby spędziła z tobą resztę życia? Jak powiedzieć, że się ją kocha i chce się ją poślubić, i mieć z nią dzieci i złote retrievery, i nie zabrzmieć przy tym jak totalny palant? Jack naprawdę nie wiedział. Mógłby wypowiedzieć te słowa przed kamerami, gdyby tak brzmiała jego kwestia, ale na pewno nie zdołałby się utożsamiać z bohaterem. Już prędzej uznałby go za idiotę.

Ale teraz... Teraz zrozumiał te śmieszne słowa i uczucia, które wyrażały. Tylko po prostu nie miał pojęcia, jak je wypowiedzieć i nie zrobić przy tym z siebie kompletnego idioty.

Więc tymczasem próbował okazać to czynem. Pokazać jej, co czuje, zamiast o tym mówić. Kochał się z nią najczulej, jak potrafił, chociaż były też takie chwile, kiedy nie działało się już między nimi nic czułego, kiedy opanowywała go dzika żądza.

Ale jednym z powodów, dla których pokochał Lou - jak dziwnie było używać tego słowa, nawet w myślach - było to, że jej potrzeby wydawały się równie naglące jak jego własne. W łóżku twarda postawa, którą starannie pielęgnowała, żeby przetrwać i wygrać w tym, na dobrą sprawę, męskim świecie, zniknęła bez śladu. Jack odkrył w niej szalenie kobiecą partnerkę, dziewczynę, która lubiła płyn z bąbelkami do kąpieli i nie wahała się go używać, do diabła. Dziewczynę, która nosiła w torebce fistaszki w karmelu. Dziewczynę, która

dochodziła do orgazmu bezwstydnie, ale tak kobieco, że Jack powstrzymywał własną przyjemność, dla przyjemności obserwowania jej samej.

Dzisiaj rano też tak zrobił, tylko po to, żeby móc nacieszyć się rozkoszą Lou. Dopiero wtedy, kiedy ostatni dreszcz wstrząsnął jej ciałem, pozwolił sobie zaznać własnej przyjemności... była tak bogata i pełna, że wyczerpała go do cna.

Czy to właśnie powinien powiedzieć? Że muszą być ze sobą na zawsze, bo ona jest jedyną znaną mu kobietą która sprawiała, że po seksie czuł się jak wyżęta gąbka? Jakoś nie brzmiało to najlepiej. Po raz pierwszy w życiu znalazł się w sytuacji, kiedy rzeczywiście sporo zależało od tego, co powie, a nie mógł znaleźć odpowiednich słów. A przecież Lou nie mogła mieć racji. Nie był tylko robotem do wypowiedzania kwestii, które ktoś mu spisze na kartce papieru.

Ale bardzo by mu się przydał w tej chwili jakiś sufler, ktoś, kto by mu podpowiedział właściwe słowa.

Co się z nim działo? Inni mężczyźni robili to bez problemu. To znaczy oświadczało się. Na pewno i on by mógł, i to bez pomocy z zewnątrz. Propozycja zamieszkania razem nie wystarczyła. Lou najwyraźniej potrzebowała czegoś więcej, czegoś solidnego, trwałego. Poważnych zobowiązań. Właściwie mógł się na to zdobyć. I chciał, po raz pierwszy w życiu. Musiał tylko wypowiedzieć te słowa.

- Lou - zaczął. Tak. Tylko tak dalej. Na razie idzie mu świetnie.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Jej rude włosy rozsypane na poduszce wyglądały jak aureola. Miedziana aureola.

- Tak?

Wziął głęboki oddech. Potrafi się na to zdobyć. Na pewno sobie poradzi. Czy nie wygrał nagrody dla ulubieńca publiczności i najlepszego aktora w telewizyjnym serialu? Czy nie wdychały do niego wszystkie kobiety w Ameryce? Jest seksowny. Jest fajny. Ona się zgodzi. Wystarczy tylko, żeby wypowiedział te słowa.

- Słuchaj... - zaczął.

I w tym momencie nastąpiła eksplozja. Wstrząs był tak silny, że o mało nie wyrzucił ich z łóżka.

- O mój Boże! - Lou wygrzebała się z płataniny prześcieradeł. - Jack, co to było? Trzęsienie ziemi?

- Trzęsienia ziemi nie robią tyle hałasu. - Do licha, a tak dobrze mu szło! - Pewnie to tylko jakiś samolot przekroczył barierę dźwięku. Lou, posłuchaj...

Ale było za późno. Lou owinęła się prześcieradłem i podbiegła do okna.

- Jack, patrz na ten dym! - zawołała. - Jak sądzisz... Mój Boże, to chyba parę pięter nad nami. Co się tam mogło stać?

Jack owinał się narzutą i usiadł z ponurą miną na krańcu łóżka, rozpamiętując swoją porażkę.

- To pewnie Melanie - powiedział. - Dokonała samospalenia po dzisiejszych porannych zmianach w scenariuszu.

Lou wyciągała szyję, usiłując zobaczyć coś za oknem.

- Nie, Jack - powiedziała. - To chyba coś poważniejszego. Widać płomienie. Może powinniśmy, sama nie wiem... Ubrać się? Ewakuować? Albo coś.

Jack rozchmurzył się przy tej sugestii. Śniadanie. To dobry pomysł. Będą mogli zjeść śniadanie, a on się oświadczy nad grejpfrutem i tostami. Co prawda, niezbyt to romantyczne, ale kawa doda mu sił. Wstał i zaczął rozglądać się za spodniami.

- To dobry pomysł - powiedział. - Chcesz pierwsza wziąć prysznic, czyja mam się teraz wykapać? A może oboje wskoczmy pod prysznic...

Z korytarza zaczęły dobiegać jakieś hałasy, tupot, nawoływanie. Lou, owijając się szlafrokiem, zmarszczyła brwi.

- Czy to nie jest głos mojego taty?

I zanim Jack się zorientował, już otwierała drzwi.

Na korytarzu panował chaos. Klębił się tłum zdenerwowanych ludzi w większości związanych z produkcją *Gliniarza zabójcy 4* i w większości w dezabilu, choć w różnych stadiach. Jack rozpoznał Paula Thompkinsa, asystenta reżysera. Miał na sobie bokserki i koszulkę Knicksów i właśnie rozmawiał przez komórkę.

- Nie wiem, co to było - mówił. - Ale upewnij się, czy masz tę listę ujęć. Jeśli one nam się spalą, to lądujemy z ręką w nocniku rozmiarów...

W centrum zamieszania stał ojciec Lou Calabrese i wołał o spokój.

- Proszę o ciszę! Proszę o ciszę. Prawdopodobnie nie stało się nic poważnego. Możliwe, że to tylko transformator na dachu. Może jednak zrobimy przysługę straży pożarnej i zaczniemy się kierować w stronę klatki schodowej. Nie, nie do wind, tylko na schody. Proszę w tę stronę, proszę iść spokojnie...

- Tato! - krzyknęła Lou, podbiegając do ojca. - Tato, nic ci nie jest? Co tu się dzieje?

- Och, dzień dobry, kotku. - Frank Calabrese uśmiechnął się serdecznie. Miał na sobie kraciasty granatowo - zielony szlafrok, a pod spodem niebieską piżamę. Kępki siwych włosów sterczały mu komicznie na czubku głowy. Nie wydawał się zaskoczony, widząc córkę w hotelowym szlafroku. - Przyjemna pobudka, nie sądzisz?

- Tato, ale co to było? - Lou rozglądała się po korytarzu. - Brzmiało jak jakiś wybuch. Skąd tyle dymu?

- Taa. - Frank, ruchem ręki kierował ludzi do wyjścia ewakuacyjnego. - Można by podejrzewać, że...

Nagle włączył się ogłuszający alarm, pod sufitem zaczęły migać jasne światła.

- Aha - powiedział Frank z satysfakcją. - No i proszę. Zastanawiałem się, kiedy się włączą.

Ledwie go było słychać, bo wycie syreny skutecznie zagłuszało inne dźwięki. A jednak Jack był pewien, że przez chwilę słyszał głos własnej matki.

No i faktycznie, wyłoniła się z siwego dymu, ubrana w różowy satynowy szlafroczek i ze smakiem dobrany turban, ściskając Alessandra w jednej ręce, a kasetkę z biżuterią w drugiej.

- Frank! - zawołała, wyraźnie bliska hysterii. - Och, Frank! A wtedy Jack zobaczył coś, co go poważnie zaniepokoiło.

Zanim choćby zdążył się ruszyć, zobaczył, jak ojciec Lou wyciąga ramię i obejmuje Eleonorę Townsend.

A potem mówi do niej, praktycznie chowając usta w jej turbanie:

- Kochanie, wszystko w porządku. To tylko mały pożar. Kochanie? Kochanie?

Eleonora najwyraźniej go nie słyszała. Na pewno, bo gdyby go dosłyszała, zaprotestowałaby przeciwko nazywaniu jej kochaniem. Przywarła tylko do Franka, ściskając przy tym Alessandra, i jęknęła:

- Och, Frank! To straszne! Chciałam pójść do pokoju Jacka, i okazało się, że to właśnie tam... Ten wybuch! Pokój Jacka nie istnieje! Tam jest tylko czarny dym i ogień, i...

Lou, która z przejęciem przyglądała się tej scenie, wystąpiła naprzód i powiedziała:

- Pani Townsend... Pani Townsend, proszę nie płakać. Jack jest tutaj, nic mu się nie stało. Był ze mną.

A Jack, ubrany w narzutę z łóżka Lou, pomachał bezradnie z drzwi pokoju.

- Cześć mammo!

Śniadanie nie udało się za dobrze. Prawdopodobnie miało to jakiś związek z tym, że spory kawałek dziesiątego piętra hotelu wyleciał w powietrze.

A jednak można by chyba oczekiwać, że zwyczajny wybuch w jednym apartamencie nie zdezorganizuje pracy kelnerów dziesięć pięter niżej.

- To już za wiele! - Tim Lord rozglądał się niecierpliwie. - Gdzie jest ten kelner? Muszę jechać na plan. Mój samolot...

- Tim, posłuchaj, samolot poczeka - uspokajała go Lou. - Wiem, że to nie jest dobry moment, ale musimy porozmawiać o tym wybuchu w szybie kopalni. To znaczy, czy nie uważasz, że mamy już dość wybuchów jak na jeden dzień? Czy nie możemy zostawić tej kopalni w spokoju?

Tim nadal rozglądał się po niemal pustej restauracji. Większość gości zdecydowała się zjeść śniadanie gdzie indziej, mimo że straż pożarna Anchorage już w godzinę po wybuchu ogłosiła, że sytuacja jest opanowana.

Tim Lord nie miał zamiaru pozwolić, żeby jakiś głupi wybuch zakłócił mu plany. Przede wszystkim miał materiał do nakręcenia.

- Na miłość boską, Lou - powiedział teraz, piorunując wzrokiem kelnera, który zawzięcie plotkował z bojem hotelowym, pewnie na temat eksplozji na dziesiątym piętrze. - Już się opóźnimy o trzy dni w stosunku do harmonogramu przez ten mały wypadek z helikopterem. A teraz prosisz mnie, żebym zmienił samą istotę historii, którą usiłuję opowiedzieć - a która, przy okazji, właśnie ty napisałaś! Musiałaś dziś rano nawdychać się za dużo dymu.

Lou zrobiła głupią minę, usiłując rozśmieszyć Vicky, która siedziała naprzeciwko, jak zwykle anielska, choć dziwnie spięta. Ale Vicky nawet na nianie spojrzała. Wpatrywała się uparcie w swoją filiżankę herbaty.

- Tim... - Lou spróbowała jeszcze raz. - Arktyczne lisy. Małe, szalone futrzaki, podobne do psów. One mają gniazda w tym szybie. Jeśli wysadzisz kopalnię, mnóstwo ślicznych szceniąt zostanie bez żadnego dachu nad głową. Czy tego rodzaju wiadomość chcesz przekazać Ameryce? Że Tim Lord ma gdzieś szczeniaki?

- Kociaki - wtrąciła Vicky.

I Lou, i Tim spojrzeli na nią zdumieni.

- Co mówiłaś, kochanie? - spytał Tim.

- Na małe liski mówi się kociaki - powiedziała Vicky, ścisząc głos, bo nagle cała

uwaga skupiła się na niej. - Tak mi się wydaje. Nie szczeniaki. Jestem prawie pewna.

- No to kociaki - zgodziła się Lou. Zmarszczyła brwi, patrząc na Tima swoim najbardziej stanowczym wzrokiem. - Tego chcesz, Tim? Zostać zabójcą kociąt?

Kelner wreszcie zauważył nerwowe machanie Tima. Podszedł do nich, blady i zdenerwowany.

- Słucham? - powiedział drżącym głosem.

- Tak. Poproszę o rachunek - odezwał się Tim. - I mogę prosić o pośpiech? Mam zaraz samolot.

- Och - powiedział wystraszony kelner. - To będzie bez rachunku, proszę pana. Ze względu na... no, wie pan. - Obniżył głos i dokończył konspiracyjnym szeptem: - Zakłócenia spokoju dziś rano.

Tim uśmiechnął się sucho.

- Dobrze - powiedział. - Dziękuję. - A do Lou i Vicky dodał: - Moje panie, jak zawsze, cała przyjemność po mojej stronie. Ale samochód czeka, żeby zabrać mnie na lotnisko, gdzie z kolei czeka samolot, którym polecę na plan mojego filmu. Tam czeka na mnie ekipa, która mnie kosztuje mniej więcej dwieście tysięcy dolarów za godzinę. Lou, to było najdroższe śniadanie w moim życiu. A teraz, wybaczcie...

- Ależ, Tim! - Lou zdała sobie sprawę, że przegrywa bitwę, do której prawdę mówiąc, od samego początku nie była właściwie przygotowana. - Nie ma żadnej potrzeby, żeby wysadzać kopalnię. Naprawdę. To znaczy, z punktu widzenia narracji. To nie jest nawet...

- Lou, szanuję cię jako pisarkę. - Tim wstał i sięgnął po kurtkę wiszącą na kołku. - Ale amerykańska publiczność oczekuje dwóch rzeczy od każdego filmu z serii *Gliniarz zabójca*, jak pewnie sama wiesz. Ujęcia gołego tyłka Jacka Townsenda i cholernie wielkiego wybuchu. - Włożył swoją czapkę bejsbolową z filmu *Hindenburg*. - Nie zamierzam zawieść naszych widzów.

A potem odwrócił się i wyszedł z restauracji.

Lou, lekko zbita z tropu, popatrzyła na Vicky i powiedziała:

- No cóż. Świetnie poszło. Nie sądzisz?

Nie, Vicky nie sądziła. Bo Vicky, całkiem nieoczekiwanie, zalała się łzami. Owszem, od rana wyglądała nieco mniej promiennie niż zwykle, ale Lou przypisywała to brutalnej pobudce.

Patrzyła na przyjaciółkę z nieopisanym zdumieniem. To prawda, że przez Jacka była ostatnio trochę... no cóż, zaabsorbowana sobą. Ale z pewnością nie zrobiła ani nie powiedziała niczego, co mogłoby urazić Vicky i doprowadzić ją do płaczu.

- Mój Boże, Vick! - Lou wstała ze swojego miejsca i wśliznęła się na siedzenie zwolnione przez Tima Lorda. - Co się dzieje? Nic ci nie jest? Mój Boże, to ta cała gadanina o wybuchach, tak? Bardzo cię przepraszam. Wiem, że musiałaś się okropnie wystraszyć dziś rano. No, przecież byłaś zaledwie dwa piętra wyżej...

Mimo wszystko trudno było nie zauważyć, że Vicky nawet płacze pięknie. Zwykli śmiertelnicy puchną od płaczu, dostają plam na twarzy i tak dalej. Ale nie Vicky. Oczy pełne miała łez, ale dzięki temu wyglądały tylko bardziej niebiesko niż zwykle. I ani jedna część twarzy jej się nie zaróżowiła.

- To... nie o to chodzi - wykrztusiła.

Lou pochyliła się nad pustymi talerzami. Tim zjadł z apetytem jajka na bekonie i naleśniki, podczas gdy Lou niezbyt entuzjastycznie zadowolona się omletem z białek jaj, obawiając się o obwód bioder po tych wszystkich orzechowych lodach skonsumowanych w domku Donalda. Vicky nie zjadła nic, napiła się tylko ziołowej herbaty. Lou wyciągnęła z pojemnika garść serwetek.

- Masz - powiedziała. - Boże, Vicky, przestań płakać. Wszystko będzie dobrze. Może po prostu zrobię tak: wezmę parę zdjęć tych małych lisków od demonstrantów sprzed hotelu i polecę do Myry, i pokażę je...

- O Boże! - Vicky wzniosła oczy do nieba, a łzy jak perły spływały po jej białych policzkach. - Nie chodzi o film, dobra? Nie chodzi o żaden pieprzony film! Chodzi o Jacka!

Lou poczuła, że serce jej nagle zwalnia i zaczyna bić w tempie jednego uderzenia na minutę.

- O Jacka? Ale... ale przecież Jackowi nic nie jest. Nie było go w pokoju, kiedy nastąpił wybuch. A komisariat policji Anchorage wysłał funkcjonariusza, kiedy tylko usłyszeli, co się stało. Ma teraz pełną ochronę...

- Nie! - pociągnęła nosem Vicky. - To nie to!

Lou poczuła, że krew jej zastyga. Świetnie. Po prostu świetnie. Vicky wiedziała.

Wystarczająco źle się stało, że własny ojciec Lou, nie wspominając już o pani Townsend - och, Boże, Lou rumieniła się na samą myśl - wiedzieli, że ona i Jack spędzili tę noc razem. Vicky najwyraźniej też już o tym wie.

- O Boże, Vicky... - Lou czuła się okropnie. Była najgorszą przyjaciółką na ziemi. Proszę, właśnie przespała się z facetem, który złamał serce jej najbliższej przyjaciółce.

Ale na swoją obronę musiała dodać, że Vicky przecież nie stała w miejscu. Wyszła nawet za męż!

Może nawet nie dlatego płacze, pomyślała z nadzieją. Może płacze, bo martwi się o

Lou. Może myśli, że Jack potraktuje serce Lou jak marny ochłap. Wykorzystają i zostawi pogrążoną w rozpacz.

No cóż, Lou myślała o tym wszystkim długo i dokładnie poprzedniego wieczoru, kiedy Jack, znużony swoimi wysiłkami na rzecz jej przyjemności, mocno usnął. Lou zdecydowała, że jednak spróbuje. Aktor, nie aktor, z Jackiem było fajnie. Lou przez całe życie postępowała ostrożnie, trzymając się Barry'ego nawet wtedy, kiedy zorientowała się, że był, nie owijając w bawełnę, idiotą. A teraz chciała zaryzykować. Pójść na całość.

A jeśli skończy się tym, że Jack złamie jej serce, no cóż, przynajmniej będzie wiedziała, że w ogóle ma jakieś serce.

A dopóki on tego nie zrobi - to znaczy, nie złamie jej serca - jaka to będzie fantastyczna jazda!

- Posłuchaj, Vicky. - Lou wzięła przyjaciółkę za rękę. - Tak bardzo, bardzo mi przykro. Ale sama powiedziałaś, że już się z niego wyleczyłaś. Powiedziałaś, że idziesz w swoją stronę.

Vicky rozszlochała się jeszcze bardziej. Lou zupełnie nie wiedziała, co ma teraz powiedzieć. Tak strasznie chciała wytłumaczyć, dlaczego to wszystko zrobiła.

- Wiem, że się o mnie martwisz - słowa same wyrwały jej się z ust - ale naprawdę, nic mi nie będzie. To znaczy, ja wiem, że Jack ma fatalną reputację i tak dalej. Wiem, że nigdy nie był z kobietą dłużej niż dwa miesiące. Ale ja jestem już dużą dziewczynką, a mam jeszcze przed sobą szmat życia i chcę je przeżyć w pełni. Prawie całe swoje dorosłe życie spędziłam przed monitorem komputera. Poważnie. Cały czas piszę o ludziach, którzy robią jakieś niezwykle rzeczy, a co ja sama kiedykolwiek zrobiłam? Nic! Jestem zmęczona tą moją wieczną ostrożnością. Jestem zmęczona kurczowym trzymaniem się bezpieczeństwa. Do cholery, Vicky, ja chcę trochę pożyć. Słyszysz mnie? Chcę żyć!

Tym razem to Vicky patrzyła na nią zdumiona. Może dlatego, że Lou włożyła w tę przemowę całe serce. Może dlatego, że podniosła się z krzesła i zaczęła dla większego efektu walić pięścią w stół, zrzucając na podłogę kilka sztućców, aż kilku kelnerów zaczęło spoglądać w ich stronę.

W każdym razie Vicky jeszcze raz zamrugła oczami i spytała słabym głosem:

- O czym ty mówisz, Lou?

- No cóż - powiedziała Lou. Zrobiło jej się głupio i znów przysiadła na swoim miejscu. - O Jacku Townsendzie, oczywiście.

- To ja o nim mówię - powiedziała Vicky z bólem. - O Jacku. I o tym, że mój mąż usiłuje go zabić.

Lou, której nagle okropnie zaschło w gardle, przez moment nie mogła wykrztusić ani słowa. Patrzyła na Vicky, jakby po raz pierwszy zobaczyła ją na oczy. Nagle ta próżna, płytka, nieposkromiona Vicky, którą Lou nauczyła się kochać i doceniać, mimo jej licznych bardzo ludzkich wad, pokazała nieznaną twarz... Pięknej, zimnej, obcej osoby. To nie mogła być ta sama Vicky, która potrafiła powiedzieć: kotku, maczasz włosy w keczupie. I która o swoich pasierbach mawiała: bachory - potwory.

- Co?! - Lou tylko tyle zdołała wykrztusić.

- To był Tim. - Vicky szlochala w serwetki. - To Tim zapłacił pilotowi za zabicie Jacka. Nie spodziewali się, że będziesz z nimi lecieć. Gdybyś sprawdziła pocztę głosową, tak jak ja, nie leciałybyś tym helikopterem.

- Vicky! O czym ty mówisz?

- O Boże, Lou, nie rozumiesz? Tim wynajął tych ludzi, którzy was ścigali, ciebie i Jacka. Ja nie byłam pewna - nie mogłam mieć pewności... ale kiedy wybuchła ta bomba dziś rano, wiedziałam już... Po prostu wiedziałam, że to Tim!

Lou zazwyczaj kojarzyła dość szybko, ale tego po prostu nie mogła pojąć. Równie dobrze Vicky mogłaby jej opowiadać historyjkę o porwaniu przez kosmitów. Albo o kabale. Vicky przez jakiś czas intensywnie zajmowała się kabałą i w czasie tego czterotygodniowego okresu Lou musiała jej unikać, bo nie rozumiała ani jednego słowa z jej natchnionych wywodów.

Teraz naprawdę było zupełnie tak samo, poza tym, że słowa „prawda” i „światło”, Vicky zastąpiła słowami „zabić” i „bomba”.

- Vicky, czemu Tim miałby chcieć zabić Jacka? - powiedziała powoli Lou. - Tim i Jack to przyjaciele, zawsze świetnie się dogadywali...

- Jasne. - Vicky westchnęła z rozpaczą. - Jasne, tak było. Dopóki Tim i ja... no cóż, Tim i ja mieliśmy pewne nieporozumienia i zaproponowałam, żebyśmy poszli do mojego terapeuty - specjalisty od przeszłych wcieleń. Pomyślałam sobie, no, wiesz, że to nas zbliży. I w czasie jednej z sesji doktor Manke zasugerował, żebyśmy porozmawiali nie tylko o naszych poprzednich wcieleniach, ale też o naszych poprzednich związkach. Wtedy ja poruszyłam temat Jacka, a Tim, no cóż, Tim nie wiedział...

- Nigdy mu nie mówiłaś? - Lou patrzyła na Vicky z kompletnym niedowierzaniem. - Nigdy nie powiedziałaś Timowi, że ty i Jack...

- Nie - odparła Vicky, lekko wzruszając ramionami. - Nie mówiłam. Okej? No, proszę, podaj mnie do sądu.

- Vicky! - Lou zamarła z przerażenia. - Vicky, ty nie...

- Doktor Manke zachęcał nas, żebyśmy byli ze sobą uczciwi - obruszyła się Vicky. - No więc powiedziałam Timowi, no wiesz, że Jack to był ten jeden jedyny.

Lou poczuła, że coś jak lodowaty strumyczek zaczyna spływać jej po plecach. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Vicky nadal kocha się w Jacku? Nadal go kochała, ale wyszła za męża za kogoś innego? Nie za byle kogo, tylko za Tima Lorda, jednego z najbardziej wpływowych reżyserów Hollywood?

Nie, to się po prostu nie mogło dziać. Nie w jej życiu. Nie tego ranka, kiedy zdecydowała się rozpocząć nową karierę jako ktoś, kto nie tylko obserwuje, ale też naprawdę żyje.

I jakby to nie było wszystko, Lou najwyraźniej powinna też uwierzyć w to, że Tim tak zniechęcił Jacka, że postanowił go zabić? Niemożliwe.

A jednak... Z jakiego niby powodu Tim miałby się zgodzić na reżyserowanie *Gliniarza zabójcy 4*. Wszyscy byli zaszokowani, kiedy okazało się, że to pierwszy film, jaki zamierza nakręcić po otrzymaniu Oscara za *Hindenburga*. Niemal wszyscy w Hollywood, nie wyłączając Lou, zastanawiali się, czemu, na litość boską, Tim wybrał jako swój kolejny projekt dogrywkę - i to w dodatku trzecią z kolei?

Niektórzy mówili, że po prostu chciał sobie odpocząć, robiąc dla odmiany coś łatwego. Że zbiera siły do następnego wielkiego przedsięwzięcia. Niektórzy napomykali, że Tim potrzebuje pieniędzy, żeby sfinansować własny niezależny projekt, tak jak Jack.

Ale może... Może postanowił zrobić *Gliniarza zabójcą* tylko dlatego, że w ten sposób zyskiwał możliwość bliskiej współpracy z Jackiem? Miał dostęp do harmonogramu zajęć Jacka. Mógł zaplanować coś, co wyglądałoby na wypadek. Gdyby Samowi udało się zabić Jacka, a potem zgarnąć kasę i zniknąć, to co by wszyscy myśleli? Że helikopter się rozbił. Nawet nikt by się specjalnie nie dziwił, gdyby nie odnaleziono wraku... Przecież to tysiące hektarów lasów.

A teraz, skoro się nie udało - skoro Jack wciąż żył - Tim wcale nie dał za wygraną. I wciąż jeszcze miał pole do działania. O Boże! I miał do dyspozycji cały plan filmowy pełen materiałów wybuchowych.

- Vicky? Nie wierzę ci. Naprawdę. Powiedz mi, że to jakieś dziwaczne ćwiczenie aktorskie i że ty tego nie zrobiłaś.

- Oczywiście, że zrobiłam - odparła Vicky, teraz zdecydowanie oburzona. Bliska łez, ale oburzona. - Tim to mój mąż. Jeśli nie mogę być szczerą z moim mężem, to z kim mam być szczerą? Małżeństwo oparte na kłamstwach wcale nie jest małżeństwem, tylko...

Lou z całej siły walnęła pięścią w stół.

- Powiedziałaś Timowi, że wciąż kochasz się w Jacku Townsendzie?

- Cóż. - Vicky była nieco zdziwiona gwałtowną reakcją Lou. - Tak. Dlaczego miałam mu nie mówić? Przecież Tim był już dwa razy żonaty. Nie jestem jedyną kobietą, jaką w życiu pokochał.

- Ale jesteś jedyną kobietą, którą kocha teraz! - zawołała Lou.

- No cóż, oczywiście. Ale nic na to nie poradzę, że jakąś częścią duszy zawsze będę kochała Jacka. On tak działa na kobiety. Zachodzi za skórę. Jest jak zły nawyk, z którym nie sposób zerwać. Chciałabym, wierz mi. Ale czasami po prostu nie mogę wybić go sobie z głowy...

- I ty to wszystko powiedziałaś... - Głos Lou brzmiał niemal groźnie. Ale trudno, jeśli Vicky oczekiwała współczucia, to zdecydowanie zgłosiła się teraz pod niewłaściwy adres. - ...Timowi. Powiedziałaś mu, że nie jesteś w stanie wyrwać sobie z serca Jacka Townsenda.

- No cóż, oczywiście, że tak. Doktor Manke mówi, że jeśli chcę kiedykolwiek dotrzeć do swojej prawdziwej tożsamości jako istoty ludzkiej, muszę być emocjonalnie szczerą nie tylko z samą sobą, ale również ze swoimi bliskimi...

Lou sięgnęła przez stół. Nie po to, żeby udusić Vicky gołymi rękami, chociaż miała szczerą ochotę. Chwyliła swoją torbę.

- Cudownie, Vicky - powiedziała, wychodząc z boksu. - Po prostu rewelacja. Mam nadzieję, że jesteś z siebie bardzo dumna. Bo jeśli masz rację i Tim stoi za tym wszystkim, to za twoją potrzebę emocjonalnej szczerości zapłaciły życiem już dwie osoby, a Jack - w tym momencie złapał ją za gardło zimny potworny strach - który jest na planie, dokąd właśnie zmierza twój mąż, może być trzecią.

- Tak mi przykro - zaszlochała Vicky. - O Boże, Lou, tak mi przykro! Ja... Zaraz. Co ty robisz?

- Vicky... - Lou siłą wyciągnęła ją z boksu. - Jedziesz ze mną. Ty i ja porozmawiamy sobie z tym uprzejmym szeryfem, który tu był wczoraj.

- O Boże! - zawołała Vicky. - Och, Lou! Nie! Jeśli Tim się zorientuje, że ja wiem... Jeśli się zorientuje, że powiedziałam. .. On mnie zabije!

Lou uśmiechnęła się, chociaż w jej oczach nie było śladu rozbawienia. - I dobrze.

- Czekają na pana na planie, panie Townsend! - zawołał ktoś, pukając w drzwi przyczepy.

Jack podniósł wzrok znad notatnika. Dziś rano zdecydował, że skoro ewidentnie nie udaje mu się powiedzieć Lou, co do niej czuje, może spróbować do niej napisać.

Jednak pisząc do pisarki, nabrał ostatecznie przekonania, że zwykła rozmowa byłaby może łatwiejsza. Miał już osiem listów - zgniecione w kulki wały się po całej podłodze przyczepy - a nie było jeszcze nawet dziesiątej rano. Wezwanie na plan sprawiło mu w zasadzie ulgę.

Wyszedł na śnieg, kilka dni temu jeszcze biały, a teraz zlepiający się w brudnoszare grudy. Pomyślał sobie, że powinien się teraz martwić o swoje życie jako takie, a nie o życie uczuciowe. Co prawda, szef straży pożarnej jako prawdopodobną przyczynę wybuchu podał wadliwą instalację elektryczną, ale Jack podejrzewał, że jedyna wadliwa instalacja tkwi w mózgu tego kogoś, kto usiłował go zabić.

Funkcjonariusz policji o chłopięcej twarzy nie odstępował go teraz na krok. Może powinien być wdzięczny za ochronę, zważywszy, przez co przeszedł w ciągu ostatnich dni.

Ale jakoś wcale mu się to nie podobało.

Och, posterunkowy Mitchell był bardzo sympatyczny. Z uśmiechem wędrował za Jackiem po przemarzniętym planie w stronę wylotu szybu kopalni, gdzie przygotowywano się do kręcenia ostatniej sceny. Tylko że te zamachy na jego życie zaczynały już Jacka wkurzać. A gdyby faktycznie był w swoim pokoju, kiedy nastąpił wybuch? I co ważniejsze, gdyby Lou była tam razem z nim? Chciał rozpocząć z nią nowe życie, stała mu się autentycznie bliska i nie miał teraz zamiaru dać się rozerwać na strzępki. Postanowił, że musi coś z tym zrobić. I to szybko.

Tymczasem jednak miał film do nakręcenia. Tim Lord siedział rozparty na swoim reżyserskim krzeselku i wydawał Paulowi Thompkinsowi ostatnie instrukcje. Jack pomyślał z niemalą satysfakcją że po raz ostatni będzie musiał stanąć przed kamerą. Coś w tej świadomości pachniało wyzwoleniem.

- Ach, Jack! - Tim Lord przekazał Paulowi plik kartek, a potem rozparł się wygodniej na krześle. - Gotów?

- Bardziej się nie da - odparł Jack.

- Świetnie. - Tim rzucił szybkie spojrzenie na posterunkowego Mitchella i uśmiechnął się nieznacznie.

Ostatnia scena *Gliniarza zabójcy* rozgrywała się u wylotu szybu. Ekipa od efektów specjalnych miała go wysadzić w powietrze. Śnieg przed szybem został starannie zamieciony, żeby wyglądał jak świeży puch. Pirotechnicy rozmieścili już ładunki. Wszystko było gotowe.

Jack miał tylko wybiec z otworu szybu, a potem zanurkować w śnieg - w którym ukryto piankowy materac, żeby nie lądowało się za twardo. Zdjęcia samej eksplozji za plecami Jacka zostaną później domontowane cyfrowo.

- A więc, czego od ciebie oczekuję - powiedział Tim, kiedy kamerzyści i dźwiękowcy krzżeli się koło nich. Ich oddechy zamarzały na dwunastostopniowym mrozie, a ich miny wskazywały, że woleliby się znajdować gdziekolwiek, byle nie tutaj. - Wejdiesz do kopalni, a potem, kiedy dam znak, wybiegniesz i skoczysz w śnieg, tak jak to próbowaliśmy na początku tygodnia. Pamiętasz?

- Pamiętam. - Jack zmrużonymi oczyma przyglądał się wylotowi szybu. Było tam ciemno. Bardzo ciemno. I wcale nie był tym zachwycony.

- No właśnie, jedziemy dokładnie tak jak na próbie - powiedział Tim. - Tylko że tym razem, oczywiście, kręcimy. Biegniesz i skaczesz.

- Biegnę i skaczę? - powtórzył Jack.

- Właśnie - powiedział Tim. - I pamiętaj, tuż za tobą górę rozrywa potężna eksplozja. Nie teraz, oczywiście - dodał, rzucając okiem na posterunkowego Mitchella, który patrzył osłupiały na całą tę krzątanie, ponieważ nigdy przedtem, jak poinformował Jacka, nie znalazł się na planie prawdziwego hollywoodzkiego filmu. - Ale to wstawimy potem. A więc, Jack? Jesteś przerażony.

- Jasne. Przerażony. - Jack przypomniał sobie próby, kiedy wybiegał z szybu kopalni i rzucał się w śnieg. Zrobił to pięć czy sześć razy. Nawet po ciemku mogliby kręcić tę scenę.

- Właśnie. Ale jednak nie za bardzo przerażony. Bo Pete Logan nie może się zanadto bać.

- Nie może - zgodził się Jack. - Absolutnie nie. - A potem zmrużył oczy i powiedział: - Więc naprawdę chcesz to zrobić. Wysadzisz kopalnię.

Tim uniósł megafon i zawołał do jednego z charakteryzatorów planu:

- Ten śnieg po prawej nie wygląda dość świeżo. Popraw to, dobra?

Technik posłusznie spryskał szare grudy specjalną farbą, która miała imitować dziewiczą biel świeżo spadłego śniegu. Do Jacka Tim powiedział:

- Tak, oczywiście, że mam zamiar wysadzić kopalnię. Studio wywaliło takie kwoty na ochronę ryb i dzikiej zwierzyny, żebyśmy mogli tutaj kręcić zdjęcia, że rząd Alaski powinien mi pozwolić wysadzić w powietrze całą cholerną stolicę stanu. Na pewno nie będzie im

przeszkadzał brak jednej głównianej małej kopalni.

Jack zagryzł dolną wargę. Nie nosił czapki - kostium jej nie przewidywał. Detektyw Pete Logan w życiu nie włożyłby czapki. Ale Jacka uszy już zaczynały piec z zimna.

- A co z lisami arktycznymi? - spytał Jack.

- Pieprzyć lisy arktyczne - odparł Tim.

Jack wiedział aż za dobrze, że właśnie tak się rozmawia z Timem, kiedy w pobliżu nie ma kobiet. Pieprzyć to, chrzanić tamto. Aktorom nawet się podobało, że Tim jest taki naturalny i taki z niego równy gość. Bo niektórzy inni reżyserzy byli nieznośnie pretensjonalni.

Jack też raczej nie unikał przekleństw, ale tym razem nie spodobały mu się słowa Tima. A najbardziej nie podobało mu się to, że Tim zupełnie zlekceważył prośbę Lou. Jack wiedział doskonale, że miała dar przekonywania. Więc jakim cudem jej wstawiennictwo za lisami arktycznymi nie dało żadnego rezultatu? Jack nie potrafił tego pojąć.

Tim zamierzał wykonać swój plan i wysadzić w powietrze starą kopalnię. Od dawna była nieużywana, ale podobno żyły tam lisy. Jack ich nie widział, chociaż był w środku kilka razy, nie widział też żadnych śladów. Może uciekły albo schowały się głębiej, spłoszone hałasem i całym zamieszaniem.

W każdym razie to było nie w porządku. To znaczy, zniszczenie ich naturalnego otoczenia. Jack bynajmniej nie darzył arktycznych lisów jakimś szczególnym uczuciem. W gruncie rzeczy niewiele go obchodziły.

I z całą pewnością nie należał do tych wariatów, którzy lubią się przykuć łańcuchem do drzewa.

Ale Lou to obchodziło. Lou zadała sobie trud i przyleciała aż na Alaskę po to, żeby odwieść Tima Lorda od tego pomysłu. A ten facet olewał ją jakby była...

No cóż, niczym.

I dlatego Jack powiedział teraz:

- Nie.

Tim patrzył przez wizjer kamery. Nawet nie spojrzał w stronę Jacka.

- Co „nie”? - zapytał. - Nie martw się, materac jest ułożony. Wiem, że w zeszłym tygodniu przesunęli go trochę, ale już poprawiliśmy. Teraz będzie jak trzeba.

- Nie - powtórzył Jack. - Nie mam zamiaru tego robić. Teraz Tim popatrzył na niego. Spojrzał, roześmiał się i stwierdził:

- Bardzo śmieszne, Townsend. A teraz daj spokój. Mamy dobre światło, nie chcę go stracić.

- Może nie wyraziłem się jasno. Powiedziałem, nie. Nie zrobię tego.

Cały ruch, całe zamieszanie na planie ucichło nagle. Pięćdziesięcioro ludzi, od faceta, który siedział na szczycie dźwigu ponad ich głowami, do dźwiękowców kucających w śniegu poniżej, gwałtownie odwróciło się, żeby popatrzeć na to zjawisko. Aktor sprzeciwia się Timowi Lordowi! Nieprawdopodobne! Nawet Melanie Dupre, która już stała na swoim miejscu, miała osłupiałą minę... A przecież udawała, że w ogóle Jacka nie zna.

Tim, oczywiście, przywykł do awantur. Znał takie aktorki jak Melanie, która raz zamknęła się w przyczepie i odmówiła wyjścia na plan, dopóki nie dostarczą jej pewnej konkretnej marki wody mineralnej.

Ale ten spokojny sprzeciw był czymś nowym. Tim patrzył na Jacka tak, jakby ten popełnił jakiś ciężki nietakt albo, na przykład, zaczął kwestionować geniusz Spielberga.

- Coś ty powiedział? - Głos Tima niósł się daleko w śnieżnej ciszy.

- Powiedziałem, że tego nie zrobię. - Jack nagle poczuł się tym wszystkim znudzony. Zniesmaczony, doprawdy. Jak Vicky mogła wyjść za takiego klauna! - Nie będę brał udziału w zniszczeniu tego pięknego...

Zastanawiał się, czy nie posuwa się za daleko. Porzucona kopalnia daleka była od jakiegokolwiek urody. Raczej stanowiła skazę w krajobrazie, a niewykluczone, że i zagrożenie dla miejscowych, zwłaszcza dla dzieciarni, którą na pewno kusily tajemnicze korytarze.

Jednak dokończył:

- ... fragmentu amerykańskiej historii.

I proszę, jakoś to powiedział. A kiedy skończył, poczuł się lepiej. Może trochę przesadził z tym pięknym fragmentem historii, ale cała reszta się zgadzała.

Tim Lord wyglądał na tak wściekłego, jakby za moment miał zacząć pluć gwoździemi. A przynajmniej przywalić swoim porsche w tył czyjegoś miniwana.

- Townsend - wycedził - to, że spróbowałeś przez chwilę, jak się reżyseruje filmy, nie znaczy jeszcze, że masz jakiejkolwiek kwalifikacje, żeby zajmować moje miejsce na planie. Jasne, może i „Times” rozpływał się nad twoim duńskim księciem, ale ja wiem, ile zarobiłeś na tej produkcji i nie ma się czym chwalić. A co my tu dzisiaj mamy? Taa, to nie Szekspir. Więc nawet nie myśl o tym, że będziesz mi tu dzisiaj stawał okoniem. Zabieraj swoją dupę do tej kopalni i siedź tam, póki nie zaczniemy kręcić. Jasne?

Jack odparł:

- Jeśli chcesz nakręcić mnie gdziekolwiek w pobliżu tej kopalni, musisz się zgodzić, że nie wysadzisz jej w powietrze. Jasne?

Tim zacisnął zęby. Nosił brodę, krótką i siwą, taką raczej kozią bródkę. Ale i tak,

kiedy zaciskał zęby, wyglądał groźnie.. . Trochę jak podstarzały Robin Hood.

- Zawsze musisz postawić na swoim, co, Townsend? - Tim pokręcił głową. - Nigdy się nie zastanawiasz nad uczuciami innych ludzi, prawda?

- Wybacz - powiedział Jack - w obecnej chwili biorę pod uwagę uczucia lisów.

- Jasne. - Tim roześmiał się gorzko.

A potem powiedział trzy słowa, których Jack nigdy w życiu nie spodziewał się usłyszeć od Tima Lorda.

- Dobrze. Jak chcesz.

Jack uniósł brwi. Nie wierzył własnym uszom.

- Słucham?

- Słyszałeś. - Tim może powiedział to raz, ale dzięki konie nie wydarzyby mu tych słów ponownie, to jedno było jasne. - A teraz włącz do kopalni.

Jack, zaskoczony, że tak łatwo mu poszło, powtórzył jeszcze:

- Mówiłem serio, Tim. Wysadź tę kopalnię, a wezmę to osobiście. Cholernie osobiście.

- Jack... Po prostu wejdź już tam. Dobra?

I na tym się skończyło. Jack zdał sobie sprawę, że to koniec. Była to ostatnia scena filmu - możliwe, że ostatniego filmu z jego udziałem. Potem będzie miał spokój. Na dobre.

Odwrócił się, przyjrzał ciemnemu otworowi szybu. Zasalutował posterunkowemu Mitchellowi, który uśmiechnął się do niego zachęcająco całą gębą. Potem ruszył w długi spacer po zamiecionym, pomalowanym śniegu w stronę zbocza, gdzie znajdowało się wejście do szybu.

A potem, obrzuciwszy długim spojrzeniem Tima Lorda i wszystkich zgromadzonych, wszedł do kopalni.

Słyszał, jak w dole Tim Lord mówi przez megafon:

- Dobra, słuchajcie, teraz pełna gotowość. Na miejsca. Wszyscy na miejsca. Jack? Wszystko w porządku? A więc... akcja!

- Ten grat nie może jechać szybciej? - dopytywała się Lou, podskakując na przednim siedzeniu samochodu szeryfa, ściśnięta między nim a jego zastępcą, Lippincottem.

- Może - odparł O'Malley, ostrożnie pokonując ostry zakręt na drodze. - Aleja nie zamierzam runąć w przepaść. To nie pomoże pani przyjacielowi i z całą pewnością nie pomoże też nikomu z nas.

- Chodzi tylko o to - powiedziała Lou, nie pierwszy raz podczas ostatniej godziny czując się tak, jakby przemawiała do grupki przedszkolaków - że tam może zginąć człowiek, jeśli się nie pośpieszymy.

- Ja to wszystko rozumiem - powiedział szeryf O'Malley. - Zrozumiałem za pierwszym razem, kiedy mi to pani mówiła.

- No cóż, to może jednak pan się trochę pośpieszy... Przy słowie „trochę” samochód przejechał przez głęboki dół w szosie, przez co wszyscy pasażerowie tylnego siedzenia - Vicky Lord, ojciec Lou i matka Jacka - znaleźli się na moment w powietrzu. Kiedy z powrotem wylądowali na siedzeniu, piesek pani Townsend, którego chyba zbyt mocno ścisnęła, zapiszczał.

- O moje małe biedactwo - powiedziała Eleonora Townsend, zanurzając twarz w jego sierści. - Już się nie bój. Nic złego się nie stanie.

Lou nie była pewna, czy ta kobieta uspokaja psa czy samą siebie. Za to intencje jej ojca były jasne: usiłował uspokoić wszystkich.

- Lou, nie wpadaj w panikę - powiedział. Powtarzał to, odkąd wsiedli do prywatnego samolotu, który Eleonora wynajęła, żeby jak najszybciej dostać się do Myry. - Jack to dorosły chłopak. Potrafi o siebie zadbać.

- Kiedy na prawo i lewo wybuchają bomby i czyhają na niego bandyci? Nie wydaje mi się, tato.

- Ja tylko nie rozumiem - powiedziała Eleonora po raz chyba setny - co ten Tim Lord ma przeciwko Jackowi.

Lou uznała za stosowne pominąć pewne szczegóły historii, którą spiesznie opowiedziała ojcu i matce Jacka. Przedstawiła sprawę w ogólnym zarysie - że Tim Lord chciał śmierci Jacka i że Jack pojechał właśnie na plan - plan, gdzie komórki nie miały zasięgu, a gdzie Tim Lord planował potężny wybuch. Lou uznała, że prawda prędzej czy później i tak wyjdzie na jaw. Cały świat się w końcu dowie.

- Nie rozumiesz? - Lou spytała ojca, kiedy ten wyraził wątpliwość, co do skuteczności

wysadzania w powietrze szybu kopalni z Jackiem Townsendem w środku. - Każdy uzna, że to wypadek. Jeden z wielu. Nikt nigdy nie będzie podejrzewał, że coś się za tym kryło.

Frank Calabrese nie całkiem dał się przekonać, ale gwałtowna reakcja córki zaniepokoiła go na tyle, że postanowił towarzyszyć jej do Myry. Trzeba przyznać, że po przyjeździe do biura szeryfa w Myrze ojciec Lou pozbył się sporej części sceptycyzmu. To dlatego, że kiedy Lou pośpiesznie wyluszczała swoje dowody w tej sprawie, szeryf wcale nie miał zaskoczonej miny. Rzucił tylko pytające spojrzenie swojemu zastępcy i spytał go:

- Pasuje ci taka wersja? Tim Lord jako ten nasz zleceniodawca?

Bo rewolwery, które oddała im Lou, doprowadziły policję do dwóch mieszkańców Myry - recydywistów, jak określił ich szeryf - którzy zaginęli kilka dni temu. Ich koledzy zostali doprowadzeni na przesłuchanie i pod pewnym naciskiem przyznali, że jakiś mężczyzna zapłacił im po pięć tysięcy dolarów za zabicie Jacka Townsenda.

- Pięć tysięcy dolarów? - Lou była oburzona. - Tylko tyle?

- No cóż - powiedział szeryf. - Pięć tysięcy na głowę. A podejrzewamy, że wynajęto z siedmiu czy ośmiu, nie licząc starego Sama Kowalskiego. Nie skończyliśmy jeszcze ich namierzać, ale powinniśmy mieć wszystkich do końca tygodnia. To znaczy, poza tym jednym, którego pani zabiła.

Chociaż szeryf nie podważał wersji Lou, nikt chyba nie chciał uwierzyć, że morderstwo zlecił Tim Lord, zdobywca Oscara za reżyserię. Jak reżyser *Hindenbarga* — poruszającego obrazu triumfu ludzkiego ducha - mógł dopuścić się zbrodni?

Lou usiłowała zmusić Vicky do dokładniejszych wyjaśnień, ale Vicky zrobiła to jakoś bez przekonania. I z całą pewnością nie przekonała pani Townsend.

- Ale to przecież śmieszne! - zawołała Eleonora. - Pan Lord miałby chcieć zabić Jacka tylko dlatego, że jego żona mówi, że jeszcze go kocha? Doprawdy, to nic takiego. Wiele zameżnych kobiet wdycha do innych mężczyzn, a ich mężowie jakoś nie usiłują wszystkich wokoło mordować!

Tak, ale tu szło o Hollywood, w którym Tim Lord był praktycznie niekoronowany m królem. I nie do pomyślenia było, żeby serce królowej należało do innego. Tacy już byli reżyserzy. Musieli być najważniejsi. I musieli wszystko kontrolować.

Szeryf O'Malley nie zapalił się do pomysłu przetransportowania całej czwórki na plan filmowy. Wyjaśniał Frankowi, rozmawiając z nim jak gliniarz z gliniarzem, że lepiej byłoby przywieźć na przesłuchanie samego podejrzanego.

Ale Lou nie miała zamiaru czekać w dusznym biurze szeryfa, aż potężna eksplozja rozerwie Jacka na kawałki...

Jak się okazało, jej ojciec, pani Townsend i Vicky też nie mieli takiego zamiaru. Wszyscy wgramolili się na tylne siedzenie samochodu O'Malleya i odmówili opuszczenia pojazdu.

Szeryf miał okazję docenić towarzystwo Lou, kiedy zagroziła im drogę asystentka reżysera ze słuchawkami na uszach. Postukała w okno od strony kierowcy i rzuciła:

- Sorry. Nie ma wjazdu na plan. Musicie zawrócić. Szeryf O'Malley już wyjmował odznakę, kiedy Lou przechyliła się i wrzasnęła:

- Z drogi mi tu, zanim cię przejadę!

Asystentka cofnęła się z pośpiechem, a Lou postawiła stopę na stopie szeryfa...

Nie bardzo mu się podobał ten gest, chociaż musiał przyznać, że rozpędziła mu samochód do setki znacznie szybciej, niż zrobiłby to sam.

- Panno Calabrese - zaprotestował, kiedy wreszcie się zatrzymali. - Ja znam swój zawód. Naprawdę nie trzeba...

Ale Lou już wyskoczyła z samochodu.

I puściła się biegiem.

Nie była odpowiednio ubrana na te mrozy, bo schodząc na śniadanie, nie zakładała, że za godzinę będzie z powrotem na górze McKinley.

Tymczasem właśnie tu się znalazła, w sukience i butach na obcasach od Jimmy Choo. Biegła po brudnym, udeptanym śniegu między przyczepami kempingowymi, lodowaty wiatr kłuł ją w płucach, a wszystkie odkryte fragmenty skóry aż parzyły. Ale prawie tego nie zauważała. Zauważyła za to tłum ludzi wpatrujących się w wylot starego szybu kopalni. I świeże ślady prowadzące do ciemnego otworu. Widziała, że nikt tam nie stoi, ale słyszała wyraźnie głos Tima Lorda, który przez megafon wykrzyczał jedno słowo. Słowo, które zmroziło jej krew w żyłach.

- Akcja!

Lou wrzasnęła tak przeraźliwie, że jeśli na zboczu góry leżał jakiś niezwiązany z podłożem śnieg, to natychmiast powinien lawiną runąć im na głowy. Jak na razie nic takiego się nie stało. Tylko wszyscy obecni na planie, od dziewczyny z kłapsem do zaopatrzeniowca, zaczęli się na nią gapić...

...włącznie z Timem Lordem, którego wąska, lisa twarz pałała wściekłością.

- Stop! - zawołał z niesmakiem, kiedy dostrzegł, kto ośmiela się psuć mu ujęcie. Potem opuścił megafon i powiedział:

- Lou, powinienem był się spodziewać. Nie sądzisz, że trochę za daleko się posuwasz z tym poparciem dla głupich obrońców zwierząt? Nie wydaje mi się, żeby studio miało to

docenić. Kiedy usłyszą, że... Hej, a dokąd ty się wybierasz? Nie możesz... Zatrzymajcie ją! Niech ktoś ją zatrzyma!

Ale było za późno. Lou już minęła krzesło reżysera i w swoich nieszczęsnych butach drapała się na górę, wrzeszcząc z całej siły:

- Jack, wyłaź stamtąd! To pułapka! Tim chce cię zabić! Za sobą usłyszała krzyk ojca. Nie tylko zresztą ojca, ale i Tima Lorda, i, nie wiadomo czemu, Melanie Dupre. Na planie zapanował chaos. Słychać było, jak szeryf nawołuje do porządku. Alessandro szczekał piskliwie.

Ale Lou była zajęta wyłącznie wspinaczką do wylotu szybu. Musi bezpiecznie i szybko wydostać stamtąd Jacka, zanim Tim zdąży nacisnąć guzik, który wysadzi w powietrze całą kopalnię.

Wreszcie dotarła do otworu i wpadła do środka, myśląc szybko: „Tu jest za zimno dla pajaków... o wiele za zimno dla pajaków”. Ale nie znalazła Jacka. Wylot korytarza był pusty. Stało tam tylko parę starych skrzyń. Ani śladu Jacka. Nigdzie go nie widziała.

- Jack! - zawołała schrypniętym głosem w głąb kopalni. - Jack, jesteś tam? To ja, Lou!

Usłyszała jego odpowiedź, ale wcale nie z głębi szybu. Wołał japo imieniu z zewnątrz, gdzieś z daleka.

I zawołał coś bardzo dziwnego. Lou nie była pewna, ale wydawało jej się, że Jack krzyczy:

- Nie ruszaj się z miejsca!

- Jack? - Uśmiechnęła się z ulgą. A więc żył. Nie spóźniła się. - Jack? Gdzie jesteś?

Odwróciła się i skierowała do wyjścia, usiłując odgadnąć, skąd dobiega głos Jacka.

A kiedy już wychodziła z szybu, zaczepiła o coś nogą o drut. Zaplątał jej się wokół kostki i zrobił dziurę w rajstopach.

- Ciężka cholera - powiedziała, próbując wyrwać nogę z drutu...

I wtedy usłyszała przerażone: „Nie!” I natychmiast zrozumiała, co zrobiła.

Objęła rękoma głowę i czekała, kiedy góra McKinley runie.

Ale nie runęła. Nie wtedy. Runął za to Jack Townsend, przewracając ją z taką siłą, że zaparło jej dech w piersiach. A potem oboje poturlali się po twardym śniegu...

Dopiero wtedy za nimi buchnęła czerwono - żółta kula ognia, przysypując ich lawiną skalnych odłamków i drewna.

Eksplozja była ogłuszająca. Wszystko spowił gęsty czarny dym. Przez kilka minut Lou nie widziała nic, tylko ciemność. Nawet nie była pewna, czy żyje. Nic nie widziała, nic nie słyszała, nic nie czuła...

A potem ciemności ustąpiły i Lou zdała sobie sprawę z innego doznania. Coś przygniatało ją do ziemi. To nie ze względu na dym nie mogła oddychać. To ze względu na ten wielki ciężar. ..

A potem ciężar zniknął i zaczęły do niej docierać niewyraźne głosy. A kiedy otarła z oczu kurz i pył i wreszcie znów coś zobaczyła - jasnoniebieskie niebo nad głową jeszcze nigdy nie wyglądało tak pięknie - dostrzegła twarze, znajome twarze. Wszyscy patrzyli na nią i mówili coś... Niewiele słyszała, bo wciąż jeszcze dzwoniło jej w uszach.

A potem, powoli, zaczęła rozpoznawać twarz i rozróżniać słowa. Jej ojciec miał przerażoną minę. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie, chyba tylko wtedy, kiedy mama umarła. Obok stała Eleonora Townsend. Płakała. Szeryf O'Malley wrzeszczał na kogoś leżącego na ziemi.

Ale nie na nią. Szeryf O'Malley patrzył w dół i wrzeszczał, ale nie na nią krzyczał, bo ona już nie leżała na ziemi. Właśnie teraz jej tata i Paul Thompkins, asystent reżysera, usiłowali podnieść ją na nogi. Spróbowała stanąć o własnych siłach, ale jedna stopa odmówiła posłuszeństwa.

I wtedy zobaczyła Jacka.

Leżał na plecach w śniegu. Całą twarz miał pokrytą czarnymi sadzami. Tak samo zamszą kurtkę. Nie ruszał się. Oczy miał zamknięte. Szeryf O'Malley klęczał obok niego i wrzeszczał.

- Jack! Jack, ocknij się. No dalej, Jack!

I nagle Lou czołgała się przez śnieg w stronę nieruchomego ciała, a łzy leciały jej po twarzy.

- Jack - szepnęła. A może wykrzyczała. - Jack? - Dotarła do niego, dotknęła jego twarzy. Była zimna. Boże, jaka zimna. - Jack?

Popatrzyła na jego pierś. Podnosiła się i opadała, ale powoli - och, jak bardzo powoli.

Umierał. Była tego pewna. Zostawiał ją, opuszczał na zawsze, kiedy dopiero co się odnaleźli.

A wtedy Tim Lord - Tim Lord, ten bydlak, ten kłamliwy, podły drań - stanął obok, pochylił się nad Jackiem i zawołał:

- Jack! Jack, to ja, Tim! Jack, daj spokój, nie możesz nam tego zrobić, stary! Nie możesz umrzeć. Nie możesz.

Nagle ramię Jacka wystrzeliło w górę, a jego dłoń zacisnęła się na kołnierzu Tima Lorda.

Jack otworzył oczy i wychrypiał:

- Nie mam zamiaru umierać, ty obłudny dupku. I z całej siły walnął Tima pięścią w twarz.

Lou, podobnie jak reszta zgromadzonych, odsunęła się, żeby nie oberwać przy okazji. Tim Lord próbował się bronić, ale bez powodzenia. Jack, który trenował miesiącami, przygotowując się do roli, nie dał mu żadnych szans.

Wszyscy stali jak sparaliżowani, kiedy sprzedawał Timowi cios za ciosem, w głowę, w klatkę piersiową, w brzuch. Przypominało to walkę bokserską, w której jeden z zawodników zrezygnował jeszcze przed pierwszym gongiem. Lou nie miała żadnych wątpliwości, że gdyby jej ojciec nie zakończył tej bójki, odciągając Jacka, mieliby zaraz do czynienia z martwym zdobywcą Oscara za reżyserię.

Tim przewrócił się w śnieg - pokryty obecnie nie tylko odłamkami góry McKinley, ale i krwią Jacka — zawołał histerycznie:

- Dlaczego wreszcie nie zdechniesz? Miałeś zginąć! Miałeś zginąć już cztery dni temu! Dlaczego wreszcie nie zdechniesz?

Jack strząsnął z siebie rękę Franka i odparł:

- Bo mam zbyt ważny powód, żeby żyć. - A potem odwrócił się do Lou i spytał: - Nic ci nie jest?

Lou nie czuła już zimna ani lodu pod kolanami. Ogrzał ją na wskroś blask oczu Jacka.

- Nic mi nie jest - odparła. - Ale skąd... Skąd ty wiedziałeś? Skąd się tu wziąłeś?

Jack wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że on coś kombinuje - powiedział, patrząc z obrzydzeniem w stronę Tima. - Tak strasznie mu zależało, żeby wszedł do kopalni. A im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem pewien... No cóż, komu mogło zależeć, żeby Vicky nie poleciała wtedy z nami? I jeszcze coś, co mi powiedział... że nigdy nie zwracam uwagi na uczucia innych ludzi.

Oderwał oczy od Lou. Patrzył teraz na Vicky, która wielkimi oczami wpatrywała się

w męża, zupełnie jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- No cóż, nieważne - ciągnął Jack. - Wtedy zrozumiałem, że to Tim. Zobaczyłem ten drut, o który miałem się potknąć, kiedy wszedłem do kopalni... czegoś takiego się spodziewałem. A potem wyszedłem bocznym szybem - ta strona góry jest nimi gęsto podziurawiona. Chciałem się przekonać, czy on sam zechce mnie poszukać, kiedy nie zejść na dół. Gdyby przeszedł ponad drutem. .. wiedziałbym, że to on.

A potem Jack dotknął palcami jej policzka.

- Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałem się tam zobaczyć. Coś ty sobie myślała?

Dopiero kiedy Jack odjął palec od jej policzka i Lou zobaczyła na tym palcu czystą plamkę, zrozumiała, że płacze. Zawstydzona ocierała łzy grzbietem dłoni.

- Vicky przyznała mi się dziś rano. Przyjechałam tu natychmiast. Chciałam dzwonić...

- Brak przekazników — powiedział Jack ze smutkiem.

- No właśnie. - Oczy Lou pełne były miłości i łez. - Myślałam, że się spóźniłam... A kiedy zobaczyłam, że tam leżysz, pomyślałam... Pomyślałam, że nie żyjesz.

- Nie mam najmniejszego zamiaru umierać - zapewnił. - Dopiero zaczyna się robić fajnie.

Uśmiechnęli się do siebie. Lou wpatrywała się w niego tak intensywnie, że ledwie zauważyła, że zastępca szeryfa Lippincott zatrzaskuje kajdanki na nadgarstkach Tima Lorda, a potem dźwiga go na nogi. Ledwie dostrzegła ojca, który objął ramieniem Eleonorę Townsend, szlochającą ze szczęścia w złote futerko Alessandra. Ledwie do niej dotarło, że Melanie Dupre odeszła zamaszystym krokiem, mrużąc:

- Mam tego dosyć. Zrywam kontrakt!

I chociaż zauważyła, że Vicky Lord szłocha bez opamiętania w gors koszuli szeryfa O'Malleya, nie poświęciła temu wiele uwagi ani temu, że szeryf nieśmiało głaskał Vicky po głowie.

- Nie masz ochoty pójść sobie stąd? - spytał Jack.

- Jasne - powiedziała. - Tylko że... chyba coś mi się stało w nogę.

- Żaden problem.

I zanim się zorientowała, co się dzieje, Jack wziął ją na ręce.

A potem, jak Richard Gere w filmie *Oficer i dżentelmen*, poniósł ją w dal. Naprawdę, jedyna różnica polegała na tym, że Jack Townsend był o wiele wyższy niż Richard Gere...

... i nie powiedział, że ją kocha.

Lou miała złamaną kostkę. W dwóch miejscach, jak wykazało prześwietlenie. Będzie musiała nosić gips przez sześć tygodni, a potem na następne cztery awansuje do piankowego opatrunku.

Jak to się dzieje, zastanawiała się w gabinecie zabiegowym szpitala w Anchorage, że bohaterki filmów - te, które narażają życie, żeby ratować innych - zawsze wychodzą z opresji najwyżej z siniakiem czy dwoma, gdy tymczasem w prawdziwym życiu, jak Lou, kończą ze skomplikowanymi złamaniami piszczeli, unieruchomione w gipsie na długie tygodnie. Muszą kuśtykać jak Sigourney Weaver w *Pracującej dziewczynie*. A przecież to wcale nie była sympatyczna postać.

Oczywiście, brak podobieństwa Lou do bohaterki filmu nie kończył się na tym złamaniu. Nie, ona też nie dostała faceta. A w filmach dziewczyny zawsze na koniec dostają faceta.

Ale nie ona, jasne.

Och, Jack zaniósł ją do samochodu szeryfa O'Malleya. Siedział obok niej, kiedy jechali na małe lądowisko, i trzymał za rękę przez cały lot do Anchorage. Poszedł z nią na izbę przyjęć. Natychmiast został otoczony przez pacjentów czekających na badanie, którzy upewniali się, czy mają przyjemność z doktorem Paulem Rourke i czy zechciałby rzucić okiem na ich wysypkę...

I wtedy Lou Calabrese widziała Jacka Townsenda po raz ostatni, bo potem zabrano ją do gabinetu zabiegowego, gdzie nie wolno było wchodzić osobom towarzyszącym.

Teraz czekała na założenie gipsu. Leżała sobie na kozetce w gabinecie, wyglądając przed okno. Znow zaczął padać śnieg, ale nie przesłonił widoku na górę McKinley, która wznosiła się majestatycznie za supermarketem po drugiej stronie drogi. Chyba milion lat minęło od chwil, kiedy błąkała się po zalesionych zboczach z Jackiem Townsendem., Poniekąd nawet żałowała, że nie są teraz w domku Donalda. Tam przynajmniej nie była narażona na pułapki z drutu i potężne eksplozje.

Kto by pomyślał, że Tim Lord oszaleje z zazdrości i zapragnie uśmiercić byłego faceta swojej żony? Na pewno nie Lou. Lou przez parę lat uważała, że małżeństwo Tima i Vicky jest idealnie szczęśliwe.

I proszę, wyszło szydło z worka.

Ubolewała właśnie nad swoim ewidentnym brakiem intuicji, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Puls jej nagle przyspieszył na myśl, że Jack wreszcie wrócił - ale wiedząc w głębi

ducha, że to nie jego sposób pukania - zawołała:

- Proszę!

Zdziwiła się niezmiernie, kiedy do gabinetu weszła Vicky Lord. Błada, chuda i zmięta, niczym zużyta chusteczka higieniczna.

- Lou - powiedziała słabo.

Lou gapiała się na swoją przyjaciółkę. Nie mogła przestać. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby Vicky wyglądała tak... staro.

- Vicky! Dobrze się czujesz?

- Przyszłam, żeby ciebie o to samo spytać — powiedziała Vicky. A potem nagle skrzywiła się z rozpaczą i rzuciła na Lou, obejmując ją ramionami i przy okazji urażając jej kostkę.

- Och, Lou, Lou! - szlochała Vicky. - Tak mi przykro! Czy mi kiedyś wybaczysz?

- Ale co? - zapytała Lou. Nie bardzo mogła się skupić, bo fale bólu przeszywały jej nogę od góry do dołu. Ale nagle załapała: - Vicky, ty nic nie zrobiłaś. To nie twoja wina.

- Owszem! - zawołała Vicky. - Gdybym tylko siedziała cicho... Gdybym się tylko zastanowiła, zanim coś powiem. Nie powinnam była nic wspominać Timowi o Jacku. Nawet nie wiem już, czy to była prawda. Że ja go nadal kocham. Bo wiesz, dzisiaj, kiedy zobaczyłam, jak przyłożył Timowi, ja... No cóż, bardziej martwiłam się o Tima niż o Jacka. A to znaczy, że bardziej mi chyba zależy na Timie niż na Jacku, prawda?

- No cóż - powiedziała Lou raczej sucho - mam nadzieję. Tim to w końcu twój mąż.

- Już niedługo - powiedziała Vicky, wypuszczając Lou z objęć. - Aresztowali go. Nawet nie wiem, czy Johnnie Cochran zdoła go jakoś z tego wybronić. A ja... no cóż, ja nie mogę być żoną kryminalisty. To znaczy, równie dobrze mogłabym z powrotem przenieść się na parking dla przyczep, z którego się wyrwałam, żeby dostać się do Hollywood.

- Och, Vick. Tak mi przykro.

- Nic mi nie będzie. - Vicky poczuła się chyba lepiej, bo palcami przeczesła włosy. - A poza tym, ja chyba... No cóż, nie wydaje ci się, że ten szeryf to bardzo seksowny facet?

- Vicky!

- No, nic na to nie poradzę. - Vicky wzruszyła ramionami. - Ma taki wielki... rewolwer. Nieważne, chciałam tylko sprawdzić, czy dobrze się czujesz. I powiedzieć przepraszam. A teraz już zmykam.

- Vick... - Lou wyciągnęła rękę, żeby zatrzymać przyjaciółkę. - Posłuchaj, jest coś, co... Co muszę ci powiedzieć. O mnie i... o mnie i o Jacku.

Vicky zamrugła oczami, stojąc w drzwiach.

- Och - powiedziała. - Chodzi ci o to, że spędziliście razem wczorajszą noc?

Tym razem była kolej Lou na mruganie.

- Skąd... Skąd wiedziałaś?

Vicky przewróciła ślicznymi niebieskimi oczami.

- Lou, cały hotel o tym wie. Nie byłabym zdziwiona, gdybym w przyszłym tygodniu przeczytała o tym w „Us”.

Lou zagryzła wargi.

- Czy... czy to ci przeszkadza?

- Przeszkadza? - Vicky pokręciła głową. - Lou jesteś już dużą dziewczynką, jak mi to sama powiedziałaś w hotelu. Potrafisz o siebie zadbać. Tylko... - Głos Vicky nieco przycichł.

- Proszę, zrób mi przysługę i nie pozwól sobie złamać serca, dobrze?

I bez jednego dalszego słowa Vicky wyszła z gabinetu zabiegowego - zanim Lou zdążyła zawołać za nią:

- Za późno.

Ale nie na długo została sama, bo drzwi otworzyły się znowu. Spodziewała się lekarza, który poszedł tylko przynieść trochę gipsu, a coś podejrzanie długo nie wracał. Zdziwiła się, widząc ojca wchodzącego do gabinetu na paluszkach. Za nim skradała się Eleonora Townsend z konspiracyjnym wyrazem twarzy.

- Mówią, że żadnych odwiedzin przed południem. - Frank zamknął drzwi. - Ale prześliznęliśmy się obok strażnika, kiedy Melanie Dupre odwracała jego uwagę. Najwyraźniej wpadł jej do oka kawałek góry McKinley czy coś w tym rodzaju.

- Och! - Lou spoglądała ze zdumieniem to na ojca, to na matkę Jacka. Byli rozchichotani jak para dzieciaków. - No cóż, cieszę się, że was widzę.

- Przynieśliśmy ci coś - powiedziała Eleonora i z głębi swojej torby od Gucciego wyłowiła duże pudełko czekoladek. - Twój tata mówi, że lubisz słodczy.

Lou zerknęła na pudełko. To były dobre, drogie czekoladki. Zauważyła z aprobatą, że część miała nadzieję z fistaszków w karmelu.

- Ojej, dzięki.

- To tylko mały upominek, naprawdę - powiedziała Eleonora, odrobinę zażenowana. - Przecież ryzykowałeś życie dla mojego syna. I to już parę razy. Naprawdę nie wiem, jak zdołam ci się kiedykolwiek odwdziżyć. Ale chciałabym zacząć od tego, że zapraszam cię w odwiedziny do mnie, na przykład. Wiesz, mam tam dom i byłoby mi bardzo miło, gdybyś - może z braćmi? - odwiedziła mnie tam latem i została na jakiś czas.

- Ja też jadę! - wtrącił Frank. Dopiero wtedy Lou zauważyła, że trzymali się z

Eleonorą za rękę.

Poczuła dziwne ukłucie w sercu. To nie mogła być zazdrość. Zazdrość o to, że jej ojciec odnalazł szczęście po tylu latach samotności? Niemożliwe.

Ale dlaczego dla jej ojca i matki Jacka sprawy były takie proste? Polubili się, trzymali się za rękę. Nie musieli się zamartwiać, że w następnym tygodniu jedno może rzucić drugie dla Cameron Diaz.

Nie. Lou musi wziąć się w garść. Musi nauczyć się żyć jak bohaterka filmów. Musi nauczyć się słuchać intuicji, podejmować ryzyko...

Właśnie kiedy to pomyślała, dostrzegła w torbie Eleonory Townsend spore wyrzuszenie. Po chwili wyrzuszenie znikło.

- Ehm, pani Townsend - odezwała się Lou. - Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć, ale... torba się pani rusza.

Eleonora opuściła wzrok i roześmiała się.

- Och, to tylko Alessandro. Uwierzyłybyś? Oni tu nie wpuszczają psów do szpitala! Muszę powiedzieć, że bardziej mi odpowiada europejski sposób traktowania zwierząt domowych niż amerykański. Alessandro jest naprawdę czystszy niż te dzieci, które tu biegają po korytarzach.

Lou uśmiechnęła się do niej słabo. A potem ojciec klepnął ją w ramię i powiedział:

- Dzieciaku... Zrobiłaś tam dobrą robotę. Byłem z ciebie taki dumny. Szkoda tylko, że twoja mama nie żyje i nie może tego sama zobaczyć.

Łzy zakręciły jej się w oczach. Świetnie, pomyślała. Teraz sobie popłacze. Prawdziwa bohaterka filmowa.

- Dzięki tato - powiedziała stłumionym głosem, ocierając sobie twarz rękawem.

- Och, Frank, widzisz, co narobiłeś - zaniepokoiła się Eleonora. - Dobrze się czujesz, kochanie? Dali ci jakieś lekarstwo?

Wiesz, ja znam naczelnego chirurga stanu Alaska. Chcesz, żeby do niego zadzwonić? To nie do pomyslenia, żeby cię tu trzymali i nawet ci nie dali jakiegoś ibupromu...

- Nie - odparła Lou, uśmiechając się do nich przez łzy. - Nic mi nie jest. Ja... Nie widzieliście tam gdzieś Jacka?

Eleonora i Frank wymienili spojrzenia.

- Hm - mruknęła Eleonora. - Nie, kochanie.

To było tak ewidentne kłamstwo, że Lou nawet nie próbowała im tego udowodnić. A więc widzieli Jacka, ale nie chcieli jej powiedzieć, gdzie go widzieli ani co robił.

No cóż, a czego się spodziewała? Mimo wszystko jego pogoń za Lou już się

zakończyła zwycięstwem. Zabawa się skończyła. Z róży opadły płatki. Facet zmierzał na inne, zieleńsze pastwiska.

O Boże! Czemu była takim paranoicznym dziwadłem?!

- Ojej! - Eleonora próbowała głaskaniem uspokoić swoją torbę, która zaczęła się strasznie wiercić. - Alessandrowi robi się za gorąco. Lepiej chodźmy, Frank.

- Okej. - Ojciec poklepał Lou po policzku. - Będziemy czekać przed szpitalem, kotku. Zabierzemy cię bezpiecznie do hotelu.

Jasne. Bo Jacka nie ma w okolicy, żeby się tym zajął.

Ale zdołała się jakoś uśmiechnąć i nawet pomachać im ręką. Wyszli przekonani, że nic jej nie jest.

Bo nic jej nie było. W każdym razie dojdzie do siebie. Jest twarda. Przeżyła siedemdziesiąt dwie godziny na górze McKinley. Przeżyła wybuch w kopalni. Przeżyła Bruna di Blase. Jacka Townsenda też przeżyje. Nie ma problemu.

I nagle, co za ironia losu, sam Bruno di Blase pchnął drzwi i wszedł do środka z bukietem różowych goździków, ewidentnie pochodzących ze szpitalnego sklepu.

- Puk, puk - powiedział, uśmiechając się tak szeroko, że ukazał wszystkie swoje równiutkie białe zęby. - Jak się czuje mój mały detektyw? Wiesz, w wiadomościach cały czas mówią o twoich wyczynach.

Lou patrzyła na niego bez słowa. Doprawdy, myślała, czy nie wystarczy, że złamała kostkę w dwóch miejscach, że omal jej nie zabito i została porzucona przez człowieka, którego uważała za kandydata na tego jedyne? Teraz musi jeszcze na dodatek znieść wizyty swojego byłego faceta?

- To dla ciebie - powiedział Barry, unosząc pokrywkę dzbanka z wodą, którą pielęgniarka zostawiła Lou do picia, i wstawiając kwiaty. - Wiem, że wolisz róże, ale w szpitalnym sklepiku ich nie ma. Jak się czujesz?

Lou zerknęła na swoje podarte rajstopy i groteskowo spuchniętą kostkę.

- A jak sądzisz, Barry? - spytała szorstko. - Boli mnie jak cholera.

- Och, nie o to mi chodzi - powiedział Barry z dziwnie nerwowym spojrzeniem. - Myślałem o... No wiesz... O tym, że powstrzymałaś mordercę, który działał z zimną krwią.

- Ach, więc czuję się nie tak świetnie, jak mógłbyś oczekiwać - odparła Lou sucho.

- No cóż, a powinnaś czuć się rewelacyjnie. - Barry podszedł do kozetki i usiadł, nawet nie pytając o pozwolenie. - Możesz się zakładać, że będziesz miała producentów u swoich stóp. Będą cię błagać o kontrakt. Ludzie nazywają to historią roku. Oczywiście, wiedziałaś, że to się kiedyś stanie, prawda? Jack Townsend nigdy nie umiał utrzymać go w

spodniach. To była tylko kwestia czasu. Wiadomo było, że w końcu ktoś się wkurzy i postanowi go zabić.

- Barry... - Lou była uprzejma wobec swoich poprzednich gości, dlatego że... No cóż, dlatego że ich lubiła. Wobec Barry'ego nie odczuwała podobnej słabości. - Czego ty chcesz?

Spojrzał ze zdziwieniem.

- Chcę? Chcę się upewnić, że dobrze się czujesz, oczywiście. No bo, Lou, jesteśmy nadal przyjaciółmi, prawda? Przecież to dziesięć lat. Nie da się wywalić dziesięciu lat do kosza.

- Czemu nie? - spytała Lou. - Tobie się udało.

Barry popatrzył na swoje dłonie. Widziała, co zaraz nastąpi, zanim jeszcze pojawił się na jego twarzy znany jej, skruszony wyraz. Dobry Boże, pomyślała sobie, Barry będzie przepraszał.

- Lou - powiedział. - Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć. Ale chodzi o to, że... No cóż, chyba się trochę pośpieszyłem z decyzją o przeprowadzce. Naprawdę, nie przemyślałem sobie wtedy wszystkiego. Sprawy z Gretą... No cóż, szczerze mówiąc, nie układa mi się z nią zbyt dobrze.

Lou odparła:

- Barry, jesteś z nią żonaty od czterech dni. Jak źle sprawy mogły się przez ten czas ułożyć?

- No cóż - powiedział Barry z czarującym uśmiechem. - Jestem tu z tobą a powinienem być w podróży poślubnej. Jeśli to jakaś wskazówka.

Lou zamrugała oczami. I wtedy się zorientowała, że już po wszystkim. To znaczy, zniknęła gdzieś jej wrogość wobec niego. Zniknęła, a zastąpiło ją uczucie tolerancji... Podobne do tego, jakie czuła wobec swoich braci, chociaż pozbawione sympatii.

- Chyba nie dałeś Grecie szansy, Barry.

- Owszem, dałem. - Barry wstał szybko, trącając ją w nogę, i wywołując kolejną falę bólu. - Nie wiem, co mi odbiło, kiedy cię dla niej zostawiłem! Ona w niczym ciebie nie przypomina, Lou. Myśli tylko o sobie. Wiecznie Greta to, Greta tamto, Greta owo. Nigdy nie myśli o mnie. Ty, Lou, ty zawsze o mnie myślałaś. Napisałaś dla mnie *Hindenburga*. To chyba największy prezent, jaki kiedykolwiek mężczyzna otrzymał od kobiety. A ja, jak głupiec, przyjąłem prezent, ale popełniłem niewybaczalną pomyłkę - odrzuciłem ofiarodawczynię. - Barry złapał ją za rękę. - Lou, czy zdołasz mi kiedykolwiek wybaczyć moją głupotę?

- Taa - powiedziała Lou, dostając zęza z bólu. - Co tylko chcesz. Słuchaj, mógłbyś

zawołać jakąś pielęgniarkę? Ta noga naprawdę...

- Mówisz serio, Lou? - zawołał Barry, tuląc jej dłoń do piersi. - Och, Lou, jeśli tylko zgodzisz się przyjąć mnie z powrotem, to naprawdę będzie najważniejsza chwila w moim życiu. Mogłabyś pracować nad scenariuszem Pompejów i wszystko byłoby tak, jak wtedy...

- Czekaj - przystopowała go. - O czym ty...?

- Wiedziałem, że mi wybaczysz! - Barry pochylił się, jakby chciał ją pocałować...

A Lou, z reflekssem, o jaki nigdy się nie podejrzewała, złapała dzbanek pełen goździków i wylała mu wodę na głowę.

W tej samej chwili drzwi gabinetu otworzyły się, a do środka wszedł Jack Townsend z naręczem przynajmniej pięćdziesięciu różowych róż.

- Cześć - powiedział, przenosząc błękitne spojrzenie z Lou na Barry'go, który ociekał wodą przystrojony goździkami i miał okropnie głupią minę. - Przeszkadzam?

- Nie - powiedziała Lou.

- Tak! - warknął Barry.

Jack podszedł do stalowego stolika w kącie i położył na nim kwiaty.

- Przepraszam, że tyle mnie nie było. Wiesz, jak ciężko dostać przyzwoite róże w tym mieście?

Lou, patrząc to na stos kwiatów, to na niego, poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Och, świetnie. Znow się popłacze.

- Są piękne - powiedziała. - Dziękuję.

- To twoje ulubione, prawda? - Popatrzył na Barry'ego, który właśnie zdejmował mokre goździki z gorsu koszuli.

- Hm, Barry? - powiedział. - Jak sądzisz, czy mógłbyś zostawić nas na chwilę samych?

Dopiero w tym momencie Barry dostrzegł związek między obecnością Jacka, różami i radosnym rumieńcem na policzkach Lou. Sam oblał się brzydkim odcieniem czerwieni i wyrzucił z siebie:

- Och, świetnie. Cudownie, Lou. Zesłaś się z nim? Czyś ty oszalała? Złamał serca wszystkim kobietom w Hollywood. No, spytaj tylko Gretę.

Lou nawet nie musiała odpowiadać, bo Jack zrobił to za nią.

- Ty! - powiedział, podnosząc rękę i mierzając palcem w Barry'ego. Kłykcie, miał rozbite i zakrwawione po bójce. - Wynocha stąd!

Barry szybko cofnął się o krok. A potem, patrząc z ukosa na Lou, syknął:

- Świetnie. Świetnie. Wychodzę. Ale ty, Lou, robisz straszny błąd.

A potem obrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Jack powiedział:

- On ma rację.

Przyjrzała się jego poranionej dłoni.

- Ktoś ci to powinien oczyścić.

- Nie żartuję. - Jack przysunął sobie stołek do kozetki Lou. - Nie byłem do tej pory nigdy... no wiesz, w długoterminowym związku.

Lou popatrzyła mu w twarz.

- One niekoniecznie są aż takie fajne, jak się mówi. Te długoterminowe związki - powiedziała. - Wierz mi.

- Ale z nami chyba będzie inaczej - powiedział Jack prosto i szczerze. - Z tobą jest inaczej, Lou. Nigdy... To znaczy, z Vicky ani z Gretą czy z Melanie... Ja żadnej z nich nie kochałem. Ale ty... Z tobą to coś innego.

Patrzyła na niego w milczeniu, zapominając o kostce, zapominając o jego dłoni, zapominając nawet oddychać, zapominając o wszystkim, z wyjątkiem tego, że nagle ten happy end, który miał nigdy nie nastąpić, jest tuż - tuż.

- Bo ja ciebie kocham - ciągnął Jack. - A w sprawie tego wspólnego mieszkania. Wiem, że już tego próbowałaś i nic ci nie wyszło. Pomyślałem sobie zatem, że może powinniśmy to zrobić inaczej. Pomyślałem, że powinniśmy się najpierw pobrać. Bo tego żadne z nas wcześniej nie próbowało, i sam nie wiem... Może to wtedy zadziała lepiej... ?

Lou musiała się sporo namrugać, żeby zatrzymać kolejną falę łez. To nie były oświadczenia, jakie sama by dla niego napisała.

Ale wystąpił z nimi z własnej inicjatywy i słowa najwyraźniej płynęły mu prosto z serca.

- Okej - powiedziała zachrypniętym głosem. - Brzmi nieźle. Ale jedna rzecz...

- Co? - spytał ostrożnie.

- Żadnych filmów więcej - powiedziała.

- Masz to jak w banku - odparł i pochylił się, żeby ją pocałować tak namiętnie, że kiedy przełożona pielęgniarek weszła do gabinetu minutę później, nawet jej nie usłyszeli. Skonsternowana, wycofała się cichutko.

Ten pocałunek, chociaż Jack i Lou nigdy się o tym nie dowiedzieli, na całe tygodnie stał się głównym tematem rozmów w pokoju pielęgniarek.

Nagrodzony Oscarem reżyser, Tim Lord, został uznany za winnego usiłowania zabójstwa. Obecnie odsiadyuje wyrok dziesięciu do dwudziestu lat więzienia w federalnym zakładzie karnym na Alasce. Jego ostatni film, *Gliniarz zabójca 4*, wszedł na ekrany miesiąc po ogłoszeniu wyroku i stał się kolejnym hitem, mimo ogólnoświatowego bojkotu ze strony obrońców środowiska.

Siedmiu mieszkańców Myry na Alasce również zostało skazanych w procesie karnym pod zarzutami zabójstwa, usiłowania zabójstwa, nielegalnego posiadania broni i napaści z bronią w ręku. Dzieci Samuela Kowalskiego w procesie cywilnym zaskarżyły Tima Lorda i wynajętych przez niego ludzi o zamordowanie ojca i otrzymały odszkodowanie w wysokości wystarczającej, żeby zapewnić im spłatę hipoteki za rodzinny dom i chesne za szkoły kosmetyczne i mechaniczne dla całej czwórki.

Vicky Lord przeprowadziła cichy rozwód ze swoim mężem i od tego czasu znikła z Hollywood i przemysłu filmowego. Jej ślub z szeryfem Walterem O'Malleyem był kameralną uroczystością, w której wziął udział jedynie zastępca szeryfa Lippincott i cztery córki O'Malleya z pierwszego małżeństwa, uszczęśliwione, że Vicky przejmie opiekę nad ich ojcem.

Eliasz Lord wraz z rodzeństwem zdecydowali się nie wracać do swoich matek. Nadal mieszkają w domu Tima Lorda pod opieką jedynej w ich życiu stałej siły, to znaczy gospodyni Lupe.

Donald R. Williams, właściciel myśliwskiego domku, w którym Jack Townsend i Lou Calabrese znaleźli schronienie przed mrozem, nieźle się zdziwił, kiedy wiosną znalazł ich czek. Zrealizował go i wpłacił zaliczkę na zakup terenowego samochodu, o którym marzył od dawna.

Bruno di Blase i Greta Woolston rozwiedli się w sześć tygodni po ślubie, powołując się na niezgodność charakterów. Greta przebywa obecnie w Australii, gdzie kręci film oparty na biografii Ewy Braun. Bruno di Blase nadal szuka studia, które zgodziłoby się przyjąć jego pierwszy scenariusz zatytułowany *Pompeje!*

Frank Calabrese wrócił z Alaski na Long Island. Synowie przywitani go długą na metr osiemdziesiąt „wielką kanapką” i nowiutką elektryczną kosiarką do trawnika. Frankowi kanapka ogromnie smakowała, ale powiedział, że nie będzie zbyt często używał kosiarki, przeprowadza się na Manhattan.

Eleonora Townsend niespecjalnie przejmowała się opinią swoich przyjaciółek, ale trochę się bała, co powiedzą jej kamerdyner i jej syn. Richards jednakże ograniczył się do wyrażenia nadziei, że pani Townsend odnajdzie w tym związku szczęście, podczas gdy Jack zasugerował, że może byłoby lepiej, gdyby się pobrali. Jednak ani Eleonora, ani Frank nie chcą na razie podejmować pochopnych decyzji.

Jack Townsend dotrzymał słowa, rzucił karierę w filmie, ranczo w Salinas i dom na Hollywood Hills, a kupił farmę w Vermont, dokąd przeprowadził się z żoną wkrótce po cichym ślubie w rodzinnym mieście panny młodej. Jack odrestaurował stare kino i otworzył w nim teatr pod nazwą „Scena Dakoty”. Teatr stał się wkrótce znany z dorocznych festiwali szekspirowskich, a Jack Townsend zasłynął jako wybitny reżyser teatralny.

Lou Calabrese Townsend sprzedała swój bungalow w Sherman Oaks i przeprowadziła się z mężem i jego końmi do Nowej Anglii, gdzie zarzuciła pisanie scenariuszy. Wkrótce po narodzinach ich

pierwszej córki, Sary, ukazała się drukiem pierwsza powieść Lou, *Poszła na całość*. Jest to historia pewnej kobiety, która mimo bolesnych doświadczeń postanawia zaryzykować, by wreszcie odnaleźć szczęście.

Chociaż książka odniosła spory sukces, autorka odmawia sprzedaży praw do ekranizacji.